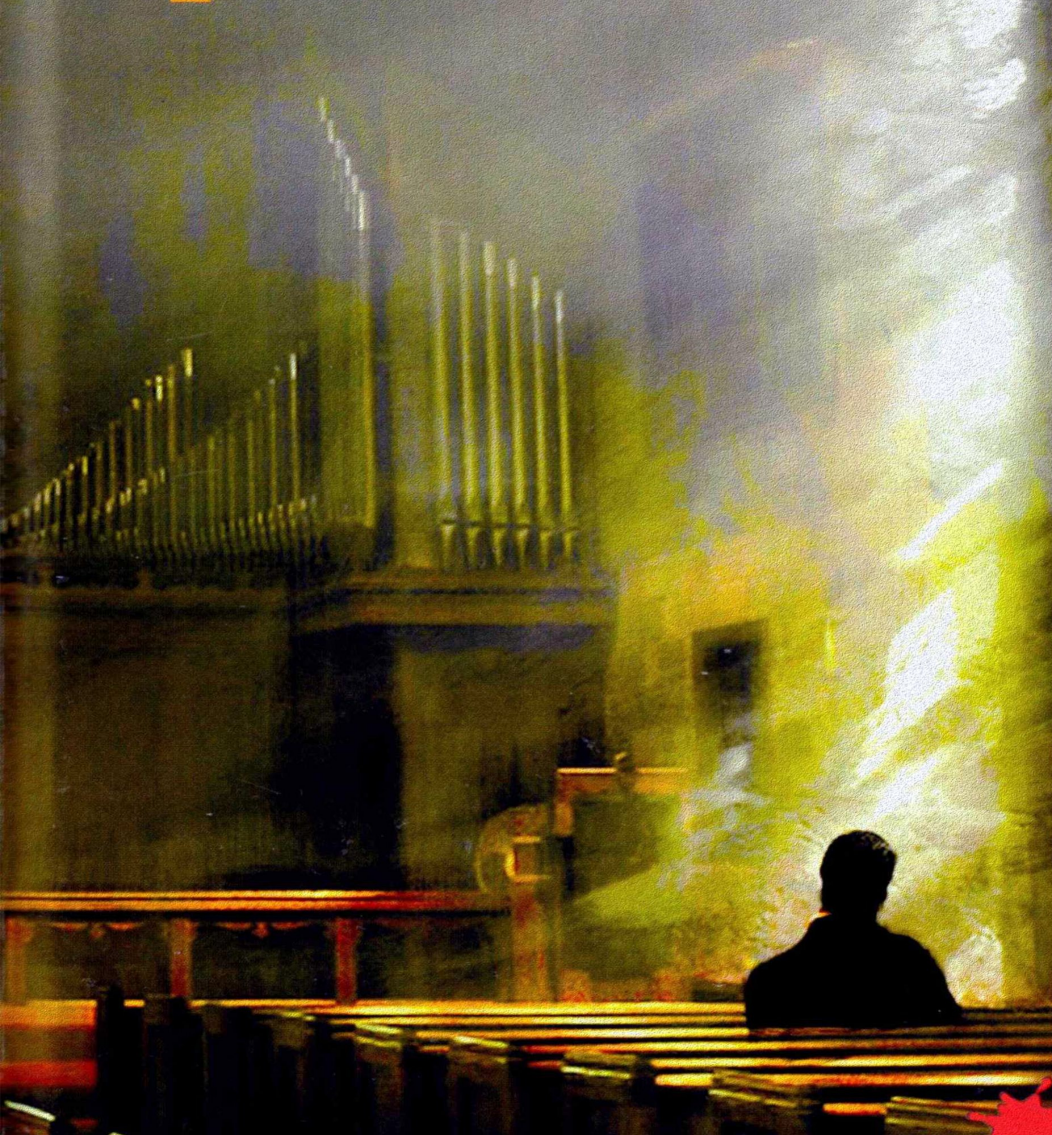


HENNING

MANKELL

piramida



lesiojot



MRO CZNA SERIA

HENNING  
**MANSELL**  
**piramida**

przełożyła IRENA KOWAŁO-PRZEDMOJSKA

MRO CZNA SERIA

**w**  
ydawnic  
**a**  
two **b**

*Rolfowi Lassgårdowi, z sympatią,  
wdzięcznością i niemalym podziwem,  
gdyż odkrył w Wallanderze wiele cech,  
których sam się nie domyślałem.*

## Przedmowa

Dopiero po napisaniu ósmej i ostatniej części serii o Kurcie Wallanderze zorientowałem się, jakiego podtytułu przez cały czas szukałem. Kiedy już wszystko, a w każdym razie większa część serii została napisana, zrozumiałem, że podtytuł powinien brzmieć „Powieści o szwedzkim lęku”.

Za późno na to wpadłem. Mimo że moje książki wciąż były wariacjami na ten sam temat: „Jakie procesy zachodzą w szwedzkim państwie prawa w latach dziewięćdziesiątych? Czy demokracja będzie w stanie przeżyć, jeżeli naruszy się fundament praworządności? Czy szwedzka demokracja ma jakąś cenę, która pewnego dnia zostanie uznana za zbyt wygórowaną?”.

Te oto pytania padały w większości listów, które otrzymywałem. Wielu czytelników dzieliło się ze mną mądrymi myślami. Grube koperty, cienkie pocztówki z egzotycznych miejsc, o których nigdy nie słyszałem, telefony o przedziwnych porach, rozgorączkowane głosy docierające pocztą elektroniczną są dla mnie dowodem, że Wallander w pewnym sensie wyrażał uczucie narastającej obcości, gniewu, a także zdrowe poglądy na temat zależności między praworządnym państwem a demokracją.

Oprócz kwestii dotyczących praworządności i demokracji pojawiały się również inne. Niektóre z nich dotyczą nieścisłości, które z satysfakcją tropią czytelnicy. Ci, którzy znaleźli „błędy”, niemal we wszystkich wypadkach mieli rację. (W tym miejscu muszę od razu przyznać, że również w tej książce będzie można odnaleźć nieścisłości. Mimo to jest to wersja ostateczna. Nie ma w tym winy redaktorów. Nie mógłbym sobie życzyć lepszej redaktorki niż Eva Stenberg).

Jednakże zdecydowana większość listów zawierała pytania o losy Wallandera, zanim pojawił się w serii książek. Czyli dokładnie przed 8 stycznia 1990 roku. Kiedy to wczesnym

zimowym rankiem wyrwał go z łóżka sygnał telefonu, początek *Mordercy bez twarzy*. Doskonale rozumiem, że czytelnicy chcieliby wiedzieć, jak się to wszystko zaczęło. Kiedy Wallander pojawia się na scenie po raz pierwszy, ma już czterdzieści dwa lata, wkrótce skończy czterdzieści trzy. Jest od dawna policjantem, ma za sobą małżeństwo i rozwód, dziecko i wyjazd z Malmö do pracy w Ystad.

Czytelnicy byli ciekawi. Mnie również to intrygowało. Przez ostatnie dziewięć lat od czasu do czasu porządkowałem szuflady, szperałem w zakurzonych papierach lub przeszukiwałem zera i jedyńki dyskietek.

Kilka lat temu, zaraz po ukończeniu piątej powieści *Falszywy trop*, uświadomiłem sobie, że zacząłem w myślach pisać opowiadania, które rozgrywały się, zanim rozpocząłem serię powieści. I znów ta sama magiczna data, 8 stycznia 1990 roku.

Zebrałem te opowiadania w jeden tom. Te, które były wcześniej drukowane w prasie, przejrzałem dosyć pobieżnie. Wyeliminowałem niektóre nieścisłości chronologiczne i zbędne słowa. Dwa opowiadania z obecnego zbioru ukazują się w druku po raz pierwszy.

Ale nie dlatego wydaję teraz owe teksty, że wyczyściłem szuflady. Oddaję je do druku, gdyż spełniają funkcję wykrzyknika umieszczonego po ostatniej kropce, którą postawiłem w ubiegłym roku. Czasami dobrze jest się cofnąć do punktu wyjścia. Do czasu przed 8 stycznia 1990 roku.

Żaden obraz nigdy nie będzie pełny. Ale myślę, że te fragmenty powinny się w nim znaleźć.

Reszta jest i pozostanie milczeniem.

*Henning Mankell*  
*styczeń 1999*

# CIOS

## 1

Na początku była tylko mgła.

Albo gęste morze, białe i ciche. Krajobraz śmierci. To pierwsze, co przyszło na myśl Wallanderowi, gdy z wolna wydobywał się na powierzchnię. Że już nie żyje. Dożył dwudziestu jeden lat. Młody policjant, zaledwie dorosły. Rzucił się na niego z nożem obcy człowiek, a on nie zdążył uskoczyć w bok.

Potem była już tylko biała mgła. I cisza.

Budził się powoli, powoli wracał do życia. Pod czaszką kłębiły się niewyraźne obrazy. Usiłował schwytać je w biegu, tak jak łapie się motyle. Ale obrazy umykały i z najwyższym wysiłkiem potrafił odtworzyć to, co się właściwie wydarzyło...

Trzeciego czerwca 1969 roku Wallander miał wolny dzień. Właśnie odprowadził Monę na statek płynący do Danii. Nie był to nowy katamaran, ale jeden z tych weteranów, na którym podczas rejsu do Kopenhagi wciąż jeszcze wystarczało czasu na spożycie solidnego posiłku. Mona umówiła się z koleżanką i zamierzały wybrać się do Tivoli lub, co bardziej prawdopodobne, pochodzić po sklepach. Wallander chętnie by jej towarzyszył, miał przecież wolny dzień. Ale Mona się nie zgodziła. Chciała płynąć tylko z koleżanką. Bez mężczyzn.

Patrzył, jak statek wychodzi z portu i się oddala. Mona miała wrócić wieczorem i obiecał, że ją odbierze. Jeśli nadal będzie ładnie, zrobią sobie spacer. A potem pójdą do niego do domu w Rosengård.

Na samą myśl o tym Wallander odczuwał podniecenie. Podciągnął spodnie, przeciął ukośnie ulicę i wszedł do budynku

dworca. Kupił paczkę papierosów John Silver i zapalił, zanim jeszcze wyszedł na dwór.

Nie miał żadnych planów. Był wtorek, przed sobą miał wolny dzień. Nazbierało mu się dużo nadgodzin, głównie z powodu masowych demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie, które regularnie odbywały się w Lund i w Malmö. W Malmö doszło nawet do konfrontacji z policją. Wallander nie czuł się z tym dobrze. Nie miał właściwie zdania na temat żądań demonstrantów, domagających się wycofania amerykańskich wojsk z Wietnamu. Próbował rozmawiać o tym z Moną, ale ona wciąż powtarzała, że „demonstranci wywołują zadymy”. Na jego argument, że chyba nie jest w porządku, aby bomby pierwszej potęgi wojskowej świata pustoszyły biedny rolniczy kraj w Azji albo, jak się wyraził pewien wysoki rangą amerykański wojskowy, „cofały kraj do epoki kamiennej”, które to słowa Kurt przeczytał w gazecie, Mona odparowała, że nie ma najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż za komunistę.

Zbiła go z tropu i na tym dyskusja się zakończyła. Chciał się ożenić z Moną, tego był pewien. Dziewczyną o jasnobrązowych włosach, ostrym nosku i drobnej brodzie. Może nie była ładniejsza od tych, które znał wcześniej. Ale jej właśnie pragnął.

Poznali się rok temu. Wallander miał przedtem dziewczynę, Helenę, która pracowała w biurze spedycyjnym w mieście. Chodzili ze sobą ponad rok. Pewnego dnia oświadczyła nagle, że poznała kogoś innego. Wallander z początku zaniemówił. Potem przeplakał w domu cały weekend. Był nieprzytomny z zazdrości i kiedy wreszcie otarł łzy, udał się do pubu na Dworcu Głównym i tam stanowczo zbyt dużo wypił. Wrócił do domu i płakał dalej. Kiedy teraz zdarzało mu się mijać tamten pub, aż się wzdrygał. Nigdy już nie przekroczy jego progu.

Nastąpiło kilka ciężkich miesięcy, podczas których Wallander usiłował namówić Helenę, żeby do niego wróciła. Ona jednak stanowczo odmawiała i w końcu tak ją zirytowała jego natarczywość, że zagroziła mu policją. Wtedy się uspokoił. I co dziwniejsze, nagle mu wszystko przeszło. Niech sobie

Helena chodzi z innym facetem, pomyślał. Stało się to w pewien piątek.

Tego samego wieczoru przeprowadził się statkiem przez cieśninę Sund i w drodze powrotnej z Kopenhagi siedział obok dziewczyny, która robiła na drutach i miała na imię Mona.

Wallander szedł przez miasto pogrążony w myślach. Zastanawiał się, co robi teraz Mona z przyjaciółką. Potem wrócił myślami do wydarzeń minionego tygodnia. Do demonstracji, które przerodziły się w zamieszki. Może to wina jego przełożonych, którzy nie potrafili od razu właściwie zareagować. Wallander wchodził w skład zaimprovizowanego rezerwowego oddziału. Wezwano ich dopiero wtedy, kiedy doszło do szarpaniny. Co tylko dodatkowo zaogniło sytuację.

Jedyną osobą, z którą Wallander próbował rozmawiać o polityce, był jego ojciec. Ojciec miał sześćdziesiąt lat i właśnie postanowił przenieść się do Österlen. Często miał humory i Wallander nigdy nie wiedział, jak z nim postępować. Szczególnie od czasu, gdy ojciec omal nie zerwał z nim kontaktów. Zdarzyło się to kilka lat temu, kiedy Kurt wrócił do domu i oznajmił, że chce zostać policjantem. Ojciec siedział w swojej pracowni pachnącej farbami olejnymi i kawą. Rzucił w Wallandera pędzlem i zażądał, żeby mu się więcej nie pokazywał na oczy. Nie zamierza, jak twierdził, tolerować policjanta w rodzinie. Doszło do gwałtownego spięcia. Jednak Wallander nie ustąpił. Postanowił zostać policjantem i żadne fruujące w powietrzu pędzle nie mogły tego zmienić. Kłótnia ucichła tak samo nagle, jak wybuchła, ojciec odgrodził się wrogą ciszą i na powrót zasiadł przy sztalugach. Potem zaczął zawzięcie odrysowywać głuszca z szablonu. Zawsze wybierał ten sam motyw do swoich obrazów, leśny krajobraz, który czasami wzbogacał, domalowując głuszca.

Wallander myślał o ojcu, marszcząc czoło. Tak naprawdę nigdy się nie pogodzili. Ale znowu ze sobą rozmawiali. Kurt często się zastanawiał, jak matka, która zmarła, kiedy jeszcze był w szkole policyjnej, wytrzymała z ojcem. Jego siostra, Krystyna, wyprowadziła się z domu przy pierwszej nadarżającej się okazji i teraz mieszkała w Sztokholmie.



Dochodziła dziesiąta. Lekki wiatr owiewał ulice Malmö. Wallander wszedł do kawiarni obok domu towarowego NK. Zamówił kawę z kanapką i zaczął przeglądać „Arbetet” i „Sydsvenska”<sup>1</sup>. W obu gazetach zamieszczono listy czytelników; w jednych chwalono, zaś w innych potępiano działania policji w związku z demonstracjami. Wallander szybko przerzucał strony gazet. Nie starczało mu cierpliwości. Miał nadzieję, że wkrótce nie będzie już musiał rozpędzać demonstracji. Przejdzie do sekcji kryminalnej. Tak planował od początku i nigdy tego nie ukrywał. Już za kilka miesięcy zacznie pracę w wydziale zabójstw i przestępstw na tle seksualnym.

Znienacka wyrosła przed nim jakaś postać. Wallander trzymał w ręku filiżankę z kawą. Uniósł głowę. Zobaczył długowłosą dziewczynę, mniej więcej siedemnastoletnią, o bardzo bladej twarzy. Utkwiła w nim wściekły wzrok. Potem pochyliła się do przodu, tak że włosy opadły jej na twarz i odsłoniły kark.

-Tu - wskazała. - Tu mnie pan uderzył.

Wallander odstawił filiżankę. Zupełnie zdębiał.

Dziewczyna się wyprostowała.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odrzekł Wallander.

- Jest pan policjantem, prawda?

-Tak.

- I był pan przy rozpędzaniu demonstracji?

Teraz już rozumiał. Rozpoznała go, mimo że nie miał na sobie munduru.

- Nikogo nie uderzyłem - zapewnił.

- Nieważne, kto trzyma pałkę. Pan tam był, więc pan nas pobił.

- Przekroczyliście przepisy dotyczące demonstracji - bronił się Wallander, czując jak nieprzekonująco brzmią jego słowa.

- Cholernie nie cierpię policjantów - rzuciła. - Miałam zamiar napić się tu kawy. Ale poszukam innego miejsca.

Po tych słowach wyszła. Kelnerka za barem spojrzała z wyrzutem na Wallandera. Jak gdyby przez niego straciła

---

1 Lokalne dzienniki (przyp. tłum.).

gościa.

Wallander zapłacił i opuścił lokal, zostawiając niedojedzoną kanapkę. Spotkanie z dziewczyną wyprowadziło go z równowagi. Wydało mu się nagle, że wszyscy się na niego gapią. Jakby miał na sobie mundur, a nie granatowe spodnie, jasną koszulę i zieloną kurtkę.

Muszę skończyć z patrolowaniem ulic, pomyślał. Chcę siedzieć w biurze, chodzić na zebrania grupy dochodzeniowej i jeździć na miejsca przestępstw. Żadnych demonstracji. Najwyżej będę brał zwolnienia lekarskie.

Przyspieszył kroku. Zastanawiał się, czy nie pojechać autobusem. Czuł jednak potrzebę ruchu. Poza tym nie chciał się natknąć na kogoś znajomego.

Przed wejściem do Parku Ludowego wpadł oczywiście prosto na ojca, taszczącego obraz zawinięty w brązowy papier. Wallander szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię i dostrzegł ojca zbyt późno, by zdążyć zejść mu z oczu. Ojciec nosił dziwną spiczastą czapkę, a spod grubego płaszcza wystawało coś w rodzaju sportowego dresu. Na gołych stopach miał tenisówki.

Wallander jęknął w duchu. Wygląda jak włóczęga, pomyślał. Mógłby się przynajmniej porządnie ubrać.

Ojciec przystanął i postawił obraz na ziemi.

- Dlaczego nie nosisz munduru? - zapytał zamiast powitania.
- Nie jesteś już policjantem?
- Mam wolny dzień.
- Myślałem, że policjanci zawsze są na służbie. Żeby nas chronić przed wszelkim złem.

Wallander z trudem opanował gniew.

- Dlaczego nosisz zimowy płaszcz? - odciął się. - Jest dwadzieścia stopni ciepła.

- To całkiem możliwe - odrzekł ojciec. - Ale jak się porządnie pocę, jestem zdrów jak ryba. Radzę ci robić to samo.

- Nie będę chodził latem w zimowym płaszczu.

- To będziesz chory.

- Przecież ja nigdy nie choruję.

- Jeszcze nie. Ale zobaczysz później.

- Widziałeś się w lustrze?

- Nie tracę czasu na przeglądanie się w lustrze.  
- Nie możesz przecież w czerwcu nosić zimowej czapki.  
- Może chcesz mi ją ściągnąć? Oskarżę cię o pobicie.  
Przypuszczam zresztą, że brałeś udział w palowaniu demonstrantów.

Więc on też, pomyślał Wallander. Nie do wiary. On, który nigdy nie interesował się polityką. Nieraz próbowałem z nim dyskutować na ten temat.

Ale Kurt się mylił.

- Każdy przyzwoity człowiek musi protestować przeciwko tej wojnie - rzekł stanowczo ojciec.

- Każdy przyzwoity człowiek musi wykonywać swoją pracę - odparł Wallander z wymuszonym spokojem.

- Pamiętasz, co ci mówiłem? Nie powinienesz być zostać policjantem. Ale nie chciałeś mnie słuchać. Patrz, w co się wpackowałeś. W bicie dzieci kijami po głowie.

- W życiu nie uderzyłem żadnego cholernego człowieka - odrzekł Wallander ze złością. - Poza tym nie mamy kijów, tylko pałki. Dokąd się wybierasz z tym obrazem?

- Wymieniam go na nawilżacz powietrza.

- Po co ci nawilżacz?

- Żeby go wymienić na nowy materac. Ten, który mam, do niczego się nie nadaje. Bolą mnie od niego plecy.

Wallander wiedział, że ojciec często wdaje się w najdziwniejsze, piętrowe transakcje, aby zdobyć towar, którego potrzebuje.

- Chcesz, żebym ci pomógł? - zapytał Wallander.

- Nie potrzebuję policyjnej ochrony. Ale mógłbyś wpaść któregoś wieczoru i pograć ze mną w karty.

- Wpadnę - obiecał Wallander. - Jak tylko będę miał czas.

Gra w karty, pomyślał. Ostatnia więź, jaka jeszcze nas łączy.

Ojciec podniósł obraz.

- Dlaczego ja nie mam wnuków? - zapytał na odchodnym.

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Wallander patrzył za nim. Rad był, że ojciec przeprowadza się do Österlen. Nie będzie się musiał obawiać, że się przypadkiem na niego natknie.

Kurt mieszkał w starym domu w Rosengård. Cała dzielnica była nieustannie zagrożona rozbiórką. On jednak dobrze się tam czuł, chociaż Mona mu zapowiedziała, że kiedy się pobiorą, będą musieli zamieszkać w innej okolicy. Było to jego pierwsze własne mieszkanie. Składało się z pokoju, kuchni i ciasnej łazienki. Meble kupował na aukcjach i w sklepikach z różnościami. Afisze, które umieścił na ścianach, przedstawiały kwiaty lub egzotyczne wyspy. Ponieważ od czasu do czasu odwiedzał go ojciec, Wallander z poczucia obowiązku powiesił też na ścianie jeden z jego pejzaży. Wybrał krajobraz bez głuszca.

Najważniejszy jednak był adapter. Wallander nie miał dużo płyt, a te, które miał, zawierały niemal wyłącznie muzykę operową. Za każdym razem, gdy przyjmował w domu kolegów z pracy, dziwili się, że słucha takiej muzyki. Wobec tego zakupił kilka innych płyt, które mógł nastawiać przy gościach. Z niezrozumiałych dla niego powodów wielu policjantów zachwycało się Royem Orbisonem.

Tuż po pierwszej zjadł obiad, wypił kawę i z grubsza posprzątał mieszkanie, słuchając nagrania Jussiego Björlinga. Była to pierwsza płyta, jaką kupił, i mimo że miała mnóstwo rys, często myślał, że w razie pożaru domu ją najpierw będzie ratował.

Nastawił płytę po raz drugi i po chwili usłyszał walenie w sufit. Ściszył muzykę. W domu były cienkie stropy. Piętro wyżej mieszkała kobieta, niegdyś właścicielka kwaciarni. Nazywała się Linnea Almqvist. Kiedy muzyka jej przeszkadzała, waliła w sufit. A on posłusznie ściszał dźwięk. Położył się na łóżku. W otwartym oknie falowała firanka, którą powiesiła Mona. Czuł się zmęczony i zarazem rozleniwiony. Należał mu się odpoczynek. Zabrał się do przeglądania numeru „Lektyr”<sup>2</sup>. Musi go dobrze schować, gdy przyjdzie Mona. Po chwili pismo zsunęło się z łóżka na podłogę. Wallander zasnął.

Ze snu wyrwał go łoskot. Nie umiał powiedzieć, skąd dochodzi. Wstał i poszedł do kuchni sprawdzić, czy coś nie spadło na podłogę. Wszystko było na swoim miejscu. Wrócił do

---

<sup>2</sup> Magazyn dla młodych mężczyzn (przyp. tłum.).

pokoju i wyrwał przez okno. Podwórko między domami było opustoszałe. Samotny niebieski kombinezon lekko powiewał na sznurze do rozwieszania bielizny. Wallander wrócił do łóżka. Hałas wyrwał go ze snu, w którym znalazła się dziewczyna z kawiarni. Ale sen był niewyraźny i poplątany.

Wstał i spojrzął na zegarek. Za kwadrans czwarta. Spał ponad dwie godziny. Usiadł przy kuchennym stole i sporządził listę zakupów. Mona obiecała przywieźć z Kopenhagi alkohol. Włożył kartkę do kieszeni i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Chwilę stał w ciemności. Drzwi od mieszkania sąsiada były uchylone. Zdziwiło go to, gdyż mieszkający tam mężczyzna był bardzo bojaźliwy i całkiem niedawno, w maju, kazał założyć w drzwiach dodatkowy zamek. Wallander wahał się chwilę, w końcu jednak postanowił zastukać do drzwi. Sąsiad, Artur Hålen, emerytowany marynarz, mieszkał sam. Witali się, mijając na schodach, czasami zamieniali kilka grzecznościowych słów, i to wszystko. Wallander nigdy nie widział ani nie słyszał, żeby do Hålena ktokolwiek przychodził. Rano słuchał radia, wieczorem włączał telewizor. Lecz o dziesiątej zawsze zapadała u niego cisza. Kurt nieraz się zastanawiał, czy sąsiad słyszy przez ścianę nocne namiętne odgłosy damskich wizyt w jego mieszkaniu. Rzecz jasna nigdy go o to nie zapytał.

Zastukał jeszcze raz. Nikt nie odpowiadał. Pchnął drzwi i zawołał. Cisza. Niepewnie wszedł do holu. Wewnątrz panował zaduch, cierpkawy zapach starego człowieka. Wallander ponownie zawołał.

Widocznie zapomniał zamknąć drzwi, wychodząc z domu, pomyślał. W końcu ma koło siedemdziesiątki. Ma prawo być roztargniony.

Zajrzał do kuchni. Na ceratowym obrusie, obok filiżanki do kawy, zobaczył zmięty kupon zakładów sportowych. Uchylił kotarę prowadzącą do pokoju i stanął jak wryty. Hålen leżał na podłodze. Biała koszula była zalana krwią. Obok jego dłoni leżał rewolwer.

Huk, który usłyszałem, pomyślał Wallander. To był strzał.

Zbierało mu się na mdłości. Widywał już martwych ludzi.

Topielców lub wisielców. Ludzi śmiertelnie poparzonych lub całkowicie zmasakrowanych w wypadkach drogowych. Wciąż jednak nie mógł się przyzwyczaić do tego widoku.

Rozejrzył się po pokoju. Mieszkanie Hålena okazało się lustrzanym odbiciem jego własnego. Skąpo umeblowane. Bez jednego kwiatka w pokoju, bez żadnych ozdób. Łóżko było niezaścielone.

Przyglądał się jeszcze przez chwilę zwłokom. Hålen musiał strzelić sobie w pierś. Już nie żył. Wallander nie potrzebował nawet sprawdzać pulsu.

Wrócił szybko do siebie i zatelefonował na policję. Przedstawił się i opisał, co zaszło. Potem wyszedł na ulicę i czekał na przyjazd radiowozu.

Policja i pogotowie zjawily się niemal równocześnie. Wallander kiwnął głową na widok wysiadających ludzi. Same znajome twarze.

- Co takiego się stało? - zapytał jeden z policjantów. Nazywał się Sven Svensson, pochodził z Landskrony i koledzy mówili na niego Kolec od czasu, gdy w pogoni za złodziejem nadział się na kolczasty krzak i kolce wbiły mu się w brzuch.

- Mój sąsiad - odpowiedział Wallander. - Zastrzelił się.

- Hemberg jest w drodze - powiedział Kolec. - Muszą na to spojrzeć kryminalni.

Wallander skinął głową. Wiedział, że śmierć w domu, choćby wyglądała najbardziej naturalnie na świecie, zawsze pociąga za sobą policyjne dochodzenie.

O Hembergu sporo mówiono. Nie zawsze dobrze. Łatwo wpadał w gniew i bywał wtedy nieprzyjemny dla kolegów. Z drugiej strony był mistrzem w swoim zawodzie i nikt nie miał odwagi mu się przeciwstawić. Wallander poczuł przypływ niepokoju. Może czegoś nie dopatrył? Hemberg natychmiast to wyłapie. A właśnie z nim, komisarzem Hembergiem, będzie pracował, jak tylko załatwi sobie przeniesienie.

Kurt nadal czekał na ulicy. Podjechało czarne volvo i wysiadł Hemberg. Był sam. Minęło kilka sekund, zanim rozpoznał Wallandera.

-Co ty tu robisz, do licha? - zapytał Hemberg.

- Mieszkam tu - odparł Wallander. - Mój sąsiad się zastrzelił i zawiadomiłem policję.

Hemberg uniósł brwi i spytał zaciekawiony:

- Widziałeś go?

- Jak to widziałem?

- Widziałeś, jak do siebie strzelał?

- Jasne, że nie.

- To skąd wiesz, że to samobójstwo?

- Broń leży obok ciała.

- I co z tego?

Wallander się zmieszał.

- Musisz się nauczyć stawiać właściwe pytania - powiedział Hemberg. - Jeśli chcesz pracować w kryminalnym. Mam już wystarczająco dużo takich, którzy nie potrafią myśleć. Nie potrzebuję jeszcze jednego.

Po chwili zmienił ton na bardziej przyjazny.

- Jeżeli mówisz, że to samobójstwo, to chyba tak jest. Gdzie to?

Wallander wskazał bramę. Weszli do środka.

Kurt uważnie obserwował sposób pracy Hemberga. Widział, jak siedząc w kucki opodal zwłok, rozmawiał z przybyłym lekarzem na temat miejsca wlotu kuli. Analizowali położenie broni, ciała, ręki. Następnie Hemberg obszedł mieszkanie naokoło, przeszukał szuflady komody, szafy i ubrania.

Zajął mu to około godziny. Kiedy skończył, skinął na Wallandera i razem weszli do kuchni.

- To z pewnością samobójstwo - stwierdził Hemberg, wygładzając z roztargnieniem leżący na stole kupon zakładów.

- Słyszałem huk - wyjaśnił Wallander. - To musiał być strzał.

- Nic więcej?

- Nie.

- Znałeś go?

- Tylko po sąsiedzku.

- Miał jakąś rodzinę?

- Nie wiem.

- Trzeba to sprawdzić.

Hemberg przez chwilę milczał.

- Nie ma żadnych rodzinnych zdjęć - podjął. - Ani na komodzie, ani na ścianach. W szufladach pusto, jeśli nie liczyć dwóch książeczek żeglarskich. Jedyna interesująca rzecz, jaką znalazłem, to kolorowy chrząszcz w słoiku. Większy niż jelonek rogacz. Wiesz, co to jest jelonek rogacz?

Wallander nie wiedział.

- Największy chrząszcz w Szwecji - wyjaśnił Hemberg. - Ale wkrótce zostanie wytępiony.

Odłożył na stół kupon zakładów.

- Nie zostawił żadnego listu - ciągnął. - Stary człowiek, który ma wszystkiego dosyć i żegna się z hukiem ze światem. Lekarz mówi, że dobrze celował. Prosto w serce.

Do kuchni wszedł policjant z portfelem w rękę, podał go Hembergowi, który wyjął z niego dowód osobisty.

- Artur Hålen - odczytał Hemberg. - Urodzony w 1898 roku. Cały wytatuowany. Jak przystało na marynarza starej daty. Wiesz, jaką miał funkcję na statku?

- Był chyba maszynistą.

- W jednej książeczce żeglarza figuruje jako maszynista. W drugiej, wcześniejszej, jako marynarz. Zajmował się różnymi rzeczami. Kiedyś zakochał się w dziewczynie imieniem Łucja. Jej imię miał wytatuowane na prawym ramieniu i na piersi. Można powiedzieć, że wstrzelił się prosto w to piękne imię.

Hemberg włożył portfel i dowód do torby.

- Ostatnie słowo należy oczywiście do lekarza sądowego. My przeprowadzimy rutynowe badanie broni i kuli. Nie ulega wątpliwości, że to samobójstwo.

Raz jeszcze rzucił okiem na kupon zakładów.

- Artur Hålen nie znał się na angielskim futbolu - zauważył. - Gdyby wytypował prawidłowo, zgarnąłby całą wygraną.

Hemberg wstał. Sanitariusze wynosili ciało. Ostrożnie manewrowali przykrytymi noszami w ciasnym holu.

- To się zdarza coraz częściej - powiedział zamyślony Hemberg. - Starzy ludzie odbierają sobie życie. Ale rzadko do siebie strzelają. Szczególnie z pistoletu.

Nagle utkwiał baczne spojrzenie w Wallanderze.

- Ciebie to również zdziwiło?



- Co takiego? - zapytał zaskoczony Wallander.

- Że Hålen miał pistolet. Przeszukaliśmy komodę i nie znaleźliśmy pozwolenia na broń.

- Pewnie gdzieś kupił, jak jeszcze pływał na statku.

Hemberg wzruszył ramionami.

- Pewnie tak.

Wyszli na ulicę.

- Pomyślałem, że klucz zostawimy u ciebie - powiedział Hemberg. - Ludzie z ekipy podrzucają ci go, jak skończą. Dopilnuj, żeby nikt niepowołany tam nie wchodził, dopóki nie ustalimy z całą pewnością, że to samobójstwo.

Wallander wszedł do domu. Na schodach spotkał Linneę Almqvist, która szła wyrzucić śmieci.

- Co to za biegająca? - zapytała srogo.

- Niestety zdarzył się śmiertelny wypadek. Hålen nie żyje.

Wiadomość wyraźnie ją poruszyła.

- Musiał być bardzo samotny - rzekła powoli. - Parę razy chciałam go zaprosić na kawę. Zawsze odpowiadał, że nie ma czasu. Ale czasu mu chyba nie brakowało?

- Prawie go nie znałem - odparł Wallander.

- To serce?

Wallander skinął głową.

- Tak - powiedział. - Serce.

- Miejmy nadzieję, że nie wprowadzą się na jego miejsce jacyś rozwyrzeni młodzi ludzie - rzuciła na odchodnym.

Wallander wrócił do mieszkania Hålena. Teraz, gdy usunięto już zwłoki, było mu łatwiej tam wytrzymać. Technik z kryminalnego właśnie pakował torbę. Plamy krwi na wykładzinie z linoleum ściemniały. Kolec stał i dłużył w paznokciach.

- Hemberg powiedział, żebym się zajął kluczami - wyjaśnił Wallander.

Kolec wskazał pęk kluczy na komodzie.

- Ciekawe, kto jest właścicielem tego domu - rzekł.

- Moja dziewczyna szuka mieszkania.

- Strasznie tu cienkie ściany - ostrzegł Wallander.

- Słysząc sąsiadów.

- Nie słyszałeś o nowych, rewelacyjnych wodnych materacach? - zapytał Kolec. - W ogóle nie skrzypią.

Wallander zamknął drzwi do mieszkania Hålena dopiero kwadrans po szóstej. Miał jeszcze trochę czasu do spotkania z Moną. Wrócił do siebie i nastawił kawę. Zerwał się wiatr. Wallander zamknął okno i usiadł w kuchni. Nie zdążył zrobić zakupów, a teraz już wszystko zamknięte. W pobliżu nie było nocnego sklepu. Będzie musiał zaprosić Monę do restauracji. Otworzył portfel leżący na stole i sprawdził, czy starczy mu pieniędzy. Mona lubiła jadać na mieście. On uważał, że to wyrzucanie pieniędzy.

Imbryk do kawy zapiszczał. Wallander nalał kawę do filiżanki i wrzucił trzy kostki cukru. Czekał, aż wystygnie.

Poczuł ukłucie niepokoju. Nie wiedział dlaczego. Uczucie niepokoju wzrastało. Nie rozumiał, skąd przyszło, ale czuł, że ma jakiś związek z Hålenem. Przebiegł w myślach ostatnie wydarzenia. Łoskot, który zerwał go na nogi, uchylone drzwi mieszkania, martwe ciało w pokoju. Człowiek odebrał sobie życie, człowiek, który przypadkiem był jego sąsiadem.

A jednak coś tu się nie zgadzało. Wallander poszedł do pokoju i położył się na łóżku. Tropił w pamięci zasłyszany hałas. Czy usłyszał wtedy coś jeszcze? Przedtem lub potem? Czy jakieś dźwięki przedarły się przez jego sen? Bezskutecznie nasłuchiwał. Mimo to był pewien, że coś mu umknęło. W dalszym ciągu przeszukiwał myśli. Ale napotykał tylko ciszę. Podniósł się z łóżka i wszedł do kuchni. Kawa już ostygła.

Coś sobie uroiłem, pomyślał. Widziałem wszystko na własne oczy, tak samo jak Hemberg i wszyscy inni. Samotny stary człowiek, który miał wszystkiego dosyć.

Wallander miał wrażenie, że widział coś, czego znaczenia nie dostrzegł.

Jednocześnie uświadomił sobie, że ta myśl go nęci. Gdyby tak potrafił wychwycić coś, co uszło uwadze Hemberga. Zwiększyłyby to jego szanse szybkiego awansu do sekcji kryminalnej.

Spojrzał na zegarek. Wciąż jeszcze pozostawało sporo czasu do spotkania z Moną na terminalu promowym. Odstawił filiżankę do zlewu, wziął klucze i poszedł do mieszkania Håléna. Wszystko wyglądało jak za pierwszym razem, z tą różnicą, że teraz już nie było zwłok. Pokój się nie zmienił. Wallander uważnie się rozejrzał. Jak to się robi?, myślał. Jak dostrzec to, czego się nie widzi?

Był przekonany, że to coś istnieje. Tylko że on tego nie dostrzega.

Wszedł do kuchni i usiadł na krześle, na którym przedtem siedział Hemberg. Miał przed sobą kupon zakładów. Niewiele wiedział o angielskiej piłce. Tak naprawdę to nic nie wiedział o futbolu. Zdarzało mu się kupować los na loterię pieniężną. Innych nie kupował.

Kupon został obstawiony na najbliższą sobotę. Håléń wpisał na nim swoje imię i nazwisko.

Wallander wrócił do pokoju i przystanął przy oknie. Stąd miał inny kąt widzenia. Jego wzrok padł na łóżko. Håléń był ubrany, kiedy do siebie strzelał. Lecz łóżko zostawił niezaścielone. Mimo że poza tym wszędzie panował pedantyczny porządek. Dlaczego nie pościelił łóżka?, pomyślał Wallander. Nie mógł chyba spać w ubraniu, a potem wstać i się zastrzelić. I czemu na stole leży wypełniony kupon zakładów?

Coś się nie zgadzało. Ale to jeszcze niewiele znaczyło. Håléń mógł podjąć decyzję, żeby ze sobą skończyć, pod wpływem nagłego impulsu. Wtej sytuacji ścielenie łóżka mogło mu się wydawać czymś absurdalnym.

Wallander usiadł w starym, wysłużonym fotelu, jedynym, jaki był w pokoju. Coś sobie uroiłem, powtórzył w myślach. Lekarz sądowy potwierdzi samobójstwo, ekspertyza techniczna ustali, że kula pochodzi z broni Håléna, który własnoręcznie oddał do siebie strzał.

Postanowił opuścić mieszkanie. Powinien się umyć i przebrać, zanim pojedzie odebrać Monę. Coś go jednak powstrzymywało. Podszedł do komody i zaczął otwierać szuflady. Od razu wpadły mu w ręce obie książeczki żeglarskie. Artur Håléń był za młodu przystojnym mężczyzną o jasnych

włosach i szerokim uśmiechu. Wallanderowi trudno było sobie wyobrazić, że zdjęcie przedstawia tego samego człowieka, który cicho i spokojnie dożywał swoich dni w Rosengård. A jeszcze trudniej, że mężczyzna ze zdjęcia pewnego dnia odbierze sobie życie. Wiedział, że nie ma sensu tak myśleć. Samobójca to nie jest ktoś z góry zaprogramowany.

Znalazł kolorowego chruszcza i podszedł z nim do okna. Na spodzie pudełeczka widniał, jak mu się zdawało, napis „Brazylia”. Pamiątka zakupiona podczas jednej z podróży. Szperał dalej. Klucze, monety z różnych krajów, nic interesującego. Pod zniszczonym i naddartym papierem, którym wyłożona była najniższa szuflada, leżała brązowa koperta. Znalazł w niej stare ślubne zdjęcie. Na odwrocie nazwa zakładu fotograficznego i data: 15 maja 1894. Zakład znajdował się w Härnösand. I jeszcze podpis: „Manda i ja w dniu ślubu”. Rodzice, domyślił się Wallander. Cztery lata później urodził się syn.

Skończył przeszukiwać komodę i podszedł do półki z książkami. Ku swojemu zdziwieniu ujrzał na niej liczne książki po niemiecku. Widać było, że często zdejmowano je z półki i czytano. Stało tam jeszcze parę tomów Vilhelma Moberga, hiszpańska książka kucharska i kilka numerów czasopism dla modelarzy. Wallander pokręcił głową ze zdziwieniem. Obraz Håléna był bardziej skomplikowany, niż przypuszczał. Odszedł od półki i zajrzał pod łóżko. Nic. Otworzył szafę. Starannie wiszące ubrania, trzy pary wyczyszczonych butów. Gdyby nie to niezaścielone łóżko, pomyślał znowu. Psuje wszystko.

Zamykał szafę, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Wallander drgnął. Odczekał chwilę. Dzwonek zadzwonił po raz drugi. Kurt miał uczucie, że wtargnął na teren objęty zakazem wstępu. Odczekał jeszcze chwilę. Lecz kiedy dzwonek odezwał się po raz trzeci, poszedł otworzyć.

W drzwiach stał mężczyzna w szarym płaszczu. Zaskoczony spojrzął na Wallandera.

- Czyżbym pomylił mieszkania? Ja do pana Håléna.

Wallander usiłował przybrać odpowiednio formalny ton.

- Mogę spytać, kim pan jest? - odezwał się ostro.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- A pan? - zapytał.

- Jestem z policji. Asystent kryminalny Kurt Wallander - przedstawił się. - Może mi pan uprzejmie wyjaśnić, kim pan jest i czego pan tu szuka?

- Sprzedaję encyklopedię - wyjaśnił potulnie mężczyzna. - Zaszedłem tu w ubiegłym tygodniu i pokazałem ją Håłénowi. Prosił mnie, żebym wrócił dzisiaj. Wysłał już zamówienie i pierwszą wpłatę. Przyniosłem mu pierwszy tom encyklopedii i dodatkową książkę - podarunek dla każdego nowego klienta.

Wyjął z teczki dwie książki, jakby na dowód, że mówi prawdę.

Wallander słuchał z rosnącym zdumieniem. Powróciło uczucie, że coś jest nie w porządku. Odsunął się na bok i gestem dłoni zaprosił mężczyznę do środka.

- Czy coś się stało? - zapytał przybysz.

Wallander bez słowa wprowadził go do kuchni i wskazał mu krzesło przy stole.

Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu ma przekazać wiadomość o czyjejś śmierci. Zawsze się tego bał. Pocięszał się, że w końcu człowiek naprzeciwno nie jest krewnym zmarłego, lecz tylko sprzedawcą książek.

- Artur Håłén nie żyje - oznajmił.

Mężczyzna za stołem nie zrozumiał.

- Przecież rozmawiałem z nim przed południem.

- Myślałem, że mówił pan o zeszłym tygodniu.

- Dzwoniłem dziś rano, żeby zapytać, czy możemy się umówić na wieczór.

- I co powiedział?

- Zgodził się. Inaczej bym tu nie przyszedł. Nie jestem natrętny. Ludzie opowiadają czasem dziwne rzeczy o domokrażnych sprzedawcach książek.

Wallander nie wątpił, że mężczyzna mówi prawdę.

- Zacznijmy jeszcze raz od początku - powiedział.

- Co tu właściwie zaszło? - przerwał mężczyzna.

- Artur Håłén nie żyje - odparł Wallander. - Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Musiało się przecież coś stać, jeżeli sprawą zajęła się policja. Czy ktoś go przejechał?

- Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć - powtórzył Wallander. Sam nie wiedział, czemu wprowadza tak tajemniczy nastrój.

Poprosił mężczyznę, aby raz jeszcze opowiedział całą historię.

- Nazywam się Emil Holmberg - zaczął sprzedawca. - Właściwie jestem nauczycielem biologii w gimnazjum. Ale sprzedaję encyklopedię, żeby zebrać pieniądze na podróż na Borneo.

- Borneo?

- Interesuję się roślinnością tropikalną.

Wallander dał mu znak, żeby mówił dalej.

- W ubiegłym tygodniu krążyłem po okolicy i dzwoniłem do różnych drzwi. Artur Hålen zaprosił mnie do mieszkania. Usiedliśmy w kuchni. Opisałem mu encyklopedię, podałem cenę i pokazałem próbny egzemplarz. W ciągu niecałej półgodziny podpisał umowę. Dziś do niego zadzwoniłem i umówiliśmy się na wieczór.

- Jaki to był dzień tygodnia?

- Wtorek. Między czwartą a pół do szóstej.

Wallander pamiętał, że w tym czasie był na służbie.

Nie chciał się jednak przyznawać, że mieszka w tym samym domu. Tym bardziej że się przedstawił jako pracownik sekcji kryminalnej.

- Ze wszystkich mieszkańców tylko Hålen wykazał zainteresowanie encyklopedią. Kobieta z wyższego piętra gderała, że chodzę i niepokoję ludzi. To się rzadko zdarza. O ile pamiętam, to obok nikt nie otworzył.

- Mówił pan, że Hålen wpłacił pierwszą ratę?

Mężczyzna wyjął pokwitowanie z teczki z książkami i pokazał je Wallanderowi. Miało datę z ubiegłego piątku.

Wallander się zastanawiał.

- Jak długo Hålen miał spłacać encyklopedię?

- Dwa lata. Aż spłaci wszystkie dwadzieścia tomów.

Coś tu nie gra, pomyślał Wallander. Nic się nie zgadza.

Człowiek, który zamierza popełnić samobójstwo, nie podpisuje umowy na dwa lata.

- Jakie wrażenie zrobił na panu Håln? - zapytał.

- Nie bardzo rozumiem pytanie.

- Jak się zachowywał? Spokojnie? Był w dobrym nastroju? Czy może przygnębiony?

- Wiele nie mówił. Ale naprawdę zainteresował się encyklopedią. Jestem tego pewien.

Wallander nie miał w tej chwili więcej pytań. Na oknie w kuchni leżał długopis. Sięgnął do kieszeni po kawałek papieru. Wyciągnął listę zakupów. Poprosił Holmerga, żeby zapisał swój numer telefonu na odwrocie.

- Wątpię, żeby ktoś do pana dzwonił - rzekł. - Ale wolę na wszelki wypadek mieć numer.

- Håln sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego człowieka - powiedział Holmberg. - Co się właściwie wydarzyło? I co będzie z umową?

- Jeśli nie miał rodziny, która przejmie jego zobowiązanie, ma pan słabe widoki na pieniądze. Mogę pana zapewnić, że Artur Håln nie żyje.

- I nie może pan powiedzieć, co się stało?

- Niestety nie.

- To bardzo przykre.

Wallander wstał na znak, że rozmowa dobiegła końca. Holmberg wciąż stał z teczką w ręku.

- Może pan sierżant dałby się namówić na encyklopedię?

- Aspirant - sprostował Wallander. - A encyklopedii nie potrzebuję. W każdym razie nie w tej chwili.

Wyszedł z Holmbergiem na ulicę. Kiedy się upewnił, że tamten zniknął za rogiem na swoim rowerze, wrócił do mieszkania Hålna. Usiadł przy stole w kuchni i raz jeszcze przebiegł w myślach wszystko, czego dowiedział się od nauczyciela. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mu do głowy, było to, że Håln postanowił odebrać sobie życie nagle. Chyba że był złośliwy i chciał zrobić paskudny kawał Bogu ducha winnemu sprzedawcy książek.

Z daleka usłyszał sygnał telefonu. Za późno się zorientował,

że dzwoni jego własny aparat. Pobiegł do siebie. Telefonowała Mona.

- Myślałam, że po mnie przyjedziesz - powiedziała zagniewana.

Wallander spojrział na zegarek i zaklął cicho. Miał być na terminalu już kwadrans temu.

- Byłem zajęty dochodzeniem - usprawiedliwił się.

- Miałeś przecież wolny dzień.

- Niestety, okazało się, że jestem potrzebny.

- Nie ma już innych policjantów? Czy tak będzie zawsze?

- To była wyjątkowa sytuacja.

- Zrobiłeś zakupy?

- Nie zdążyłem.

W jej głosie słyszał rozczarowanie.

- Jadę po ciebie - powiedział. - Postaram się złapać taksówkę.

Zjemy w restauracji.

- Czy aby na pewno? Może znowu będziesz musiał jechać do pracy.

- Postaram się być jak najszybciej. Przyrzekam.

- Czekam na ławce przed terminalem. Ale tylko dwadzieścia minut, potem jadę do domu.

Wallander odłożył słuchawkę i zadzwonił po taksówkę. Numer był zajęty. Minęło dziesięć minut, zanim udało mu się złożyć zamówienie. Przez ten czas zamknął mieszkanie Hålena i zmienił koszulę.

Dotarł na terminal promowy po trzydziestu trzech minutach. Mony już nie było. Mieszkała na Södra Förstadsgatan. Wallander poszedł zadzwonić z automatu przy placu Gustawa Adolfa. Nikt nie odbierał. Po pięciu minutach spróbował jeszcze raz. Mona już dojechała do domu.

- Jak mówię dwadzieścia minut, to nie dłużej - oznajmiła.

- Nie było taksówek. A w tej przeklętej centrali wciąż zajęte.

- Zresztą i tak jestem zmęczona - powiedziała. - Spotkamy się innym razem.

Kurt próbował nalegać, ale Mona nie ustąpiła. Rozmowa zakończyła się kłótnią i Mona odłożyła słuchawkę. Wallander cisnął słuchawkę na widełki. Kilku patrolujących policjantów



obrzuciło go niechętnym spojrzeniem. Chyba go nie rozpoznali.

Wallander ruszył w kierunku budki z kielbaskami położonej przy rynku. Potem jadł na ławce i z roztargnieniem przyglądał się mewom, toczącym bój o kęs chleba.

Rzadko się z Moną kłócili, ale po każdej sprzeczce odczuwał niepokój. W głębi duszy wiedział, że następnego dnia wszystko znów będzie w porządku. Ale uczucie brało górę nad rozsądkiem. Niepokój nie mijał.

Wrócił do domu, usiadł przy stole w kuchni i starał się uporządkować wydarzenia, które zaszły w mieszkaniu sąsiada. Nie mógł ruszyć z miejsca. Zresztą czuł się niezbyt pewnie. Nie bardzo wiedział, jak dokonać oględzin i analizy miejsca przestępstwa. Uprzytomnił sobie, że mimo lat spędzonych w Wyższej Szkole Policji brak mu podstawowej wiedzy. Po upływie pół godziny cisnął ze złością długopis na stół. Wszystko sobie wmówił. Hålen się zastrzelił. Kupon zakładów i sprzedawca książek nic tu nie zmieniają. Powinien raczej żałować, że nie nawiązał bliższego kontaktu z sąsiadem. Może on nie był w stanie dłużej znieść samotności?

Wallander nerwowo krążył po mieszkaniu. Mona jest smutna. I to z jego winy.

Ulicą przejeżdżał samochód. Z otwartego okna auta dochodziła melodia *The House of the Rising Sun*, niezwykle popularna kilka lat temu. Jak się nazywał ten zespół? Kinks? Nie pamiętał. Przyszło mu do głowy, że o tej porze zwykle słyszał przez ścianę stłumiony dźwięk telewizora. Teraz w mieszkaniu Hålena panowała cisza.

Wallander usiadł na kanapie i wyciągnął nogi na stole. Myślał o ojcu. Zimowy płaszcz, spiczasta czapka, gołe stopy. Gdyby nie późna pora, mógłby zagrać z nim w karty. Ale czuł się znużony, mimo że jeszcze nie było jedenastej. Włączył telewizor. Jak zwykle trafił na jakąś debatę. Trwało chwilę, zanim się zorientował, że uczestnicy dyskutują o zaletach i wadach nadchodzącej rzeczywistości. O świecie komputerów. Wyłączył telewizję i siedział jeszcze przez chwilę na kanapie, po czym ziewając, rozebrał się i poszedł do łóżka. Wkrótce zasnął.

Obudził się nagle po kilku godzinach. Zupełnie przytomny nasłuchiwał w mroku letniej nocy. Był pewien, że coś go wyrwało ze snu. Być może ulicą przejeżdżał samochód z uszkodzoną rurą wydechową? W uchylonym oknie leniwie falowała firanka. Zamknął oczy.

Po chwili słyszał już wyraźnie. Przez ścianę, tuż przy głowie.

Ktoś chodził po mieszkaniu Håléna. Wstrzymał oddech i nadstawił uszu. Coś zadźwięczało, jakby przestawiano jakiś przedmiot. Zaraz potem szuranie. Odgłos przesuwanego mebla. Wallander spojrzał na zegar na nocnym stoliku. Za kwadrans trzecia. Przyłożył ucho do ściany. Już myślał, że mu się zdawało, kiedy znów posłyszał dźwięk. Ktoś z pewnością się tam kręcił.

Usiadł na łóżku, zastanawiając się, jak postąpić. Zadzwoić po kolegów z pracy? Jeżeli Håléń nie miał rodziny, to kto i w jakim celu zjawił się w jego mieszkaniu? Nie znał jednak sytuacji rodzinnej Håléna. Mógł przecież dać klucze komuś, o kim policja nic nie wiedziała.

Wallander wstał z łóżka, wciągnął spodnie i koszulę. Wyszedł boso na klatkę schodową. Drzwi do mieszkania Håléna były zamknięte. Trzymał w ręku klucze i nie mógł się zdecydować. Najrozsądniej byłoby zadzwonić do drzwi. Hemberg, dając mu klucze od mieszkania, w pewnym sensie uczynił go za nie odpowiedzialnym. Nacisnął dzwonek i czekał. W mieszkaniu panowała całkowita cisza. Zadzwoił jeszcze raz. Żadnej reakcji. W tej samej chwili uświadomił sobie, że z mieszkania można bez trudu wydostać się przez okno. Dzieliło je od ziemi niespełna dwa metry. Zaklął i wybiegł na ulicę. Mieszkanie sąsiada znajdowało się w narożniku kamienicy. Wallander wybiegł za róg na pustą ulicę. Okno w pokoju Håléna było otwarte na oścież.

Wallander wszedł do budynku i otworzył drzwi do mieszkania Håléna. Zanim znalazł się w środku, zawołał. Nikt nie odpowiadał. Zapalił światło w holu i ruszył do pokoju. Szuflady komody były otwarte. Wallander rozglądał się dokoła. Ktoś wyraźnie czegoś szukał. Wallander sprawdził w oknie, czy widać ślady włamania. Nic nie zauważył. Dwie rzeczy były

jasne. Osoba, która weszła do mieszkania Håléna, miała przy sobie klucze. I nie chciała zostać przyłapaną.

Wallander zapalił światło, usiłując się zorientować, czy w mieszkaniu czegoś brakuje. Nie do końca ufał swojej pamięci. To, co znaleźli poprzednim razem, było na miejscu. Chrzaszcz z Brazylii, dwie książeczki żeglarskie i stare zdjęcie. Zdjęcie leżało na podłodze bez koperty. Wallander kucnął i spojrzął na kopertę. Ktoś wyjął z niej zdjęcie. Może tam czegoś szukał, pomyślał.

Wstał i rozglądał się dalej. Z łóżka zdarto pościel, szafa była otwarta. Jeden z dwóch garniturów Håléna wylądował na podłodze.

Ktoś tu czegoś szukał. Ciekawe czego? I ciekawe, czy znalazł, zanim zadzwoniłem do drzwi?

Przeszedł do kuchni. Szafki kuchenne były pootwierane. Na podłodze leżał garnek. Może obudził go, jak spadał? Właściwie, pomyślał, sprawa jest jasna. Gdyby ktoś znalazł to, czego szukał, opuściłby mieszkanie. I na pewno nie przez okno. Czyli to, czego szukał, wciąż się tu znajduje. O ile tu w ogóle było.

Wallander wrócił do pokoju i przyglądał się zaschniętej plamie krwi na podłodze.

Co tu się wydarzyło?, pytał sam siebie. Czy rzeczywiście mamy do czynienia z samobójstwem?

Nadal przeszukiwał mieszkanie. Przerwał dziesięć po czwartej, wrócił do siebie i położył się do łóżka.

Zanim zasnął, nastawił budzik na siódmą. Z samego rana musi porozmawiać z Hembergim.

Następnego dnia Wallander biegł na przystanek autobusowy w potokach deszczu zalewających Malmö. W nocy spał niespokojnie i obudził się na długo przed dzwonkiem budzika. Myśl o tym, że jego bystrość zaimponuje Hembergowi, poniosła go w krainę fantazji, gdzie chodził w glorii wybitnie utalentowanego śledczego. Pod wpływem tej myśli postanowił zdecydowanie rozmówić się z Moną. Nie może się spodziewać, że policjant zawsze będzie punktualny.

Była za cztery siódma, kiedy zjawił się w komendzie. Słyszał kiedyś, że Hemberg bardzo wcześnie przychodzi do pracy, i

rzeczywiście dowiedział się w recepcji, że Hemberg pracuje już od szóstej. Wallander udał się do sekcji, gdzie urzędowała policja kryminalna. Większość pokoi była jeszcze pusta. Poszedł prosto do biura Hemberga i zapukał do drzwi. Usłyszał głos inspektora i wszedł do środka. Hemberg siedział na krześle dla odwiedzających i obcinał paznokcie. Ujrawszy Wallandera, zmarszczył czoło.

- Czyżbyśmy byli umówieni? Nie przypominam sobie.

- Nie. Ale chciałbym coś zaraportować.

Hemberg odłożył nożyczki do pojemnika z ołówkami i usiadł za biurkiem.

- Jeśli potrzebujesz więcej niż pięć minut, możesz usiąść.

Wallander, na stojąco, zdał relację z tego, co zaszło. Zaczął od sprzedawcy książek, potem przeszedł do dalszych wydarzeń. Nie umiał powiedzieć, czy wzbudził zainteresowanie Hemberga, bo jego twarz była bez wyrazu.

- To tyle - zakończył Wallander. - Pomyślałem, że powinienem jak najszybciej złożyć raport.

Hemberg dał mu znak, żeby usiadł. Sięgnął po notes i długopis, by zapisać nazwisko i telefon domokrażcy. Wallander zwrócił uwagę na jego notes. Hemberg nie używał luźnych kartek ani gotowych blankietów.

- Ta nocna wizyta jest co najmniej dziwna - powiedział. - Ale właściwie nic nie zmienia. Hålen popełnił samobójstwo. Jestem o tym przekonany. Potwierdzi to obdukcja i badanie broni.

- Ciekawe, kto tam się kręcił po nocy.

Hemberg wzruszył ramionami.

- Sam podsunąłeś możliwą odpowiedź. Ktoś, kto miał klucze i szukał czegoś, na czym mu zależało. Plotki szybko się rozchodzą. Ludzie zauważyli radiowozy i karetkę pogotowia. Już po kilku godzinach wielu z nich wiedziało o śmierci Hålena.

- Jednak to dziwne, że ktoś wyskakuje przez okno.

Hemberg się uśmiechnął.

- Może wziął cię za włamywacza?

- Włamywacz, który dzwoni do drzwi?

- To znany sposób sprawdzania, czy ktoś jest w domu.

- O trzeciej nad ranem?

Hemberg rzucił długopis na biurko i odchylił się na krześle.

- Nie wyglądasz na przekonanego - powiedział, nie ukrywając irytacji.

Wallander zreflektował się nagle, że posunął się za daleko i zaczął się wycofywać.

- Ależ tak - zapewnił. - To z pewnością samobójstwo.

- W porządku - rzekł Hemberg. - Sprawa wyjaśniona. Dobrze, że przyszedłeś złożyć raport. Poślę paru ludzi do mieszkania Håléna, niech sprawdzą, jak tam wygląda. Zaczekamy jeszcze na opinii lekarza i techników. A potem umieścimy Håléna w segregatorze i zapomnimy o nim.

Hemberg wyciągnął rękę do telefonu, tym samym dając sygnał, że rozmowa dobiegła końca. Wallander wyszedł na korytarz. Czuł się jak ostatni idiota. Co właściwie sobie wyobrażał? Że wpadł na trop morderstwa? Poszedł do swojego pokoju z mocnym postanowieniem, że zrobi to, co poradził mu Hemberg. Zapomni o Hålénie. I jeszcze przez jakiś czas będzie przykładowie patrolował ulice.

Mona przyjechała do Rosengård tego samego wieczoru. Zjedli razem kolację i Wallander ani słowem nie napomknął o swoich wcześniejszych postanowieniach. Przeprosił ją natomiast za swoje spóźnienie. Mona przyjęła przeprosiny i została u niego na noc. Zanim zasnęli, długo roztrząsali różne warianty wspólnego dwutygodniowego urlopu w lipcu. Nie mieli jeszcze pomysłu, jak go spędzić. Mona pracowała w salonie fryzjerskim i niewiele zarabiała. Jej marzeniem był własny zakład. Pensja Wallandera również nie była wygórowana. Zarabiał 1896 koron miesięcznie. Nie mieli samochodu i musieli dokładnie wyliczyć, czy wystarczy im na wakacje.

Wallander zaproponował wyjazd na północ kraju, gdzie wędrowaliby po górach. Nigdy jeszcze nie był na północ od Sztokholmu. Natomiast Mona chciała jechać tam, gdzie można

się kąpać. Rozważali, czy stać ich na podróż na Majorkę. Ale okazała się zbyt kosztowna. Wobec tego Mona zasugerowała wyjazd do Skagen w Danii. W dzieciństwie kilkakrotnie jeździła tam z rodzicami i zawsze dobrze wspominała to miejsce. Sprawdziła nawet, że w Skagen jest sporo niedrogich pensjonatów, w których są jeszcze wolne pokoje. Zanim zasnęli, udało im się dojść do porozumienia. Stało na wyjeździe do Skagen. Mona miała nazajutrz zarezerwować pokój, a Wallander obiecał sprawdzić rozkład jazdy pociągów z Kopenhagi.

Następnego dnia, 5 czerwca wieczorem, Mona pojechała odwiedzić swoich rodziców, w Staffanstorp. Wallander spędził kilka godzin, grając z ojcem w pokera. Tym razem ojciec był w dobrym humorze i nie narzekał na syna z powodu wyboru zawodu. A kiedy na dodatek wygrał prawie pięćdziesiąt koron, z radości wyciągnął butelkę koniaku.

- Wybiorę się kiedyś do Włoch - oznajmił, kiedy stuknęli się kieliszkami. -1 chciałbym jeszcze zobaczyć piramidy w Egipcie.

- Dlaczego?

Ojciec długo mu się przyglądał.

- To wyjątkowo głupie pytanie - odparł. - Wiadomo, że trzeba zobaczyć Rzym, zanim się umrze. I piramidy też. Każdy to rozumie.

- Jak myślisz, ilu Szwedów może sobie pozwolić na wyjazd do Egiptu?

Ojciec udawał, że nie słyszy pytania.

- Zresztą ja nie umrę - dodał. - Za to wyprowadzę się do Löderup.

-Acoz domem?

- Już załatwione.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co znaczy „załatwione“?

- Dom kupiony i zapłacony. Wpis w księdze wieczystej: Svindala 12:24.

- Nawet go nie widziałem.

- Przecież to ja tam będę mieszkał, nie ty.

- Czy ty w ogóle tam pojechałeś?

- Widziałem wszystko na zdjęciu. To mi wystarczy. Nie odbywam niepotrzebnych podróży. Odrywają mnie od pracy.

Wallander jęknął w myślach. Był przekonany, że ojciec dał się oszukać. Tak samo jak dawał się oszukiwać podejrzanym typom w wielkich amerykańskich samochodach, gościom, którzy przez wszystkie lata kupowali od niego obrazy.

- A to dopiero nowina - odezwał się Wallander. - Można zapytać, kiedy zamierzasz się przeprowadzić?

- Meblowóz przyjeżdża w piątek.

- W tym tygodniu?

- No przecież słyszysz. Następnym razem będziemy grać w karty w skańskim błocie.

Wallander rozłożył ramiona.

- Kiedy chcesz się pakować? Masz tu potworny bałagan.

- Wiem, że brak ci czasu, więc poprosiłem o pomoc twoją siostrę.

- Czyli gdybym nie przyszedł dziś wieczorem, to następnym razem zastałbym puste mieszkanie?

- Zgadza się.

Wallander wyciągnął rękę z kieliszkiem po dolewkę. Ojciec napenił mu go tylko do połowy.

- Nie wiem nawet, gdzie leży Löderup. Czy to bliżej nas, czy Ystad?

- Bliżej Simrishamn.

- Nie możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

- Już odpowiedziałem

Ojciec wstał i odstawił butelkę z koniakiem. Wskazał na karty.

- Zagramy jeszcze partyjkę?

- Nie mam już pieniędzy. Postaram się wpadać wieczorami, żeby pomóc ci przy pakowaniu. Ile zapłaciłeś za dom?

- Już nie pamiętam.

- Jak możesz nie pamiętać? Masz tyle pieniędzy?

- Nie. Ale pieniądze mnie nie interesują.

Wallander zrozumiał, że niczego się więcej nie dowie. Dochodziło wpół do jedenastej. Powinien wrócić do domu i położyć się spać. Jakoś trudno mu było rozstać się z miejscem,

w którym dorastał. Kiedy się urodził, rodzice mieszkali w Klagshamn. Ale stamtąd nie miał żadnych wspomnień.

- Kto tu się teraz wprowadzi? - zapytał.

- Słyszałem, że dom jest do rozbiórki.

- Niewiele cię to obchodzi, prawda? Jak długo tu właściwie mieszkałeś?

- Dziewiętnaście lat. O wiele za długo.

- Najwyraźniej nie jesteś sentymentalny. Zdajesz sobie sprawę, że spędziłem tu dzieciństwo?

- Dom jak dom - odparł ojciec. - Mam już dość miasta. Chcę mieszkać na wsi. Tam będę mógł malować w spokoju i planować podróże do Egiptu i do Włoch.

Wallander przeszedł pieszo całą drogę z powrotem. Było pochmurno. Odczuwał niepokój na myśl, że ojciec ma się przeprowadzić, a dom, w którym dorastał, zostanie rozebrany.

Jestem sentymentalny, pomyślał. Może dlatego lubię operę? Ciekawe, czy można być dobrym policjantem, gdy jest się sentymentalnym?

Następnego dnia sprawdził godziny kursowania pociągów w związku z zaplanowanym urlopem. Pensjonat, w którym Mona zarezerwowała pokój, wyglądał sympatycznie. Resztę dnia spędził, patrolując centrum Malmö. Wydawało mu się, że wszędzie widzi dziewczynę, która kilka dni temu zwymyślała go w kawiarni. Marzył o dniu, kiedy wreszcie zdejmie mundur. Gdziekolwiek się obrócił, napotykał niechętne lub lekceważące spojrzenia, przeważnie osób w jego wieku. Jego towarzyszem był gruby i ograniczony policjant nazwiskiem Svanlund, który nie przestawał mówić o tym, że w przyszłym roku, po przejściu na emeryturę, przeniesie się do rodzinnego gospodarstwa pod Hudiksvall. Wallander słuchał nieuważnie i od czasu do czasu mamrotał coś w odpowiedzi. Poza tym, że przegonili kilku pijaczków z placu zabaw dla dzieci, nie mieli nic do roboty. Wallandera zaczęły boleć stopy. Zdarzyło się to po raz pierwszy, mimo że w swojej policyjnej karierze spędził już niejedną noc na patrolowaniu ulic. Zastanawiał się, czy to nie



dlatego że tak bardzo pragnie się przenieść do wydziału kryminalnego. Po powrocie do domu napełnił miskę ciepłą wodą i z uczuciem błogości zanurzył w niej stopy.

Przymknął oczy i zaczął rozmyślać o czekającym go urlopie. Nareszcie będą mogli z Moną spokojnie porozmawiać o przyszłości. Miał nadzieję, że wkrótce odwiesi do szafy mundur i znajdzie się na tym samym piętrze, gdzie urzęduje Hemberg.

Przysnął na krześle. Okno w kuchni było uchylone. Ktoś chyba palił śmieci na dworze. Czuł słaby zapach dymu, być może płonących gałęzi. Słyszał lekki trzask.

Drgnął i otworzył oczy. Kto paliłby śmieci na podwórku? W okolicy nie było przecież żadnych willi.

Po chwili spostrzegł dym.

Przedostawał się z holu. Wallander wybiegł do drzwi wejściowych, przewracając po drodze miskę z wodą. Klatka schodowa była wypełniona dymem. Mimo to Wallander od razu się domyślił, gdzie się pali.

Pożar wybuchł w mieszkaniu Håléna.

## 2

Wallander wspominał później, że miał wtedy rzadką okazję postąpić dokładnie według regulaminu. Zawrócił do mieszkania i zawiadomił straż pożarną. Potem wybiegł na klatkę schodową i pokonawszy pędem schody prowadzące do drzwi Linnei Almqvist, wyprowadził ją na ulicę. Z początku protestowała, ale Wallander trzymał ją mocno za ramię. Kiedy wyszli przed dom, zauważył głęboką ranę na swoim kolanie. Potknął się o miskę i uderzył o kant stołu, kiedy wpadł do mieszkania zadzwonić po straż pożarną. Dopiero teraz spostrzegł, że rana krwawi.

Straż szybko ugasiła pożar. Dzięki temu, że Wallander wszczął alarm, gdy tylko poczuł zapach dymu, ogień nie zdążył się rozprzestrzenić. Kiedy zapytał później kierującego akcją strażaka o przyczynę pożaru, tamten nie chciał z nim rozmawiać. Zirytowany Wallander przyniósł z mieszkania

policyjną odznakę. Szef strażaków, Faråker, był mężczyzną około sześćdziesiątki o czerwonej twarzy i potężnym głose.

- Trzeba było powiedzieć, że jesteś policjantem.

- Mieszkam tutaj i sam zadzwoniłem po straż.

Wallander opowiedział o śmierci Hålena.

- Stanowczo zbyt wiele ludzi umiera - stwierdził zdecydowanie Faråker.

Wallander nie bardzo wiedział, jak zareagować na ten zdumiewający komentarz.

- Chcę powiedzieć, że mieszkanie było puste - wyjaśnił.

- Wygląda na to, że zaczęło się palić w holu - rzekł Faråker. - Diabli wiedzą, czy ktoś nie podłożył ognia.

Wallander spojrzał na niego zdziwiony.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Człowiek się z czasem uczy tego i owego - mówił Faråker i wydawał instrukcje strażakom. - Sam się przekonasz - ciągnął, nabijając fajkę.

- W przypadku podpalenia trzeba chyba zawiadomić kryminalnych? - spytał Wallander.

- Są już w drodze.

Wallander przyszedł z pomocą kolegom, którzy odpędzali ciekawskich.

- To już drugi pożar dzisiaj - powiedział policjant nazwiskiem Wennström. - Rano palił się skład drewna koło Limhamn.

Wallanderowi przemknęło przez głowę, że może to ojciec postanowił podpalić dom, skoro i tak się wyprowadza. Odgonił od siebie tę myśl.

Podjechał samochód. Ku swojemu zdziwieniu Wallander ujrzał wysiadającego Hemberga, który skinął na niego.

- Usłyszałem komunikat - wyjaśnił. - Właściwie miał jechać Lundin. Ale przyjechałem ja, bo skojarzyłem ten adres.

- Szef strażaków podejrzewa podpalenie.

Hemberg się skrzywił.

- Ludzie wymyślają niestworzone rzeczy - zauważył. - Znam Faråkera blisko piętnaście lat. Dla niego nie ma znaczenia, czy pali się w kominie, czy w silniku samochodu. Wszystkie pożary uważa za podpalenia. Chodź ze mną, może się czegoś

nauczysz.

Wallander poszedł za nim.

- Co o tym powiesz? - zapytał Hemberg Faråker.

- To podpalenie.

Faråker był pewny swego. Między tymi dwoma mężczyznami czuło się głęboką niechęć.

- Człowiek, który tu mieszkał, nie żyje. Kto miałby podłożyć ogień?

- Ty się zajmujesz wyjaśnianiem. Ja tylko stwierdzam, że to podpalenie.

- Możemy wejść do środka?

Faråker zwrócił się z pytaniem do jednego ze strażaków. Pożar był opanowany, mieszkanie się wietrzyło. Weszli do środka. Hol w pobliżu drzwi wejściowych był okopcony, ale ogień nie przedostał się przez zasłonę oddzielającą hol od pokoju. Faråker wskazał na otwór na listy w drzwiach.

- Tu się zaczęło - powiedział. - Najpierw się tliło, a potem zaczęło się palić. Nie ma tu przewodów elektrycznych ani nic samozapalnego.

Hemberg przykucnął przy drzwiach. Pociągnął nosem.

- Kto wie, czy przynajmniej raz nie masz racji - rzucił, wstając na nogi. - Czuć tu jakiś zapach. Może nafty.

- Gdyby to była benzyna, pożar wyglądałby inaczej.

- Ktoś coś wetknął przez otwór na listy?

- Na to wygląda.

Faråker trącił nogą resztki zetlałego chodnika.

- Chyba nie papier - powiedział. - Raczej kawałek materiału albo szmaty.

Hemberg pokręcił bezradnie głową.

- Niech mnie diabli wezmą, jeżeli coś z tego rozumiem. Podkładać ogień w mieszkaniu osoby, która nie żyje?

- To twój problem - stwierdził jeszcze raz Faråker.

- Trzeba wezwać techników, niech na to popatrzą.

Na twarzy Hemberga malowało się zatroskanie.

Spojrzał na Wallandera.

- Zaprosisz mnie na kawę?

Weszli do mieszkania Wallandera. Hemberg spojrział na

przewróconą miskę i kałużę wody na podłodze.

- Próbowalesz gasić ogień?

- Nie, moczyłem nogi.

Hemberg przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Nogi?

- Czasami mnie bołą stopy.

- To znaczy, że masz nieodpowiednie buty - stwierdził Hemberg. - Patrolowałem ulice przeszło dziesięć lat i nigdy nie bolały mnie stopy.

Hemberg usiadł przy kuchennym stole, podczas gdy Wallander parzył kawę.

- Słyszałeś coś? - zagadnął Hemberg. - Może jak ktoś wchodził albo szedł po schodach?

-Nie.

Wallander wstydził się przyznać, że tym razem również spał.

- Słyszałbyś, gdyby tam ktoś chodził?

- Na ogół słychać drzwi wejściowe - odparł wymijająco Wallander. - Powinienem słyszeć, jak ktoś wchodzi do budynku. Chyba że przytrzymuje drzwi ręką.

Wallander podał suche ciasteczka. Nie miał nic innego do kawy.

- Dzieją się tu dziwne rzeczy - rzekł Hemberg. - Najpierw Håln odbiera sobie życie. Potem ktoś wchodzi w nocy do jego mieszkania. A teraz ten pożar.

- Może to nie było samobójstwo?

- Rozmawiałem dzisiaj z lekarzem sądowym - poinformował Hemberg. - Wszystko wskazuje na samobójstwo doskonałe. Håln miał pewną rękę i prawidłowo celował. Prosto w serce. To zupełnie pewne. Lekarz jeszcze nie zakończył obdukcji, lecz nie będziemy się doszukiwać innej przyczyny śmierci, bo innej nie ma. Należy się raczej zastanowić, czego szukano w mieszkaniu. I dlaczego postanowiono je spalić. To prawdopodobnie dzieło tej samej osoby.

Gestem dał znak Wallanderowi, żeby mu dolał kawy.

-Co o tym sądzisz? - zwrócił się nagle do Kurta. - Pokaż mi, czy potrafisz myśleć.

Wallander zupełnie się nie spodziewał, że Hemberg zapyta

go o zdanie.

- Człowiek, który przyszedł w nocy, musiał czegoś szukać - zaczął. - Prawdopodobnie niczego nie znalazł.

- Dlatego że mu przeszkodziłeś? Dlatego że gdyby to znalazł, już by go tam nie było?

- No właśnie.

- Czego mógł szukać?

- Nie wiem.

- Dziś wieczorem ktoś próbował podpalić mieszkanie. Powiedzmy, że w grę wchodzi ta sama osoba. Co to oznacza?

Wallander się zastanawiał.

- Nie spiesz się - poradził Hemberg. - Dobry śledczy musi umieć myśleć systematycznie, co często znaczy powoli.

- Może nie chciał, żeby ktoś inny znalazł to, czego on szukał?

- Może - rzekł Hemberg. - Dlaczego „może”?

- Pewnie jest jakieś inne wytłumaczenie.

- Na przykład?

Wallander gorączkowo szukał jakiejś odpowiedzi, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- Nie wiem - przyznał. - Nie mam innego pomysłu. W każdym razie nie w tej chwili.

Hemberg sięgnął po ciastko.

- Ja też nie - powiedział. - Co może oznaczać, że klucz do sprawy ciągle tkwi w mieszkaniu, tylko nam nie udało się go odnaleźć. Gdyby skończyło się na nocnych odwiedzinach, postępowanie zostałoby zamknięte po zbadaniu broni i wydaniu opinii przez biegłego lekarza. Ale teraz, w związku z pożarem, musimy znów zająć się mieszkaniem.

- Czy Hålen na pewno nie miał żadnych krewnych? - zapytał Wallander.

Hemberg odsunął filiżankę i wstał.

- Przyjdź do mnie rano, pokażę ci raport.

Wallander się zawahał.

- Nie wiem, czy będę miał czas. W planie jest operacja w miejskich parkach. Narkotyki.

- Porozmawiam z twoim szefem - przyrzekł Hemberg. - Załatwimy to.

Nazajutrz, 7 czerwca, Wallander od samego rana czytał zgromadzone przez Hemberga materiały dotyczące Håléna. Niewiele się z nich dowiedział. Hålén nie posiadał żadnego majątku, ale nie miał też długów. Utrzymywał się z emerytury. Jego jedyna siostra zmarła w 1967 roku w Katrineholmie. Rodzice już wtedy nie żyli.

Wallander czytał raport w pokoju Hemberga, podczas gdy komisarz był na zebraniu. Wrócił tuż po wpół do dziewiątej.

- Znalazłeś coś? - zapytał.

- Jak człowiek może być aż tak samotny?

- Można się nad tym zastanawiać, ale to nam nic nie da. Jedźmy teraz do mieszkania.

Tego przedpołudnia technicy dokładnie przeczesywali mieszkanie Håléna. Oględzinami kierował niski, chudy mężczyzna. Prawie się nie odzywał. Nazywał się Sjunnesson i dla pozostałych techników kryminalnych był chodzącą legendą.

- Jeśli tam cokolwiek jest, on to na pewno znajdzie - zapewnił Hemberg. - Zostań tu i ucz się.

Nagle dostał jakąś wiadomość i odszedł na bok.

- Jakiś facet powiesił się w garażu w Jägersro - poinformował. Po chwili znowu zniknął i wrócił świeżo ostrzyżony.

O trzeciej Sjunnesson przerwał oględziny.

- Nic tu nie ma - oświadczył. - Ani ukrytych pieniędzy, ani narkotyków. Mieszkanie jest czyste.

- W takim razie ktoś myślał, że tu coś znajdzie - rzekł Hemberg. - I się pomylił. Mamy sprawę z głowy.

Wallander wyszedł z nim na ulicę.

- Trzeba wiedzieć, kiedy zakończyć - objaśnił Hemberg. - To chyba najważniejsze ze wszystkiego.

Wallander wrócił do domu i zadzwonił do Mony. Umówili się na wieczorną przejażdżkę autem. Mona pożyczyła samochód od przyjaciółki. O siódmej miała przyjechać po niego do Rosengård.

- Pojedziemy do Helsingborga - zaproponowała.
- Dlaczego?
- Bo nigdy tam nie byłam.
- Ja też nie - odparł Wallander. - Będę gotowy o siódmej.

Ale Wallander nie wyjechał tego wieczoru do Helsingborga. Tuż przed szóstą zadzwonił telefon. Usłyszał głos Hemberga.

- Przyjedź tu - polecił Hemberg. - Jestem u siebie w biurze.
- Właściwie mam inne plany - zaproponował Wallander.

Hemberg mu przerwał.

- Myślałem, że chcesz wiedzieć, co się przytrafiło twojemu sąsiadowi. Przyjedź, to ci coś pokażę. To nie potrwa długo.

Wallandera ogarnęła ciekawość. Zadzwonił do Mony, ale nie zastał jej w domu.

Zdążyć wrócić, pomyślał. Właściwie nie stać mnie na taksówkę, ale mówi się trudno. Oderwał kawałek papierowej torby i napisał na nim, że wraca o siódmej. Potem zamówił taksówkę. Tym razem centrala zgłosiła się od razu. Przed wyjściem przyczepił skrawek papieru pinezką do drzwi wejściowych.

Hemberg siedział w pokoju z nogami wyciągniętymi na stole. Dał znak Wallanderowi, żeby usiadł.

- Myliliśmy się - oświadczył. - Istniała wersja, która nie przysłała nam do głowy. Sjunnesson miał rację. W mieszkaniu Håléna nic nie było. To prawda. Ale coś tam było wcześniej.

Wallander nie rozumiał.

- Przyznaję, że ja również dałem się zmylić - rzekł Hemberg.
- Hålen zabrał to ze sobą.
- Przecież on już nie żył?

Hemberg skinął głową.

- Dzwonił lekarz sądowy - wyjaśnił. - Zakończył obdukcję. I w żołądku Håléna znalazł coś niezwykle interesującego.

Hemberg zdjął nogi ze stołu. Sięgnął do szuflady, wyjął stamtąd złożony kawałek materiału, delikatnie go odwinął i pokazał Wallanderowi.

W środku leżały kamienie. Szlachetne kamienie.

- Na chwilę przed twoim przyjściem był u mnie jubiler - rzekł Hemberg. - Zrobił pobieżne badanie. To diamenty. Prawdopodobnie z południowoamerykańskich kopalni. Niezły majątek. Hålen je połknął.

- Miał je w żołądku?

Hemberg przytaknął.

- Nic dziwnego, że ich nie znaleźliśmy.

- Ale dlaczego je połknął? I kiedy?

- Ostatnie pytanie jest chyba najważniejsze. Lekarz twierdzi, że połknął je zaledwie na kilka godzin przed śmiercią. Zanim jelita i żołądek przestały funkcjonować. Jak sądzisz, na co to wskazuje?

- Że się czegoś bał.

- No właśnie.

Hemberg odsunął zawiniątko z diamentami i znów położył nogi na stole. Wallander poczuł zapach potu.

- Zrób teraz podsumowanie.

- Nie wiem, czy będę umiał.

- Spróbuj.

- Hålen połknął diamenty ze strachu, że ktoś je ukradnie. I potem się zastrzelił. Człowiek, który przyszedł w nocy, szukał kamieni. Ale pożaru nie potrafię wyjaśnić.

- Nie dałoby się spojrzeć na to z innej strony? - zaproponował Hemberg. - Jak trochę zmienisz motyw Hålena. Co wtedy?

Wallander nagle zrozumiał, co Hemberg ma na myśli.

- Może on się wcale nie bał - rzekł. - Może tylko postanowił się nie rozstawać ze swoimi diamentami.

Hemberg skinął głową.

- Nasuwa mi się jeszcze jeden wniosek. Ktoś musiał wiedzieć, że Hålen ma diamenty.

- A Hålen wiedział, że ten ktoś wie.

Hemberg kiwnął z zadowoleniem głową.

- Robisz postępy - pochwalił. - Chociaż bardzo wolno.

- To jednak nie tłumaczy pożaru - zauważył Wallander.

- Trzeba sobie zawsze zadawać pytanie, co jest najważniejsze - pouczył go Hemberg. - Gdzie znajduje się centrum. Sedno



sprawy. Podpalenie może być manewrem mylącym. Albo czynem furiata.

- Ale kogo?

Hemberg wzruszył ramionami.

- Tego się raczej nie dowiemy. Hålen nie żyje. Nie wiadomo, w jaki sposób zdobył diamenty. Oskarżyciel mnie wyśmiej, jeśli się zjawię u niego z takim materiałem.

- Co się stanie z diamentami?

- Wylądują w publicznym funduszu spadkowym. A raport w sprawie śmierci Hålena na samym dniu piwnicy.

- Więc nie będziemy badać przyczyny pożaru?

- Podejrzewam, że niezbyt dokładnie - odparł Hemberg. - Nie ma ku temu specjalnego powodu.

Hemberg wstał i podszedł do szafy przy ścianie. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Skinął na Wallandera, żeby do niego podszedł. Pokazał mu kilka segregatorów przewiązanych taśmą.

- To moi stali towarzysze - oświadczył. - Trzy niewyjaśnione zabójstwa, wciąż jeszcze nieprzedawnione. Ja się tym nie zajmuję. Ale raz w roku powracamy do zapisów śledztwa. Albo wtedy, gdy pojawiają się nowe fakty. Trzymam tu kopie oryginalnych dokumentów. Czasami je przeglądam. Czasami mi się śnią. Większość policjantów się tym nie przejmuje. Odfajkowują swoje, a po powrocie do domu o wszystkim zapominają. Ale są również tacy, którzy nie potrafią zapomnieć o niewyjaśnionej sprawie. Ja do nich należę. Zabieram ze sobą te teczki, nawet jak jadę na urlop. Trzy zabójstwa. Ann-Louise Franzén, dziewiętnastoletnia dziewczyna, rok 1963. Zwłoki odnaleziono w krzakach przy północnym wyjeździe z miasta. Udużona. Leonard Johansson, ten sam rok. Miał zaledwie 17 lat. Znaleźliśmy go na plaży w południowej części miasta, z głową zmiażdżoną kamieniem.

- Pamiętam go - powiedział Wallander. - Zdaje się, że poszło o dziewczynę i skończyło się zabójstwem.

- Poszło o dziewczynę - potwierdził Hemberg. - Przez wiele lat przesłuchiwaliśmy rywala. Nic to nie dało. Zresztą nie sądzę, żeby on był zabójcą.

Hemberg wskazał na leżący na spodzie skoroszyt.

- Kolejna dziewczyna. Lena Moscho, 20 lat. Kwiecień 1959 roku. Rok, w którym przyjechałem do Malmö. Zgwałcona i z obciętymi rękami została zakopana przy drodze do Svedali. Wywęszył ją jakiś pies. Mieszkała z rodzicami w Jägersro. Porządna dziewczyna, studentka medycyny. Wyszła po gazetę i nie wróciła. Znaleźliśmy ją dopiero po pięciu miesiącach.

Hemberg pokiwał głową.

- Ciekawe, do jakiej kategorii ty będziesz należał - powiedział, zamykając szafę. - Czy do tych, którzy zapominają, czy do tych drugich.

- Nie wiem, czy w ogóle się nadaję - wyznał Wallander.

- W każdym razie bardzo ci zależy - stwierdził inspektor. - Ato dobry początek.

Hemberg zaczął zakładać marynarkę. Wallander zerknął na jego zegarek. Była za pięć siódma.

- Muszę już lecieć - powiedział.

- Mogę cię podrzucić do domu - zaproponował Hemberg.

- Trochę się spieszę.

Hemberg wzruszył ramionami.

- W każdym razie już wiesz, co Hålen miał w żołądku - zakończył.

Wallanderowi dopisywało szczęście. Udało mu się złapać wolną taksówkę przed komendą policji. Dotarł do Rosengård dziesięć po siódmej. Miał nadzieję, że Mona się trochę spóźni. Zrozumiał, że się omylił, gdy zobaczył kartkę na drzwiach.

„Czy tak ma wyglądać nasze wspólne życie?”, napisała.

Wallander odczepił kartkę. Pinezka potoczyła się na schody. Nie będzie jej szukał. Najwyżej wbije się w but Linnei Almqvist.

„Czy tak ma wyglądać nasze wspólne życie?”. Wallander doskonale rozumiał rozżalenie Mony. Mona nie miała tak jak on ambicji zawodowych. Wiedziała, że minie dużo czasu, zanim spełni się jej marzenie o własnym salonie fryzjerskim.

Kiedy wszedł do mieszkania i usiadł na kanapie, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Powinien poświęcać Monie więcej czasu, zamiast liczyć na jej wyrozumiałość za każdym razem, gdy się

spóźni. Nie było sensu do niej dzwonić. W tej chwili jechała do Helsingborga pożyczonym samochodem.

Nagle ogarnął go niepokój. Czy na pewno przemyślał, co oznacza wspólne życie z Moną? Rodzina i dzieci?

Starał się odpędzić od siebie te myśli. W Skagen będziemy mieli czas na rozmowy, pomyślał. Na plażę nie można się spóźnić.

Spojrzał na zegarek. Wpół do ósmej. Włączył telewizor. Jak zwykle gdzieś się rozbił samolot. A może wykoleił się pociąg? Wyszedł do kuchni, słuchając wiadomości jednym uchem. Na próżno szukał piwa w lodówce. Stała tam tylko napoczęta butelka oranżady. Czuł wielką ochotę na coś mocniejszego. Najlepiej w jakimś barze. Lecz mimo że był dopiero początek miesiąca, miał za mało pieniędzy.

Podgrzał resztkę kawy w czajniku i wrócił myślami do Hemberga i jego niewyjaśnionych akt w szafie. Czy on też taki będzie? A może jednak nauczy się nie myśleć o pracy po powrocie do domu? Bo inaczej Mona dostałaby szału.

Uwierały go klucze w tylnej kieszeni. Wziął je do ręki i położył na stole. W tym samym momencie coś mu się przypomniało. Miało to związek z Hålnem.

Dodatkowy zamek. Ten, który Håln niedawno zainstalował. Jak to wytłumaczyć? Czyżby się czegoś obawiał? I dlaczego drzwi od mieszkania były niedomknięte, kiedy Wallander go znalazł?

Zbyt dużo rzeczy się nie zgadza. Mimo twierdzenia Hemberga, że mają do czynienia z samobójstwem, Wallandera dręczyły wątpliwości.

Rosło w nim przekonanie, że za sprawą Hålna kryje się coś, o czym nie mają najmniejszego pojęcia, bez względu na to, czy w grę wchodzi samobójstwo, czy nie.

Wallander wyjął z szuflady notes i zanotował wszystkie wątki, które budziły jego zastrzeżenia. Dodatkowy zamek. Kupon zakładów. Uchylone drzwi.

Nocna wizyta w poszukiwaniu szlachetnych kamieni. Pożar.

Następnie usiłował sobie przypomnieć treść zapisków w książeczkach żeglarskich. Zapamiętał Rio de Janeiro. Ale czy

chodziło o miasto, czy o nazwę statku? Göteborg i Bergen też były zapisane w książeczkach, tak samo jak Saint Luis. Gdzie to leży? Wstał i poszedł do pokoju. Głęboko w szafie odszukał stary atlas ze szkolnych czasów. Nie był pewien, jak się pisze Saint Luis. Luis czy Louis? Gdzie leży, w Stanach czy w Brazylii? Wertował spis nazw w atlasie i nagle natrafił na Sao Luis. To było to.

Raz jeszcze przyjrzał się swoim zapiskom. Czy istnieje coś, czego nie dostrzegam?, pomyślał. Jakaś zależność, jakiś trop, albo jak to nazywa Hemberg, centrum.

Niczego nie dostrzegał.

Kawa wystygła. Zniecierpliwiony wrócił na kanapę. W telewizji toczyła się kolejna debata. Tym razem w studiu zasiedli długowłosi goście i dyskutowali o angielskim popie. Wyłączył telewizor i nastawił adapter. Linnea Almqvist zaczęła natychmiast walić w podłogę. Miał ochotę nastawić głoś na pełny regulator. Ale zamiast tego wyłączył muzykę.

W tym momencie zadzwieczał telefon. Dzwoniła Mona.

- Jestem w Helsingborgu - oznajmiła. - W budce na przystani promowej.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Wallander.

- Domyślam się, że to z powodów służbowych?

- Zadzwonili do mnie z kryminalnego. Mimo że jeszcze u nich nie pracuję.

Myślał, że jej zaimponuje, ale odniósł wrażenie, że mu nie wierzy. W słuchawce zapadła cisza.

- Nie możesz tu przyjechać? - zapytał.

- Najlepiej będzie, jak zrobimy przerwę - odparła Mona. - Przynajmniej na tydzień.

Wallander na moment zeszywniał. Czyżby Mona zamierzała go rzucić?

- Tak będzie najlepiej - powtórzyła.

- Myślałem, że jedziemy razem na wakacje?

- Owszem. Jeżeli nie zmieniłeś zdania.

- Oczywiście, że nie zmieniłem.

- Nie musisz podnosić głosu. Możesz do mnie zadzwonić za tydzień, nie wcześniej.

Usiłował ją zatrzymać przy telefonie. Ale odłożyła słuchawkę.

Resztę wieczoru Wallander spędził na kanapie, z uczuciem narastającej paniki. Najbardziej ze wszystkiego bał się, że zostanie porzucony. Z trudem się powstrzymał, aby po północy nie wykręcić numeru Mony. Położył się i zaraz potem wstał. Jasne, letnie niebo wydało mu się naraz zdradliwe. Usmażył kilka jajek, ale nie mógł nic przełknąć. Zasnął wreszcie około piątej i niemal natychmiast został wyrwany ze snu.

Przeszyła go nagle myśl.

Kupon zakładów.

Hålen musiał gdzieś oddawać swoje kupony. I to chyba co tydzień w tym samym miejscu. Ponieważ zazwyczaj trzymał się swojej dzielnicy, był to pewnie któryś z okolicznych punktów przyjmujących zakłady.

Wallander nie bardzo wiedział, co dałoby mu odnalezienie właściwego punktu. Prawdopodobnie nic.

Postanowił jednak zawierzyć swojej intuicji. Przynajmniej zagłuszy paniczne myśli krążące wokół Mony.

Zapał na kilka godzin w niespokojny sen.

Nazajutrz była niedziela. Wallander spędził ją całkowicie beczynnym.

W poniedziałek 9 czerwca zrobił coś, co wcześniej nie przyszłoby mu do głowy. Zadzwoił na komendę i powiedział, że jest chory na grypę żołądkową. Tydzień temu przechodziła ją Mona. Nawet nie odczuwał wyrzutów sumienia.

Kiedy wychodził z domu tuż po dziewiątej, było pochmurno i wietrznie. Powietrze się ochłodziło. Prawdziwe lato jeszcze nie nadeszło.

W okolicy znajdowały się dwa punkty przyjmujące zakłady. Wszedł do pierwszego z nich i zaraz pożałował, że nie ma przy sobie zdjęcia Hålena. Właściciel sklepu był Węgrem. Mimo że mieszkał w Szwecji od 1956 roku, bardzo źle znał język. Poznał Wallandera, jako że ten często kupował u niego papierosy. Teraz też kupił dwie paczki.

- Przyjmuje pan zakłady bukmacherskie?
- Myślałem, że pan kupuje tylko losy na loterię.
- Czy oddawał u pana kupony Artur Hålen?
- Kto?
- Człowiek, który niedawno zginął w pożarze.
- W jakim pożarze?

Wallander wyjaśnił, o co chodzi, i opisał wygląd Hålena. Mężczyzna za ladą pokręcił przecząco głową.

- Tu nie przychodził. Musiał chodzić gdzie indziej.

Wallander zapłacił i podziękował. Zaczęło kropić. Przyspieszył kroku. Przez cały czas myślał o Monie. W następnym sklepie też nikt nie słyszał o Hålenie. Wallander przystanął pod wystającym balkonem i zastanawiał się, czym się teraz właściwie zajmuje. Hemberg uznałby mnie za wariata, pomyślał.

Ruszył przed siebie. Do następnego sklepu miał prawie kilometr. Żałował, że nie włożył kurtki przeciwdeszczowej. W punkcie sąsiadującym z niewielkim samem spożywczym stanął w kolejce. Ekspedientka, ładna młoda dziewczyna, była w jego wieku. Wallander nie spuszczał z niej wzroku, kiedy na życzenie klienta szukała starego numeru pisma dla motocyklistów. Widok ładnej kobiety zawsze wywierał na nim ogromne wrażenie. Teraz przytłumił na chwilę niespokojne myśli krążące wokół Mony. Mimo że wcześniej kupił dwie paczki papierosów, poprosił o jeszcze jedną. Zastanawiał się, jak ekspedientka zareaguje, kiedy się dowie, że jest policjantem. Czy stanie się nieprzyjemna, czy może uważa, że większość funkcjonariuszy wykonuje dobrą robotę i bez policji nie można się obejść. Postawił na to drugie.

- Mam do pani kilka pytań - zwrócił się do niej, płacąc za papierosy. - Nazywam się Kurt Wallander, jestem asystentem kryminalnym.

- Coś takiego - zdziwiła się ekspedientka. Mówiła obcym dialektem.

- Nie jest pani tutejsza - zagadnął.
- Czy o to chciał pan zapytać?
- Nie.

- Pochodzę z Lenhovdy.

Nie znał tej miejscowości. Wydawało mu się, że leży w Blekinge. Zmienił jednak temat i przeszedł do pytań o Håléna i kupony zakładów. Dziewczyna słyszała o pożarze. Wallander opisał jej wygląd Håléna. Chwilę się namyślała.

- Może - powiedziała. - Czy mówił powoli? I cicho?

Wallander chwilę pomyślał i kiwnął potakująco głową. To by się zgadzało.

- Wydaje mi się, że grał dość ograniczonym systemem - ciągnął. - Trzydzieści dwa rzędy czy coś w tym rodzaju.

Znów się namyślała, po czym skinęła głową.

- Tak - potwierdziła. - Przychodził tutaj raz w tygodniu. Jednego tygodnia obstawiał 32 rzędy, drugiego 64. I tak na przemian.

- Pamięta pani, jak się ubierał?

- Nosił niebieską kurtkę - odparła natychmiast.

Wallander przypominał sobie, że za każdym razem, kiedy spotykał Håléna, tamten ubrany był w niebieską kurtkę zapinaną na suwak.

Dziewczyna miała dobrą pamięć i była dociekliwa.

- Czy on miał coś na sumieniu?

- Na razie nic nie wiadomo.

- Słyszałam, że popełnił samobójstwo.

- To prawda. A potem ktoś umyślnie spowodował pożar.

Powiniem się ugryźć w język, zbeształ się w myślach. To wciąż nie jest pewne.

- Zawsze miał odliczone pieniądze - przypomniała sobie. - Dlaczego pan pyta, czy oddawał u nas kupony?

- To czysto rutynowe pytanie - odrzekł Wallander. - Mogłaby pani jeszcze coś o nim powiedzieć?

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

- Dzwonił z naszego telefonu.

Telefon stał na małej półce, obok stołu z kuponami zakładów.

- Jak często?

- Za każdym razem. Najpierw oddawał kupon i płacił. Potem dzwonił i wracał, żeby zapłacić za połączenie. Jedna rzecz była

dziwna - dodała dziewczyna, przygryzając dolną wargę. - Pamiętam, że zwróciłam na to uwagę.

-Co takiego?

- Zanim wykręcił numer i zaczął rozmowę, zawsze czekał, aż wejdzie jakiś klient. Nigdy nie dzwonił, kiedy w środku byłam tylko ja.

- Nie chciał, żeby pani słyszała, o czym mówi?

Wzruszyła ramionami.

- Chciał rozmawiać w spokoju. Jak każdy.

- Nigdy nie słyszała pani, o czym rozmawia?

- Zawsze coś słyhać, nawet jak są klienci.

Jej ciekawość może się przydać, pomyślał Wallander.

- I co mówił?

- Niewiele - odparła. - Zawsze rozmawiał bardzo krótko. Tyle, ile trzeba, żeby się umówić.

- Umówić?

- Miałam wrażenie, że się z kimś umawiał. Często podczas rozmowy spoglądał na zegarek.

Wallander się namyślał.

- Czy zjawiał się tutaj określonego dnia tygodnia?

- Zawsze w środę po południu. Chyba między drugą a trzecią.

Może nieco później.

- Kupował coś?

-Nie.

- Jak to możliwe, że pani tak dokładnie wszystko pamięta? Przychodzi tu przecież mnóstwo klientów?

- Nie wiem - odrzekła. - Myślę, że człowiek pamięta dużo więcej, niż sobie uświadamia. Wystarczy, że ktoś zapyta, i już się przypomina.

Wallander spojrzał na jej dłonie. Nie nosiła obrączki. Przemknęło mu przez głowę, żeby się z nią umówić, ale z przerażeniem odpędził od siebie tę myśl.

Odniośł wrażenie, że Mona przejrzała jego zamiary.

- Pamięta pani coś jeszcze? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała. - Ale jestem pewna, że rozmawiał z kobietą.

- Skąd pani wie? - zdziwił się.



- To się słyszy - stwierdziła stanowczo.

- Według pani Hålen dzwonił i umawiał się z kobietą?

- A co w tym dziwnego? Był stary, ale to chyba nie jest przeszkodą?

Wallander kiwnął głową. Miała naturalnie rację. A jeśli tak, to dowiedział się czegoś ważnego. Mianowicie, że w życiu Hålena istniała jakaś kobieta.

- Dobrze - stwierdził. - Czy coś jeszcze?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do sklepu weszły klientki. Wallander czekał. Dwie małe dziewczynki długo napełniały torebki słodyczami, a potem płaciły niezliczoną ilością drobniaków.

- Jej imię zaczynało się chyba na A - przypomniała sobie. - Jak już mówiłam, rozmawiał bardzo cicho. Ale to mogła być Anna. Albo podwójne imię. Coś na A.

- Jest pani pewna?

- Nie - przyznała. - Ale tak sędzę.

Wallander miał jeszcze jedno pytanie.

- Czy zawsze przychodził sam?

- Zawsze.

- Bardzo mi pani pomogła - podziękował.

- Czy można wiedzieć, po co te wszystkie pytania?

- Niestety nie - odparł Wallander. - My tylko stawiamy pytania. Ale nie zawsze na nie odpowiadamy.

- Może powinnam zostać policjantką - zauważyła. - W każdym razie nie mam zamiaru sterczeć tu przez całe życie.

Wallander pochylił się nad ladą i zapisał swój numer telefonu na karteczce leżącej obok kasy.

- Proszę kiedyś zadzwonić - zaproponował. - Możemy się spotkać i opowiem pani, jak wygląda praca w policji. Mieszkam w tej okolicy.

- Wallander - upewniła się. - Tak?

- Kurt Wallander.

- Mam na imię Maria. Ale proszę sobie przypadkiem niczego nie obiecywać. Mam chłopaka.

- Nigdy sobie niczego nie obiecuję - uśmiechnął się Wallander.

Chłopaka można zawsze unieszkodliwić, pomyślał, wychodząc na ulicę. Nagle przystanął. Co będzie, jeżeli ona naprawdę zadzwoni? I to wtedy, kiedy przyjdzie do niego Mona? Zastanawiał się, co by wtedy zrobił. Poczł pewnego rodzaju satysfakcję.

Niech Mona wie. Że podał numer telefonu bardzo ładnej dziewczynie, która ma na imię Maria.

W tej samej chwili spadł rześisty deszcz, jak gdyby karząc Wallandera za grzeszne myśli. Wrócił do domu kompletnie przemoczony. Położył wilgotne paczki papierosów na kuchennym stole i rozebrał się do naga. Teraz powinna tu przyjść Maria i wytrzeć mnie do sucha. A Mona niech obcina ludziom włosy i ma tę swoją cholerną przerwę.

Włożył szlafrok i zapisał w notesie uzyskane informacje. Hålen dzwonił do pewnej kobiety w każdą środę. Kobiety, której imię rozpoczynało się na literę A. Pytanie tylko, co to oznacza? Jedno jest pewne. Runął mit samotnego, starego człowieka.

Wallander usiadł przy kuchennym stole i zajrzał do notatek z poprzedniego dnia. Nagle przyszło mu na myśl, że gdzieś musi istnieć rejestr marynarzy, w którym można odnaleźć informacje o Hålenie. Dokąd pływał i na jakich statkach.

Wiem, kto mógłby mi pomóc, pomyślał. Helena. Ona na pewno by mi poradziła, gdzie szukać. Pracuje przecież w biurze spedycji morskiej. O ile nie rzuci słuchawki na dźwięk mojego głosu.

Dochodziła jedenasta. Deszcz już przestał padać. Helena nie wychodziła na obiad przed pierwszą. Zdaży ją jeszcze złapać.

Wyszedł i wszedł w autobus do Dworca Głównego. Biuro, w którym pracowała Helena, znajdowało się na terenie portowym. Znajoma recepcjonistka kiwnęła głową na przywitanie.

- Czy jest Helena? - zapytał.

- Rozmawia przez telefon. Możesz wejść na górę, wiesz, gdzie jej szukać.

Szedł na drugie piętro pełen niepokoju, czy Helena się nie rozniewa. Pocieszał się, że raczej będzie zaskoczona, a on

szybko powie, że chodzi o sprawę służbową. Nie przychodzi jako jej dawny chłopak, ale policjant o tym samym nazwisku, przyszedł pracownik wydziału śledczego.

„Helena Aronsson, asystentka”, głosił napis na drzwiach. Wallander zaczerpnął głęboko powietrza i zapukał. Usłyszał jej głos i otworzył drzwi. Nie rozmawiała już przez telefon, pisała na maszynie. Tak jak przypuszczał, bardzo się zdziwiła, ale nie wyglądała na zagniewaną.

- Ty? Co ty tu robisz? - zapytała.

- Przychodzę w sprawie służbowej - zaczął Wallander. - Wydaje mi się, że mogłabyś mi pomóc.

Wstała, a w jej wzroku pojawił się wyraz niechęci.

- Naprawdę - zapewnił Wallander. - Nie chodzi o sprawy prywatne.

Wciąż mu nie dowierzała.

- W czym miałabym ci pomóc?

- Mogę usiąść?

- Ale tylko na chwilę.

Ten sam język władzy, którym posługuje się Hemberg, pomyślał. Musisz stać i czuć się podległy, a ten, kto ma władzę, siedzi. Zajmując miejsce, zastanawiał się, jak mógł być zakochany w tej kobiecie. W tej chwili pamiętał tylko, że była oschła i nieprzyjemna.

- Mam się dobrze - rzekła. - Możesz sobie oszczędzić pytania.

- Ja również.

- Czego chcesz ode mnie?

Wallander westchnął w duszy na dźwięk jej opryskliwego tonu i wyjaśnił, z czym przychodzi.

- Zajmujesz się transportem morskim - powiedział. - Może wiesz, jak mógłbym zdobyć informacje o Hålnie. U których amatorów pracował, na jakich statkach pływał.

- Mam do czynienia z transportem - odparła. - Wynajmujemy statki lub nadbrzeża dla Kockums i Volvo. To wszystko.

- Ktoś chyba musi wiedzieć.

- Czy policja nie ma innego sposobu, żeby zdobyć te

informacje?

Wallander był przygotowany na to pytanie.

- To śledztwo o trochę nietypowym charakterze. Nie mogę wyjawiać szczegółów.

Widział, że nie do końca mu wierzy. Jego odpowiedź nieco ją rozbawiła.

- Mogę zapytać któregoś z kolegów - zaproponowała. - Mamy tu dawnego kapitana marynarki. A co ja z tego będę miała? Że ci pomogę?

-A co byś chciała? - zapytał najuprzejmiej, jak potrafił.

Potrząsnęła głową.

-Nic.

Wallander wstał z krzesła.

- Mam nadal ten sam numer telefonu - poinformował.

-A ja mam nowy - odparła. - I ci go nie podam.

Dopiero na ulicy Wallander poczuł, że jest spocony. Spotkanie z Heleną kosztowało go więcej, niż się spodziewał. Stał w miejscu, zastanawiając się, co dalej począć. Gdyby miał więcej pieniędzy, pojechałby do Kopenhagi. Musi jednak pamiętać, że jest na zwolnieniu. Ktoś z pracy może do niego zatelefonować. Nie powinien zbyt długo przebywać poza domem. Zresztą było mu coraz trudniej uzasadnić, dlaczego poświęca tyle czasu zmarłemu sąsiadowi. Poszedł na obiad do kawiarni położonej naprzeciwko przystani promowej. Zanim złożył zamówienie, sprawdził, ile gotówki mu zostało. Nazajutrz musi podjąć pieniądze w banku. Na koncie ma jeszcze tysiąc koron, który musi mu wystarczyć do końca miesiąca. Zjadł duszoną wołowinę i popił wodą.

O pierwszej wyszedł na ulicę. Z południowego zachodu nadciągały chmury. Postanowił wracać do domu. Lecz wsiadł do autobusu, który jechał na przedmieście, gdzie mieszkał ojciec. Poświęci mu kilka godzin i pomoże w pakowaniu. Nie ma przecież nic innego do roboty.

W domu ojca panował nieopisany bałagan. Ojciec siedział w zniszczonym słomkowym kapeluszu na głowie i czytał gazetę.

- Rzuciłeś już?

- Co miałem rzucić?

- Poszedłeś po rozum do głowy i rzuciłeś policję?  
- Mam dzisiaj wolne - wyjaśnił Wallander. - Nie ma sensu wracać do tego tematu. Nigdy się nie porozumiemy.

- Znalazłem gazetę z 1949 roku - rzekł ojciec. - Dużo w niej ciekawych rzeczy.

- Nie masz chyba czasu czytać gazet sprzed dwudziestu lat.

- Nie zdążyłem jej wtedy przeczytać. - Między innymi dlatego że miałem dwuletniego syna, który całymi dniami krzyczał. Dlatego czytam teraz.

- Chciałem ci pomóc przy pakowaniu.

Ojciec wskazał na stół, na którym stała zastawa.

- To ma być zapakowane w skrzynię - powiedział. - Porządnie, tak żeby nic się nie stłukło. Jak rozbijesz jakiś talerz, będziesz musiał odkupić.

Ojciec wrócił do swojej gazety. Wallander zdjął kurtkę i zabrał się do pakowania zastawy. Talerze, które pamiętał z dzieciństwa. Filiżanka z lekko obtłuczonym brzegiem, do której miał szczególny sentyment.

-Co o tym myślisz?

- O czym?

- O przeprowadzce.

- Cieszę się. Lubię zmiany.

- I wciąż jeszcze nie obejrzałeś domu?

- Nie. Ale na pewno wszystko się ułoży.

Mój ojciec albo jest szalony, albo ma początki demencji, pomyślał Wallander. I nic na to nie mogę poradzić.

- Myślałem, że przyjdzie Krystyna - powiedział.

- Poszła po zakupy.

- Chciałbym się z nią zobaczyć. Co u niej słyhać?

- Wszystko w porządku. Spotkała wspaniałego faceta.

- Przyjechał tu z nią?

- Nie. Ale jest pod każdym względem udany. I chyba wkrótce postara się dla mnie o wnuki.

- Jak się nazywa? Co robi? Czy wszystko trzeba z ciebie wyciągać?

- Ma na imię Jens i jest naukowcem. Specjalizuje się w dializie.

- W czym?

- Chodzi o nerki. Słyszałeś o czymś takim? Jest naukowcem. W dodatku chętnie poluje na drobną zwierzynę. Wygląda na wspaniałego faceta.

W tym momencie Wallander upuścił na podłogę talerz, który pękł na dwie części.

- Będzie cię to drogo kosztowało - oświadczył ojciec, nie odrywając wzroku od gazety.

Tego już Wallander nie wytrzymał. Złapał kurtkę i wyszedł bez słowa. Nigdy nie pojedę do Österlen, pomyślał. Nigdy więcej moja noga nie postanie w jego domu. Nie rozumiem, jak mogłem z nim wytrzymać przez tyle lat. Teraz to już koniec.

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos. Napotkał zdziwiony wzrok rowerzysty, z wysiłkiem pedałującego pod wiatr.

Pojechał do domu. Drzwi do mieszkania Hålena stały otworem. W środku technik zbierał resztki popiołu.

- Myślałem, że już skończyliście - zdziwił się Wallander.

- Sjunnesson jest dokładny - odparł technik.

Rozmowa się urwała. Wallander wyszedł na klatkę schodową i podszedł do swoich drzwi. W tym momencie do budynku weszła Linnea Almqvist.

- To straszne - odezwała się. - Biedny człowiek. Taki samotny.

- Zdaje się, że miał jakąś znajomą - powiedział Wallander.

- Trudno mi w to uwierzyć - odrzekła. - Na pewno bym zauważyła.

- Też tak myślę - zgodził się Wallander. - Ale nie musiał się z nią spotykać tutaj.

- Nie należy źle mówić o umarłych - rzuciła, wchodząc na górę po schodach.

Wallander nie rozumiał, dlaczego mówienie o obecności kobiety w życiu samotnego mężczyzny zostało uznane za szkalowanie zmarłego.

W chwili kiedy wszedł do domu, nie mógł już dłużej odsuwać myśli o Monie. Pomyślał, że powinien do niej zadzwonić. Zresztą może sama zadzwoni do niego wieczorem. Pragnąc

stłumić wzrastający niepokój, zaczął wyrzucać stare gazety. Następnie zabrał się do sprzątania łazienki i szybko zdał sobie sprawę, że jest bardziej zapuszczona, niż myślał. Minęły trzy godziny, zanim uznał, że jest czysto. Była piąta. Wstawił ziemniaki i wziął się do krojenia cebuli.

Zadzwoił telefon. To Mona, pomyślał. Serce zabiło mu szybciej.

Ale głos należał do innej kobiety. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że Maria to imię ekspedientki z punktu przyjmowania zakładów.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała. - Zgubiłam kartkę z pana telefonem. Nie znalazłam pana numeru w książce telefonicznej, więc zamiast do informacji zadzwoniłam na policję.

Wallander na moment zaniemówił.

- Co pani powiedziała? - wykrztusił.

- Że szukam Kurta Wallandera, bo mam dla niego ważne informacje. Z początku nie chcieli mi podać pana numeru. Ale się uparłam.

- Pytała pani o asystenta kryminalnego Wallandera?

- Pytałam o Kurta Wallandera. Jakie to ma znaczenie?

- Żadnego - odparł z ulgą. W komendzie plotki rozchodziły się błyskawicznie. Gdyby wyszło na jaw, że podaje się za asystenta kryminalnego, mógłby mieć kłopoty i na dodatek stać się obiektem dowcipów. Nie tak sobie wyobrażał początek swojej kariery w kryminalnym.

- Pytałam, czy nie przeszkadzam - powtórzyła.

- Nie, skądże.

- Myślałam trochę o Hålnie i jego zakładach. Nawiasem mówiąc, nigdy niczego nie wygrał.

- Skąd pani to wie?

- Bawiło mnie podpatrywanie, jak on typuje. Zresztą nie tylko on. Bardzo słabo się znał na angielskiej piłce.

To samo powiedział Hemberg, pomyślał Wallander. W tej kwestii nie ma więc wątpliwości.

- Myślałam też o jego rozmowach telefonicznych - ciągnęła. - I przypomniałam sobie, że kilka razy dzwonił gdzie indziej. Nie

tylko do tej kobiety.

Wallander nadstawił ucha.

-Ado kogo?

- Po taksówkę.

- Skąd pani wie?

- Słyszałam, jak ją zamawiał. Podawał adres sklepu.

Wallander chwilę się zastanawiał.

- Ile razy to się zdarzyło?

- Trzy lub cztery razy. Zawsze najpierw dzwonił pod pierwszy numer.

- Nie słyszała pani przypadkiem, dokąd jechał?

- Tego nie mówił.

- Ma pani niezłą pamięć - powiedział z uznaniem. - Może pamięta pani, kiedy prowadził te rozmowy?

- Chyba w środy.

- A ostatnio?

- W ubiegłym tygodniu - odparła szybko i stanowczo.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście. Zamówił taksówkę w ubiegłą środę. 28 maja, jeśli chce pan wiedzieć dokładnie.

- Dobrze - pochwalił Wallander. - Doskonale.

- Czy to się na coś przyda?

- Z pewnością.

- I nadal nie może mi pan powiedzieć, co się wydarzyło?

- Nie mogę - zapewnił Wallander. - Nawet gdybym chciał.

- Może kiedyś później?

Przyrzekł, że się odezwie. Po skończonej rozmowie rozmyślał o tym, co powiedziała dziewczyna. Co to mogło znaczyć? Hålen miał jakąś kobietę. Po telefonie do niej zamówił taksówkę. Wallander poszedł sprawdzić ziemniaki. Były jeszcze twarde. Po chwili przypomniał sobie, że ma w Malmö dobrego kolegę, który jest taksówkarzem. Przyjaźnili się od pierwszej klasy i nadal utrzymywali ze sobą kontakt. Nazywał się Lars Andersson i Kurt pamiętał, że zapisał jego numer telefonu na wewnętrznej stronie okładki książki telefonicznej.

Odszukał numer i zadzwonił. Odebrała Elin, żona Anderssona. Wallander widział ją zaledwie kilka razy w życiu.



- Czy mógłbym rozmawiać z Larsem? - zapytał.

- Wyjechał na trasę - poinformowała żona. - Ale kończy dzienną zmianę, powinien za jakąś godzinę być w domu.

Wallander poprosił, żeby Lars do niego zadzwonił.

- Jak dzieci? - zagadnęła.

- Ja nie mam dzieci - odparł zdziwiony Wallander.

- Musiałam coś źle zrozumieć - tłumaczyła się. - Wydawało mi się, że Lars mówił, że masz dwóch synów.

- Niestety nie. Nie jestem nawet żonaty.

- Bez tego też można mieć dzieci - zauważyła.

Wallander wrócił do swoich ziemniaków i cebuli.

Z resztek, które znalazł w lodówce, przyrządził posiłek. Mona nie dzwoniła. Znów padał deszcz. Z daleka dochodziły dźwięki harmonii. Czym ja się właściwie zajmuję, myślał. Sąsiad, Hålen, odebrał sobie życie. Zanim to zrobił, połknął kilka szlachetnych kamieni. Ktoś próbował je odnaleźć i potem z wściekłości podłożył ogień pod drzwi mieszkania. Szaleńców nie brakuje. Podobnie jak chciwców. Ale samobójstwo nie jest przestępstwem. Tak samo jak chciwość.

Dochodziło pół do siódmej. Lars Andersson nie dzwonił. Wallander postanowił poczekać do siódmej. Potem spróbuje jeszcze raz.

Za pięć siódma Andersson zadzwonił.

- Dopiero wróciłem, zawsze jest więcej kursów, jak pada. Słyszałem, że dzwoniłeś?

- To sprawa służbowa - wyjaśnił Wallander. - Pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc. Chodzi o kurs z Rosengård w ubiegłą środę, około trzeciej po południu. Pasażer miał na nazwisko Hålen.

- Co się stało?

- Nie mogę w tej chwili o tym mówić - odparł Wallander. Za każdym razem, kiedy udzielał wykrętnych odpowiedzi, czuł się coraz bardziej nieswojo.

- To się da załatwić - obiecał Andersson. - W centrali w Malmö jest porządek. Możesz mi podać szczegóły? Dokąd mam oddzwonić, do komendy?

- Najlepiej do mnie. Ja się tym zajmuję.

- Z domu?
- Teraz tak.
- Zobaczą, co mogę zrobić.
- Jak sądzisz, ile to potrwa?
- Przy odrobinie szczęścia niedługo.
- Czekam w domu - zapewnił Wallander.

Podał Anderssonowi wszystkie dane. Kiedy skończyli rozmawiać, zaparzył sobie kawę. Mona wciąż nie dzwoniła. Myślał o swojej siostrze. Ciekawe, jak ojciec jej wytłumaczy jego nagłe wyjście. O ile w ogóle wspomni, że syn go odwiedził. Krystyna często brała stronę ojca. Wallander przypuszczał, że to ze strachu. Boi się jego i jego humorów.

Obejrzał wiadomości. Przemysł samochodowy miał się dobrze. W Szwecji panowała dobra koniunktura. Potem pokazywano zdjęcia z wystawy psów. Ściszył głos. Wciąż padał deszcz. Wydawało mu się, że słyszy grzmoty. Ale może to samolot typu Metropolitan schodził do lądowania na Bulltofta.

Andersson zadzwonił dziesięć po dziewiątej.

- Tak jak myślałem - oznajmił. - W centrali w Malmö panuje porządek.

Wallander sięgnął po notes i pióro.

- To był kurs do Arlöv - poinformował Andersson. - Nie ma nazwiska pasażera. Kierowca nazywa się Norbert. Można się z nim bez trudu skontaktować i zapytać, czy coś pamięta.

- Czy to na pewno ten kurs?
- Nikt inny nie zamawiał wozu pod ten adres w ubiegłą środę.
- Kurs do Arlöv?
- Dokładnie na Smedsgatan 9. Przy samej cukrowni. To stara dzielnica szeregowych domów.
- Czyli mieszka tam tylko jedna rodzina. Albo jedna osoba.
- Całkiem możliwe.

Wallander notował.

- Świetnie to załatwiłeś - pochwalił kolegę.
- Mam jeszcze coś dla ciebie - odparł Andersson. - Chociaż o to nie pytałeś. Powrotny kurs ze Smedsgatan do miasta. W czwartek o czwartej rano. Kierowca nazywa się Orre, ale teraz

go nie złapiesz. Spędza urlop na Majorce.

Jak taksówkarza stać na taki urlop, pomyślał Wallander. Chyba że wozi klientów na lewo? Jednak nie powiedział tego głośno.

- To może ważny trop.

- Masz już samochód?

- Jeszcze nie.

- A chciałbyś tam jechać?

- Oczywiście.

- Dostaniesz służbowy wóz?

- Bez problemu.

- Jak chcesz, mogę cię zawieźć. Nie mam nic szczególnego do roboty. Będzie okazja, żeby się spotkać.

Wallander szybko się zgodził. Umówili się, że Andersson przyjedzie za pół godziny. Przez ten czas

Wallander zadzwonił do biura numerów, żeby dowiedzieć się o numer abonenta na Smedsgatan 9 w Arlöv. Okazało się, że numer jest zastrzeżony.

Deszcz przybierał na sile. Wallander włożył kalosze i nieprzemakalną kurtkę. Stał przy oknie w kuchni i widział, jak Lars podjeżdża pod dom. Przyjechał swoim samochodem.

Wariackie przedsięwzięcie w wariacką pogodę, myślał Wallander, zamykając drzwi od mieszkania. Ale lepsze to niż chodzenie z kąta w kąt i czekanie na telefon od Mony. Tym gorzej dla niej, jeżeli zadzwoni, a jego nie będzie w domu.

Lars Andersson zaczął od razu wspominać szkolne czasy. Większości wydarzeń Wallander nie pamiętał. Lars często wracał do szkolnych lat, jak gdyby to był najlepszy okres w jego życiu. Wallandera to nużyło. Dla niego szkoła była szarą codziennością, którą niekiedy tylko rozjaśniały lekcje geografii i historii. Ale lubił siedzącego obok kolegę. Jego rodzice mieli piekarnię w Limhamn. Był czas, kiedy często ze sobą przebywali. Lars był oddanym przyjacielem, na którego Kurt zawsze mógł liczyć.

- Często tędy jeździsz? - zapytał Wallander, kiedy zbliżali się do Arlöv.

- Zdarza się. Głównie w weekendy. Z pasażerami, którzy

popili w Malmö lub w Kopenhadze i wracają do domu.

- Nic ci się nigdy nie przytrafiło?

Lars spojrział na niego.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Rabunek? Pogróżki?

- Nigdy. Raz ktoś nie zapłacił i chciał uciec. Ale go złapałem.

Dotarli do Arlöv i Lars Andersson pojechał prosto pod wskazany adres.

- To tutaj, oznajmił, wskazując palcem przez zawilgoconą szybę. Smedsgatan 9.

Kurt Wallander opuścił szybę i wyjrzał na deszcz. Numer 9 był szóstym i ostatnim domem w szeregu. W jednym oknie paliło się światło.

- Nie wejdiesz do środka? - zapytał zdziwiony Lars Andersson.

- Chodzi o obserwację - odparł wymijająco Wallander. - Podjedź kawałek do przodu, to wysiądę i popatrzę.

- Mam z tobą pójść?

- Nie trzeba.

Wallander wysiadł z auta i naciągnął na głowę kaptur. Co dalej?, pomyślał. Mam zadzwonić do drzwi i zapytać, czy pan Hålen był tu z wizytą w ostatnią środę między trzecią po południu a czwartą rano? Może mieli romans? Co powiem, jak otworzy mąż?

Czuł się idiotycznie. Co za bezsensowna dziecinada, pomyślał. Jedyne, co udowodniłem, to to, że w Arlöv jest adres Smedsgatan 9.

Mimo to nie mógł się powstrzymać i przeszedł na drugą stronę ulicy. Przy furtce wisiała skrzynka na listy. Usiłował odcyfrować napis. W kieszeni miał papierosy i pudełko zapalek. Z pewnym trudem zapalił zapalną i zdążył odczytać nazwisko, zanim deszcz zgasił płomień.

Aleksandra Batista. Maria ze sklepu dobrze usłyszała. Imię zaczyna się na A. Hålen dzwonił do kobiety imieniem Aleksandra. Nie wiadomo, czy kobieta mieszka sama, czy z rodziną. Zerknął za płot, szukając wzrokiem dziecięcych rowerków lub czegoś, co wskazywałoby na to, że dom

zamieszkuje rodzina z dziećmi. Niczego takiego nie zauważył.

Obszedł dom dokoła. Teren za domem był niezabudowany. Za rozpadającym się płotem stało kilka zardzewiałych beczek. I to wszystko. W oknach było ciemno. Świeciło się tylko w oknie kuchennym wychodzącym na ulicę. Był coraz bardziej świadomy bezsensu i nieestosowności swojego zachowania, lecz mimo to postanowił doprowadzić swój zamiar do końca. Przeskoczył przez niski płot, szybko pokonał trawnik i znalazł się pod domem. Jak ktoś mnie zobaczy, to zawiadomi policję, pomyślał. Złapią mnie i to będzie koniec mojej kariery.

Postanowił się wycofać. Nazajutrz sprawdzi numer telefonu do rodziny Batistów. Jeśli odbierze kobieta, zada jej kilka pytań. Jeżeli nie, odłoży słuchawkę.

Deszcz tylko siąpił. Wallander wytarł twarz. Już miał zawrócić do samochodu, gdy zauważył, że drzwi od strony tarasu są uchylone. Może mają kota, który chodzi po nocy, pomyślał.

Ogarnęło go uczucie, że coś jest nie w porządku. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Podeszedł ostrożnie do drzwi i nasłuchiwał. Deszcz ustał. W oddali słyszał stopniowo cichnący dźwięk silnika ciężarówki. Z domu nie dochodził żaden odgłos. Ruszył z powrotem, w stronę frontowego wejścia.

Okno, w którym się świeciło, było uchylone. Przystanął pod ścianą i nadstawił uszu. Panowała całkowita cisza. Stał na palcach, zajrzał przez okno i zamarł. Zobaczył siedzącą na krześle kobietę. Patrzyła prosto na niego. Wallander wyskoczył na ulicę. W każdej chwili ktoś mógł wyjść przed dom i zawołać na pomoc. Albo wezwać radiowóz. Podbiegł do samochodu Anderssona i wskoczył na przednie siedzenie.

- Co się stało?

- Jedziemy - rzucił Wallander.

- Dokąd?

- Byle dalej. Do Malmö.

- Jest ktoś w domu?

- Nie zadawaj pytań. Włącz silnik i ruszaj.

Lars Andersson posłuchał. Wyjechali na szosę do Malmö. Wallander myślał o kobiecie, która się w niego wpatrywała.

Znów poczuł, że coś jest nie tak.

- Zjedź na najbliższy parking - poprosił.

Lars Andersson posłusznie wykonał polecenie. Zatrzymali się. Wallander siedział w milczeniu.

- Nie uważasz, że powinienem dowiedzieć się, o co chodzi? - zapytał ostrożnie Andersson.

Wallander nie odpowiadał. W twarzy kobiety było coś dziwnego. Nie potrafił tego sprecyzować.

- Zawracaj - polecił.

- Do Arlöv?

W jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

- Później ci wytłumaczę - przyrzekł Wallander. - Jedź pod ten sam adres. Możesz włączyć taksometr, jeśli masz.

- Oszalałeś? Od przyjaciół nie biorę za kurs - odciął się zirytowany Andersson.

W milczeniu jechali z powrotem. Deszcz już nie padał. Wallander wysiadł z auta. Nie było radiowozów, naokoło panował spokój. W kuchennym oknie jaśniało samotne światło.

Ostrożnie otworzył furtkę. Podeszedł do okna. Zanim powtórnie wspiął się na palce, wziął kilka głębokich oddechów.

Jeżeli jest tak, jak myśli, czeka go coś bardzo przykrego.

Wspiął się na palce i chwycił parapetu. Kobieta nadal siedziała na krześle i patrzyła na niego z tym samym wyrazem twarzy.

Wallander obszedł dom dokoła i pchnął drzwi od strony tarasu. W świetle ulicznej latarni dostrzegł na stole lampę. Zapalił ją. Następnie ściągnął z nóg kalosze i wszedł do kuchni.

Kobieta nadal siedziała na krześle. Nie odwróciła się do Wallandera. W dalszym ciągu wpatrywała się w okno.

Wokół szyi miała zaciśnięty za pomocą trzonka od młotka łańcuch od roweru.

Wallander poczuł, jak serce wali mu w piersiach.

Z telefonu w holu zadzwonił do komendy policji w Malmö.

Była za piętnaście jedenasta.

Poprosił do telefonu Hemberga. Dowiedział się, że Hemberg o szóstej wyszedł z komendy.

Dostał jego domowy numer i od razu zadzwonił.

Hemberg odebrał. Słysząc było, że telefon go obudził.

Wallander powiedział mu o swoim odkryciu. W domu w Arlöv siedziała na krześle martwa kobieta.

### 3

Hemberg zjawił się w Arlöv krótko po północy. Trwały już oględziny techniczne. Wallander wysłał Anderssona do domu, nie informując go bliżej o tym, co zaszło. Stanął później przy furtce, czekając, aż przyjedzie pierwszy radiowóz. Rozmawiał z asystentem kryminalnym Stefanssonem, który był w jego wieku.

- Znałeś ją? - zapytał Stefansson.

- Nie - odparł Wallander.

- To skąd się tu wzięła?

- Wyjaśnię to Hembergowi.

Stefansson rzucił mu podejrzliwe spojrzenie i zamilkł.

Hemberg zaczął od kuchni. Długo stał w drzwiach, przyglądając się martwej kobiecie. Wallander widział, jak wodzi wzrokiem po pomieszczeniu. Po dłuższej chwili Hemberg zwrócił się do Stefanssona. Dało się zauważyć, że asystent okazuje mu duży szacunek.

- Czy coś już o niej wiadomo? - zapytał Hemberg.

Przeszli do salonu. Stefansson otworzył torbę i wyłożył na stół kilka dokumentów.

- Aleksandra Batista-Lundström - poinformował. - Obywatelka szwedzka. Urodzona w Brazylii w 1922 roku. Przyjechała do Szwecji tuż po wojnie. Jeśli dobrze zrozumiałem, miała męża Szweda. Nazywał się Lundström. Tu są papiery rozwodowe z 1957 roku. Była już wtedy szwedzką obywatelką. Później pozbyła się nazwiska męża. Znalazłem książeczkę oszczędnościową na nazwisko Batista. Już bez Lundström.

- Miała dzieci?

Stefansson pokręcił przecząco głową.

- W każdym razie nikt z nią nie mieszkał. Rozmawialiśmy z sąsiadem. Mieszkała tu od samego początku, jak tylko zbudowano te domy.

Hemberg skinął głową i zwrócił się do Wallan-dera.

- Chodźmy na piętro - zaproponował. - Dajmy im spokojnie pracować.

Stefansson chciał do nich dołączyć. Ale Hemberg powstrzymał go gestem dłoni. Na piętrze znajdowały się trzy pokoje. Sypialnia kobiety, pokój, w którym oprócz dużej bielizniarki nie było żadnych mebli, i pokój gościnny. Hemberg usiadł na łóżku w pokoju gościnnym i dał znak Wallanderowi, żeby usiadł na krześle w rogu.

- Właściwie mam tylko jedno pytanie - zaczął Hemberg. - Jak sądzisz, jak ono brzmi?

- Dziwi się pan, co ja tu robię?

- Powiedziałbym nieco dosadniej - poprawił go Hemberg. - Skąd się, do cholery, tu wziąłeś?

- To długa historia - rzekł Wallander.

- To ją skróć - polecił Hemberg. - Ale niczego nie opuszczaj.

Wallander zaczął opowiadać. O kuponie zakładów, o telefonach, o taksówkach. Hemberg słuchał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Milczał jeszcze przez chwilę, kiedy Kurt już skończył.

- Wykryłeś morderstwo i naturalnie zasługujesz na pochwałę - zaczął Hemberg. - Jesteś uparty i rozumiesz całkiem prawidłowo. Ale pomijając to, twoje postępowanie jest pod każdym względem naganne. W policji nie ma czegoś takiego jak prywatne i tajne śledztwo, w którym policjant sam wyznacza sobie zadania. I mówię to raz na zawsze.

Wallander pokiwał głową. Zrozumiał przestrogę.

- Czym się jeszcze zajmujesz? Prócz tego, co cię doprowadziło do Arlöv?

Wallander opowiedział o spotkaniu z Heleną w biurze spedycyjnym.

- To wszystko?

-Tak.

Wallander spodziewał się porządnej bury. Lecz Hemberg



podniósł się i dał mu znak, żeby za nim poszedł.

Na schodach przystanął i się odwrócił.

- Próbowałem cię dzisiaj złapać - powiedział. - Żeby cię poinformować, że przyszedł wynik badania broni. Nie zawiera niczego nowego. Powiedziano mi, że jesteś chory.

- Rano bolał mnie brzuch. Grypa żołądkowa.

Hemberg rzucił mu ironiczne spojrzenie.

- Szybko ci przeszło - zakpił. - Ale ponieważ już wydobrzałeś, możesz tu zostać przez noc. Może się czegoś nauczysz. Nic nie mów i niczego nie dotykaj. Staraj się wszystko zapamiętać.

O czwartej nad ranem zabrano zwłoki kobiety. Sjunnesson był na miejscu już od pierwszej. Wallandera zdziwiło, że mimo nocnej pory nie wyglądał na zmęczonego. Hemberg, Stefansson i jeszcze jeden funkcjonariusz metodycznie przeszukiwali mieszkanie, zaglądali do szuflad i szaf i układali na stole wszystkie odnalezione dokumenty. Wallander przysłuchiwał się rozmowie między lekarzem nazwiskiem Jörne a Hembergiem. Było jasne, że kobieta została uduszona. Przy pierwszym badaniu Jörne znalazł również ślady uderzenia w tył głowy. Hemberga interesowało przede wszystkim, ile czasu upłynęło od chwili śmierci kobiety.

- Siedziała na krześle od kilku dni - odparł Jörne.

- Od ilu?

- Nie bawię się w zgadywanki. Musi pan spokojnie zaczekać na wyniki sekcji.

Po skończonej rozmowie Hemberg zwrócił się do Wallandera:

- Rozumiesz, dlaczego zadaję te pytania?

- Chce pan wiedzieć, czy umarła przed Hålnem?

Hemberg kiwnął głową.

- To by nam ewentualnie pomogło wyjaśnić, dlaczego odebrał sobie życie. Zdarza się, że mordercy popełniają samobójstwo.

Hemberg usiadł na kanapie w salonie. Stefansson stał w holu i rozmawiał z fotografem.

- Jedno jest oczywiste - odezwał się Hemberg po chwili milczenia. - Aleksandra Batista została zamordowana, kiedy siedziała na krześle. Ktoś uderzył ją w głowę. Na podłodze i na ceracie są ślady krwi. A potem ją udusił. Możemy wyciągnąć z tego pewne wnioski.

Hemberg spojrział na Wallandera.

Sprawdza mnie, pomyślał Kurt. Chce się przekonać, czy się nadaję.

- To znaczy, że знаła mordercę.

- Słusznie. Coś więcej?

Wallander się zastanawiał. Czy powinien wyciągnąć jeszcze jakiś wniosek? Bezradnie pokręcił głową.

- Musisz używać oczu - poradził Hemberg. - Czy widzisz coś na stole? Filiżankę? Kilka filiżanek? Jak była ubrana? Wiadomo, że znała tego, kto ją zabił. Załóżmy, że to mężczyzna. Ale jak go znała?

Wallander rozumiał. Złościło go, że sam na to nie wpadł.

- Była w koszuli nocnej i szlafroku - powiedział. - W takim stroju nie przyjmuje się obcych.

- Jak wyglądała sypialnia?

- Łóżko nie było zaścielone.

- Wniosek?

- Całkiem możliwe, że Aleksandra Batista miała bliski związek z mężczyzną, który ją zamordował.

- Co jeszcze?

- Na stole nie było filiżanek. Ale obok kuchenki stało kilka nieumytych szklanek.

- Zostaną zbadane - powiedział Hemberg. - Co pili? Czy są odciski palców? Z pustych szklanek można się dowiedzieć wielu interesujących historii.

Wstał ciężko z kanapy. Był wyraźnie zmęczony.

- Wiemy już dosyć dużo - ciągnął Hemberg. - Morderstwa dokonano przypuszczalnie z powodów osobistych, bo nie ma żadnych śladów włamania.

- To jednak nie tłumaczy pożaru u Hålena - zauważył Wallander.

Hemberg przyjrzał mu się uważnie.

- Ponosi cię - zauważył. - Tu trzeba działać spokojnie i metodycznie. Wiemy już całkiem dużo na temat niektórych kwestii i to jest nasz punkt wyjścia. To, czego nie wiemy lub czego nie jesteśmy pewni, odkładamy na później. Nie możesz ułożyć układanki, kiedy połowa elementów wciąż leży w pudełku.

Wyszli do holu. Stefansson zakończył rozmowę z fotografem i teraz mówił przez telefon.

- Jak tu przyjechałeś? - zapytał Hemberg.

- Taksówką.

- Możesz wrócić ze mną.

W drodze powrotnej Hemberg milczał. Jechali we mgle i siąpiącym deszczu. Komisarz podrzucił Wallandera do domu w Rosengård.

- Skontaktuj się jutro ze mną - rzekł na pożegnanie. - Jeżeli wyzdrowiejesz.

Wallander wszedł do mieszkania. Było już zupełnie widno. Mgła się podnosiła. Położył się na łóżku, nie zdejmując ubrania, i wkrótce zasnął.

Ze snu wyrwał go dźwięk dzwonka. Zaspany wytoczył się na korytarz i otworzył drzwi. Na progu stała jego siostra, Krystyna.

- Przychodzę nie w porę?

Wallander potrząsnął głową i wpuścił ją do środka.

- Pracowałem całą noc - wyjaśnił. - Która godzina?

- Siódma. Jadę dziś z tatą do Löderup, ale chciałam się przedtem z tobą zobaczyć.

Poprosił ją, żeby zrobiła kawę, i poszedł się umyć i przebrać. Kilkakrotnie opłukał twarz zimną wodą. Kiedy wrócił do kuchni, nie odczuwał już skutków długiej, nieprzespanej nocy. Krystyna spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jesteś jednym z niewielu znanych mi mężczyzn, którzy nie mają długich włosów - powiedziała.

- Źle wyglądam w długich włosach - odparł. - Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Z brodą też mi nie do twarzy. Wyglądałem jak palant. Mona zagroziła, że mnie rzuci.

- Jak się miewa Mona?

- Dobrze.

Zastanawiał się, czy nie powiedzieć, co między nimi zaszło. O cisy, która zapadła między nim a Moną.

Kiedy jeszcze mieszkali w domu, miał z Krystyną bliski, zażyły kontakt. Mimo to postanowił nic nie mówić. Po przeprowadzce siostry do Sztokholmu ich stosunki się rozluźniły.

Usiadł przy stole i zapytał, co u niej słycać.

- Wszystko dobrze - zapewniła.

- Ojciec mówi, że spotkałaś kogoś, kto zajmuje się nerkami.

- Jest inżynierem i pracuje nad nowym typem aparatu do dializy.

- Nie bardzo wiem, co to jest. Ale pewnie coś bardzo skomplikowanego.

Nagle się zorientował, że przyszła, żeby mu coś powiedzieć. Domyślił się tego po wyrazie jej twarzy.

- Nie wiem, na czym to polega - rzekł. - Ale zawsze poznaję, jak masz do mnie konkretną sprawę.

- Nie rozumiem, jak możesz w ten sposób traktować tatę.

- O co ci chodzi? - powiedział zaskoczony.

- Jak myślisz? Nie pomagasz mu w pakowaniu. Nie chcesz nawet obejrzeć jego domu w Löderup. Spotykasz go na ulicy i udajesz, że go nie poznajesz.

Wallander pokręcił głową.

- Wiesz to od niego?

- Tak. Był bardzo wzburzony.

- To wszystko nieprawda.

- Nie widziałam cię, od kiedy przyjechałam. Dzisiaj się przeprowadza.

- Nie mówił ci, że u niego byłem? I że prawie wyrzucił mnie z domu?

- Nic takiego nie mówił.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co on mówi. W każdym razie, jak mówi o mnie.

- Więc to nieprawda?

- Wszystko nieprawda - powtórzył. - Nawet mi nie powiedział, że kupił dom. Nie chciał mi go pokazać ani

powiedzieć, ile zapłacił. Kiedy pomagałem mu przy pakowaniu, upuściłem na podłogę stary talerz. Od razu była awantura. A na ulicy przystaję i z nim rozmawiam. Mimo że często wygląda, jakby się urwał z choinki.

Widział, że jej nie przekonał, i to go złościło. Jeszcze bardziej złościło go, że Krystyna go poucza. Przypominała mu matkę. Albo Monę. Może nawet Helenę. Nie znosił kobiet, które się wtrącały do jego zachowania.

- Nie wierzysz mi, chociaż powinnaś - powiedział. - Nie zapominaj, że ty mieszkasz w Sztokholmie, a ja mam ojca na głowie przez cały czas. To duża różnica.

Zadzwonił telefon. Było dwadzieścia po siódmej. Wallander podniósł słuchawkę. Telefonowała Helena.

- Dzwoniłam wczoraj wieczorem - zaczęła.

- Pracowałem całą noc.

- Myślałam, że mam zły numer, i zadzwoniłam do Mony.

Wallander o mało nie wypuścił słuchawki z ręki.

- Co zrobiłaś?

- Zadzwoniłam do Mony po twój numer.

Wallander domyślał się, co będzie dalej. Po telefonie Heleny zazdrość Mony wybuchnie z podwójną siłą. To nie poprawi ich stosunków.

- Jesteś tam? - spytała Helena.

- Tak. Ale w tej chwili jest u mnie siostra.

- Jestem w pracy. Możesz do mnie zadzwonić.

Wallander odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni.

Krystyna spojrzała na niego pytająco.

- Jesteś chory?

- Nie. Ale muszę wracać do pracy.

Pożegnali się w holu.

- Musisz mi wierzyć - powtórzył Wallander. - Nie można zawsze ufać jego słowom. I powiedz mu, że przyjadę, jak tylko będę miał czas. Jeśli chce mnie widzieć i kiedy dowiem się, gdzie jest ten dom.

- Na skraju Löderup - poinformowała Krystyna. - Najpierw mijasz sklepik, potem przejeżdżasz wierzbową aleją. Na końcu, po lewej stronie, stoi dom oddzielony od drogi kamiennym

murem. Ma czarny dach, jest bardzo ładny.

- Byłaś tam?
- Pierwszy transport rzeczy był wczoraj.
- Wiesz, ile zapłacił?
- Nic nie mówił.

Krystyna wyszła. Wallander pomachał jej przez okno. Starał się stłumić w sobie gniew z powodu słów ojca. Bardziej gnębiło go to, co powiedziała Helena. Zadzwoił do niej i dowiedział się, że rozmawia z innego telefonu. Cisnął słuchawkę na widełki. Rzadko tracił panowanie nad sobą. Tym razem niewiele brakowało. Zadzwoił jeszcze raz. Wciąż było zajęte. Mona ze mną zerwie, pomyślał. Cokolwiek powiem i tak mi nie uwierzy. Znów wykręcił numer i dodzwonił się do Heleny.

- Chciałaś coś ode mnie?
- Co to za ton? Staram się przecież ci pomóc - odpowiedziała ostro.

- Czy naprawdę musiałaś dzwonić do Mony?
- Mona wie, że przestałaś mnie interesować.
- Wie? To ty nie znasz Mony.
- Nie mam zamiaru przeproszać dlatego, że pytałam o twój numer telefonu.

- Po co dzwoniłaś?
- Przyszedł mi z pomocą kapitan Verke. Mówiłam ci kiedyś, jeżeli pamiętasz, że mamy tu byłego kapitana żegluga morskiej.

Wallander pamiętał.

- Na moim stole leży kopia rejestru maszynistów i marynarzy, którzy przez ostatnie dziesięć lat pracowali u szwedzkich armatorów. Jak sam rozumiesz, jest w nim dość dużo nazwisk. Czy jesteś pewien, że ten gość służył wyłącznie pod szwedzką banderą?

- Nie jestem niczego pewien - przyznał Wallander.
- Możesz wpaść po ten rejestr - powiedziała. - Jak będziesz miał czas. Po południu jestem na zebraniu.

Wallander przyrzekł, że zjawi się przed południem. Kiedy odłożył słuchawkę, przyszło mu do głowy, że powinien zadzwonić do Mony i wyjaśnić sytuację. Zabrakło mu jednak odwagi.

Była za dziesięć ósma. Zaczął się ubierać. Myśl o tym, że przez cały dzień będzie patrolował ulice, do reszty psuła mu humor.

Stał już na progu, kiedy usłyszał telefon. Mona, pomyślał. Chce mi powiedzieć, żebym się od niej odczepił. Wziął głęboki oddech i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Hemberg.

- Jak twoja grypa żołądkowa?

- Właśnie wychodzę do komendy.

- Świetnie. Przyjdź do mnie. Ustaliliśmy z Lohmanem, że musimy z tobą dłużej porozmawiać, bo właściwie jesteś świadkiem. Możesz sobie dzisiaj odpuścić patrolowanie. Przy okazji unikniesz interwencji w melinie narkomanów.

- Już idę - zapewnił Wallander.

- Przyjdź o dziesiątej. Będziemy wtedy omawiać zabójstwo w Arlöv.

Zakończyli rozmowę. Wallander spojrział na zegarek. Zdąży jeszcze odebrać papiery czekające na niego w biurze spedycji morskiej. Na ścianie w kuchni wisiał rozkład jazdy autobusów z Rosengård. Jeżeli się pospieszy, nie będzie musiał czekać na przystanku.

Wychodząc z domu, wpadł prosto na Monę. Tego się nie spodziewał. Tym bardziej nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Mona podeszła do niego i wymierzyła mu policzek. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

Wallander był tak zaskoczony, że nawet nie zareagował. Palił go lewy policzek, nieopodal stojący mężczyzna, który otwierał drzwiczki od samochodu, przyglądał mu się z ciekawością.

Mona zniknęła. Wallander szedł powoli w kierunku przystanku. Miał ściśnięty żołądek. Nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji Mony.

Autobus zawiózł go do centrum miasta. Mgła się rozproszyła, lecz nadal było pochmurno i mżyło. Siedział w autobusie z całkowitą pustką w głowie. Wydarzenia ubiegłej nocy rozwiały się jak dym. Martwa kobieta siedząca na krześle była snem. Jedyne, co istniało naprawdę, to Mona, która go uderzyła, a potem odeszła. Bez słowa, bez wahania.

Muszę się z nią rozmówić, pomyślał. Nie teraz, kiedy jest wzburzona, ale później, wieczorem.

Wysiadł z autobusu. Policzek wciąż go palił. Uderzenie było mocne. Przejrzał się w witrynie sklepu. Twarz była wyraźnie zaczerwieniona.

Stał na ulicy i zastanawiał się, co ma począć. Powinien jak najszybciej podziękować Larsowi Anderssonowi za pomoc. Należało mu się wyjaśnienie.

Później przyszedł mu na myśl dom w Löderup, którego nigdy nie widział. I dom rodzinny, w którym już nie ma rodziny.

Ruszył przed siebie. Nic nie pomoże, że będzie stał na chodniku w centrum Malmö.

Odebrał obszerną kopertę, którą Helena zostawiła dla niego w recepcji.

- Chciałbym z nią porozmawiać - zwrócił się do recepcjonistki.

- Jest zajęta - odpowiedziała. - Prosiła, żeby to panu przekazać.

Wallander zrozumiał, że Helena jest zła z powodu porannej rozmowy i nie chce go widzieć. Nietrudno ją było zrozumieć.

Kiedy dotarł do komendy, było zaledwie pięć po dziewiątej. Poszedł do swojego pokoju i stwierdził z ulgą, że nikt na niego nie czeka. Wrócił myślą do porannego wydarzenia. Jeśli zadzwoni teraz do salonu fryzjerskiego, Mona nie podejdzie do telefonu. Musi poczekać do wieczora.

Otworzył kopertę i patrzył ze zdumieniem na długie listy nazwisk od różnych armatorów, które zdobyła dla niego Helena. Nazwisko Hålena nie figurowało w spisie. Znalazł dwa podobnie brzmiące: Håle - marynarza, który pracował w Granges, i Halléna - głównego mechanika pływającego na liniach Johnsona. Odsunął na bok stertę papierów. Jeżeli rejestr jest kompletny, to znaczy, że Hålen nie służył na statkach należących do szwedzkiej floty handlowej. Odnalezienie go będzie praktycznie niemożliwe. Wallander nie był już w tej chwili pewien, czego właściwie szuka. Co chce wyjaśnić?

Sprawdzenie nazwisk zajęło mu niemal trzy kwadransy.



Kiedy skończył, poszedł na piętro. W korytarzu wpadł na swojego szefa, inspektora Lohmana.

- Nie miałeś być dzisiaj u Hemberga?

- Właśnie tam idę.

- Co ty właściwie robiłeś w Arlöv?

- To długa historia - będzie o tym mowa na zebraniu u Hemberga.

Lohman potrzęsnał głową i szybko się oddalił. Wallander odczuwał ulgę na myśl, że dzisiaj nie musi chodzić z kolegami do ponurych melin narkomanów.

Hemberg siedział w pokoju i przeglądał papiery. Jak zwykle trzymał nogi na biurku. Podniósł wzrok na wchodzącego Wallandera.

- Co się stało? - zapytał, wskazując policzek Kurta.

- Wpadłem na drzwi - skłamał Wallander.

- To samo mówią maltretowane kobiety, kiedy nie chcą wydać swoich mężów - powiedział wesoło Hemberg, zdejmując nogi z biurka.

Wallander czuł, że komisarz go przejrzał. Coraz trudniej mu było go zrozumieć. Jak gdyby właściwy sens tego, co Hemberg mówi, krył się za jego słowami.

- Wciąż czekamy na wynik analizy. To musi trochę potrwać. Dopóki nie będziemy wiedzieli, kiedy nastąpiła śmierć Batisty, musimy się wstrzymać z hipotezą, że mordercą jest Hålen, który po dokonaniu czynu wrócił do domu i zastrzelił się z rozpaczony lub ze strachu.

Hemberg wstał, trzymając w ręku papiery. Wallander poszedł za nim do sali zebrań w głębi korytarza. Siedziało tam już kilku policjantów z kryminalnego, wśród nich Stefansson, który obrzucił Kurta niechętnym spojrzeniem. Sjunnesson dłubał w paznokciach, nie patrząc na nikogo. Wallander zobaczył także dwie inne znajome twarze, Hörnera i Mattssona. Hemberg usiadł na szczycie stołu i wskazał krzesło Kurtowi.

- Czy będzie nam teraz pomagać sekcja prewencji? - odezwał się Stefansson. - Za mało mają swoich cholernych demonstrantów?

- Nie będzie nam pomagać sekcja prewencji - odparł spokojnie Hemberg. - Ale to Wallander znalazł kobietę w Arlöv.

Jedynie Stefansson niechętnie zareagował na obecność Kurta. Pozostali przywitali go przyjaznym skinieniem głowy. Wallander odnosił wrażenie, że z wdzięcznością przyjmują pomoc. Sjunnesson odłożył wykałaczkę, którą czyścił paznokcie. Najwyraźniej był to znak dla Hemberga, że może zaczynać. Wallander zauważył, że dyskusja była rzeczowa i nieodbiegająca od tematu. Policjanci zaczęli od niezaprzeczalnych faktów. Jednocześnie dawali sobie nawzajem, a przede wszystkim Hembergowi, swobodę w poruszaniu się po niepewnym gruncie. Dlaczego zamordowano Aleksandrę Batistę? Co mogło ją łączyć z Hålénem? Czy istnieje jakiś inny trop?

- Kamienie szlachetne w żołądku Håléna - przypomniał sobie Hemberg pod koniec zebrania. - Przyszła wycena od jubilera. Są warte 150 tysięcy koron. To dużo pieniędzy. W tym kraju ludzi morduje się za znacznie mniejsze sumy.

- Kilka lat temu ktoś zabił taksówkarza żelazną rurą - dorzucił Sjunnesson. - W portfelu znalazł 22 korony.

Hemberg rozejrzał się po obecnych.

- A sąsiedzi? - zapytał. - Czy ktoś coś widział lub słyszał?

- Żadnych informacji. Batista żyła samotnie. Mało wychodziła, głównie po zakupy. Nikogo nie przyjmowała.

- Ktoś przecież musiał widzieć Håléna? - nalegał Hemberg.

- Najwyraźniej nie. Mimo że najbliżsi sąsiedzi wyglądają na normalnych szwedzkich obywateli. To znaczy niebywale wścibskich.

- Kiedy ostatnio widziano Batistę?

- Świadkowie się tu nieco różnią w zeznaniach. Ale z tego co mówią, można wywnioskować, że kilka dni temu. Dwa lub trzy, dokładnie się nie da ustalić.

- Czy wiadomo, z czego żyła?

Teraz głos zabrał Hörner.

- Miała chyba niewielką dożywotnią rentę. Nie bardzo wiadomo skąd. Wpłacał ją jakiś portugalski bank, który ma

filie w Brazylii. Z bankami wszystko cholernie długo trwa. W każdym razie nie pracowała. Sądząc po zawartości jej szaf, lodówki i spiżarni, musiała żyć bardzo skromnie.

- A dom?

- Hipoteka jest czysta. Dom kupił za gotówkę jej poprzedni mąż.

- Gdzie go szukać?

- W grobie - odpowiedział Stefansson. - Zmarł kilka lat temu i jest pochowany w Karlskoga. Skontaktowałem się z wdową po nim. Ożenił się po raz drugi. Trochę głupio wyszło, bo za późno się zorientowałem, że ona nie ma pojęcia o jego życiu z Aleksandrą Batistą. W każdym razie nie mieli z Batistą dzieci.

- Bywa i tak - stwierdził Hemberg i odwrócił się do Sjunnessona.

- Robimy swoje - rzekł Sjunnesson. - Mamy odciski palców na szklankach. Zawierały chyba czerwone wino. Może hiszpańskie. Porównujemy z pustą butelką, która stała w kuchni. Sprawdzamy odciski w naszej bazie danych. Potem, rzecz jasna, porównamy z odciskami Håléna.

- Niewykluczone, że Håléń figuruje w bazie Interpolu - wtrącił Hemberg. - Zwrócimy się do nich, ale to trochę potrwa.

- Sądzę, że Batista sama wpuściła zabójcę - ciągnął Sjunnesson. - Nie znaleźliśmy śladów włamania ani na oknach, ani na drzwiach. Może zresztą miał własny klucz. Sprawdziliśmy klucze Håléna i żaden nie pasuje. Wiemy od naszego kolegi Wallandera, że drzwi od strony tarasu były uchylone. Chyba po to, żeby wpuścić świeże powietrze, bo w domu nie było ani psa, ani kota. To z kolei wskazuje, że Batista się nie bała i nie spodziewała się niczego złego. Albo że zabójca opuścił dom tylnym wyjściem, bo stamtąd był mniej widoczny.

- Jakież inne ślady? - pytał Hemberg.

- Nic szczególnego.

Hemberg odsunął rozłożone przed nim papiery.

- Pracujemy dalej. Lekarze sądowi muszą się pospieszyć. Najprostszym rozwiązaniem byłoby, gdyby tę zbrodnię popełnił Håléń. Osobiście uważam, że tak było. Ale trzeba w dalszym ciągu przepytować sąsiadów i grzebać w przeszłości.

Hemberg zwrócił się do Wallandera.

- Chcesz coś dodać? W końcu to ty ją znalazłeś.

Wallander pokręcił przecząco głową. Miał sucho w ustach.

-Nic?

- Nic, o czym by już nie było mowy.

Hemberg zabębnił palcami po blacie stołu.

- W takim razie nie ma co dłużej siedzieć. Czy ktoś wie, co dają dziś na obiad?

- Śledzia - poinformował Hörner. - Na ogół jest smaczny.

Hemberg zaproponował Wallanderowi, żeby poszedł z nim zjeść, lecz Kurt odmówił. Nie miał apetytu. Chciał być sam i spokojnie się zastanowić. Poszedł do pokoju po kurtkę. Widział przez okno, że mżawka ustała. Już miał wychodzić, kiedy zjawił się kolega z przewencyjnego. Rzucił na stół czapkę od munduru.

- Niech to diabli - zaklął i ciężko usiadł na krześle.

Nazywał się Jörgen Berglund i pochodził ze wsi

z okolic Landskrony. Wallander nie zawsze rozumiał jego dialekt.

- Wyczyściliśmy dwie meliny - ciągnął Berglund. - W jednej z nich znaleźliśmy trzynastoletnie dziewczyny, które uciekły z domu wiele tygodni temu. Jedna z nich tak cuchnęła, że trzeba było zatykać nos. Druga ugryzła Perssona w nogę, kiedy ją wynosiliśmy. Co się w tym kraju dzieje? I dlaczego cię dzisiaj nie było?

- Wezwał mnie Hemberg - wyjaśnił Wallander. Na pytanie o to, co się dzieje w Szwecji, nie potrafił odpowiedzieć.

Założył kurtkę i wyszedł. W recepcji zagadnęła go dziewczyna z centrali telefonicznej.

- Jest dla ciebie wiadomość - powiedziała, podając mu przez otwór w szybie karteczkę z zanotowanym numerem telefonu.

- Co to takiego? - zapytał.

- Ktoś do ciebie, kto przedstawił się jako daleki krewny. Nawet nie był pewien, czy go pamiętasz.

- Nie podał nazwiska?

- Nie. To jakiś starszy mężczyzna.

Wallander spojrział na numer. Kierunkowy 0411. To dopiero, pomyślał. Dzwoni ojciec i przedstawia się jako daleki krewny. Którego być może nie pamiętam.

- Gdzie leży Löderup? - zapytał.
- W rejonie komendy Ystad.
- Nie o to pytam. Jaki ma kierunkowy?
- Ten sam co Ystad.

Wallander wcisnął karteczkę do kieszeni i wyszedł. Gdyby miał samochód, pojechałby prosto do Löderup zapytać ojca, co znaczył ten telefon. A potem powiedziałby mu, co czuje. Że całkowicie zrywa z nim kontakt. Nie będzie już partyjek pokera ani telefonów. Przrzekłby, że stawi się na pogrzebie, który ma nadzieję, nastąpi już niedługo. I tyle.

Szedł wzdłuż Fiskehamnsgatan. Następnie skręcił w Slotsgatan i doszedł do Kungsparken. Mam dwa problemy, myślał. Największy i najpoważniejszy to Mona. Drugi to ojciec. Oba muszą jak najszybciej rozwiązać.

Usiadł na parkowej ławce i przyglądał się brodzącym w kałuży wróblom. W krzakach spał pijany mężczyzna. Właściwie powinienem go podnieść, pomyślał Wallander. Posadzić go na ławce albo wysłać do izby wytrzeźwień, żeby się wyspał. Ale teraz mi to wisi. Niech leży, tam gdzie leży.

Wstał z ławki i ruszył dalej. Wyszedł z parku na Regementsgatan. Nadal nie odczuwał głodu. Mimo to przystanął przy kiosku z kielbaskami przy placu Gustawa Adolfa i kupił grillowaną parówkę w bułeczce. Po chwili ruszył z powrotem do komendy.

Dochodziło pół do drugiej. Hemberg był zajęty. Wallander nie wiedział, co ma robić. Właściwie powinien zwrócić się do Lohmana po instrukcje na popołudnie. Zamiast tego na nowo sięgnął po spis od Heleny. Przeglądał nazwiska. Usiłował zobaczyć kryjących się za nimi ludzi, wyobrazić sobie ich życie. Marynarze i maszyniści. Na marginesie zapisane były daty urodzenia. Wallander odsunął papiery. Z korytarza dochodził głośny śmiech.

Starał się skoncentrować na Hålnie, byłym sąsiedzie, który obstawiał zakłady, kazał zamontować dodatkowy zamek w

drzwiach, a po jakimś czasie się zastrzelił. Wszystko wskazywało na to, że teoria Hemberga jest słuszna. Hålen zabił z niewiadomego powodu Aleksandrę Batistę, a potem odebrał sobie życie.

Nic mu nie przychodziło do głowy. Teoria Hemberga wydawała się logiczna i spójna. Mimo to Wallander odnosił wrażenie, że w środku jest pusta. Jak skorupa, pod którą nie wiadomo co się kryje. W dodatku nie pasowała do sąsiada, którego Wallander dość dobrze znał. Nigdy nie zauważył, żeby Hålen był agresywny czy wybuchowy. Co prawda, nawet najbardziej powściągliwy człowiek jest w stanie użyć przemocy, gdy znajdzie się pod presją. Ale czy Hålen rzeczywiście pozbawił życia kobietę, z którą prawdopodobnie łączył go związek uczuciowy?

Czegoś tu brakuje, pomyślał Wallander. Pod tą skorupą jest pustka.

Bezskutecznie wyteżał myśli, z roztargnieniem zerkając na rozłożone na stole listy nazwisk. Nagle, nie wiadomo skąd, przyszło mu do głowy, żeby przejrzeć wszystkie daty urodzenia zapisane na marginesie. Ile właściwie Hålen miał lat? Pamiętał, że urodził się w 1898 roku. Ale nie znał dokładnej daty. Wallander wykrcił numer centrali i poprosił o połączenie ze Stefanssonem, który się natychmiast zgłosił.

- Mówi Wallander. Masz może pod ręką datę urodzenia Hålena?

- Chcesz mu złożyć życzenia?

Nie lubi mnie, pomyślał Wallander. Ale dowiodę mu w swoim czasie, że jestem dużo lepszym śledczym od niego.

- Hemberg mnie prosił, żebym coś sprawdził - skłamał.

Stefansson odszedł od telefonu. Słysząc było szelest przewracanych papierów.

- 17 września 1898 roku - poinformował Stefansson. - Coś jeszcze?

- To wszystko - odparł Wallander i odłożył słuchawkę.

Ponownie sięgnął po rejestr.

Na trzeciej liście znalazł to, czego podświadomie szukał. Maszynistę, Andersa Hanssona, urodzonego 17 września 1898

roku. Inicjały się zgadzają, pomyślał Wallander.

Sprawdził wszystkie pozostałe nazwiska na listach, żeby się upewnić, że nigdzie nie figuruje ta sama data urodzenia. Najbliżej niej, 19 września 1901 roku urodził się inny marynarz. Otworzył książkę telefoniczną i wyszukał numer kancelarii parafialnej<sup>3</sup>. Hålen był zameldowany w tej samej parafii co on. Wybrał numer i czekał. Odezwała się jakaś kobieta. Postanowił w dalszym ciągu podawać się za funkcjonariusza wydziału kryminalnego.

- Moje nazwisko Wallander, z policji kryminalnej - zaczął. - Chodzi o zgon, który nastąpił kilka dni temu. Dzwonię z sekcji zabójstw.

Podał nazwisko, adres i numer ewidencyjny Hålena.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy Hålen zawsze tak samo się nazywał?

- To znaczy czy nie zmienił nazwiska?

Do diabła, zaklął w duchu Wallander. Ludzie przeważnie nie zmieniają imion, tylko nazwiska.

- Zaraz sprawdzę - powiedziała kobieta.

To był błąd, zreflektował się Wallander. Reaguję, zanim dokładnie przemyślę swoje podejrzenia.

Zastanawiał się, czy nie odłożyć słuchawki. Obawiał się jednak, że kobieta, sądząc, że przerwało rozmowę, zacznie go poszukiwać w komendzie. Czekał więc dalej. Trwało dość długo, zanim wróciła.

- Właśnie rejestrują jego zgon. Dlatego tyle to trwało - wyjaśniła. - Ale miał pan rację.

Wallander wyprostował się na krześle.

- Wcześniej nazywał się Hansson. Zmienił nazwisko w 1962 roku.

Trafione, pomyślał Wallander.

- A imię? - zapytał.

- Anders.

- Powinno być Artur.

Odpowiedź go zaskoczyła.

---

<sup>3</sup> Do 1991 roku ewidencję ludności prowadził Kościół szwedzki (przyp. tłum.).

- Zgadza się. Jego rodzice najwyraźniej lubili imiona. Nazywał się Eryk Anders Artur Hansson.

Wallander wstrzymał oddech.

- Serdecznie dziękuję za pomoc.

Po skończonej rozmowie poczuł nieodpartą chęć kontaktu z Hembergiem. Ale zadawał sobie pytanie, jaką wartość tak naprawdę ma jego odkrycie. Będę działał sam, zdecydował. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej nikt się nie dowie.

Sięgnął po notes, żeby podsumować fakty. Jakie informacje zdobył dotychczas? Siedem lat temu Artur Hålen zmienił nazwisko. Wallander usłyszał kiedyś od Linnei Almqvist, że Hålen wprowadził się na początku lat sześćdziesiątych. To by się zgadzało.

Przerwał pisanie i siedział z piórem w ręku. Po chwili jeszcze raz zatelefonował do kancelarii parafialnej. Odebrała ta sama kobieta.

- Zapomniałem zapytać o jedną rzecz - wyjaśnił. - Kiedy Hålen zamieszkał w Rosengård?

- Chce pan powiedzieć Hansson - sprostowała kobieta. - Zaraz sprawdzę.

Tym razem wróciła szybciej.

- Został zameldowany 1 stycznia 1962.

- A gdzie mieszkał przedtem?

- Nie wiem.

- Myślałem, że to jest w dokumentach.

- Przebywał za granicą. Nie wiadomo gdzie.

Wallander skinął głową.

- To chyba wszystko. Nie będę już zawracał głowy.

Powrócił do swoich notatek. Hansson przyjeżdża do Malmö z nieznanego miejsca poza granicami Szwecji w 1962 roku i w tym samym czasie zmienia nazwisko. Kilka lat później nawiązuje romans z kobietą w Arlöv. Nie wiadomo, czy wcześniej się znali. Mija następne kilka lat i kobieta zostaje zamordowana, a parę dni później Hålen odbiera sobie życie. Wciąż nie jest jasne, w jakiej kolejności nastąpiły dwa ostatnie wydarzenia. W każdym razie Hålen się zastrzelił. Przedtem wypełnił kupon zakładów i zamontował dodatkowy zamek w



drzwiach od mieszkania. I połknął pewną ilość szlachetnych kamieni.

Wallander się skrzywił. Nie dostrzegwał żadnego punktu wyjścia. Dlaczego człowiek zmienia nazwisko, myślał. Żeby zniknąć? Żeby nie można go było odnaleźć? Żeby nikt nie wiedział, kim jest i kim był kiedyś?

Kim jest i kim był kiedyś?

Wallander rozmyślał. Nikt nie znał Hålena. Był samotnikiem. Ale może są jacyś ludzie, którzy znali Andersa Hanssona. Tylko jak ich odnaleźć?

W tym samym momencie przypomniał sobie pewne zdarzenie z ubiegłego roku. Wezwano go do terminalu promowego, gdzie wynikła bójka pomiędzy kilkoma podpitymi mężczyznami. Jednym z nich był duński marynarz Holger Jespersen. Wallander połapał się, że Jespersen został wciągnięty w bijatykę wbrew swojej woli, i przekonał swojego dowódcę, że mężczyzna w niczym nie zawinił. W rezultacie Jespersena zwolniono, a pozostałych mężczyzn zatrzymano. Niedługo potem Wallander zapomniał o całym zajściu.

Kilka tygodni później Jespersen stanął na progu mieszkania Wallandera w Rosengård i wręczył mu butelkę akwawitu w podziękowanie za pomoc. Wallander nigdy się nie dowiedział, jak Jespersen go znalazł. Zaprosił go do domu. Jespersen miał okresy, kiedy dużo pił. Kiedy pił mniej, pływał na różnych statkach jako motorzysta. Był świetnym gawędziarzem i znał chyba wszystkich skandynawskich marynarzy z ostatnich pięćdziesięciu lat. Opowiadał, że spędza wieczory w barze w Nyhavn, gdzie w okresach trzeźwości pije kawę, a w pozostałych piwo. Zawsze w tym samym miejscu. Chyba że akurat jest na morzu.

Teraz przypomniał się Wallanderowi. Jespersen na pewno wie, pomyślał. A w każdym razie może mi pomóc.

Szybko podjął decyzję. Jeśli będzie miał szczęście, to złapie Jepsersena w Kopenhadze. Może nawet trafi na jego okres trzeźwości. Nie było jeszcze trzeciej. Resztę dnia zajmie mu podróż do Kopenhagi i z powrotem. W komendzie najwyraźniej nie jest potrzebny. Ale zanim przekroczy cieśninę

Sund, musi jeszcze gdzieś zadzwonić. Decyzja wyjazdu do Kopenhagi w pewnym sensie dodała mu odwagi. Wykręcił numer salonu fryzjerskiego, gdzie pracowała Mona.

Telefon odebrała Karin, właścicielka salonu. Wallander często ją widywał. Uważał, że jest natrętna i wścibska. Jednak Mona twierdziła, że jest dobrą szefową. Przedstawił się i poprosił o przekazanie wiadomości Monie.

- Możesz z nią sam porozmawiać - powiedziała Karin. - Klientka siedzi pod suszarką.

- Jestem na zebraniu grupy dochodzeniowej - skłamał Wallander, udając zajętego. - Powtórz jej tylko, że się odezwę najpóźniej o dziesiątej wieczorem.

Karin przyrzekła przekazać wiadomość.

Wallander spociał się w czasie tej krótkiej rozmowy. Był jednak zadowolony, że się na nią odważył.

Wyszedł z komendy i w ostatniej chwili zdążył na prom, który odchodził o trzeciej. Kiedyś często pływał do Kopenhagi. Ostatnio bywał tam czasem z Moną. Ale wcześniej zwykle sam. Chodził nieraz na przedstawienia operowe w Det Kongelige. Lubił to miasto, o tyle większe od Malmö.

Właściwie nie przepadał za katamaranami. Podróż stała się zbyt krótka. Na starych promach bardziej się czuło odległość między Szwecją a Danią, a przeprawa przez cieśninę Sund była podróżą za granicę. Siedział przy oknie, popijając kawę. Pewnego dnia na pewno zbudują tu most, myślał. Ale ja chyba tego nie dożyję.

W Kopenhadze przywitała go mżawka. Statek przybił do Nyhavn. Odnalazł ulubioną knajpę Jespersena i wszedł do mrocznego wnętrza z uczuciem pewnego napięcia. Była za kwadrans czwarta. Rozejrzał się po słabo oświetlonym lokalu. Przy stolikach siedzieli pojedynczy goście, popijając piwo.

Grało radio. A może adapter? Głos duńskiej piosenkarki w bardzo sentymentalnej piosence. Nigdzie nie widział Jespersena. Barman rozłożył gazetę na blacie i rozwiązywał krzyżówkę. Uniósł głowę, kiedy podszedł Wallander, który zamówił piwo. Barman podał mu tuborga.

- Szukam Jespersena - powiedział Wallander.

- Holgera? Będzie za jakąś godzinę.

- Aha, więc nie jest na morzu?

Barman się uśmiechnął.

- Chyba nie mógłby wtedy przyjść za godzinę? Zwykle zjawia się koło piątej.

Wallander usiadł przy stoliku i czekał. Sentymentalny kobiecy głos zastąpił równie ekliwy głos męski. Myślał o tym, co powie Monie po powrocie do Malmö. Będzie miał dużo czasu, żeby do niej zadzwonić, o ile Jespersen rzeczywiście przyjdzie o piątej. O policzku nawet nie wspomni. Wy tłumaczy, dlaczego nawiązał kontakt z Heleną. I nie ustąpi, dopóki Mona mu nie uwierzy.

Mężczyzna przy jednym ze stolików zasnął. Barman wciąż pochylał się nad krzyżówką. Od czasu do czasu otwierały się drzwi, wpuszczającienne światło. Ktoś wchodził i wychodził. Wallander spojrział na zegarek. Za dziesięć piąta. Jespersen nie przychodził. Poczul głód i zamówił kielbaski i kolejne piwo. Miał wrażenie, że od kiedy przyszedł, barman głowi się ciągle nad tym samym słowem.

Nadeszła piąta. Jespersen się nie pojawił. Pewnie nie przyjdzie, pomyślał Wallander. Akurat dzisiaj wpadł w swój alkoholowy ciąg.

Drzwi się otworzyły i weszły dwie kobiety. Jedna zamówiła kieliszek wódki i usiadła przy stoliku. Dru-ga weszła do baru. Barman zostawił gazetę i zajął się butelkami na półkach. Kobieta najwyraźniej tam pracowała. Dwadzieścia po piątej drzwi się otworzyły i wszedł Jespersen w dzinsowej kurtce i czapce z daszkiem. Podeszedł prosto do baru i się przywitał. Barman natychmiast postawił przed nim filiżankę kawy i wskazał na stół, przy którym siedział Wallander. Jespersen wziął kawę i uśmiechnął się na jego widok.

-A to niespodzianka - powitał go łamanym szwedzkim. - Szwedzki stróż porządku w Kopenhadze.

- Nie stróż - poprawił go Wallander. - Policjant. Albo policjant kryminalny.

- To przecież jeden diabeł?

Jespersen zachichotał i wrzucił cztery kostki cukru do

filiżanki z kawą.

- Tak czy siak, przyjemnie cię zobaczyć - powiedział. - Znam wszystkich, którzy tu przychodzą. Wiem, co będą pili i co powiedzą. A oni to samo wiedzą o mnie. Czasami myślę, żeby pójść gdzie indziej. Ale chyba się boję.

- Czego?

- Że ktoś powie coś, czego wolałbym nie słyszeć.

Wallander nie rozumiał wszystkiego, co mówi Jespersen. Częściowo z powodu gardłowo brzmiącej mieszanki szwedzko-duńskiej, częściowo dlatego, że trochę niejasno się wyrażał.

- Przyjechałem się z tobą zobaczyć - oznajmił Wallander. - Pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc.

- Każdemu innemu stróżowi porządku kazałbym iść do diabła - rzekł wesoło Jespersen. - Ale z tobą jest inaczej. Co chciałbyś wiedzieć?

Wallander opowiedział w skrócie ostatnie wydarzenia.

- Marynarz, który ma dwa nazwiska, Anders Hansson i Artur Hålen - zakończył. - Pływał jako marynarz i maszynista.

- U którego armatora?

- Sahléna.

Jespersen powoli kręcił głową.

- Powinienem być słyszeć o kimś, kto zmienił nazwisko. To nie takie częste.

Wallander starał się opisać wygląd Håléna. Jednocześnie przypomniał sobie fotografię z książeczki żeglarskiej. Człowiek się zmienia. Może zresztą Hålen świadomie zmienił swój wygląd wraz ze zmianą nazwiska?

- Możesz powiedzieć coś więcej? - zapytał Jespersen. - Marynarz i maszynista w jednej osobie. To niecodzienne połączenie. Do jakich portów pływał, na jakich statkach?

- Wydaje mi się, że wiele razy był w Brazylii - odparł niepewnie Wallander. - W Rio de Janeiro, naturalnie. Ale też w jakimś Sao Luis.

- Północna Brazylia - skwitował Jespersen. - Byłem tam jeden raz. Miałem przepustkę i mieszkałem w eleganckim hotelu Casa Grande.

- Dużo więcej nie wiem - wyjaśnił Wallander.

Jespersen spojrział na niego, wkładając kolejną kostkę cukru do kawy.

- Czy ktoś go znał? To chcesz wiedzieć? Czy znał Andersa Hanssona albo Artura Håléna?

Wallander skinął głową.

- Dzisiaj nic więcej nie wymyślimy - stwierdził Jespersen. - Postaram się zasięgnąć języka. Tutaj i w Malmö. A teraz chodźmy coś zjeść.

Wallander spojrział na zegarek. Wpół do szóstej. Nie musi się spieszyć. Jeśli popłynie z powrotem o dziewiątej, to zdąży jeszcze zadzwonić do Mony. Poza tym był głodny. Nie najadł się kielbaskami.

- Małże - rzucił Jespersen. - Idziemy do gospody Anne-Birte na małże.

Wallander zapłacił za swoje piwo. Ale Jespersen już wyszedł na ulicę, więc Kurt uregulował rachunek również za niego.

Gospoda Anne-Birte leżała w południowej części Nyhavn. Wieczór był wczesny, nie mieli więc kłopotu ze znalezieniem wolnego stolika. Wallander nie przejawiał większej ochoty na małże, ale Jespersen już podjął decyzję. Kurt pozostał przy piwie, a Jespersen przeszedł na zjadliwie żółtą cytrynową oranżadę.

- Teraz nie piję - wyznał. - Ale za parę tygodni znowu zacznę.

Podczas jedzenia Wallander wysłuchał wielu zabawnie opowiedzianych historii z życia Jepsersena na morzu. Pożegnali się około pół do dziewiątej.

Wallander trochę się denerwował, czy wystarczy mu pieniędzy na zapłacenie rachunku. Jespersen najwyraźniej czuł się zaproszony. Na szczęście wystarczyło.

Rozstali się przed gospodą.

- Zbadam sprawę i się odezwę - rzucił Jespersen na pożegnanie.

Wallander ruszył do przystani i ustawił się w kolejce. Punktualnie o dziewiątej podniesiono cumy. Kurt przymknął oczy i natychmiast zasnął.

Obudziła go panująca wokoło cisza. Ucichł szum motorów.

Rozejrzył się zdziwiony. Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi między Danią a Szwecją. Po chwili w głośnikach rozległ się głos kapitana. Z powodu awarii silnika statek musi zostać odholowany do Kopenhagi. Wallander poderwał się z fotela i zapytał stewardesę, czy na pokładzie jest telefon. Dowiedział się, że nie ma.

- Kiedy będziemy w Kopenhadze?

- Niestety, dopiero za kilka godzin. Ale zapraszamy wszystkich na kanapki i napoje.

- Nie chcę kanapek - oświadczył Wallander. - Chcę telefon.

Nic jednak nie wskórał. Kiedy zwrócił się o pomoc do sternika, ten go zbył, mówiąc, że gdy na statku jest awaria, radiotelefon nie może służyć do prywatnych rozmów.

Wallander wrócił na fotel.

Mona mi nie uwierzy, myślał. To będzie ostatnia kropla goryczy. Awaria na statku skończy się ostateczną awarią naszego związku.

Wrócił do Malmö o pół do trzeciej nad ranem. Do Kopenhagi dopłynęli tuż po północy. Na telefon do Mony było już za późno. Kiedy zszedł na ląd, w Malmö lał deszcz. Nie miał dosyć pieniędzy na taksówkę, więc szedł do domu na piechotę. Ledwie przekroczył próg mieszkania, chwyciły go gwałtowne torsje. Wkrótce dostał gorączki.

Małże, pomyślał. Teraz naprawdę rozchoruję się na żołądek.

Resztę nocy spędził między łóżkiem a łazienką. Na szczęście przypomniał sobie, że wciąż jest na zwolnieniu. O świcie udało mu się zasnąć i przespać kilka godzin. Ale już od dziewiątej rano znów zaczął biegać do łazienki. Nie było mowy, żeby mógł w tym stanie zadzwonić do Mony. W najlepszym wypadku Mona może się domyśli, że coś się stało, że jest chory. Jednak telefon milczał. Przez cały dzień nikt się do niego nie odezwał.

Późnym wieczorem poczuł się nieco lepiej. Był zbyt osłabiony, żeby przyrządzić sobie coś do jedzenia. Wypił tylko filiżankę herbaty. Zanim powtórnie zasnął, pomyślał o Jespersenie. Miał nadzieję, że on też się zatrul, bo to on namówił go na małże.

Nazajutrz na śniadanie zjadł jajko na miękko. Zaraz potem

musiał znów pędzić do łazienki. Resztę dnia spędził w łóżku. Czuł, że żołądek pomалу się uspokaja.

Tuż przed piątą zadzwonił telefon. Dzwonił Hemberg.

- Szukałem cię - powiedział.

- Jestem chory.

- Grypa żołądkowa?

- Raczej małże.

- Myślałem, że mądrzy ludzie nie jedzą małży.

- Niestety ja zjadłem. I zostałem ukarany.

Hemberg zmienił temat.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Jörne przesłał wynik. Jest inaczej, niż sądziliśmy. Hålen odebrał sobie życie, zanim Aleksandra Batista została uduszona. Co oznacza, że musimy inaczej ukierunkować śledztwo. Mamy do czynienia z nieznanym sprawcą.

- Może to przypadek?

- Że Batista zginęła, a Hålen się zastrzelił? Z drogocennymi kamieniami w żołądku? Możesz to wmawiać komuś innemu. Brakuje nam ogniwa w tym łańcuchu. Dla uproszczenia możemy stwierdzić, że w dramacie dwóch osób pojawiła się nagle trzecia.

Wallander chciał powiedzieć Hembergowi, że Hålen zmienił nazwisko, ale znów złapały go mdłości. Przeprosił swojego rozmówcę.

- Przyjdź jutro, jak będziesz się lepiej czuł. I jak najwięcej pij - poradził Hemberg. - To jedyne, co pomaga.

Po zakończeniu rozmowy i kolejnej wizycie w łazience Wallander wrócił do łóżka. Wieczór i noc minęły mu na granicy snu i jawy. Żołądek się uspokoił, ale czuł się nadal bardzo słaby. Śniła mu się Mona i myślał o tym, co powiedział Hemberg. Ale nie miał siły dłużej się zastanawiać ani zagłębiać się w szczegóły.

Rano poczuł się lepiej. Zjadł grzanekę i napił się słabej kawy. Żołądek nie zastrajkował. Wywietrzył mieszkanie, by pozbyć się nieprzyjemnego zapachu. Deszczowe chmury odplynęły i zrobiło się ciepło. W porze obiadu zadzwonił do salonu fryzjerskiego. Znów odebrała Karin.

- Możesz powiedzieć Monie, że zadzwonię wieczorem? - zapytał. - Byłem chory.

- Powtórzę jej.

Nie był pewien, czy w jej głosie brzmiała nuta sarkazmu. Nie przypuszczał, żeby Mona dużo mówiła o swoim prywatnym życiu. W każdym razie miał taką nadzieję.

Około pierwszej był gotowy do wyjścia z domu. Na wszelki wypadek zadzwonił na komendę, żeby się upewnić, czy Hemberg jest na miejscu. Bezskutecznie próbował się z nim połączyć albo dowiedzieć się, gdzie go szukać. W końcu się poddał i postanowił iść po zakupy, a po południu przygotować się do czekającej go niełatwej rozmowy z Moną.

Na obiad zjadł zupę, a potem oglądał telewizję, leżąc na kanapie. Tuż po siódmej rozległ się dzwonek do drzwi. Mona, pomyślał. Zrozumiała, że coś jest nie w porządku i przysłała.

Ale kiedy otworzył, w drzwiach ujrzał Jaspersena.

- Twoje cholerne małże - rzucił ze złością. - Chorowałem przez dwie doby.

Jespersen spojrzał na niego zdziwiony.

- Nic mi nie było - odrzekł. - Małże na pewno były w porządku.

Wallander zrozumiał, że dalsza rozmowa na ten temat nie ma sensu. Wpuścił Jaspersena do środka. Usiedli w kuchni.

- Dziwnie tu pachnie.

- Ten, kto tu mieszka, spędził prawie czterdzieści godzin wtoalecie.

Jespersen pokręcił głową.

- To musiało być coś innego. Nie małże Anne-Birte.

- Jesteś tutaj, to znaczy, że masz coś do zakomunikowania - rzekł Wallander.

- Przydałoby się trochę kawy.

- Niestety właśnie się skończyła. Nie wiedziałem, że przyjedziesz.

Jespersen kiwnął głową. Nie poczuł się urażony.

- Od małży może boleć bandzioch - powiedział. - Ale ciebie chyba w tej chwili gnębi coś innego?

Wallander był zaskoczony. Jespersen przejrzał go na wylot,



dotarł do bolesnego punktu, czyli do Mony.

- Może masz rację - przyznał. - Ale nie mówmy o tym teraz.

Jespersen rozłożył ramiona.

- Jesteś tutaj, to znaczy, że masz mi coś do zakomunikowania - powtórzył Wallander.

- Czy mówiłem ci już, jak bardzo szanuję waszego prezydenta, Palmego?

- Palme nie jest prezydentem. Jeszcze nawet nie jest premierem. Nie przyjechałeś chyba tutaj, żeby o tym rozmawiać?

- Muszę to koniecznie powiedzieć - obstawał przy swoim Jespersen. - Ale masz oczywiście rację, przyjechałem tu z innego powodu. Jak się mieszka w Kopenhadze, to przyjeżdża się do Malmö tylko po to, żeby coś załatwić. Rozumiesz, co mam na myśli.

Wallander niecierpliwie skinął głową. Jespersen bywał nużący. Ale nie wtedy, kiedy opowiadał swoje historie. Robił to po mistrzowsku.

- Rozpytałem się trochę wśród przyjaciół w Kopenhadze - zaczął Jespersen. - Ale nic to nie dało. W Malmö poszło lepiej. Rozmawiałem ze starym elektrykiem, który przez tysiąc lat opłynął wszystkie morza. Nazywa się Ljungström i mieszka teraz w domu starców. Zapomniałem, jak się to miejsce nazywa. Ledwie trzyma się na nogach, ale pamięć ma w porządku.

- I co mówił?

- Nic. Ale zasugerował, żebyśmy pogadał z pewnym gościem we Frihamnen. Znalazłem go i kiedy spytałem o Hanssona i Hålena, powiedział, że „wokół tych dwóch panuje jakieś cholerne zamieszanie”.

- Co to ma znaczyć?

- A jak myślisz? Jesteś policjantem i powinieneś rozumieć to, czego zwykli ludzie nie kumają.

- Powtórz jeszcze raz.

- „Cholerne zamieszanie wokół tych dwóch”.

Teraz Wallander zrozumiał.

- Ktoś jeszcze się o nich rozpytywał, a raczej o niego?

- Yes.

- Kto taki?

- Nie znał nazwiska tego gościa. Twierdzi, że wyglądał trochę niechlujnie. No wiesz, nieogolony, marnie ubrany. Na gazie.

- Kiedy to było?

- Jakiś miesiąc temu.

Mniej więcej wtedy Hålen założył dodatkowy zamek, pomyślał Wallander.

- Nie wie, jak gość się nazywa? Czy mogę sam z nim pogadać? Co to za jeden?

- Nie będzie gadał z policjantem.

- Dlaczego?

Jespersen wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak to jest w porcie. - Skrzynie z alkoholem się rozpadają, nie można się doliczyć worków z kawą.

Wallander znał te rzeczy ze słyszenia.

- Rozpytywałem się dalej - ciągnął Jespersen. - I jeśli dobrze zrozumiałem, to w parku w centrum miasta zbiera się ferajna i wspólnie obalają jedną lub dwie flaszki. Zapomniałem, jak się ten park nazywa. Coś na P?

- Pildammsparken?

- Właśnie. I ten, co pytał o Hålena, a może Hanssona, ma opadającą powiekę.

- Którą?

- Jak go odnajdziesz, to sam się przekonasz.

- Pytał o Hålena albo Hanssona jakiś miesiąc temu? I przesiaduje w Pildammsparken?

- Pomyślałem, że możemy go odszukać, zanim popłynę z powrotem - zaproponował Jespersen. - Może po drodze znajdziemy jakąś kawiarnię?

Wallander spojrział na zegarek. Pół do ósmej.

- Dziś wieczorem nie dam rady. Jestem zajęty.

- W takim razie wracam do Kopenhagi. Pogadam z Anne-Birte o małżach.

- Może to było coś innego.

- To właśnie powiem Anne-Birte.

Wyszli na korytarz.

- Dziękuję, że przyjechałeś - rzekł Wallander. - I dzięki za pomoc.

- Nie ma za co - odparł Jespersen. - Gdyby nie ty, to zapłaciłbym wtedy grzywnę i miałbym kłopoty.

- Do zobaczenia - pożegnał go Wallander. - I żadnych mały następnym razem.

- Żadnych mały - powtórzył Jespersen i wyszedł.

Wallander wrócił do kuchni i zanotował wszystko,

co usłyszał. Ktoś pytał o Hålena lub Hanssona mniej więcej miesiąc temu. W tym samym czasie Hålen wstawił dodatkowy zamek w drzwiach. Mężczyzna, który szukał Hålena. Ma opadającą powiekę i prowadzi życie włóczęgi. Być może bywa w Pildammsparken.

Wallander odłożył pióro. Muszę porozmawiać z Hembergim, postanowił. Tym razem mamy prawdziwy trop.

Zaczął żałować, że nie poprosił Jespersena, żeby zapytał swoich kumpli, czy nie słyszeli o kobiecie nazwiskiem Aleksandra Batista.

Zły był na siebie za to niedopatrzenie. Wyrzucał sobie, że nie potrafi pomyśleć do końca i popełnia niepotrzebne błędy.

Była za piętnaście ósma. Wallander chodził w kółko po mieszkaniu. Czuł się nieswój, mimo że żołądek już mu nie dokuczał. Pomyślał, że powinien zadzwonić na nowy numer ojca w Löderup, ale obawiał się kolejnej sprzeczki. Wystarczy mu jedna z Moną. Wyszedł się przejść po okolicy, żeby jakoś zabić czas. Wieczór był ciepły, czuło się wreszcie lato. Zastanawiał się nad planowaną podróżą do Skagen.

O pół do dziewiątej był z powrotem w domu. Usiadł przy stole w kuchni i położył przed sobą zegarek. Zachowuję się jak dziecko, pomyślał. Ale w tej chwili nie potrafię inaczej.

Zadzwonił o dziewiątej. Mona odebrała niemal od razu.

- Zanim odłożysz słuchawkę, chciałbym się wytłumaczyć - zaczął.

- Kto powiedział, że odłożę słuchawkę?

Wallander był zbity z tropu. Przygotował się do tej rozmowy. Tymczasem to Mona przejęła inicjatywę.

- Jestem pewna, że możesz się wytłumaczyć - stwierdziła. -

Ale w tej chwili to mnie nie interesuje. Uważam, że powinniśmy się spotkać i porozmawiać.

- Teraz?

- Nie dzisiaj. Jutro, jeżeli możesz.

- Mogę.

- Przyjadę do ciebie. Ale dopiero koło dziewiątej. Obiecałam, że wpadnę do mamy. Ma jutro urodziny.

- Mogę zrobić kolację.

- Nie trzeba.

Wallander próbował powrócić do swoich przygotowanych wyjaśnień, ale Mona mu przerwała.

- Porozmawiamy jutro. Nie przez telefon.

Rozmowa nie trwała nawet minuty i nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że przybierze taki obrót. Mimo że wyczuł u Mony pewne niepokojące sygnały.

Nie mógł usiedzieć w domu. Był zaledwie kwadrans po dziewiątej. Mam czas na spacer w Pildammsparken, pomyślał. Kto wie, czy nie natrafię na mężczyznę z opadającą powieką.

Wallander trzymał sto koron w dziesiątkach w książce na półce. Wsunął je do kieszeni, włożył kurtkę i wyszedł z domu. Było bezwietrznie i wciąż jeszcze ciepło. W drodze do autobusu nucił melodię z opery *Rigoletto*. Puścił się biegiem do nadjeżdżającego autobusu.

Gdy dotarł do parku, opadły go wątpliwości. Park był rozległy. Wybrał się na poszukiwanie domniemanego zabójcy. W uszach rozbrzmiewał mu bezwzględny zakaz podejmowania indywidualnych działań. Wolno mi przecież spacerować, myślał. Nie noszę munduru, nikt nie wie, że jestem policjantem. Jestem po prostu samotnym mężczyzną, wyprowadzającym na spacer niewidocznygo psa.

Szedł parkową ścieżką. Pod drzewem siedziała grupka młodzieży. Ktoś grał na gitarze. Zauważył kilka butelek wina. Zastanawiał się nad liczbą wykroczeń, które w dzisiejszych czasach popełniali młodzi ludzie. Lohman z pewnością by interweniował. Ale Wallander spokojnie ich minął. Kilka lat temu mógłby być jednym z nich. A teraz jest policjantem i ma za zadanie zatrzymywać osoby spożywające alkohol w

publicznym miejscu. Na tę myśl pokręcił głową. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy zacznie służbę w wydziale kryminalnym. Nie po to został policjantem, żeby przeganiać młodych ludzi grających na gitarze i pijących wino w ciepły letni wieczór, ale żeby zatrzymywać prawdziwych przestępców. Tych, którzy używają przemocy, dokonują rabunków, przemycają narkotyki.

Szedł dalej w głąb parku. Z oddali dochodził odgłos ulicznego ruchu. Minęli go ciasno objęci chłopak i dziewczyna. Pomyślał o Monie. Wszystko będzie dobrze. Niebawem pojedą do Skagen, a on nigdy się więcej nie spóźni na umówione spotkanie.

Wallander przystanął. Na ławce, w niewielkiej odległości od niego, siedziało kilku mężczyzn pijących alkohol. Jeden z nich szarpał za smycz wilczura, który niespokojnie się kręcił. Wallander powoli szedł w ich stronę. Siedzący na ławce wydawali się nie zwracać na niego uwagi. Nie zauważył nikogo z opadającą powieką. Nagle wyrósł przed nim potężnie zbudowany mężczyzna na chwiejnych nogach. Pod rozpiętą koszulą przeżyły się mięśnie.

- Przydałaby się dycha - oznajmił.

W pierwszym odruchu chciał odmówić. Dziesięć koron to dużo pieniędzy. Ale zmienił zdanie.

- Szukam kumpla - zagadnął. - Gościa z opadającą powieką.

Niczego się nie spodziewał, więc tym większe było jego zdumienie, gdy usłyszał nieoczekiwaną odpowiedź.

- Rune tu nie ma. Diabli wiedzą, gdzie się podziewa.

- Właśnie - potwierdził Wallander. - Chodzi o Rune.

- A ty coś za jeden? - zapytał, chwiejąc się na nogach, mężczyzna.

- Kurt. Stary kumpel.

- Nigdy cię wcześniej nie widziałem.

Wallander dał mu dziesiątkę.

- Powiedz mu, jak go zobaczysz - poprosił. - Powtórz, że był tu Kurt. Wiesz, jak Rune ma na nazwisko?

- Nawet nie wiem, czy ma jakieś nazwisko. Rune to Rune, i basta.

- A gdzie mieszka?

Mężczyzna na chwilę przestał się chwiać.

- Zdawało mi się, że jesteście kumplami? Powinieneś wiedzieć, gdzie mieszka.

- Dość często się przeprowadza.

Mężczyzna zwrócił się do siedzących na ławce.

- Ktoś wie, gdzie mieszka Rune?

Pytanie wywołało falę chaotycznych komentarzy. Najpierw przez dłuższą chwilę ustalano, o jakiego Rune chodzi. Potem nastąpiło wiele sprzecznych informacji na temat jego miejsca zamieszkania. Czy w ogóle miał jakieś mieszkanie. Wallander czekał. Owczarek stał przy ławce i nieprzerwanie ujadął.

Umięśniony mężczyzna podszedł do Kurta.

- Nie wiemy, gdzie mieszka Rune - oznajmił. - Ale możemy powtórzyć, że szukał go Kurt.

Wallander skinął głową i szybko się oddalił. Mógł się naturalnie mylić. Miał jednak przeczucie, że wpadł na właściwy trop. Powinien natychmiast zawiadomić Hemberga, żeby zarządził obserwację parku. Być może mężczyzna z opadającą powieką figuruje w policyjnej bazie danych?

Nagle opadły go wątpliwości. Zbyt szybko się zapędził. Najpierw musi odbyć poważną rozmowę z Hembergiem. Powiedzieć mu o zmianie nazwiska i o tym, czego się dowiedział od Jespersena. Niech Hemberg sam oceni, czy to jest właściwy trop.

Rozmowa z Hembergiem musi poczekać do jutra.

Wallander opuścił park i wsiadł w autobus do domu.

Był wciąż osłabiony po chorobie i zasnął już przed północą.

Nazajutrz obudził się o siódmej, wyspany i wypoczęty. Czuł się na tyle dobrze, że na śniadanie wypił kawę. Następnie wykręcił numer telefonu, który przekazała mu recepcjonistka. Długo czekał, zanim ojciec podniósł słuchawkę.

- To ty? - odezwał się opryskliwie ojciec. - Nie mogłem znaleźć telefonu w tym śmietniku.

- Dlaczego dzwoniisz na komendę i podajesz się za dalekiego

krewnego? Nie możesz, do diabła, powiedzieć, że jesteś moim ojcem?

- Nie chcę mieć do czynienia z policją - odrzekł ojciec. - Dlaczego się u mnie nie pokazujesz?

- Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz. Krystyna wytłumaczyła mi niezbyt dokładnie.

- Jesteś zbyt leniwy, żeby się dowiedzieć. To twoja wina.

Rozmowa przybrała zły obrót. Wallander uznał, że najlepiej ją jak najprędzej zakończyć.

- Przyjadę za parę dni - zapewnił. - Przedtem zadzwonię po wskazówki. Jak się tam czujesz?

- Dobrze.

- Dobrze? Tylko tyle?

- Na razie jest bałagan, ale jak tylko zrobię porządek, będzie pierwszorzędnie. Urządzą sobie świetną pracownię w dawnej oborze.

- Niedługo przyjadę - powtórzył Wallander.

- Nie uwierzę, dopóki cię nie zobaczę - rzekł ojciec. - Na policjantach rzadko można polegać.

Zakończyli rozmowę. On może żyć jeszcze dwadzieścia lat, pomyślał zgnębiony Wallander. I przez cały ten czas będę go miał na karku. Muszę się raz na zawsze z tym pogodzić. Już teraz jest niemożliwy, a co dopiero, jak będzie jeszcze starszy.

Wallander zjadł z przyjemnością kilka kanapek, a potem pojechał autobusem do komendy. Tuż po ósmej zastukał do wpółotwartych drzwi Hemberga.

Usłyszał niewyraźny pomruk i wszedł do środka. Tym razem Hemberg nie siedział z nogami na stole. Stał przy oknie i przerzucał strony porannej gazety. Z uśmiechem spojrzął na wchodzącego Wallandera.

- Małże - powiedział. - Z małżami trzeba uważać, bo wchłaniają najgorsze świństwa z wody.

- Może to nie były małże - rzekł wymijająco Wallander.

Hemberg odłożył gazetę i usiadł.

- Muszę z panem pomówić - oświadczył Wallander. - To zajmie więcej niż pięć minut.

Hemberg wskazał mu krzesło.

Wallander opowiedział, jak odkrył, że Hålen kilka lat temu zmienił nazwisko. Hemberg natychmiast nadstawił uszu. Kurt mówił dalej, o rozmowie z Jespersenem, jego wczorajszej wizycie i przechadzce w Pildammsparken.

- Facet ma na imię Rune - zakończył. - Bez nazwiska. I ma opadającą powiekę.

Hemberg rozważał w milczeniu słowa wypowiedziane przez Wallandera.

- Każdy człowiek ma jakieś nazwisko - odezwał się po chwili. - A w takim mieście jak Malmö nie ma tak wielu osób, których znakiem szczególnym jest opadająca powieka.

Potem zmarszczył czoło.

- Mówiłem ci już raz, żebyś nie działał na własną rękę. Ponadto powinienś być już wczoraj zwrócić się do mnie lub do kogoś z naszego wydziału. Zgarnęlibyśmy tych z parku. Po wytrzeźwieniu i dokładnym przesłuchaniu ludzie zazwyczaj przypominają sobie to i owo. Spisałeś ich nazwiska?

- Nie mówiłem, że jestem z policji. Przedstawiłem się jako kolega Rune.

Hemberg pokręcił głową.

- Tego nie wolno ci robić. My działamy w sposób jawny, chyba że są szczególne powody, aby postępować inaczej.

- Domagał się pieniędzy - bronił się Wallander. - Inaczej nawet bym się nie zatrzymał.

Hemberg bacznie mu się przyglądał.

- Co robiłeś w Pildammsparken?

- Poszedłem się przejść.

- Nie przeprowadzałeś czegoś w rodzaju prywatnego śledztwa?

- Czuję potrzebę ruchu.

Na twarzy Hemberga malowało się niedowierzanie.

- Jednym słowem znalazłeś się w Pildammsparken zupełnie przypadkowo?

Wallander nie odpowiedział. Hemberg wstał z krzesła.

- Posadzę do tej sprawy kilku pracowników. Od dzisiaj musimy zdecydowanie poszerzyć zakres śledztwa. Sądziłem, że to Hålen zabił Batistę. Każdy jest omylny. Teraz trzeba



wszystko zacząć od początku.

Wallander opuścił biuro Hemberga i zszedł piętro niżej. Miał nadzieję, że nie wpadnie na Lohmana.

Wyglądało jednak na to, że szef na niego czekał. W tej samej chwili wyszedł z pokoju zebrań z kubkiem kawy w rękę.

- Właśnie się zastanawiałem - zaczął.

- Byłem na zwolnieniu - pospieszył z odpowiedzią Wallander.

- Mimo to widziano cię w budynku.

- Jestem już zdrowy. Zatrąłem się małżami.

- Czeka cię pieszy patrol - poinformował Lohman. - Zgłoś się do Håkanssona.

Wallander poszedł do pokoju, gdzie przydzielano zadania. Håkansson, wysoki, gruby i wiecznie spocony policjant, siedział przy stole, przeglądając gazetę. Podniósł wzrok na Wallandera.

- Centrum miasta - rzucił. - Wittberg zaczyna o dziewiątej. Kończy o trzeciej. Idź razem z nim.

Wallander skinął głową i poszedł do szatni. Wyciągnął z szafki mundur. Zaraz po nim przyszedł Wittberg. Wittberg miał trzydzieści lat i marzył o tym, żeby pewnego dnia usiąść za kierownicą rajdowego samochodu. Nie przestawał o tym mówić.

Wyszli z komendy kwadrans po dziewiątej.

- Przy cieplej pogodzie zawsze jest spokojniej - stwierdził Wittberg. - Bez niepotrzebnych incydentów dzień może minąć bezstresowo.

Dzień rzeczywiście minął spokojnie. Jediną interwencją było upomnienie rowerzysty, który jechał po niewłaściwej stronie ulicy. Wallander zdjął mundur tuż po trzeciej.

O czwartej był już w domu. Po drodze z przystanku zrobił zakupy, na wypadek gdyby Mona zmieniła zdanie i chciała jednak coś zjeść.

Wziął prysznic i się przebrał. Było pół do piątej. Do przyjscia Mony pozostało jeszcze cztery i pół godziny. Mogę spokojnie przejść się jeszcze raz po Pildammsparken, pomyślał. Zwłaszcza jeśli pójdę z moim niewidzialnym psem.

Trochę się wahał. Hemberg wydał mu wyraźne polecenie.

Mimo to wyruszył w drogę. O pół do szóstej kroczył tą samą ścieżką co poprzedniego wieczoru. Tym razem nie było młodzieży z gitarą popijającej wino. Ławka, na której siedzieli podpici mężczyźni, świeciła pustką. Wallander postanowił pospacerować jeszcze przez kwadrans, a potem wrócić do domu. Zszedł w dół do stawu i przyglądał się przez chwilę pływającym kaczkom. Z oddali dochodził śpiew ptaków. Od drzew buchała intensywna woń lata. Minęła go para starszych ludzi. Słyszał urywane słowa, coś o czyjejs „biednej siostrze”. Nie dowiedział się, czyja to była siostra i dlaczego jej żalowali.

Już miał zawrócić, gdy dostrzegł dwóch mężczyzn siedzących na ziemi, w cieniu drzewa. Nie umiał powiedzieć, czy byli trzeźwi. Jeden z nich się podniósł. Chwiał się na nogach. Jego kolega przysnął pod drzewem. Głowa zwisała mu na piersi. Wallander podszedł bliżej. Nie pamiętał go z poprzedniego wieczoru. Mężczyzna miał na sobie znoszone ubranie, a między nogami pustą butelkę po wódce.

Wallander przykucnął, żeby przyjrzeć się jego twarzy. W tej samej chwili usłyszał kroki na żwirowej ścieżce. Odwrócił się i ujrzał dwie dziewczyny. Jedna z nich wyglądała znajomo, ale nie potrafił sobie przypomnieć, skąd ją zna.

- To ten cholerny policjant - odezwała się dziewczyna. - Uderzył mnie podczas demonstracji.

Nagle ją sobie przypomniał. To była dziewczyna, która tydzień wcześniej naskoczyła na niego w kawiarni.

Wyprostował się. W tej samej chwili dostrzegł w twarzy drugiej dziewczyny, że coś się dzieje za jego plecami. Szybko się odwrócił. Mężczyzna, który siedział oparty o drzewo, wcale nie spał. Teraz stał na nogach i trzymał w ręku nóż.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Wallander pamiętał tylko, że dziewczyny krzyknęły i zaczęły uciekać. Podniósł ramiona, żeby się osłonić. Ale było za późno. Nie zdążył odparować ciosu. Dosięgnął go prosto w pierś. Poczuł, jak zalewa go ciepły mrok.

Jeszcze zanim upadł na żwirową aleję, jego świadomość przestała rejestrować to, co się działo naokoło.

Potem była tylko mgła. Albo gęste morze, białe i ciche.

Odzyskał przytomność po czterech dniach. Przebył dwie skomplikowane operacje. Nóż musnął serce.

Ale przeżył. Stopniowo wydobywał się z mgły. Kiedy piątego dnia wreszcie otworzył oczy, nie wiedział, co się stało i gdzie się znajduje.

Ale rozpoznał twarz obok łóżka. Twarz, która była dla niego wszystkim. Uśmiechniętą twarz Mony.

## Epilog

Z początkiem września lekarz, po kolejnym badaniu, oznajmił Wallanderowi, że za tydzień może wracać do pracy. Kurt od razu zatelefonował do Hemberga. Hemberg zjawił się u niego późnym popołudniem. Wallander spotkał go na klatce schodowej. Właśnie wyrzucił śmieci i wracał do mieszkania.

- Tu się wszystko zaczęło - rzucił Hemberg, wskazując na drzwi Håléna.

- Na razie się nikt nie wprowadził - odparł Wallander. - Meble stoją, jak stały. Nie usunięto szkód po pożarze. Zawsze, kiedy wychodzę i wracam, wydaje mi się, że czuję zapach dymu.

Pili kawę, siedząc w kuchni. Wrzesień był w tym roku wyjątkowo chłodny. Hemberg miał pod płaszczem ciepły sweter.

- Wczesna jesień - zauważył.

- Pojechałem odwiedzić ojca - powiedział Wallander. - Przeniósł się za miasto, do Löderup. Tam na równinie jest ładnie.

- Nie jestem w stanie pojąć, jak można dobrowolnie się osiedlić pośród tego błota - odparł niechętnie Hemberg. - Niech tylko przyjdzie zima - wszystkich ich tam zasypie.

- Chyba się tam dobrze czuje - stwierdził Wallander. - Nie

przypuszczam, żeby pogoda miała dla niego większe znaczenie. Od rana do wieczora maluje.

- Nie wiedziałem, że masz ojca artystę.

- Maluje wciąż ten sam motyw - wyjaśnił Wallander. - Albo sam krajobraz, albo krajobraz z głuszcem.

Wstał i ruszył do pokoju, gdzie wisiał obraz. Hemberg poszedł za nim.

- Mam sąsiada, który ma taki sam - zauważył Hemberg. - Zdaje się, że mają powodzenie.

Wrócili do kuchni.

- Popeliłeś wszystkie możliwe błędy - rzekł Hemberg. - Ale wytknąłem ci to już wcześniej. Nie prowadzi się samotnie śledztwa, nie interweniuje się w pojedynek. Byłeś kilka centymetrów od śmierci. Mam nadzieję, że to cię czegoś nauczyło. Przynajmniej tego, jak nie należy postępować.

Wallander milczał. Hemberg miał całkowitą rację.

- Muszę przyznać, że się zawzięłeś. To ty odkryłeś, że Hålen zmienił nazwisko. Prędzej czy później my również byśmy do tego doszli. I odnaleźlibyśmy Rune Bloma. Ale myślałeś prawidłowo i logicznie.

- Zadzwoiłem do pana z ciekawości - przyznał Wallander. - Jest wiele rzeczy, których wciąż nie rozumiem.

Hemberg poinformował go, że Rune Blom się przyznał. Znalaziono również dowody na to, że to on zamordował Aleksandrę Batistę.

-Wszystko zaczęło się w 1954 roku. Blom opowiedział całą historię. Razem z Hålenem, czy raczej z Hanssonem, bo tak się wtedy nazywał, należeli do załogi statku pływającego do Brazylii. W Sao Luis weszli jakimś sposobem w posiadanie drogich kamieni. Twierdzi, że kupili je za parę groszy od jakiegoś Brazylijczyka, który nie orientował się w ich prawdziwej wartości. Prawdopodobnie oni też nie wiedzieli, ile są warte. Nigdy się nie dowiemy, czy naprawdę je kupili, czy też ukradli. Postanowili podzielić się łupem. Ale Blom wylądował w brazylijskim więzieniu za zabójstwo. A Hålen skorzystał z okazji, bo to on miał kamienie. Zmienił nazwisko, po kilku latach zwolnił się z marynarki i ukrył się w Malmö.

Spotkał Batistę i liczył na to, że Blom resztę życia spędzi w brazylijskim więzieniu. Ale Bloma w końcu wypuścili i wtedy zaczął szukać Håléna. W jakiś sposób Håléń dowiedział się, że Blom pojawił się w Malmö. Wystraszył się i zamontował dodatkowy zamek w drzwiach. W dalszym ciągu spotykał się z Batistą. Blom deptał mu po piętach. Twierdzi, że tego samego dnia, kiedy wyśledził jego adres, Håléń popełnił samobójstwo. Miałby się tak przerazić, że poszedł do domu i się zastrzelił. Nie jestem tego taki pewien. Dlaczego nie dał Blomowi kamieni? Dlaczego je połknął i potem się zastrzelił? Jak człowiek może być tak zachłanny, że woli śmierć niż utratę pieniędzy?

Hemberg pił kawę i w zamyśleniu spoglądał przez okno. Na dworze padało.

- Resztę już wiesz - ciągnął. - Blom nie znalazł kamieni. Podejrzewał, że są u Batisty. Przedstawił się jako przyjaciel Håléna, a ona, niczego nie podejrzewając, wpuściła go do środka. Wtedy ją zamordował. Zresztą nie pierwszy raz dopuścił się przemocy. Staje się szczególnie brutalny, jak wypije. Ma na swoim koncie dotkliwe pobicia. I zabójstwo w Brazylii. Tym razem padło na Batistę.

- Dlaczego zadał sobie trud, żeby wrócić i podpalić mieszkanie? Przecież ryzykował, że wpadnie?

- Podobno z wściekłości, że nie odnalazł kamieni. Myślę, że mówi prawdę. To skończony drań. A może się bał, że gdzieś, w jakichś papierach, znajduje się jego nazwisko. Nie zdążył wszystkiego sprawdzić, bo go zaskoczyłeś. Ale oczywiście ryzykował, że go ktoś zobaczy.

Wallander pokiwał głową. Teraz wszystko było jasne.

- Właściwie mamy do czynienia z paskudnym morderstwem i pazernym facetem, który się zastrzelił. Jako kryminalny wiele razy się z tym zetkniesz. Nigdy w ten sam sposób. Ale motywy są mniej lub bardziej podobne.

- O to właśnie chciałem zapytać - wtrącił Wallander. - Wiem, że popełniłem mnóstwo błędów.

- Nie przejmuj się tym - przerwał mu Hemberg. - Zaczynasz u nas pierwszego października. Nie wcześniej.

Wallander się nie przesłyszał. Rozpierała go radość. Ale nic

po sobie nie dał poznać, tylko kiwnął głową.

Hemberg posiedział jeszcze chwilę, a potem wyszedł na deszcz. Wallander patrzył przez okno, jak tamten odjeżdża samochodem. Bezwiednie wodził palcami po bliźnie na piersi.

Nagle przypomniał sobie słowa, które kiedyś przeczytał. Nie pamiętał gdzie.

Jest czas rodzenia i umierania.

Żyję, pomyślał. Miałem szczęście.

Postanowił, że nigdy nie zapomni tych słów.

Jest czas rodzenia i czas umierania.

Na zawsze już będą jego prywatnym zaklęciem.

Deszcz bębnił w szyby.

Krótko potem przyszła Mona.

Tego wieczoru długo planowali przyszłoroczny wyjazd do Skagen - ten sam, który zeszłego lata nie doszedł do skutku.

## SZCZELINA

Wallander spojrzał na zegarek. Za kwadrans piąta. Siedział w pokoju w komendzie w Malmö. Była Wigilia 1975 roku. Obaj koledzy, z którymi dzielił pokój, mieli wolne. On sam miał pełnić służbę jeszcze przez niespełną godzinę. Wstał i podszedł do okna. Padał deszcz. Na Boże Narodzenie i tym razem nie będzie śniegu. Tak jak w ubiegłym roku. Spoglądał z roztargnieniem przez zachodzącą parą szybę. Ziewnął szeroko, aż coś przeskoczyło mu w zuchwie. Ostrożnie zamknął usta. Czasami, kiedy ziewał, dostawał skurczu mięśnia pod brodą.

Usiadł z powrotem za biurkiem, na którym leżały rozłożone papiery. Nie było tam niczego ważnego. Odchylił się do tyłu na krzesło, oddając się błogim myślom o nadchodzących świętach. Prawie tydzień wolnego. Aż do sylwestra. Wyciągnął nogi na stole i zapalił papierosa. Natychmiast zaczął kaszleć. Postanowił rzucić palenie. Ale nie w ramach noworocznych zobowiązań. Zbyt dobrze znał siebie, żeby wierzyć, że mu się uda. Potrzebuje dużo czasu, żeby się oswoić z tą decyzją.

Po prostu obudzi się pewnego dnia z przekonaniem, że to ostatni dzień, kiedy zapala papierosa.

Spojrzał powtórnie na zegar. Właściwie mógłby już wyjść. Grudzień był w tym roku wyjątkowo spokojny. W wydziale przestępstw kryminalnych nie toczyło się żadne poważne dochodzenie. Rodzinne awantury, które zazwyczaj mają miejsce podczas świąt, przypadną w udziale innym.

Zdjął nogi ze stołu i zadzwonił do domu. Mona od razu odebrała telefon.

- Tu Kurt.

- Tylko nie mów, że się spóźnisz.

Ogarnęła go nagła irytacja. Nie potrafił jej ukryć.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że już jadę. Może

niepotrzebnie?

- Coś taki zły?

- Ja zły?

- Słyszałaś, co powiedziałam.

- Słyszałem. A ty słyszysz? Że dzwonię, żeby powiedzieć, że niedługo będę w domu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Tylko jedź ostrożnie.

Rozmowa dobiegła końca. Wallander nadal siedział ze słuchawką w rękę. Potem cisnął ją na widelki.

Nie potrafimy już nawet rozmawiać przez telefon, pomyślał podenerwowany. Mona wszczyna kłótnie z byle powodu. I pewnie to samo mówi o mnie.

Siedział, wpatrując się w pełzający w górę dym z papierosa. Usiłował nie myśleć o Monie i o sobie. O coraz częstszych kłótniach i pretensjach. Ale z trudem mu to przychodziło. Coraz częściej bronił się przed myślą, że ich małżeństwo trzyma się tylko z powodu pięcioletniej córki, Lindy. Nie wyobrażał sobie życia bez Mony i Lindy.

Nie skończył jeszcze trzydziestu lat i ma wszelkie predyspozycje, żeby zostać świetnym policjantem. Gdyby chciał, mógłby zrobić prawdziwą karierę. Upewniało go w tym sześć przepracowanych w policji lat i szybki awans na asystenta komisarza. Mimo że często dostrzegał swoje braki. Ale czy tego właśnie pragnie? Mona namawiała go, żeby starał się o pracę w jednej z firm ochroniarskich, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Wycinała ogłoszenia, przekonując go, że będzie miał o wiele wyższe zarobki i bardziej regularne godziny pracy. Zdawał sobie jednak sprawę, że prawdziwą przyczyną, dla której chciała, żeby zmienił zawód, był lęk. Lęk, że znów mu się coś przytrafi.

Podszedł do okna. Wyglądał przez zaparowaną szybę na ulice Malmö.

To już ostatni rok w tym mieście. Latem rozpocznie służbę w Ystad. Byli już po przeprowadzce. Od września mieszkali w centrum Ystad, na Mariagatan. Ani przez chwilę się nie wahali, mimo że z punktu widzenia jego kariery przeprowadzka do małego miasta nie była może najlepszym wyborem. Mona



chciała, żeby Linda dorastała w mniejszym mieście, a Wallander odczuwał potrzebę zmiany. Dodatkowym powodem było to, że jego ojciec od kilku lat mieszkał w Oster len. A co ważniejsze, Monie udało się tanio kupić salon fryzjerski.

Wallander wielokrotnie odwiedzał komendę w Ystad, żeby poznać swoich przyszłych kolegów. Najbardziej spodobał mu się jeden z nich, Rydberg, mężczyzna w średnim wieku.

Zanim go poznał, dochodziły go słuchy, że Rydberg jest opryskliwy i antypatyczny. Ale Wallander już w pierwszej chwili odniósł całkiem przeciwne wrażenie. Było oczywiste, że Rydberg chodzi własnymi drogami, lecz Wallanderowi najbardziej zaimponowała niezwykła łatwość, z jaką w kilku słowach definiował oraz analizował przestępstwa, z którymi mieli do czynienia.

Wrócił do biurka i zgasił papierosa. Piętnaście po piątej. Teraz już może jechać. Zdjął kurtkę z wieszaka. Będzie jechał powoli i ostrożnie.

Może rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy, że jego głos przez telefon brzmi nieprzyjemnie. Jest przemęczony. Dobrze mu zrobi kilka wolnych dni. Mona to chyba zrozumie, kiedy będzie miał czas jej wytłumaczyć.

Włożył kurtkę i sprawdził, czy ma w kieszeni kluczyki od peugeota.

Na ścianie, tuż przy wyjściu, wisiało małe lustro. Wallander się w nim przejrzał. Z przyjemnością patrzył na swoje odbicie. Wkrótce skończy trzydzieści lat, tymczasem twarz w lustrze mogłaby należeć do dwudziestodwulatka.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi. Wszedł Hemberg, jego bezpośredni szef od czasu, gdy zaczął pracę w kryminalnym. Współpraca układała im się raczej dobrze. Jeżeli dochodziło do jakichś tarć, to głównie z powodu wybuchowego usposobienia Hemberga.

Wallander wiedział, że Hemberg będzie pełnił służbę zarówno w święta Bożego Narodzenia, jak i w Nowy Rok. Był kawalerem i zgodził się zastąpić oficera, który miał liczną rodzinę.

- Ciekaw byłem, czy cię jeszcze zastanę - odezwał się

Hemberg.

- Właśnie zamierzałem wyjść - odparł Wallander. - Zmyć się pół godziny wcześniej.

- Mnie to nie przeszkadza.

Wallander od razu się domyślił, że Hemberg ma do niego jakąś sprawę.

- Chciałeś coś ode mnie - powiedział.

Hemberg wzruszył ramionami.

- Będziesz jechał do Ystad - zaczął. - Przyszło mi do głowy, że mógłbyś po drodze wstąpić w jedno miejsce. Mam trochę za mało ludzi. To z pewnością nic poważnego.

Wallander czekał niecierpliwie na dalszy ciąg.

- Dzwoniła tu dziś kilka razy pewna kobieta, właścicielka małego sklepu spożywczego obok domu meblowego w Jägersro. W pobliżu stacji benzynowej OK.

Wallander znał to miejsce. Hemberg rzucił okiem na kartkę, którą trzymał w ręku.

- To starsza osoba, nazywa się Elma Hagman. Twierdzi, że przez całe popołudnie kręcił się pod sklepem jakiś dziwny typ.

Wallander daremnie czekał na dalszy ciąg.

- To wszystko?

Hemberg rozłożył ramiona.

- Na to wygląda. Przed chwilą znowu dzwoniła. Dlatego pomyślałem o tobie.

- Chcesz, żebym podjechał i z nią porozmawiał?

Hemberg rzucił okiem na zegar.

- Ona zamyka o szóstej. Akurat zdążysz. Myślę, że coś sobie uroiła. Może przynajmniej ją uspokoisz. I życz jej wesołych świąt.

Wallander szybko obliczył, że podjechanie do sklepu zajmie mu najwyżej dziesięć minut.

- Zajrzę do niej - zapewnił. - W końcu jeszcze jestem na służbie.

Hemberg kiwnął głową.

- Wesołych świąt - powiedział. - Do zobaczenia w sylwestra.

- Mam nadzieję, że wieczór będzie spokojny.

- Burdy zaczynają się późnym wieczorem - stwierdził ponuro

Hemberg. - Można mieć tylko nadzieję, że dzisiaj obejdzie się bez przemocy.

Pożegnali się w korytarzu. Wallander popędził do samochodu, który tego dnia postawił od strony głównego wejścia. Rozpadało się na dobre. Włączył kasetę z muzyką i podkreślił dźwięk. Miasto mieniło się od rozświetlonych witryn sklepowych i ulicznych dekoracji. Wnętrze auta wypełniał głos Jussiego Björlinga. Wallander z radością myślał o czekających go wolnych dniach.

Omam nie zapomniał o prośbie Hemberga. Przypomniał sobie o niej, kiedy dojeżdżał do ostatniego ronda przed zjazdem na Ystad. Przyhamował gwałtownie i zmienił pas. Skręcił koło domu meblowego, który już był zamknięty. Stacja benzynowa również była nieczynna. Ale w sklepie spożywczym, tuż za warsztatem samochodowym, świeciło się w oknach. Wallander zatrzymał się i wysiadł. Kluczyki zostawił w stacyjce i nie domknął drzwi. W samochodzie paliła się lampka, ale nie zawrócił. To kwestia kilku minut.

Nadal lało. Rozejrzał się pospiesznie. Nikogo nie zauważył. Słyszał przytłumiony szum samochodów. Zdziwił się, że sklepik spożywczy dawnego typu ostał się jeszcze w okolicy, gdzie znajdowały się niemal wyłącznie domy towarowe i drobny przemysł. Podbiegł do wejścia i otworzył drzwi.

Gdy tylko wszedł do środka, poczuł, że coś jest nie w porządku.

W powietrzu wisiało coś groźnego.

Nie wiedział, skąd to wrażenie. Przystanął przy drzwiach. W sklepie było pusto i zupełnie cicho.

Zbyt cicho, przemknęło mu przez głowę.

Zbyt cicho i spokojnie. Gdzie jest Elma Hagman?

Ostrożnie podszedł do lady. Pochylił się i spojrzał na podłogę za ladą. Nikogo. Kasa była zamknięta. Wokół panowała ogłuszająca cisza. Pomyślał, że powinien stamtąd wyjść. Znaleźć jakiś automat i zadzwonić po posiłki. Wystarczy, że przyjedzie jeszcze jeden policjant.

Postanowił zbagatelizować swoje pierwsze wrażenie. Nie może się przecież kierować wyłącznie przecuciem.

- Jest tam kto? - zawołał. - Pani Hagman?

Żadnej odpowiedzi.

Okrążył ladę i znalazł się przed drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Zapukał. Cisza. Powoli nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Otworzył je ostrożnie.

Potem wszystko zaczęło dziać się jednocześnie i z błyskawiczną prędkością. W pokoju obok leżała na brzuchu kobieta, twarzą do ziemi. Zobaczył przewrócone krzesło i krew wokół jej głowy. Stał jak wryty, mimo że w głębi duszy spodziewał się najgorszego. Cisza była zbyt gęsta. Obejrzał się do tyłu i uprzytomnił sobie, że ktoś za nim stoi. Gwałtownie przykucnął, wykonując pełny obrót całym ciałem, i w tej samej chwili dostrzegł cień na wysokości swojej twarzy. Potem ogarnęła go ciemność.

Otworzył oczy i natychmiast poznał, gdzie się znajduje. Bolała go głowa i odczuwał mdłości. Siedział na podłodze za ladą. Musiał na krótko stracić przytomność po tym, gdy rzucił się na niego jakiś nieokreślony cień i zdzielił go w głowę. To ostatnie, co pamiętał, i to bardzo wyraźnie. Usiłował się podnieść, ale okazało się, że nogi i ramiona ma skrępowane sznurem, który był przymocowany do czegoś za jego plecami. Nie mógł zobaczyć do czego.

Sznur wyglądał znajomo. Po chwili uświadomił sobie, że to jego własna linka do holowania, którą zawsze trzymał w bagażniku.

Natychmiast wróciła mu pamięć. Przypomniał sobie martwą kobietę w pokoju na zapleczu. To na pewno Elma Hagman. Później cios w tył głowy. I teraz siedzi skrępowany własną linką holowniczą. Rozejrzał się dokoła, nasłuchując. Ktoś jest w pobliżu. Ktoś, kogo należy się bać. Fale mdłości przyplływały i odpływały. Napiął ciało, usiłując poluzować linkę. Czy dałby radę się uwolnić? Przez cały czas wyteżał słuch. Wciąż panowała cisza, ale teraz inna niż wtedy, kiedy wszedł do sklepu. Szarpnął więzy. Nie był mocno związany, ale sznur krępował go w pozycji, która uniemożliwiała użycie pełnej siły.

Czuł narastający lęk. Ktoś zamordował Elnę Hagman, a jego zdzielił w głowę i związał. Jak to powiedział Hemberg? Elma Hagman dzwoniła i donosiła, że pod sklepem kręci się jakiś dziwny osobnik. Okazało się, że miała rację. Wallander usiłował zachować spokój. Mona wie, że jest w drodze do domu. Jak nie przyjedzie, zadzwoni zaniepokojona do Malmö. Hemberg wie, że Wallander pojechał do sklepu Elmy Hagman, i w ciągu kilku minut wysłał na miejsce radiowozy.

Wallander nasłuchiwał. Wszędzie panowała cisza. Wyciągał szyję, żeby zobaczyć, czy szuflada kasy jest otwarta. Podejrzewał mord rabunkowy. Jeśli szuflada jest pusta, to morderca z pewnością uciekł. Wypreżał się, jak tylko mógł, ale nie sięgał wzrokiem do lady. Mimo to był przekonany, że w sklepie został tylko on i martwa właścicielka.

Człowiek, który ją zamordował, a potem go ogłuszył, musi już być daleko. Tak samo jak jego samochód, w którym zostawił kluczyki.

Wallander szukał sposobu, aby zrzucić więzy. Wykręcał się na wszystkie strony i w ten sposób zaobserwował, że prostując maksymalnie lewą nogę, może poluzować linę. Wtedy przekręci całe ciało i zobaczy, w jaki sposób przymocowano sznur do ściany.

Zaczął się pocić. Nie wiedział, czy z wysiłku, czy może ze strachu. Sześć lat temu, jako młody, początkujący policjant, został ugodzony nożem. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążył zareagować, nie zdążył się osłonić. Ostrze noża przeszło mu pierś, tuż w okolicy serca. Tamtym razem strach pojawił się dopiero później. Teraz towarzyszył mu od samego początku. Tłumaczył sobie, że nic gorszego już się stać nie może. Prędzej czy później się oswobodzi, prędzej czy później zaczną go szukać.

Przerwał na chwilę próby uwolnienia lewej nogi, żeby złapać oddech, i nagle z całą siłą dotarła do niego groza sytuacji. Stara kobieta została zamordowana w swoim sklepie w wigilię Bożego Narodzenia. Brutalność tego czynu była nie do pojęcia.

Coś takiego się w Szwecji nie zdarza. Tym bardziej w Wigilię.

Dalej szarpał więzy. Powoli, stopniowo poluzowywał sznur. Z trudem udało mu się wykręcić ramię, żeby spojrzeć na zegarek. Dziewięć po szóstej. Mona zacznie się niebawem zastanawiać, co się z nim dzieje. Po upływie pół godziny zacznie się niepokoić. Najpóźniej o pół do ósmej powinna zadzwonić do Malmö.

Tok myśli przerwał mu jakiś dźwięk w pobliżu. Wstrzymał oddech i cały zamienił się w słuch. Znow skrzypiący dźwięk. Ten sam, który słyszał, wchodząc do sklepu. To drzwi wejściowe. Ktoś wchodził do środka. I szedł bardzo cicho.

Po chwili zauważył mężczyznę.

Stał obok lady i patrzył na Wallandera.

Miał na sobie grubą kurtkę, rękawiczki i czarną kominiarkę naciągniętą na głowę. Średniego wzrostu i chudej postury. Stał zupełnie nieruchomo. Wallander usiłował pochwycić jego wzrok, ale w słabym świetle jarzeniówki na suficie widział tylko dwie małe dziurki wycięte na oczy.

Mężczyzna trzymał w rękach żelazną rurę albo rękojeść francuskiego klucza.

Stał nieporuszony.

Wallandera obleciał strach i uczucie bezsilności. Mógł najwyżej krzyżeć. Ale to nie miało sensu. W pobliżu nikogo nie było i nikt by go nie usłyszał.

Mężczyzna w kominiarce wciąż mu się przyglądał.

Następnie szybko się odwrócił i odszedł.

Wallanderowi serce waliło jak oszalałe. Nasłuchiwał odgłosów. Drzwi? Nie, nic nie słychać. Czyli mężczyzna nadal jest w sklepie.

Przez głowę przelatywały mu gorączkowe myśli. Dlaczego on nie wychodzi? W jakim celu przyszedł? Na co czeka?

Wrócił do sklepu, myślał Wallander. Sprawdził, czy siedzę związany tam, gdzie mnie zostawił.

Jest tylko jedno wytłumaczenie. On na kogoś czeka. I ten ktoś powinien już tu być.

Starał się wyciągać kolejne wnioski, jednocześnie wciąż nasłuchiwał.

Mężczyzna w kominiarce i rękawiczkach planuje napad

rabunkowy. Wybiera leżący na uboczu sklep Elmy Hagman. Dlaczego ją zamordował? Nie mogła przecież stawiać oporu. A on nie wygląda na podnieconego jak człowiek pod wpływem narkotyków.

Dokonał rabunku i wciąż tu siedzi. Nie ucieka. Mimo że chyba się nie spodziewał, że zabije człowieka. Ani że ktoś się zjawi w sklepie w Wigilię, na chwilę przed zamknięciem. A jednak zostaje. Czeka.

Wallander czuł, że coś się nie zgadza. To nie był zwyczajny rabunek. Dlaczego mężczyzna nie ucieka? Coś go obezwładniło? Wiedział, że trzeba znaleźć odpowiedź na to pytanie. Ale nie potrafił dopasować do siebie poszczególnych elementów.

Istniała jeszcze dodatkowa, niezwykle ważna okoliczność.

Mężczyzna w kominiarce nie wiedział, że Wallander jest policjantem.

Zapewne przypuszczał, że do sklepu zawitał spóźniony klient. Wallander nie potrafił rozstrzygnąć, czy to źle, czy dobrze.

Znów zaczął naprężyć lewą nogę, starając się równocześnie nie spuszczać wzroku z lady. Człowiek w kominiarce był niedaleko. I poruszał się bezgłośnie. Linka holownicza pomału się rozciągała. Wallanderowi pot spływał po ciele. Niebawym wysiłkiem udało mu się uwolnić nogę. Siedział bez ruchu. Po chwili ostrożnie się odwrócił. Linka była przeciągnięta przez wspornik podtrzymujący półkę. Wallander uświadomił sobie, że przy próbie oswobodzenia pociągnie za sobą całą półkę. Tymczasem pomagając sobie wolną nogą, stopniowo ściągał linkę z drugiej nogi. Rzucił okiem na zegarek. Minęło dopiero siedem minut. Mona chyba jeszcze nie dzwoniła do Malmö. Ciekawe, czy już zaczęła się denerwować. Wallander dalej uwalniał się z więzów. Teraz nie miał właściwie odwrotu. Człowiek w kominiarce od razu zauważy, że Wallander coś kombinuje. Nie mógłby się wtedy obronić.

Działał najszybciej i najciszej, jak tylko potrafił. Obie nogi miał już wolne, zaraz potem lewe ramię. Jeszcze tylko prawe i już będzie mógł wstać na nogi. Co dalej, nie wiedział. Nie miał

broni. Będzie musiał się bronić rękami. Odniósł jednak wrażenie, że mężczyzna w kominiarce jest niezbyt silny. W dodatku niczego się nie spodziewa. Zaskoczenie było główną bronią

Wallandera. To jedyne, czym dysponował. Potem jak najszybciej opuści sklep. Nie będzie niepotrzebnie przeciągał bójki. Sam niczego nie zdziała. Musi jak najprędzej skontaktować się z Hembergiem.

Prawa ręka była wolna. Linka holownicza leżała obok. Czuł sztywność w stawach. Ostrożnie przykłęknął i wyjrzał zza lady.

Mężczyzna w kominiarce stał odwrócony plecami.

Po raz pierwszy Wallander mógł się przyjrzeć jego całej postaci. Pierwsze wrażenie się potwierdziło - był rzeczywiście niezwykle chudy. Nosił ciemne dżinsy i białe sportowe buty.

Stał zupełnie nieruchomo, nie dalej niż trzy metry od Wallandera. Kurt mógłby się na niego rzucić i trzasnąć go w kark. To powinno wystarczyć, żeby móc się wydostać ze sklepu.

Mimo to się wahał.

W tym samym momencie zauważył żelazną rurę. Leżała na półce obok mężczyzny.

Nie zastanawiał się długo. Bez broni człowiek w kominiarce nie będzie stanowił zagrożenia.

Powoli zaczął wstawać na nogi. Mężczyzna nie drgnął. Wallander wstał.

W tej samej chwili mężczyzna nagle się odwrócił. Wallander rzucił się do przodu. Mężczyzna szybko uskoczył na bok i Wallander wpadł na półkę z sucharkami i chrupkim pieczywem. Udało mu się utrzymać równowagę. Odwrócił się, żeby ponowić atak, i w tym momencie zamarł.

Człowiek w kominiarce trzymał w ręku pistolet.

Pewną ręką celował prosto w pierś Wallandera.

Następnie powoli podnosił broń, dopóki nie zna" laża się na wysokości jego czoła.

Przeszyła go błyskawiczna myśl, że zaraz umrze. Kiedyś przeżył cios zadany nożem. Lecz pistolet skierowany w jego pierś nie spudłuje. Umrze. W wigilię Bożego Narodzenia. W



sklepie spożywczym na peryferiach Malmö. Bezsensowna śmierć, do której Mona i Lina będą musiały stale powracać.

Mimowolnie przymknął oczy. Chyba po to, żeby nie widzieć. Albo stać się niewidocznym. Ale zaraz znów je otworzył. Pistolet wciąż był wycelowany w jego czoło.

Wallander słyszał własny oddech. Każdy wydech brzmiał jak jęk. Człowiek z rewolwerem wycelowanym w Wallandera oddychał zupełnie bezgłośnie. Sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego. Wallander nie widział jego oczu, ukrytych za otworami wyciętymi w kominiarce.

W głowie miał natłok myśli. Dlaczego on nie ucieka? Na co czeka? I dlaczego się nie odzywa?

Wallander nie spuszczał z oczu pistoletu i kominiarki z ciemnymi otworami.

- Proszę nie strzelać - wyjąkał urywanym głosem.

Mężczyzna nie zareagował.

Wallander wyciągnął przed siebie ręce na znak, że nie ma broni i nie zamierza stawiać oporu.

- Przyszedłem po zakupy - powiedział, wskazując na sklepową półkę. Uważał, żeby ruch dłonią nie był zbyt gwałtowny.

- Byłem w drodze do domu - ciągnął. - Czekają na mnie. Mam pięcioletnią córkę.

Mężczyzna nie odpowiadał. Żadnej reakcji.

Wallander starał się zebrać myśli. Może źle zrobił, podając się za zwykłego klienta? Czy nie należało powiedzieć prawdy? Że jest policjantem i przyjechał na wezwanie Elmy Hagman, która zameldowała, że koło sklepu kręci się obcy mężczyzna?

Myśli kłębiły mu się w głowie. Wciąż powracały do tego samego,

Dlaczego on nie ucieka? Na co czeka?

Nagle mężczyzna w kominiarce zrobił krok do tyłu. Nadal mierzył z pistoletu w głowę Wallandera. Przyciągnął do siebie nogą mały stólek. Wskazał na niego bronią, którą zaraz potem znów skierował w stronę Wallandera.

Wallander zrozumiał, że ma usiąść. Żeby tylko mnie nie związał, pomyślał. Nie chcę być przywiązany, gdyby doszło do

strzelaniny.

Powoli ruszył przed siebie i usiadł na stołku. Mężczyzna cofnął się o kilka kroków i wsunął pistolet za pasek spodni.

On wie, że widziałem martwą kobietę, pomyślał Wallander. Był tu wtedy, tylko go nie zauważyłem. Dlatego mnie tu trzyma. Boi się mnie wypuścić. I dlatego mnie związał.

Przyszło mu na myśl, żeby rzucić się na bandytę i szybko wymknąć się ze sklepu. Ale niebawem porzucił ten pomysł. Tamten ma broń. Co zrobi, jeśli drzwi do sklepu będą zamknięte?

Mężczyzna całkowicie panował nad sytuacją.

Do tej pory ani razu się nie odezwał, pomyślał Wallander. Łatwiej sobie wyrobić jakieś pojęcie o człowieku, słysząc brzmienie jego głosu. Ale on jest niemy.

Wallander powoli pokręcił głową, jakby chciał przełamać sztywność karku. Chciał w ten sposób spojrzeć na zegarek.

Za dwadzieścia pięć siódma. Teraz już Mona zachodzi w głowę, co się z nim dzieje. Może się nawet zaczyna denerwować. Ale nie był pewien, czy już dzwoniła na komendę. Jeszcze za wcześnie. Przyzwyczaiła się do jego częstych spóźnień.

- Nie rozumiem, dlaczego pan mnie tu trzyma - odezwał się Wallander. - Dlaczego nie pozwala mi pan odejść?

Mężczyzna drgnął na dźwięk jego głosu, ale wciąż milczał.

Przez kilka ostatnich minut Wallander zapomniał o strachu. Teraz lęk powrócił ze zdwojoną siłą.

On chyba jest obłąkany, pomyślał. Obrabowuje sklep w Wigilię i morduje starą, bezbronną kobietę. Związuje mnie i mierzy do mnie z pistoletu.

A co najważniejsze, nie ucieka.

Rozległ się dzwonek telefonu stojącego koło kasy. Wallander drgnął. Człowiek w kominiarce nie zareagował. Jakby nie słyszał.

Sygnal nie ustawał. Mężczyzna był nieporuszony. Wallander usiłował odgadnąć, kto dzwoni. Może ktoś się dziwi, że Elma nie wraca do domu? Najprawdopodobniej tak. Powinna była już zamknąć sklep. Są święta. Gdzieś czeka na nią rodzina.

Wallander czuł narastający gniew. Uczucie tak silne, że przesłoniło strach. Jak można tak bestialsko zamordować starą kobietę? Co się właściwie dzieje w Szwecji?

Często dyskutowali o tym w pracy, podczas posiłku lub przerwy na kawę. Również wtedy, gdy omawiali bieżące dochodzenia.

Co się właściwie dzieje? W szwedzkim społeczeństwie pojawiła się niewidoczna szczelina. Zarejestrowały ją czułe sejsmografy. Jak ona powstała? To, że zmienia się charakter przestępstw, nie jest niczym szczególnym. Trafnie wyraził to jeden z kolegów Wallandera:

- Kiedyś kradziono gramofony, a nie radia stereo. Z tej prostej przyczyny, że ich nie było.

Ale nowo powstała szczelina jest innego rodzaju. Chodzi o eskalację przemocy. Okrucieństwo, którego nie uzasadniały żadne okoliczności.

W tej szczelinie znalazł się teraz Wallander. W wieczór wigilijny. Naprzeciwko niego stał zakapturzony mężczyzna z pistoletem za paskiem spodni. A kilka metrów za nim leżała martwa kobieta.

W tym wszystkim brakowało sensu. Zwykle po dłuższym i intensywnym namyśle można było odnaleźć jakiś punkt zaczepienia. Ale nie w tym przypadku. Nie zabija się żelazną rurą kobiety w leżącym na uboczu sklepie, jeżeli to nie jest absolutnie konieczne. Jeżeli nie stawia gwałtownego oporu.

Przede wszystkim nie pozostaje się na miejscu zbrodni, czekając nie wiadomo na co.

Znów rozległ się dzwonek telefonu. Tym razem Wallander był pewien, że ktoś czeka na Elinę Hagman i zaczyna się niepokoić.

Usiłował odgadnąć myśli mężczyzny w kominiarce.

Tamten wciąż milczał i stał nieruchomo z opuszczonymi ramionami.

Telefon zamilkł. Światło lampy jarzeniowej zaczęło migać.

Wallander zdał sobie nagle sprawę, że myśli o Lindzie. Widział siebie, jak staje uradowany w drzwiach mieszkania przy Mariagatan, a ona do niego podbiega.

Cała ta sytuacja jest nienormalna, pomyślał. Co ja robię na tym stołku? Z ogromnym sińcem na karku i pełen strachu, który przyprawia mnie o mdłości.

Wykręcił głowę, by spojrzeć na zegarek. Wskazywał za dziewiętnaście siódma. Teraz Mona już dzwoni i pyta o niego w komendzie. Mona się nie da spławić, jest uparta. W końcu dobieje się do Hemberga, a ten uderzy na alarm. Prawdopodobnie sam się przyłączy do akcji. Zawsze znajdują się ludzie, kiedy policjant jest w niebezpieczeństwie. Wtedy nawet dowódcy bez wahania wyruszają w teren.

Znów zbierało mu się na mdłości. W dodatku niedługo będzie musiał pójść za potrzebą.

Czuł, że już nie zniesie biernego wyczekiwania. Miał tylko jedno wyjście. Musi zacząć rozmowę z mężczyzną ukrywającym twarz pod czarną kominiarką.

- Jestem policjantem w cywilu - zaczął. - Najlepiej, jak pan złoży broń. Niedługo będzie się tu roilo od radiowozów. Więc lepiej oddać broń. Żeby jeszcze nie pogarszać sytuacji.

Wallander mówił powoli i wyraźnie. Starał się, by jego głos brzmiał zdecydowanie.

Mężczyzna nie reagował.

- Niech pan odda broń - powtórzył Wallander. - Może pan tu zostać albo stąd odejść. Ale proszę zostawić broń.

Nadal żadnej reakcji.

Może to niemowa, pomyślał Wallander. Albo jest tak otumaniony, że nic do niego nie dociera.

- Mam w kieszeni służbową legitymację - ciągnął Wallander.

- Może pan sprawdzić, że mówię prawdę. Chyba pan już zauważył, że nie mam broni.

Wreszcie doczekał się reakcji. Doszedł go jakiś dźwięk, nie wiedział skąd. Brzmiał jak cmoknięcie ustami albo kłknięcie językiem.

To wszystko. Mężczyzna się nie poruszył.

Minęło około minuty.

Nagle mężczyzna podniósł do góry rękę. Chwycił za czubek kominiarki i ściągnął ją z głowy.

Wallander miał przed sobą jego twarz. Patrzył prosto w

ciemne, znużone oczy.

Później się często zastanawiał, czego się wtedy właściwie spodziewał. Jak sobie wyobrażał twarz pod kominiarką? Jeśli czegoś był całkowicie pewny, to tego, że na pewno nie tak.

Mężczyzna naprzeciwno miał czarną skórę. Nie o brązowym czy miedzianym odcieniu, jaki miewają Metysi, ale całkowicie czarną.

Był bardzo młody. Wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat.

Zaskoczony Wallander usiłował uporządkować myśli. Mężczyzna prawdopodobnie nie rozumiał po szwedzku. Wallander powtórzył te same słowa łamaną angielszczyzną. Było widoczne, że mężczyzna go zrozumiał. Wallander mówił bardzo powoli. Powiedział, że jest policjantem, że za chwilę koło sklepu pojawi się mnóstwo radiowozów, i radził mu oddać broń.

Chłopak odmówił niemal niewidocznym ruchem głowy. Na odsłoniętej twarzy widać było skrajne wyczerpanie.

Muszę pamiętać, że ten człowiek bestialsko zamordował starą kobietę, myślał Wallander. Potem mnie ogłuszył, skrepował sznurem i trzymał na muszce.

Powtarzał sobie zasady postępowania w takich sytuacjach. Zachować spokój, unikać gwałtownych ruchów i prowokujących komentarzy. Mówić spokojnym, równym głosem. Cierpliwie i łagodnie. Podjąć próbę nawiązania rozmowy. Nie tracić panowania nad sobą.

Pomyślał, że może na początek powie coś o sobie. Wyjaśnił, że był w drodze do domu, żeby spędzić Wigilię z żoną i z córką. Widział, że chłopak słucha.

Zapytał, czy go rozumie.

Chłopak kiwnął głową. Nadal się nie odzywał.

Wallander spojrzał na zegarek. Mona już na pewno dzwoniła. Hemberg może się zjawić w każdej chwili.

Postanowił powiedzieć to chłopakowi.

Tamten słuchał. Wallander odniósł wrażenie, że czeka na dźwięk policyjnych syren.

Wallander zamilkł. Spróbował się uśmiechnąć.

- Jak masz na imię? - spytał. - Każdy ma jakieś imię.

- Oliver.

Głos miał niepewny. Przegrany, pomyślał Wallander. On na nikogo nie czeka. Może tylko na to, żeby mu ktoś wytłumaczył, co uczynił.

- Mieszkasz w Szwecji?

Oliver skinął głową.

- Jesteś obywatelem szwedzkim?

Niepotrzebne pytanie, skarcił się w duchu.

-Nie.

- Skąd pochodzisz?

Oliver nie odpowiedział. Wallander czekał. Był pewien, że odpowiedź nastąpi. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej, zanim przyjadą Hemberg i radiowozy. Ale nie był w stanie niczego przyspieszyć. Czarny chłopak mógł w każdej chwili wyciągnąć pistolet i go zastrzelić.

Znów rozbolała go potylica. Starał się nie zwracać na to uwagi.

- Każdy skądś pochodzi - ciągnął. - Afryka jest ogromna. Uczyłem się o niej w szkole na geografii. To był mój ulubiony przedmiot. Uczyłem się o pustyniach i rzekach. I o bębnach, które dudnią nocą.

Oliver słuchał w napięciu. Wallander miał uczucie, że jest mniej czujny.

- Na przykład Gambia - powiedział. - Tam dużo Szwedów spędza urlop. Nawet niektórzy moi koledzy. Czy pochodzisz stamtąd?

- Z Afryki Południowej - padła szybka, niemal ostra odpowiedź.

Wallander nie bardzo wiedział, co się właściwie dzieje w Południowej Afryce. Poza tym, że doktryna apartheidu coraz bardziej pogłębiała panującą tam segregację rasową. Słyszał również, że w tym kraju wzrasta opór czarnej ludności. Czytał o bombach wybuchających w Johannesburgu i Kapsztadzie.

Wiedział, że pewna liczba Afrykańczyków uzyskała azyl w Szwecji. Większość brała czynny udział w ruchu oporu i w razie powrotu groził im wyrok śmierci.

W myśli podsumował dotychczasowe fakty. Młody Południowy Afrykańczyk, Oliver, zamordował Elmę Hagman. To wszystko, co w tej chwili wiedział.

Nikt by mi nie uwierzył, pomyślał. Coś takiego nie mogło się zdarzyć. Nie w Szwecji i nie w Wigilię.

- Zaczęła krzyczeć - odezwał się Oliver.

- Musiała się przestraszyć. Człowiek, który wchodzi do sklepu w kominiarce na twarzy, to przerażający widok - rzekł Wallander. - Szczególnie jak ma w ręku pistolet albo metalową rurę.

- Nie powinna była krzyczeć - powtórzył Oliver.

- Nie powinienes być jej zabijać - odparł Wallander. - I tak dałaby ci pieniądze.

Oliver wyszarpnął pistolet zza paska spodni. Zrobił to tak szybko, że Wallander nawet się nie połapał. Zobaczył tylko wycelowany w swoją głowę pistolet.

- Nie powinna była krzyczeć - powtórzył znowu Oliver. Głos mu się łamał ze zdenerwowania i strachu.

- Mogę cię zabić - zagroził.

- Tak - zgodził się Wallander. - Możesz. Ale dlaczego miałbyś to zrobić?

- Nie powinna była krzyczeć.

Wallander zdał sobie w tym momencie sprawę, że źle ocenił sytuację. Południowy Afrykańczyk wcale nie był opanowany i spokojny. Znajdował się na granicy załamania. Wallander nie potrafił przewidzieć jego reakcji. Zaczął się poważnie obawiać, że w chwili kiedy się pojawi Hemberg, może dojść do prawdziwej masakry.

Muszę go rozbroić, pomyślał. To najważniejsze. Przekonać go, żeby schował pistolet. Ten człowiek może zacząć strzelać na oślep. Hemberg jest bez wątplenia w drodze i nie ma pojęcia, co tu zastanie. Z pewnością nie spodziewa się czegoś takiego. Tak jak i ja się nie spodziewałem. Oby to się nie skończyło jakąś katastrofą.

- Od jak dawna jesteś w Szwecji? - zapytał.

- Od trzech miesięcy.

- Nie dłużej?

- Przyjechałem z zachodnich Niemiec - wyjaśnił Oliver. - Z Frankfurtu. Nie mogłem tam już zostać.

- Dlaczego?

Oliver nie odpowiadał. Wallander domyślał się, że nie po raz pierwszy wciągnął na twarz kominiarkę i okradł leżący na uboczu sklep. Kto wie, czy nie uciekał przed niemiecką policją.

To by oznaczało, że w Szwecji przebywa nielegalnie.

- Co takiego się wydarzyło? - pytał dalej Wallander. - Nie we Frankfurcie, lecz w Południowej Afryce. Dlaczego musiałeś uciekać?

Oliver zrobił krok w kierunku Wallandera.

- Co pan wie o Południowej Afryce?

- Niewiele. Właściwie tylko tyle, że czarna ludność ma tam ciężkie życie.

Wallander ugryzł się w język. Czy można powiedzieć „czarna”, czy to brzmi pogardliwie?

- Policja zabiła mi ojca. Zatłukli go młotkiem, a potem ucieli mu rękę. Pewnie ją przechowują w jakimś słoiku. Może w Sanderton. Może na innym przedmieściu Johannesburga, gdzie mieszkają biali. Na pamiątkę. Jego jedynym przewinieniem była przynależność do ANC. To, że dyskutował z kolegami w pracy o oporze i wolności.

Wallander nie wątpił w prawdziwość jego słów. Mimo całego wzburzenia głos Olivera brzmiał spokojnie. To była chwila prawdy.

- Mnie też zaczęła szukać policja - ciągnął Oliver. - Ukryłem się. Każdą noc spędzałem w innym łóżku. Wreszcie dotarłem do Namibii, a stamtąd do Europy. Do Frankfurtu. A później tu. Przez cały czas uciekam. Właściwie nigdzie mnie nie ma.

Oliver zamilkł. Wallander wyczekiwał odgłosu zbliżających się radiowozów.

- Potrzebowałeś pieniędzy - stwierdził. - Odkryłeś ten sklep. Właścicielka zaczęła krzyczeć i dlatego ją zabiłeś.

- Mojego ojca zabili młotkiem. I jego ręka pływa w spirytusie.

On jest w szoku, pomyślał Wallander. Bezradny i zdesperowany.



- Jestem policjantem - rzekł Wallander. - Ale nigdy nikogo nie uderzyłem w głowę młotkiem. Tak jak ty mnie.

- Nie wiedziałem, że pan jest policjantem.

- Całe twoje szczęście. Ale teraz zaczęli mnie już szukać. Wiedzą, gdzie jestem. Musimy wspólnie wszystko wyjaśnić.

Oliver potrząsnął pistoletem.

- Jak ktoś będzie chciał mnie schwytać, będę strzelał.

- To ci tylko zaszkodzi.

- Gorzej już być nie może.

Wallander nagle skierował rozmowę na inne tory.

- Jak myślisz, co powiedziałby twój ojciec, gdyby się dowiedział, co zrobiłeś?

Przez ciało Olivera przeszedł dreszcz. Wallander zrozumiał, że chłopak nigdy nie zadał sobie tego pytania. Lub może zadawał je sobie zbyt często.

- Obiecuję, że nikt cię nie będzie bił - zapewnił Wallander. - Masz moje słowo. Ale popełniłeś najcięższe przestępstwo. Zamordowałeś człowieka. Jedyne, co ci pozostaje, to oddać się w ręce policji.

Oliver nie zdążył odpowiedzieć. Nagle doszedł ich hałas nadjeżdżających samochodów. Gwałtownie zahamowały. Słysząc było trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Psiakrew, zaklął w duchu Wallander. Przydałoby się więcej czasu. Powoli wyciągnął przed siebie rękę.

- Oddaj mi pistolet - zwrócił się do chłopaka. - Nic ci się nie stanie. Nikt cię nie będzie bił.

Usłyszał walenie w drzwi i głos Hemberga. Przerażony Oliver patrzył to na drzwi, to na Wallandera.

- Pistolet - powtórzył Wallander. - Daj mi go.

Hemberg zawołał Wallandera.

- Zaczekajcie! - odkrzyknął Wallander. Powtórzył to samo po angielsku.

- Wszystko w porządku? - pytał zaniepokojony Hemberg.

Nic nie jest w porządku, pomyślał Wallander. To jakiś koszmar.

- Tak - zawołał. - Czekać. Nic nie róbcie.

Znów powtórzył to samo po angielsku.

- Daj mi pistolet. Oddaj mi go teraz.

Oliver skierował nagle pistolet w górę i wystrzelił. Rozległ się ogłuszający huk.

Potem wycelował w drzwi. Wallander krzyknął ostrzegawczo do Hemberga i w tym samym momencie rzucił się na Olivera. Przewrócili się na podłogę, ściągając na siebie stojak na gazety. Wallander myślał tylko o broni. Oliver drapał go po twarzy, wykrzykując coś w niezrozumiałym języku. Z całej siły szarpał Wallandera za ucho. Rozjuszony Kurt uwolnił rękę i usiłował trafić Olivera w twarz zaciśniętą pięścią. Pistolet poleciał w bok i leżał między rozsypanymi gazetami. Wallander już po niego sięgał, kiedy Oliver kopnął go prosto w żołądek. Wallander stracił oddech. Bezsilnie patrzył, jak Oliver dopada do pistoletu. Kopnięcie go obezwładniło. Oliver siedział na podłodze wśród gazet i mierzył do niego z broni.

Po raz drugi tego wieczoru Wallander z zamkniętymi oczami czekał na to, co nieuchronne. Teraz zginie. Nic więcej nie może zrobić. Pod sklep zajeżdżały kolejne radiowozy na syrenie, podenerwowane głosy wykrzykiwały pytania.

To tylko ja umieram, pomyślał Wallander. Nic więcej.

Powietrze przeszył ogłuszający strzał. Wallandera odrzuciło do tyłu. Usiłował złapać oddech.

Potem uświadomił sobie, że nie został postrzelony. Otworzył oczy.

Przed nim na podłodze leżał Oliver.

Strzelił sobie prosto w głowę. Obok niego leżała broń.

Do jasnej cholery, pomyślał Wallander. Dlaczego to zrobił?

W tej samej chwili ktoś wyważył drzwi. Wallander dostrzegł Hemberga. Później spojrzął na swoje ręce. Trzęsły się. Trząśnięcie się na całym ciele.

Dostał kubek kawy i opatrzyli mu podrapaną twarz. Złożył Hembergowi krótką relację z przebiegu wydarzeń.

- Nie miałem o niczym pojęcia - tłumaczył Hemberg. - Dlatego prosiłem, żebyś tu wstąpił po drodze.

- Nie mogłeś przecież wiedzieć - odparł Wallander. - Czy kiedykolwiek przyszłoby to komuś do głowy?

Hemberg przez chwilę rozważał jego słowa.

- Coś zaczyna się zmieniać - odezwał się. - Przez nasze granice przenikają kłopoty.

- Sami również je sobie stwarzamy - odrzekł Wallander. - Chociaż akurat Oliver był nieszczęsnym wygnańcem z Południowej Afryki.

Hemberg zeszytywniał, jak gdyby Wallander powiedział coś niestosownego.

- Wygnaniec jak wygnaniec - wycedził. - Nie podoba mi się, kiedy cudzoziemscy przestępcy płyną strumieniem przez nasze granice.

- Przecież tak nie jest - zaprotestował Wallander.

Zapadła cisza. Ani Wallander, ani Hemberg nie mieli ochoty na dalszą dyskusję. Wiedzieli, że się nie dogadają.

- Dlaczego on właściwie nie uciekł? - zapytał Hemberg.

- A dokąd właściwie miał uciekać?

Przez chwilę milczeli.

- Zatelefonowała do nas twoja żona - odezwał się znowu Hemberg. - Dziwiła się, że jeszcze nie wróciłeś. Podobno dzwoniłeś do niej, że jesteś w drodze.

Wallander przypomniał sobie telefoniczną rozmowę. Krótką kłótnię. Ale odczuwał tylko zmęczenie i pustkę. Odpędził złe myśli.

- Może zadzwonisz do domu - zaproponował ostrożnie Hemberg.

Wallander spojrzał na niego.

- I co mam powiedzieć?

- Że się spóźnisz. Na twoim miejscu nie opowiadałbym szczegółów przez telefon. Poczekalbyśmy, aż wrócę.

- Przecież nie jesteś żonaty?

Hemberg się uśmiechnął.

- Mimo to potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ktoś czeka w domu.

Wallander kiwnął głową. Podniósł się ciężko z krzesła. Cały był obolały. Co jakiś czas go mdliło.

Przecisnął się do wyjścia między Sjunnessonem i pozostałymi policjantami.

Wyszedł na zewnątrz, przystanął i zaczerpnął w płuca chłodne powietrze. Potem ruszył do radiowozu. Usiadł na przednim siedzeniu, spojrzął na radiotelefon, a potem na zegarek. Dziesięć po ósmej. Wigilia 1975 roku.

Przez wilgotną szybę dostrzegł telefoniczną budkę na stacji benzynowej. Wysiadł z auta i ruszył w tamtą stronę. Pewnie jest zepsuta. Ale chciał spróbować.

Na deszczu stał mężczyzna z psem na smyczy i przyglądał się radiowozom i oświetlonemu sklepowi.

- Coś się stało? - zapytał.

Zmarszczył czoło na widok poharatanej twarzy Wallandera.

- Nic - odparł Wallander. - Wypadek. Mężczyzna z psem domyślił się, że Wallander nie mówi prawdy. Ale nie zadawał więcej pytań.

- Wesołych świąt - powiedział.

- Dziękuję, nawzajem - odrzekł Wallander.

Potem zadzwonił do Mony.

Deszcz się wzmaczał i zerwał się wiatr. Porywisty wiatr z północy.

## MEŃCZYŻNA NA PLAŻY

Dwudziestego szóstego kwietnia 1987 roku po południu inspektor Kurt Wallander siedział w swoim pokoju w komendzie policji w Ystad i wycinał wystające z nosa włoski. Właśnie minęła piąta. Przed chwilą zamknął segregator zawierający materiał z ciągnącego się w nieskończoność śledztwa w sprawie gangu, który przerzucał do Polski skradzione w Szwecji luksusowe samochody. Wliczając przerwy, dochodzenie obchodziło już niesławną dziesiątą rocznicę. Rozpoczęło się niedługo po tym, jak Wallander przeniósł się do Ystad. Często się zastanawiał, czy nadal będzie trwało w odległym jeszcze dniu jego przejścia na emeryturę.

Tego dnia biurko Wallandera wyglądało wyjątkowo porządknie. Przez długi czas panował na nim nieopisany bałagan, lecz Wallander, który od kilku dni był słomianym wdowcem, przesiadywał ostatnio dużo w pracy pod pretekstem złej pogody.

Mona i Linda wybrały się na dwutygodniowe wczasy na Wyspy Kanaryjskie. Dla Wallandera było to całkowitym zaskoczeniem. Nie wiedział, że Mona ma odłożone pieniądze, a Linda również nic nie wspominała o wyjeździe. Mimo protestów rodziców Linda przerwała naukę w liceum i teraz, niepewna swojej przyszłości, była wciąż zmęczona i poirytowana. Wallander odwiózł je wcześniej rano na Sturup i w drodze powrotnej do Ystad pomyślał, że w gruncie rzeczy chętnie spędzi dwa tygodnie w samotności. W jego małżeństwie się nie układało. Nie potrafili temu zaradzić. Jedno było oczywiste: w ostatnich latach ich związek trzymał się wyłącznie za sprawą Lindy. Co będzie teraz, kiedy Linda przestała chodzić do szkoły i zamierza pójść własną drogą?

Wstał i podszedł do okna. Wiatr targał drzewami po drugiej stronie ulicy. Padał drobny deszcz. Termometr wskazywał cztery stopnie. Wiosna wciąż wydawała się odległa.

Włożył kurtkę i wyszedł z pokoju. Zatrudniona w weekendy recepcjonistka siedziała ze słuchawką przy uchu. Skinął głową na pożegnanie. Wsiadł do auta i skierował się do centrum. Włączył taśmę z nagraniem Marii Callas i zastanawiał się, co kupi na kolację.

Czy w ogóle robić zakupy? Czy rzeczywiście jest głodny? Irytowało go własne wahanie. Z drugiej strony nie miał ochoty wracać do dawnego zwyczaju żywienia się hamburgerami. Mona coraz częściej wytykała mu, że tyje. I miała rację. Któregoś ranka, kilka miesięcy temu, zobaczył nagle swoją twarz w lustrze i uświadomił sobie, że młodość bezpowrotnie minęła. Niedługo skończy czterdzieści lat. Ale wyglądał starzej. Kiedyś wyglądał na mniej lat, niż miał.

Z uczuciem rozdrażnienia skręcił w Malmövägen i przystanął obok dużego supermarketu. Kiedy zamknął drzwi samochodu, w środku zabrzączał telefon. W pierwszej chwili postanowił nie odpowiadać. Cokolwiek to jest, niech się tym zajmie ktoś inny. W tej chwili miał dosyć własnych problemów. Otworzył jednak drzwi i sięgnął po słuchawkę.

– Wallander? – usłyszał głos Hanssona, kolegi z pracy.

– Tak.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie zamierzam kupić coś do jedzenia.

– Zaczekaj. Przyjedź tutaj. Jestem w szpitalu. Będę czekał przed wejściem.

– Co się dzieje?

– To trochę trudno wytłumaczyć. Najlepiej, jak tu przyjedziesz.

Rozmowa się urwała. Wallander wiedział, że Hansson by nie dzwonił, gdyby nie wydarzyło się coś ważnego. Dojechał do szpitala w kilka minut. Hansson przywitał go przed głównym wejściem. Był zziębnięty. Wallander usiłował wyczytać coś z jego twarzy.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Tam w środku siedzi taksówkarz, nazywa się Stenberg – odparł Hansson. – Pije kawę i jest bardzo wzburzony.

Zaciekawiony Wallander wszedł za Hanssonem przez szklane drzwi.

Szpitalna kawiarnia znajdowała się po prawej stronie. Minęli starszego mężczyznę na wózku, powoli przeżuującego jabłko. Stenberg siedział sam przy stoliku. Korpulentny i niemal całkiem łysy mężczyzna po pięćdziesiątce. Nos miał zdeformowany, jak gdyby w młodości był bokserem. Wallanderowi jego twarz wydała się znajoma, ale nie przypominał sobie okoliczności, w jakich go spotkał.

– Poznaje pan komisarza Wallandera? – zwrócił się do niego Hansson.

Stenberg kiwnął głową i wstał, żeby się przywitać.

– Proszę usiąść – rzekł Wallander. – I powiedziec, co się stało.

Stenberg miał rozbiegany wzrok. Trudno było powiedziec, czy ze zdenerwowania, czy ze strachu.

– Przyjąłem zamówienie na kurs ze Svarte do miasta – zaczął Stenberg. – Klient miał czekać przy głównej drodze. Nazwisko Alexandersson. Stał tam, kiedy podjechałem. Usiadł z tyłu i poprosił, żeby wysadzić go przy rynku. W lusterku widziałem, że przymknął oczy. Myślałem, że przysypia. Dojechaliśmy do miasta, zatrzymałem się przy rynku i powiedziałem, że jesteśmy na miejscu. Żadnej reakcji. Wysiadłem z auta, otworzyłem drzwi i lekko go dotknąłem. Wcale się nie poruszył, więc pomyślałem, że jest chory, i przywiozłem go do szpitala na ostry dyżur. A tu powiedzieli, że on nie żyje.

Wallander zmarszczył czoło.

- Nie żyje?

– Próbowali go reanimować – wtrącił Hansson. - Ale to nic nie dało.

Wallander chwilę się zastanawiał i powiedział:

– Ze Svarte do miasta jest piętnaście minut drogi. Nic po nim nie było widać, kiedy wsiadał do auta?

– Zauważyłbym, gdyby był chory – odparł Stenberg.

– Zresztą prosiłby chyba o zawiezienie do szpitala?

– Nie widział pan żadnych obrażeń?

– Nic nie widziałem. Miał na sobie garnitur i jasnoniebieski płaszcz.

– Czy trzymał coś w ręku? Torbę lub coś innego?

– Nie. Pomyślałem, że najlepiej zawiadomić policję. Chociaż szpital ma chyba obowiązek to zrobić.

Stenberg odpowiadał szybko i bez wahania. Wallander zwrócił się do Hanssona:

– Czy wiadomo, kim jest zmarły?

Hansson sięgnął po notes.

– Göran Alexandersson, lat czterdzieści dziewięć – odczytał.

– Przedsiębiorca w branży elektronicznej. Zamieszkały w Sztokholmie. W portfelu miał sporo pieniędzy. I kilka kart kredytowych.

– Dziwne – stwierdził Wallander. – Może dostał ataku serca. Co mówią lekarze?

– Że ostatecznie wyjaśni to tylko sekcja zwłok. Wallander skinął głową i wstał.

– Zapłaty za kurs powinien pan żądać od spadkobierców – odezwał się do Stenberga. – Skontaktujemy się z panem, gdybyśmy mieli dodatkowe pytania.

– To było nieprzyjemne – oświadczył stanowczo Stenberg. – Ale nie będę wystawiał spadkobiercom rachunku za transport nieboszczyka.

Stenberg wyszedł.

– Chciałbym na niego rzucić okiem – powiedział Wallander.

– Nie musisz przy tym być, jak nie chcesz.

– Wolałbym nie – przyznał Hansson. – Spróbuję przez ten czas odnaleźć jego rodzinę.

– Co on robił w Ystad? – zastanawiał się Wallander.

– Trzeba się tego dowiedzieć.

Inspektor przystanął na chwilę przy noszach, znajdujących się w szpitalnym pokoju. Z twarzy zmarłego nie można było nic wyczytać. Spojrzał na jego ubranie. Podobnie jak buty było w bardzo dobrym gatunku. Jeśli okaże się, że zmarły padł ofiarą zbrodni, eksperci będą musieli je zbadać. W portfelu znalazł tylko to, o czym już wiedział od Hanssona. Odbył krótką



rozmowę z dyżurnym lekarzem.

– To wygląda na całkowicie naturalną śmierć – rzekł lekarz.

– Żadnych śladów przemocy, żadnych obrażeń.

– Kto miałby go zamordować na tylnym siedzeniu taksówki?

– zapytał Wallander. – Mimo to chciałbym jak najprędzej dostać wyniki sekcji.

– Zawieziemy go do zakładu medycyny sądowej w Lund – zaproponował lekarz. – Jeżeli policja nie ma nic przeciwko temu.

– Nie – odparł Wallander. – Oczywiście, że nie.

Wrócił do komendy i udał się do pokoju Hanssona.

Hansson rozmawiał przez telefon. Wallander czekał, z przygnębieniem przesuwał ręką po brzuchu, który zaczynał wystawać znad paska.

– Rozmawiałem właśnie z biurem Alexanderssona w Sztokholmie. Z sekretarką i jego najbliższym współpracownikiem. Oboje są oczywiście w szoku. Dowiedziałem się, że Alexandersson rozwiódł się dziesięć lat temu.

– Miał dzieci?

– Jednego syna.

– Musimy go odnaleźć.

– To niemożliwe – rzekł Hansson.

– Jak to?

– Syn nie żyje.

Wallandera często irytował okrężny sposób, w jaki Hansson dochodził do sedna sprawy. To był typowy tego przykład.

– Nie żyje? Jak to nie żyje? Czy muszę wszystko z ciebie wyciągać?

Hansson zajrzał do swoich notatek.

– Jego jedyny syn zmarł siedem lat temu. Podobno jakiś wypadek. Nie bardzo zrozumiałem.

– Czy ten syn miał jakieś imię?

– Bengt.

– Spytałeś, co Alexandersson robił w Ystad? Albo w Svarte?

– Powiedział, że bierze tydzień urlopu. Miał się zatrzymać w hotelu Kung Karl. Przyjechał cztery dni temu.

– Jedźmy tam – zdecydował Wallander.

Przez ponad godzinę przeszukiwali pokój hotelowy Alexanderssona. Nie znaleźli nic interesującego. Pusta walizka, ubrania starannie powieszzone w szafie i jedna para butów.

– Ani papierka – zauważył zadumany Wallander. – Żadnej książki, nic.

Połączył się z recepcją i zapytał, czy Alexandersson odbierał jakieś telefony lub przyjmował wizyty. Recepcjonistka nie miała wątpliwości. Nie było żadnego telefonu do pokoju 211 i nikt tam nie przychodził.

– Mieszka w Ystad – zauważył Wallander – ale zamawia taksówkę w Svarte. Ciekawe, jak się tam dostał.

– Sprawdzę w centrali taksówek – rzekł Hansson.

Ruszyli z powrotem do komendy. Wallander stanął przy oknie i w zamyśleniu spoglądał na wieżę wodną po drugiej stronie ulicy. Złapał się na tym, że myśli o Monie i Lindzie. Prawdopodobnie siedzą w ogródku jakiejś restauracji i jedzą kolację. O czym rozmawiają? Na pewno o tym, co Linda zamierza dalej robić. Usiłował wyobrazić sobie ich rozmowę. Ale słyszał tylko szum kaloryfera. Usiadł, żeby sporządzić wstępny raport. Przez ten czas Hansson zdobędzie informacje w firmie taksówkowej w Ystad. Zanim zaczął pisać, przyniósł sobie z jadalni kilka ciasteczek. Około ósmej Hansson zapukał do drzwi i wszedł do pokoju.

– W ciągu czterech dni, które spędził w Ystad, jeździł trzy razy taksówką do Svarte – oznajmił Hansson.

– Wysiadła na peryferiach. Jechał wcześniej rano i zamawiał powrót na popołudnie.

Wallander pokiwał głową.

– To nie jest karalne. Może miał tam kochankę?

Wstał i podszedł do okna. Podniósł się wiatr.

– Sprawdźmy go w naszej bazie danych – odezwał się po chwili. – Na wszelki wypadek. Potem poczekamy na wyniki sekcji.

– To musiał być atak serca – zakończył Hansson, po czym wstał.

– Z pewnością.

W domu Wallander otworzył puszkę mielonego mięsa z ziemniakami. Niemal już zapomniał o Goranie Alexanderssonie. Zjadł swoją marną kolację i wkrótce zasnął przed telewizorem.

Następnego dnia Martinsson, kolega Wallandera, przeszukał wszystkie dostępne rejestry policyjne w poszukiwaniu Görana Alexanderssona. Nic nie znalazł. Martinsson był najmłodszym pracownikiem w zespole śledczym i najszybciej opanował nowinki techniczne.

Wallander spędził dzień nad tajemnicami luksusowych samochodów krążących po Polsce. Wieczorem odwiedził ojca w Löderup i grali przez kilka godzin w karty. Skończyło się na kłótni, kto komu jest winny i ile. W drodze do domu Wallander zastanawiał się, czy na starość będzie podobny do ojca. A może już jest podobny? Porywczy, marudny i zgryźliwy. Powinien kogoś zapytać. Ale chyba nie Monę.

Rano 28 kwietnia Wallander odebrał telefon. Dzwonił lekarz z zakładu medycyny sądowej.

– Dzwonię w sprawie Görana Alexanderssona – powiedział lekarz. Miał na nazwisko Jörne. Wallander znał go jeszcze z czasów, kiedy pracował w Malmö.

– Co to było? – spytał Wallander. – Wylew czy udar?

– Ani jedno, ani drugie – odparł lekarz. – Popęnił samobójstwo albo został zamordowany.

Wallander zaniemówił.

– Zamordowany? Co to ma znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałem – powtórzył Jörne.

– To niemożliwe. Nie mógł zostać zamordowany w taksówce. Stenberg, który go wiozł, nie ma zwyczaju mordować klientów. I chyba też nie mógł w samochodzie odebrać sobie życia?

– Nie umiem powiedzieć, jak do tego doszło – Jörne był niewzruszony. – Mogę tylko skonstatować, że umarł od trucizny, którą wypił albo zjadł. Moim zdaniem to wskazuje na morderstwo. Ale to już wy musicie wyjaśnić.

Wallander nie odpowiadał.

– Przefaksuję ci papiery – ciągnął Jörne. – Jesteś tam?

– Tak – odezwał się Wallander. – Jestem.

Podziękował Jörnemu i odłożywszy słuchawkę, zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Po chwili połączył się z Hanssonem i poprosił go do siebie. Sięgnął po notes i zapisał w nim dwa słowa.

*Göran Alexandersson.*

Na zewnątrz wzmagał się wiatr. Gwałtowne sztormowe podmuchy.

Nad Skanią wciąż szalał porywisty wicher. Wallander siedział w swoim pokoju, myśląc o tym, że nadal nie wie, co przydarzyło się mężczyźnie, który kilka dni temu zmarł w taksówce na tylnym siedzeniu. O pół do dziesiątej zamknął za sobą drzwi do pokoju zebrań. W środku czekali już Hansson i Rydberg. Zdziwił się na widok Rydberga. Rydberg miał zwolnienie z powodu bólu kręgosłupa i Wallander nie wiedział, że wrócił do pracy.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Jestem już na miejscu – odparł niechętnie Rydberg. – Co to za historia z facetem zamordowanym na tylnym siedzeniu taksówki?

– Zaczniemy od początku – zaproponował Wallander.

Rozejrzał się po pokoju. Kogoś brakowało.

– Gdzie Martinsson? – zapytał.

– Dzwonił, że ma wrzód w gardle – poinformował Rydberg.

– Może Svedberg go zastąpi?

– Zobaczmy, czy to będzie konieczne – powiedział Wallander. Sięgnął po papiery, które nadeszły z Lund, i spojrzął na kolegów.

– To, co na początku tygodnia wydawało się proste, okazało się o wiele bardziej zawile, niż przypuszczałem. W taksówce umiera człowiek. Lekarz sądowy w Lund stwierdza, że zgon nastąpił na skutek działania trucizny. Nadal nie wiemy, ile czasu upłynęło od momentu jej zażycia do śmierci. Odpowiedź z Lund przyjdzie za kilka dni.

– Morderstwo czy samobójstwo? – zapytał Rydberg.

– Morderstwo – rzekł stanowczo Wallander. – Trudno mi

sobie wyobrazić samobójcę, który połyka truciznę, a potem dzwoni po taksówkę.

– Chyba że zażył truciznę przez pomyłkę? – zasugerował Hansson.

– Mało prawdopodobne. Lekarz mówi, że to mieszanka, która właściwie nie istnieje.

– Co to znaczy? – zdziwił się Hansson.

– Że może ją sporządzić tylko specjalista: lekarz, chemik albo biolog.

W pokoju zapadła cisza.

– Musimy przyjąć, że to zabójstwo – podjął Wallander. – Co właściwie wiemy o Goranie Alexanderssonie?

Hansson przerzucał kartki w swoim notesie.

– Był właścicielem dwóch sklepów ze sprzętem elektronicznym w Sztokholmie – zaczął. – Jeden w Västberdze, drugi przy Norrtull. Mieszkał sam, przy Åsögatan. Chyba nie miał rodziny. Była żona mieszka podobno we Francji. Syn zmarł siedem lat temu. Wszyscy pracownicy, z którymi rozmawiałem, opisują Alexanderssona w ten sam sposób.

– W jaki? – przerwał Wallander.

– Mówią, że był sympatyczny.

– Sympatyczny?

– Tak właśnie mówili: sympatyczny.

Wallander pokiwał głową.

– Coś jeszcze?

– Wygląda na to, że prowadził bardzo uporządkowany tryb życia. Jego sekretarka przypuszcza, że kolekcjonował znaczki. Do biura regularnie przychodziły katalogi. Nie miał chyba bliskich przyjaciół. W każdym razie jego pracownicy nikogo takiego nie znają.

Nikt się nie odzywał.

– Musimy się zwrócić o pomoc do Sztokholmu – przerwał ciszę Wallander. – I trzeba się skontaktować z jego żoną. Ja spróbuję wyjaśnić, co robił w Ystad i w Svarte. Z kim się spotkał? Zbierzemy się po południu, może do tego czasu czegoś się dowiemy.

– Zastanawiam się nad jednym – wtrącił Rydberg.

– Czy można zamordować człowieka bez jego wiedzy?

Wallander skinął głową.

– To interesująca myśl – przyznał. – Ktoś podaje Goranowi Alexanderssonowi truciznę, która zaczyna działać godzinę później. Zapytam o to Jörnego.

– Nie bądź taki pewny, że potrafi na to odpowiedzieć – mruknął pod nosem Rydberg.

Zebranie dobiegło końca. Rozeszli się w różne strony, każdy do swojego zadania. Wallander podszedł do okna z kubkiem kawy w ręku, zastanawiając się, od czego zacząć.

Pół godziny później wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Svarte. Wiatr powoli słabł. Zza ustępujących chmur wyglądało słońce. Po raz pierwszy w tym roku Kurt miał uczucie, że wreszcie nadchodzi wiosna. Zatrzymał się na skraju Svarte i wysiadł z auta.

Szedł w stronę zabudowań. Po jednej stronie drogi, bliżej wody, stało wiele letnich domów, teraz zamkniętych na cztery spusty.

Po drodze z jednego końca miejscowości na drugi napotkał tylko dwie osoby. Poczul się raptem nieswojo. Zawrócił i szybko ruszył z powrotem do samochodu.

Zapisał silnik i wtedy dostrzegł starą kobietę pielącą grządki w ogródku. Wallander wyłączył silnik i wysiadł. Kiedy zamykał drzwi, kobieta spojrzała w jego stronę. Inspektor podszedł do płotu i poniósł rękę w geście przywitania.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – zagadnął.

– Mnie nikt nie przeszkadza – odparła kobieta, przyglądając się mu z zaciekawieniem.

– Nazywam się Kurt Wallander i jestem inspektorem policji w Ystad.

– Gdzieś już pana widziałam – odpowiedziała. – Czy nie w telewizji? W jakiejś debacie?

– Wątpię – powiedział Wallander. – Za to w gazetach pojawiały się niestety moje zdjęcia.

– Nazywam się Agnes Ehn – przedstawiła się kobieta, podając mu rękę.

– Mieszka tu pani przez cały rok? – zapytał Wallander.

– Od wiosny do jesieni. Zwykle przyjeżdżam na początku kwietnia i zostaję do października. Zimą mieszkam w Halmstad. Jestem emerytowaną nauczycielką. Mąż zmarł kilka lat temu.

– Ładnie tu – przyznał Wallander. – Ładnie i spokojnie. Wszyscy się znają.

– Nie wiem – powiedziała. – Bywa, że nie zna się nawet najbliższego sąsiada.

– Nie zwróciła pani przypadkiem uwagi na samotnego mężczyznę, który w ubiegłym tygodniu kilka razy przyjeżdżał do Svarte taksówką? A po południu wyjeżdżał?

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

– Korzystał z mojego telefonu, żeby zamówić taksówkę. Cztery dni z rzędu. Jeśli to ten sam mężczyzna.

– Przedstawił się pani?

– Był bardzo uprzejmy.

– Powiedział, jak się nazywa?

– Można być uprzejmym i się nie przedstawić.

– Pytał, czy może skorzystać z telefonu?

– Tak.

– Nie mówił nic więcej?

– Czy coś się stało?

Wallander uznał, że może powiedzieć prawdę.

– On nie żyje.

– To straszne. Co się stało?

– Jeszcze nie wiemy. Wiemy tylko, że nie żyje. Czy domyśla się pani, co on robił w Svarte? Mówił, z kim się spotyka? W jakim kierunku szedł? Czy był sam? Wszystko, co pani pamięta, jest dla nas ważne.

Znów go zaskoczyła jej stanowcza odpowiedź.

– Szedł na plażę – powiedziała. – Z drugiej strony domu jest ścieżka, która prowadzi na brzeg. Szedł tą ścieżką. Potem dalej, na zachód. Wracał dopiero po południu.

– Szedł brzegiem? Sam?

– Tego nie wiem. Linia brzegu zakręca. Może dalej z kimś się spotykał, ale ja już go nie widziałam.

– Czy miał coś ze sobą? Torbę albo jakąś paczkę?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Czy sprawiał wrażenie zaniepokojonego?

– Nie zauważyłam.

– Więc wczoraj od pani dzwonił?

– Tak.

– I nie zauważyła pani nic szczególnego?

– Wyglądał na miłego, sympatycznego człowieka. Chciał koniecznie zapłacić za te rozmowy.

Wallander pokiwał głową.

– Bardzo mi pani pomogła – podziękował, podając jej wizytówkę ze swoim numerem telefonu.

– Jeżeli pani sobie cokolwiek przypomni, proszę się odezwać.

– Co za tragedia. Taki miły mężczyzna.

Wallander skinął głową i ruszył za dom, skąd odchodziła ścieżka w kierunku brzegu. Doszedł na skraj wody. Plaża była pusta. Odwrócił i zobaczył Agnes Ehn. Stała za domem, patrząc na niego.

Musiał się z kimś spotkać, pomyślał Wallander. To jedyne, co ma sens. Tylko pytanie z kim.

Wrócił do komendy. W korytarzu zatrzymał go Rydberg i poinformował, że udało mu się odnaleźć mieszkanie byłej żony Alexanderssona na Riwierze.

– Nikt nie odbiera telefonu – dodał. – Spróbuję zadzwonić później.

– W porządku – odparł Wallander. – Daj znać, jak ją złapiesz.

– Przyszedł Martinsson – ciągnął Rydberg. – Ledwie było słyhać, co mówi. Odesłałem go do domu.

– Dobrze zrobiłeś – rzekł Wallander.

Wszedł do swojego pokoju, zamknął drzwi i otworzył notes, w którym wcześniej napisał imię i nazwisko Görana Alexanderssona. Kto to był? Kogo spotkałeś na plaży?, myślał. Muszę się tego dowiedzieć.

O pierwszej Wallander poczuł głód. Włożył kurtkę i już zabierał się do wyjścia, kiedy do drzwi zapukał Hansson.

Widać było, że ma coś ważnego do zakomunikowania.

– Mam coś, co może mieć duże znaczenie – oznajmił.



- Co takiego?

- Jak wiesz, Göran Alexandersson miał syna, który zmarł siedem lat temu. Okazuje się, że syn też został zamordowany. Zdaje się, że nigdy nie schwytano i nie skazano sprawcy.

Wallander rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

- Znakomicie – odezwał się po chwili. – Wreszcie mamy jakiś trop. Chociaż nie bardzo wiem, co oznacza.

Głód, który przed chwilą odczuwał, minął.

Dwudziestego ósmego kwietnia, około drugiej, Rydberg zapukał do półotwartych drzwi pokoju Wallandera.

- Złapałem żonę Alexanderssona – oznajmił, wchodząc do pokoju. Skrzywił się, siadając na krześle.

- Jak twój kręgosłup? – zapytał Wallander.

Nie wiem – odparł Rydberg. – Ale coś chyba jest nie tak.

- Może za wcześnie wróciłeś do pracy?

- Od leżenia w domu i gapienia się w sufit lepiej nie będzie.

Na tym się zakończyła wymiana zdań na temat kręgosłupa. Wallander wiedział, że namawianie Rydberga do pozostania w domu nic nie da.

- I co powiedziała? – zagadnął, wracając do poprzedniej rozmowy.

- Była wstrząśnięta. Chyba przez minutę nie mogła z siebie wydobyć głosu.

- To duży koszt dla państwa szwedzkiego – skomentował Wallander. – A potem? Jak już ta minuta minęła?

- Pytała, co się stało. Powiedziałem jej. Z trudem docierało do niej to, co mówiłem.

- Nie ma się czemu dziwić.

- W każdym razie dowiedziałem się, że nie mieli ze sobą kontaktu. Według niej rozwiedli się, bo się ze sobą nudzili.

Wallander zmarszczył czoło.

- Co miała na myśli?

- Przypuszczam, że jest to częstsza przyczyna rozwodów, niż nam się wydaje – rzekł Rydberg. – Myślę, że życie z nieinteresującą osobą musi być okropne.

Wallander w zadumie pokiwał głową. Zastanawiał się, czy Mona też tak uważa. A on sam?

– Zapytałem, czy przychodzi jej do głowy, kto mógłby nastawać na jego życie. I czy przypadkiem nie wie, co robił w Skanii. Nie potrafiła odpowiedzieć. To wszystko.

– Nie zapytałeś o nieżyjącego syna?

– Oczywiście, że zapytałem. Ale nie chciała o nim mówić.

– Czy to nie dziwne?

– Też tak uważam – zgodził się Rydberg.

– Musisz chyba jeszcze raz się z nią połączyć.

Rydberg skinął głową i wyszedł. Wallander pomyślał, że przy okazji rozmówi się z Moną i zapyta, czy największym problemem w ich małżeństwie jest nuda. Z rozmyślań wyrwał go sygnał telefonu. Ebba z recepcji poinformowała, że dzwonią ze sztokholmskiej policji. Sięgnął po notes i słuchał. Mówił policjant o nazwisku Rendal. Wallander go nie znał.

– Byliśmy w mieszkaniu przy Åsögatan – powiedział Rendal.

– Znaleźliście coś?

– Jak mogliśmy coś znaleźć, kiedy nie wiadomo, czego szukać?

Słysząc było, że Rendal jest podenerwowany.

– Jak tam jest? – zapytał Wallander najuprzejmiej, jak potrafił.

– Czysto i porządnie – odparł Rendal. – Posprzątane. Trochę pedantycznie. Wygląda na mieszkanie starego kawalera.

– Zgadza się – przytaknął Wallander.

– Przejrzeliśmy jego pocztę – ciągnął Rendal. – Wyjechał najwyżej na tydzień.

– To też się zgadza.

– Miał automatyczną sekretarkę. Ale nikt się nie nagrał.

– A wiadomość powitalna? – zapytał Wallander.

– Nic szczególnego.

– To chyba wszystko. Dziękuję za pomoc – podziękował Wallander. – Zgłoszę się, jeżeli to będzie konieczne.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. Pora na popołudniowe zebranie grupy dochodzeniowej. Udał się do pokoju zebrań, gdzie siedzieli już Hansson i Rydberg.

– Przed chwilą miałem telefon ze Sztokholmu – poinformował Wallander, zajmując miejsce za stołem. Przeszukanie mieszkania przy Åsögatan nic nie dało.

– Dzwoniłem jeszcze raz do żony – zabrał głos Rydberg. – Nadal nie chciała rozmawiać o synu. Zmieniła zdanie, kiedy powiedziałem, że mamy prawo wezwać ją do Szwecji w związku z dochodzeniem. Chłopiec został napadnięty na ulicy w centrum Sztokholmu. Zupełnie bez powodu. Nawet go nie obrabowano.

– Wyciągnąłem trochę dokumentów na temat tego napadu. Sprawa wciąż nie jest jeszcze umorzona, ale od ponad pięciu lat nikt się nią nie zajmuje.

– Nie było żadnych podejrzanych? – zdziwił się Wallander. Hansson potrząsnął głową.

– Nikogo. Żadnych świadków, nic.

Wallander odsunął od siebie notes.

– Zupełnie tak samo jak teraz.

Przy stole zrobiło się cicho. Wallander poczuł, że musi coś powiedzieć.

– Trzeba porozmawiać z personelem w jego sklepach – zasugerował. – Niech ktoś zadzwoni na policję w Sztokholmie. Jest tam niejaki Rendal, on może nam pomóc.

Podzielili się zadaniami, po czym Wallander wrócił do siebie. Czuł, że powinien zadzwonić do ojca i przeprosić za wczorajszą sprzeczkę, ale nie mógł się przemóc. Sprawa Görana Alexanderssona nie dawał mu spokoju. Cała sytuacja była tak niedorzeczna, że choćby dlatego powinno się ją wyjaśnić. Z doświadczenia wiedział, że w każdym zabójstwie, a także w większości innych przestępstw istnieje jakieś logiczne jądro. Żeby do niego dotrzeć, należy tylko, jak w dominie, odwracać właściwe kostki we właściwym porządku i szukać możliwych związków pomiędzy ukazującymi się znakami.

Wallander wyszedł z komendy tuż przed piątą i pojechał do Svarte drogą wzdłuż wybrzeża. Tym razem zaparkował w pobliżu zabudowań. Z bagażnika wyciągnął parę gumiaków i szedł na plażę. Z daleka dostrzegł statek towarowy płynący na zachód.

Szedł wzdłuż plaży i spoglądał na domy leżące po prawej stronie. Co trzeci z nich wydawał się zamieszkanym. Po jakimś czasie Svarte zostało z tyłu. Zaczął wracać. Nagle poczuł, że idąc, wyobraża sobie, że z naprzeciwka wyjdzie mu na spotkanie Mona. Przypomnił sobie ich pobyt w Skagen. To były najlepsze chwile ich wspólnego życia. Mieli sobie tyle do powiedzenia, bo nigdy przedtem nie było na to czasu.

Otrząsnął się z przykrych myśli i starał się skupić na Goranie Alexanderssonie. Idąc plażą, usiłował uporządkować dotychczasowy materiał śledztwa.

Czego się dotąd dowiedzieli? Alexandersson żył samotnie, był właścicielem dwóch sklepów z elektroniką, miał czterdzieści dziewięć lat i pojechał do Ystad, gdzie zamieszkał w hotelu Kung Karl. Powiedział, że bierze urlop. W hotelu nikt go nie odwiedził i nikt do niego nie dzwonił. On również nie używał telefonu.

Co rano jechał taksówką do Svarte, gdzie spędzał dni, chodząc tam i z powrotem po plaży. Wracał do Ystad późnym popołudniem, po uprzednim zamówieniu taksówki z telefonu Agnes Ehn. Czwartego dnia wsiadł do taksówki i po drodze zmarł.

Wallander przystanął i rozejrzał się naokoło. Plaża była opustoszała. Göran Alexandersson prawie przez cały czas jest widoczny, pomyślał. Lecz gdzieś w tym miejscu znika. Po jakimś czasie znów się pojawia i chwilę później już nie żyje.

Musiał kogoś spotkać. Albo raczej umówić się z kimś na spotkanie. Nie można przypadkiem natknąć się na truciciela.

Wallander szedł dalej. Przyglądał się leżącym wzdłuż plaży domom. Nazajutrz będą chodzili od drzwi do drzwi. Ktoś musiał zauważyć Alexanderssona, może nawet widział, jak się z kimś spotkał.

Nagle spostrzegł, że nie jest już sam. Z naprzeciwka zbliżał się starszy mężczyzna. Obok niego posłusznie biegł czarny labrador. Wallander przystanął i spojrzął na psa. Ostatnio często się zastanawiał, czy nie zaproponować Monie kupna psa. Uznał jednak, że jego praca jest zbyt nieregularna. Przyjemność z posiadania psa zatrułyby wyrzuty sumienia z

powodu przerwania opieki nad nim na Monę.

Mężczyzna uchylił czapki, podchodząc do Wallandera.

- I co z tą wiosną? – zagadnął. Nie mówił skańskim dialektem.

- Przyjdzie na pewno, jak co roku – odrzekł Wallander.

Mężczyzna pokiwał głową i zabierał się do odejścia. Wallander go zagadnął.

- Chodzi pan tędy codziennie?

Mężczyzna wskazał na jeden z domów.

- Mieszkam tu od czasu, kiedy przeszedłem na emeryturę.

- Moje nazwisko Wallander, jestem z policji w Ystad. Nie zwrócił pan przypadkiem uwagi na samotnego mężczyznę około pięćdziesiątki, który ostatnio przechadzał się po plaży?

Mężczyzna miał jasne, niebieskie oczy. Spod czapki wystawały siwe włosy.

- Nie – odparł z uśmiechem. – Kto miałby tu chodzić oprócz mnie? Ale w maju, jak się zrobi ciepło, już będzie inaczej.

- Jest pan zupełnie pewny?

- Wyprowadzam psa trzy razy dziennie – wyjaśnił.

- I nie widziałem, żeby tu chodził samotny mężczyzna. Jak dotąd. Dopóki nie spotkałem pana.

Wallander skinął głową.

- W takim razie nie będę już pana zatrzymywał. Poszedł dalej. Kiedy przystanął i odwrócił się za siebie, człowieka z psem już nie było.

Nie potrafił powiedzieć, skąd przyszła ta myśl, a raczej przeczucie. Ale od tej chwili był absolutnie przekonany. Kiedy zapytał mężczyznę o samotnego człowieka na plaży, dostrzegł w jego twarzy niemal nieuchwytną zmianę, jakiś błysk w oczach.

On coś wie, pomyślał Wallander.

Raz jeszcze się obejrzał.

Plaża była pusta.

Wrócił do samochodu i odjechał.

Środa 29 kwietnia była w Ystad pierwszym dniem wiosny.

Wallander jak zwykle obudził się wcześnie. Był zlany potem. Wiedział, że dręczyły go jakieś koszmary, ale nie pamiętał ich treści. Może któryś raz z rzędu śniły mu się goniące go byki? Albo że Mona go opuściła? Wziął prysznic, wypił kawę i nieuważnie przeglądał „Ystads Allehanda”.

Już o pół do siódmej siedział w swoim pokoju w komendzie. Słońce świeciło na jasnoblękitnym niebie. Miał nadzieję, że Martinsson już wyzdrowiał i przejmie od Hanssona policyjne bazy danych. Lepiej i szybciej się w tym orientował. Wtedy on pojedzie z Hanssonem do Svarte i będą chodzić po domach. Ale teraz najważniejsze było zdobycie jak największej ilości informacji o Alexanderssonie. Martinsson był bez porównania bardziej skuteczny od Hanssona w wyszukiwaniu ludzi, którzy mogą coś wiedzieć. Wallander postanowił również poważnie się zająć sprawą zabójstwa Bengta, syna Alexanderssona.

O siódmej bezskutecznie próbował dodzwonić się do Jörnego, który wykonał sekcję zwłok Alexanderssona. Czuł wzrastające zniecierpliwienie. Sprawa mężczyzny zmarłego na tylnym siedzeniu taksówki nie dawała mu spokoju.

Za dwie ósma zebrawali się wszyscy w pokoju konferencyjnym. Dowiedzieli się od Rydberga, że Martinsson nadal ma gorączkę i boli go gardło. To typowe, że coś takiego przyplątało się do Martinssona, który cierpi na istną bakteriofobię, pomyślał Wallander.

– W takim razie my dwaj będziemy chodzić w Svarte po domach – zwrócił się do Rydberga. – A ty – rzekł do Hanssona – rób dalej swoje. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o synu Alexanderssona, o okolicznościach jego śmierci. Poproś o pomoc Rendala.

– Wiadomo coś więcej o tej truciznie? – zapytał Rydberg.

– Próbowałem się dowiedzieć dziś rano, ale nikogo nie zastałem.

Zebranie trwało bardzo krótko. Wallander poprosił o powiększenie legitymacyjnego zdjęcia Alexanderssona i o kilka jego kopii. Następnie udał się do szefa policji, Björka. W zasadzie uważał go za dobrego szefa, bo nie wtrącał się do ich pracy. Zdarzało się jednak, że Björk, w przypiływie nagłej

energii, domagał się sprawozdań z aktualnego etapu śledztwa.

– Jak idzie sprawa gangu eksportującego samochody? – zapytał, stukając dłońmi w stół na znak, że spodziewa się krótkiej i zwięzłej odpowiedzi.

– Fatalnie – odparł zgodnie z prawdą Wallander.

– Zatrzymaliście już kogoś?

– Nikogo. Gdybym z tym materiałem domagał się od prokuratora nakazu aresztowania, wyrzuciliby mnie za drzwi.

– Nie możemy się poddać – stwierdził Björk.

– Nie ma mowy. Pracuję nad tym. Tylko najpierw muszę wyjaśnić sprawę mężczyzny, który zmarł na tylnym siedzeniu taksówki.

– Wiem już od Hanssona – rzekł Björk. – To dziwnie wygląda.

– *To jest* dziwne – zareplikował Wallander.

– Czy to możliwe, żeby ktoś go zamordował?

– Tak twierdzą lekarze. Dzisiaj jedziemy do Svarte. Będziemy chodzić od domu do domu. Ktoś musiał go zauważyć.

– Informuj mnie na bieżąco – polecił Björk, wstając na znak, że rozmowa dobiegła końca.

Siedzieli w samochodzie Wallandera w drodze do Svarte.

– Piękna ta Skania – odezwał się nagle Rydberg.

– W każdym razie w taki dzień jak dzisiaj – przytaknął Wallander. – Ale jesienią potrafi być paskudnie. Błoto wciska się przez próg, do wszystkiego się lepi.

– Kto teraz myśli o jesieni? – zachnął się Rydberg. – Po co się martwić na zapas? Jeszcze przyjdzie na to czas.

Wallander nie odpowiedział. Właśnie wyprzedzał jadący przed nim traktor.

– Zaczniemy od domów wzdłuż plaży, po zachodniej stronie osady – wyjaśnił. – Będziemy szli z dwóch końców i potem spotkamy się na środku. Może uda ci się dowiedzieć, kto mieszka w domach, które teraz stoją puste.

– Czego ty właściwie szukasz? – zainteresował się Rydberg.

– Rozwiązania – odpowiedział. – Ktoś musiał go zauważyć, jak chodził po plaży. Ktoś musiał widzieć, jak spotkał innego człowieka.

Wallander zaparkował i wypuścił Rydberga, który poszedł w kierunku domu Agnes Ehn. Wallander próbował się połączyć z Jörnem z telefonu samochodowego.

Również i tym razem go nie zastał. Podjechał kawałek na zachód, wysiadł z samochodu i poszedł na wschód. Pierwszy dom miał typowy dla skańskich budowli kształt niskiej wydłużonej bryły. Wszedł przez furtkę i zadzwonił do drzwi. Nikt nie otwierał. Zadzwonił jeszcze raz. Już miał odejść, kiedy w drzwiach stanęła trzydziestoparoletnia kobieta w poplamionym dresie.

– Nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano – oświadczyła, mierząc Wallandera nieprzyjaznym wzrokiem.

– Czasem jest to konieczne – odparł, wyjmując policyjną legitymację.

– O co chodzi? – zapytała.

– Moje pytanie może się pani wydawać dziwne. Chciałbym wiedzieć, czy nie zauważyła pani mężczyzny około pięćdziesiątki w jasnoniebieskim płaszczu, który w ostatnich dniach przechadzał się po plaży?

Uniosła brwi i przyglądała mu się z rozbawieniem.

– Maluję z zaciągniętymi zasłonami – wyjaśniła. – Nic nie widziałam.

– Jest pani malarką. Myślałem, że malarze muszą mieć światło dzienne.

– Ja nie. Ale to chyba nie jest karalne?

– Więc nic pani nie zauważyła?

– Nic, tak jak powiedziałam.

– Czy mieszka tu ktoś, kto mógł coś zobaczyć?

– Mam kota, który się wyleguje w oknie za firanką. Może pan z nim porozmawiać.

Wallandera ogarnęła złość.

– Policjant musi czasami zadawać pytania – oznajmił. – Nie robię tego dla przyjemności. Nie będę już więcej pani niepokoił.

Kobieta zamknęła drzwi. Ułyszał szcęk kilku zamków. Ruszył do kolejnego domu. Ten miał dwa piętra i był stosunkowo niedawno wybudowany. W ogrodzie znajdowała



się mała fontanna. Zadzwoił do drzwi i usłyszał szczekanie psa. Czekał.

Pies przestał szczekać i drzwi otworzył starszy pan, ten sam, którego wczoraj spotkał na plaży. Wallander odniósł wrażenie, że mężczyzna wcale się nie zdziwił, gdy go zobaczył. Spodziewał się go i miał się na baczności.

– To znowu pan – powiedział na jego widok.

– Tak – odparł Wallander. – Obchodzę wszystkie domy, które leżą wzdłuż plaży.

– Mówiłem już panu, że nic nie widziałem.

Wallander skinął głową.

– Czasami coś się później przypomina – usprawiedliwiał się.

Mężczyzna odsunął się i wpuścił go do środka. Labrador obwąchiwał go z zainteresowaniem.

– Mieszka pan tu przez cały rok?

– Tak – odpowiedział mężczyzna. – Przez dwadzieścia dwa lata byłem lekarzem rejonowym w Nynäshamn. Na emeryturze przenieśliśmy się z żoną tutaj.

– Może żona coś widziała? – zapytał Wallander.

– Ona jest chora. Nic nie widziała.

Wallander wyciągnął z kieszeni notes.

– Czy mogę poprosić pana o nazwisko?

– Martin Stenholm – przedstawił się mężczyzna. – Żona ma na imię Kajsa.

Wallander zapisał nazwisko i wsunął notes do kieszeni.

– Nie będę już panu przeszkadzał.

– Nic nie szkodzi – odrzekł Stenholm.

– Czy mógłbym wrócić za parę dni i porozmawiać z pańską żoną? Byłoby lepiej, gdyby mi sama powiedziała, czy czegoś nie widziała.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – stwierdził Stenholm.

– Żona jest ciężko chora na raka. Jest umierająca.

– Rozumiem. Nie będę więcej państwa nachodził.

Martin Stenholm otworzył mu drzwi.

– Czy żona też jest lekarzem? – zapytał Wallander.

– Nie. Była prawnikiem.

Wallander wyszedł na drogę. Zanim spotkał Rydberga,

zaszedł jeszcze do trzech innych domów, gdzie niczego się nie dowiedział. Zaczęli wracać, każdy w swoją stronę. Wallander poszedł po samochód i czekał na Rydberga obok domu Agnes Ehn. Rydberg wrócił z niczym. Nikt nie widział Görana Alexanderssona.

– Zawsze słyszałem, że ludzie są ciekawscy – powiedział Rydberg. – Szczególnie na wsi i w stosunku do obcych.

Ruszyli w powrotną drogę. Wallander prowadził w milczeniu. Kiedy dojechali do komendy, poprosił Rydberga, żeby odszukał Hanssona i przyszedł do niego razem z nim. Zadzwoił do zespołu medycyny sądowej. Tym razem udało mu się złapać Jörnego. Hansson i Rydberg zjawili się, kiedy skończył rozmowę. Wallander spojrzał pytająco na Hanssona.

– Masz coś? – zapytał.

– Nic, co zmieniłoby dotychczasowy obraz Alexanderssona – odparł Hansson.

– Przed chwilą mówiłem z Jörnem – poinformował Wallander. – Alexandersson mógł spożyć truciznę, nic o tym nie wiedząc. Nie wiadomo dokładnie, jak szybko zaczyna działać. Według Jörnego mniej więcej po półgodzinie. A wtedy śmierć następuje bardzo szybko.

– Na razie wszystko się zgadza – wtrącił Hansson.

Wallander zdał następnie relację z rozmowy z Martinem Stenholmem w Svarte.

– Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że klucz do całej sprawy znajduje się w domu tego lekarza – wyznał.

– Lekarz zna się na truciznach – powiedział Hansson. – To zawsze coś.

– Masz oczywiście rację – odparł Wallander. – Ale jest jeszcze coś innego. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Mam poszukać w bazie danych? – zapytał Hansson. – Szkoda, że Martinsson jest chory. On jest w tym najlepszy.

Wallander skinął głową. Nagle uderzyła go pewna myśl.

– Sprawdź również żonę. Kajsę Stenholm.

Na czas Nocy Walpurgii i następującego po niej weekendu dochodzenie zamarło. Większość wolnego czasu Wallander spędził z ojcem. Jedno popołudnie poświęcił na odmalowanie

kuchni. Zadzwoił też do Rydberga – bez żadnego specjalnego powodu. Po prostu Rydberg był równie samotny jak on. Ale Rydberg za dużo wypił, więc rozmowa się nie kleiła.

W poniedziałek 4 maja Wallander już z samego rana siedział w komendzie. Czekając na wiadomości od Hanssona, zajął się sprawą samochodowego gangu. Był ciekaw, czy Hansson coś znalazł w policyjnych kartotekach. Hansson zjawił się w jego pokoju dopiero następnego dnia, tuż po jedenastej.

– Nie znalazłem Martina Stenholma – oznajmił. – Prawdopodobnie przez całe życie nie popełnił żadnego wykroczenia.

Wallander wcale się nie zdziwił. Przez cały czas miał świadomość, że mogą zabrnąć w ślepią uliczkę.

– A żona?

– To samo. Przez wiele lat była prokuratorem w Nynäshamn.

Hansson położył teczkę z papierami na biurku Wallandera.

– Raz jeszcze porozmawiam z taksówkarzami – powiedział Hansson. – Może jednak coś zauważyli.

Zostawszy sam, Wallander sięgnął po teczkę, którą przyniósł Hansson. Zapoznanie się z jej zawartością zajęło mu godzinę. Tym razem Hansson niczego nie zaniedbał. A jednak Wallander miał pewność, że stary lekarz ma jakiś związek ze śmiercią Alexanderssona. Wiedział, nie wiedząc, i to nie po raz pierwszy. Nie ufał swojej intuicji, ale nie mógł zaprzeczyć, że wiele razy okazała się słuszna. Zadzwoił do Rydberga, który natychmiast się u niego zjawił. Wallander podał mu teczkę.

– Chciałbym, żebyś to przeczytał. Ani Hansson, ani ja nie widzimy w tym nic szczególnego. Mimo to jestem pewien, że coś nam umknęło.

– O Hanssonie możemy zapomnieć – rzekł Rydberg, nie kryjąc się ze swoim przeświadczeniem o ograniczonych możliwościach kolegi.

Późnym popołudniem Rydberg odniósł teczkę z dokumentami. On również nic nie znalazł.

– Musimy zacząć od początku – stwierdził Wallander. –

Spotkamy się jutro rano i ustalimy dalszy plan działania.

Chwilę później Wallander opuścił budynek komendy i wyruszył do Svarte. Długo przechadzał się po plaży. Nikogo nie spotkał. Potem usiadł w samochodzie i przejrzał raz jeszcze teczkę Hanssona. Czegoś nie dostrzegam, myślał. Istnieje jakiś związek między lekarzem a Goranem Alexanderssonem. Tylko nie mogę go dostrzec.

Postanowił zabrać teczkę Hanssona do domu. Mieszkali w tym samym trzypokojowym mieszkaniu, od kiedy czternaście lat temu przenieśli się do Ystad.

W domu usiłował się odprężyć, aleteczka z dokumentami nie dawała mu spokoju. Późnym wieczorem, około północy, usiadł przy stole w kuchni i po raz kolejny zaczął ją wertować.

Mimo zmęczenia pewien szczegół przyciągnął jego uwagę. Zdawał sobie sprawę, że może być bez znaczenia. Postanowił to jednak sprawdzić nazajutrz z samego rana.

Tej nocy spał niespokojnie.

Przybył do komendy tuż przed siódmą. W Ystad siąpiła drobna mżawka. Wallander wiedział, że ma sprawę do kogoś, kto wstaje tak samo wcześnie jak on. Udał się do części budynku, w której mieściła się prokuratura, i zastukał do Pera Åkesona. Jak zwykle panował tam nieopisany bałagan. Åkeson i Wallander pracowali razem od wielu lat i mieli do siebie duże zaufanie. Åkeson podniósł okulary na czoło i spojrzał na Wallandera.

– Ty tutaj? – zdziwił się. – O tej porze? Musisz mieć coś ważnego.

– Nie wiem, czy to takie ważne, ale potrzebna mi twoja pomoc – odparł Wallander.

Zdjął stos papierów z krzesła i położył na podłogę. Usiadł i pokrótce streścił okoliczności śmierci Gorana Alexanderssona.

– To jakaś niesamowita historia – odezwał się Åkeson, kiedy Wallander skończył.

– Niesamowite rzeczy się zdarzają – rzekł Wallander. – Wiesz o tym równie dobrze jakja.

– Nie przychodzisz chyba o siódmej rano, żeby mi to powiedzieć? Przypuszczam, że chcesz zaproponować, żebyśmy zatrzymali tego lekarza?

– Chodzi mi o jego żonę, Kajsę Stenholm – odrzekł Wallander. – To osoba z twojej branży. Przez wiele lat była prokuratorem w Nynäshamn. Kilka razy brała stamtąd urlop i pracowała na krótkotrwałych zastępstwach w innych miejscach. Siedem lat temu wylądowała w Sztokholmie. Akurat w tym czasie syn Gorana Alexanderssona został napadnięty i pobity na śmierć. Potrzebna mi twoja pomoc w ustaleniu, czy między tymi wydarzeniami istnieje jakiś związek.

Wallander zajrzał do swoich papierów i mówił dalej.

– Syn miał na imię Bengt – dodał. – Bengt Alexandersson. Miał osiemnaście lat, kiedy umarł.

Åkeson przyglądał się Kurtowi, marszcząc czoło i kiwając się na krześle.

– Co tobie właściwie chodzi po głowie? – zapytał.

– Nie wiem – odrzekł Wallander. – Ale chciałbym się temu bliżej przyjrzeć. Czy Kajsa Stenholm miała jakikolwiek związek z dochodzeniem w sprawie śmierci Bengta Alexanderssona.

– Sądzę, że ci się spieszy?

Wallander przytaknął.

– Znasz mnie na tyle, że wiesz, jak mi brakuje cierpliwości – rzekł, wstając z krzesła.

– Zobaczę, co się da zrobić – przyrzekł Åkeson. – Ale nie spodziewaj się zbyt wiele.

Chwilę później Wallander, mijając recepcję, poprosił Ebbę, żeby przysłała do niego Hanssona i Rydberga, gdy tylko pojawią się w pracy.

– Jak ty się właściwie czujesz? – zapytała Ebba. – Wysypiasz się w nocy?

– Czasem mi się wydaje, że śpię aż za długo – rzekł wymijająco. Ebba była podporą recepcji i czuwała nad dobrym samopoczuciem pracowników. Wallander musiał się czasami bronić przed jej troskliwością.

Kwadrans po ósmej zjawił się u niego Hansson, a chwilę później Rydberg. Wallander opowiedział pokrótce, co zwróciło

jego uwagę w „papierach Hanssona”, jakje teraz nazywał.

– Zobaczmy, czego się dowie Per Åkeson – powiedział na zakończenie. – Może to tylko moje bezpodstawne domysły. Ale jeżeli się okaże, że Kajsa Stenholm była w Sztokholmie w tym samym czasie, kiedy zginął Bengt Alexandersson, i jeżeli zajmowała się śledztwem, to będziemy mieli jakieś powiązanie.

– Mówiłeś, że ona jest nieuleczalnie chora? – wtrącił Rydberg.

– Tak twierdzi jej mąż – odrzekł Wallander. – Nie widziałem jej na oczy.

– Przy całym szacunku dla twojej zdolności do prowadzenia skomplikowanych dochodzeń, to wszystko jest naciągane – odezwał się Hansson. – Przypuśćmy, że masz rację i Kajsa Stenholm rzeczywiście prowadziła wstępne dochodzenie w sprawie zabójstwa młodego Alexanderssona. Jakie to ma dzisiaj znaczenie? Czy chora na raka kobieta miałaby zamordować człowieka, który pojawia się w związku z jej przeszłością?

– To jest naciągane – przyznał Wallander. Zaczekajmy jednak, co powie Åkeson.

Wallander został sam. Był w rozterce. Zastanawiał się, co robią i o czym mówią Mona i Linda. Około pół do dziesiątej poszedł po kawę, o pół do jedenastej po następną. Właśnie wchodził do pokoju, kiedy zadzwonił Per Åkeson.

– Poszło szybciej, niż przypuszczałem – zakomunikował. – Masz pióro?

– Już piszę – rzekł Wallander.

– Kajsa Stenholm zajmowała stanowisko oskarżyciela publicznego w Sztokholmie między 10 marca a 9 października 1980 roku. Dzięki pomocy bystrego rejestratora w sądzie rejonowym mam odpowiedź na twoje drugie pytanie: czy Stenholm miała coś wspólnego z dochodzeniem w sprawie śmierci Bengta Alexanderssona.

Åkeson zamilkł. Wallander czekał w napięciu.

– Okazuje się, że miałaś rację. To ona prowadziła postępowanie wstępne i ona w końcu dała za wygraną. Nigdy nie znaleziono sprawcy.

– Jestem ci wdzięczny za przysługę – rzekł Wallander. – Mam teraz o czym myśleć. Odezwę się później.

Odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Szyba zaparowała od wilgoci. Deszcz był gęstszy niż rano. Jest tylko jeden sposób, pomyślał. Wejść do tamtego domu i dowiedzieć się, co właściwie zaszło. Postanowił wziąć ze sobą Rydberga. Wezwał do siebie jego i Hanssona. Przekazał im informację od Åkesona.

– A niech to diabli – skomentował Hansson.

– Postanowiłem, że pojedziemy tam razem – zwrócił się Wallander do Rydberga. – Trzech byłoby za dużo.

Hansson się z nim zgodził.

Jechali w milczeniu. Wallander zaparkował w odległości stu metrów od domu Stenholmów.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał Rydberg, idąc obok niego w deszczu.

– Tego, żebyś ze mną był – powiedział szczerze Wallander. – To wszystko.

Nagle uderzyła go myśl, że po raz pierwszy to Rydberg mu asystuje, a nie odwrotnie. Rydberg nigdy nie był formalnie jego szefem, szefowanie było sprzeczne z jego usposobieniem, ale zawsze pracowali ramię w ramię. Przez wszystkie lata w Ystad Rydberg był jego mentorem. To, co dzisiaj wiedział o pracy policjanta, zawdzięczał przede wszystkim jemu.

Pchnęli furtkę i podeszli do drzwi wejściowych. Otworzyły się natychmiast, jak gdyby stary lekarz na nich czekał. Wallander zdziwił się, że nie przybiegł labrador.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – zaczął Wallander. – Mamy jeszcze kilka pytań, z którymi nie chcielibyśmy czekać.

– Co znowu?

Nie było śladu wcześniejszej uprzejmości. Lekarz wydawał się zalekniony i poirytowany.

– Chodzi o mężczyznę na plaży – odrzekł Wallander.

– Mówiłem już, że go nie widziałem.

– Chcielibyśmy zapytać pańską żonę.

– Mówiłem, że jest śmiertelnie chora. Jak mogła coś zobaczyć? Leży w łóżku. Nie rozumiem, dlaczego nie zostawicie

nas w spokoju.

Wallander pokiwał głową.

– Wobec tego nie będziemy państwa niepokoić. W każdym razie nie w tej chwili. Jestem jednak pewien, że jeszcze tu wrócimy. I wtedy będzie pan nas musiał wpuścić.

Wziął Rydberga pod ramię i wyprowadził go na zewnątrz. Drzwi za nimi się zamknęły.

– Dlaczego tak szybko odpuściłeś? – zapytał Rydberg.

– Nauczyłem się od ciebie – odparł Wallander.

– Nie zaszkodzi, jak człowiek dostanie czas do namysłu. Zresztą muszę mieć nakaz przeszukania od Åkesona.

– Czy to rzeczywiście on zabił Alexanderssona?

– Tak, to on – zapewnił Wallander. – Jestem o tym przekonany. Ale wciąż nie wiem dlaczego.

Jeszcze tego samego popołudnia Wallander dostał od Åkesona zgodę na przeszukanie. Postanowił poczekać do następnego dnia. Chcąc się zabezpieczyć, zwrócił się do Björka, aby do tego czasu polecił obserwować dom.

Następnego dnia obudził się o świcie. Podniósł roletę i ujrzał miasto otulone mgłą. Zanim wziął prysznic, zrobił coś, o czym zapomniał poprzedniego wieczoru. Poszukał numeru telefonu Stenholma w książce telefonicznej. Nie figurowali tam ani Martin, ani Kajsa Stenholm. Zadzwoił do biura numerów, gdzie się dowiedział, że numer jest zastrzeżony. Pokiwał głową, takjakby się tego spodziewał.

Pił kawę i zastanawiał się, czy wziąć ze sobą Rydberga, czy jechać do Svarte w pojedynkę. Dopiero kiedy usiadł za kierownicą samochodu, zdecydował, że pojedzie sam. Wybrzeże pokrywała gęsta mgła.

Jechał bardzo powoli. Tuż przed ósmą zaparkował przed domem Stenholmów. Wszedł przez furtkę i zadzwonił do drzwi. Martin Stenholm otworzył po trzecim dzwonku. Na widok Wallandera usiłował zatrzaskać drzwi. Inspektor zdążył je przytrzymać, wsunawszy stopę za próg.

– Jakim prawem pan się włamuje?! – krzyknął mężczyzna przenikliwym głosem.

– Nie włamuję się – odrzekł Wallander. – Mam ze sobą



nakaz przeszukania. Musi się pan z tym pogodzić. Możemy tu gdzieś usiąść?

Martin Stenholm dał za wygraną. Zaprowadził inspektora do pokoju wypełnionego książkami. Wallander usiadł w skórzanym fotelu, starszy pan zajął miejsce naprzeciw niego.

– Czy w dalszym ciągu nie ma mi pan nic do powiedzenia? – zapytał Wallander.

– Nie zauważyłem nikogo spacerującego po plaży. Ani ja, ani moja ciężko chora żona.

Wallander postanowił przejść od razu do rzeczy. Nie widział powodu, aby dłużej kluczyć.

– Pańska żona była prokuratorem – zaczął. – W latach osiemdziesiątych pracowała w Sztokholmie. Zajmowała się, między innymi, dochodzeniem w sprawie okoliczności zabójstwa osiemnastoletniego Bengta Anderssona. Po kilku miesiącach je zawiesiła. Przypomina pan sobie tę sprawę?

– Nic takiego nie pamiętam. Mieliśmy niepisaną umowę, że w domu nie mówimy o pracy. Ona o oskarżonych, ajao pacjentach.

– Mężczyzna, który krążył po plaży, był ojcem zamordowanego Bengta Alexanderssona – ciągnął Wallander. – Został otruty i zmarł na tylnym siedzeniu taksówki. Czy sądzi pan, że to przypadek?

Stenholm nie odpowiadał. Wallanderowi nagle stanął przed oczami cały przebieg wydarzeń.

– Po przejściu na emeryturę przenosicie się z Nynäshamn na południe, do Skanii – mówił powoli.

– Do mało znanej miejscowości Svarte. Wasz numer nie figuruje w książce telefonicznej, jest zastrzeżony. Może chcecie mieć święty spokój, wieść anonimowe życie. Ale może też istnieć inny powód, a mianowicie, że wprowadzacie się tutaj w tajemnicy przed czymś lub przed kimś. Kto wie, czy nie przed człowiekiem, który nie potrafi zrozumieć, że prokurator nie dokłada wszelkich starań, aby ująć winnych bezsensownego zabójstwa jego jedynego syna. Przeprowadzacie się, ale on was odnajduje. Nigdy się nie dowiemy, jak was odszukał. Pewnego dnia znienacka pojawia się na plaży. Natyka się pan na niego,

spacerując z psem. Jest pan w szoku. On powtarza swoje oskarżenia, może nawet groźby. W domu, na piętrze, leży pańska chora żona. Wierzę, że tak jest. Mężczyzna wraca na plażę dzień po dniu. Nie daje panu spokoju. Nie wie pan, jak się go pozbyć. Nie widzi pan żadnego wyjścia z sytuacji. I wtedy zaprasza go pan do siebie. Prawdopodobnie przyrzeka mu pan rozmowę z żoną. Podaje mu pan truciznę, na przykład w filiżance kawy, a potem nagle zmienia pan zdanie i prosi, żeby przyszedł nazajutrz, tłumacząc, że żona ma silne bóle albo że zasnęła. Wie pan, że on już nigdy nie wróci. Problem został rozwiązany. Göran Alexandersson umrze na coś, co przypomina atak serca. Nikt nie widział was razem, nikt nie wie, że macie cokolwiek ze sobą wspólnego. Czy nie mam racji?

Stenholm siedział nieporuszony.

Wallander czekał. Za oknem rozciągała się gęsta mgła. Po chwili mężczyzna uniósł głowę.

– Żona w niczym nie zawiniła. Ale czasy się zmieniały, zwiększała się liczba przestępstw, stawały się coraz bardziej brutalne. Przeciążona pracą policja, prokuratura i sądy borykały się bezskutecznie z nawałem pracy. Pan, jako policjant, wie to najlepiej. Dlatego oskarżanie mojej żony o to, że nie odnaleziono zabójców syna Alexanderssona, było głęboko niesprawiedliwe. Prześladował nas i terroryzował przez siedem lat. A sam pozostawał nieuchwytny.

Stenholm zamilkł. Wstał z krzesła.

– Chodźmy do mojej żony. Niech sama opowie.

– To już nie jest konieczne – rzekł Wallander.

– Dla mnie tak – odparł mężczyzna.

Weszli na piętro. Kajsza Stenholm leżała w dużym, jasnym pokoju. Obok niej na podłodze rozciągnął się labrador.

– Ona nie śpi – zapewnił mężczyzna. – Proszę podejść bliżej i zadać jej pytanie.

Wallander podszedł do łóżka. Ujrzał zapadniętą twarz, właściwie skórę naciągniętą na kości.

Nagle zrozumiał, że Kajsza Stenholm nie żyje. Spojrzał za siebie. Starszy pan nadal stał w drzwiach. Trzymał w ręku pistolet wymierzony w inspektora.

– Domyślałem się, że pan wróci – powiedział. – Myślałem, że będzie lepiej, jak umrze.

– Proszę odłożyć broń – zażądał Wallander.

Stenholm pokręcił głową. Wallandera ogarnął paralizujący lęk.

Potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Stenholm przytknął nagle pistolet do skroni i nacisnął spust. W pokoju huknął strzał, mężczyznę wyrzuciło za próg. Krew trysnęła na ściany. Wallander bliski omdlenia, ślaniając się, wyszedł z pokoju i zszedł na dół po schodach. Wykręcił numer komendy. Odebrała Ebba.

– Hansson albo Rydberg – rzucił. – I to szybko.

Zgłosił się Rydberg.

– Już po wszystkim – rzekł Wallander. – Przyślij wozy do Svarte. Mam tu dwoje martwych ludzi.

– Zabiłeś ich? Co się stało? – zapytał Rydberg. – Jesteś ranny? Jak mogłeś, cholera, sam tam pojechać?

– Nie wiem – odrzekł Wallander. – Pospieszcie się. Jestem cały.

Wyszedł i czekał na zewnątrz. Plaża była zasnuta mgłą. Przypomniał sobie słowa starego lekarza.

O coraz większej liczbie przestępstw. O wzrastającej przemocy. Wiele razy sam o tym myślał. O tym, że jest policjantem z innej epoki. Mimo że nie przekroczył czterdziestki. Być może dzisiaj potrzebni są w policji inni ludzie?

Czekał we mgle na radiowozy z Ystad. Czuł się rozbity. Po raz kolejny wbrew sobie uczestniczył w tragedii. Zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma.

Kiedy wreszcie przybyli i z samochodu wysiadł Rydberg, ujrzał postać Wallandera odcinającą się czarnym cieniem w mlecznej mgle.

– Co tu zaszło? – spytał Rydberg.

– Wyjaśniliśmy sprawę mężczyzny, który umarł na tylnym siedzeniu taksówki Stenberga – odparł Wallander.

Widział, że Rydberg czeka na dalszy ciąg.

– Nic ponadto – dodał. – To jedyne, co zdziałaliśmy.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku plaży.  
Po chwili wchłonęła go mgła.

## ŚMIERĆ FOTOGRAFA

Każdego roku wczesną wiosną miał powracający sen. Potrafił w nim fruwać. Wszystko zawsze przebiegało w ten sam sposób. Wchodził na górę po słabo oświetlonych schodach. Nagle sufit nad jego głową się otwierał i okazywało się, że schody prowadzą na czubek drzewa. W dole rozciągała się przestrzeń. Podnosił ramiona i zaczynał spadać. Panował nad światem.

W tym momencie się budził. Sen urywał się zawsze w tym samym miejscu. Mimo że od wielu lat śnił to samo, nigdy nie przeżył uczucia, że unosi się w powietrzu.

Sen się powtarzał. A on za każdym razem czuł się oszukany.

Myślał o tym, idąc przez centrum Malmö. Sen powrócił w ubiegłym tygodniu. I jak zawsze skończył się w chwili, kiedy właśnie miał odfrunąć z czubka drzewa. Teraz już długo się nie pojawi.

Był kwietniowy wieczór 1988 roku. Nie czuło się jeszcze powiewu wiosny. Szedł przez miasto, żałując, że nie włożył grubszego swetra. Tym bardziej że wciąż odczuwał skutki upartego przeziębienia. Właśnie minęła ósma. Ulice świeciły pustką. Z daleka słyszał dźwięk ostro startującego samochodu. Po chwili wszystko ucichło. Wybierał zawsze tę samą trasę. Z Lavendelvägen, przy której mieszkał, szedł Tennisgatan. Skręcał w lewo przy Margaretaparken i kontynuował spacer Skottegatan aż do centrum. Potem znów w lewo, mijając Kristianstadsvägen i już po chwili znajdował się przy placu św. Gertrudy, gdzie mieścił się jego zakład fotograficzny. Gdyby był młodym fotografem, który dopiero zaczyna w Ystad, lokalizacja zakładu nie należałaby do najbardziej korzystnych. Ale jego

atelier istniało już od dwudziestu pięciu lat. Miał stałą klientelę, która wiedziała, gdzie go szukać. Robili sobie u niego ślubne zdjęcia. Potem zjawiali się z pierwszym dzieckiem. Albo z okazji innych uroczystości, które uważali za warte uwiecznienia. Czasami zdarzało mu się robić ślubne zdjęcia dwóch pokoleń tej samej rodziny. Kiedy stało się to po raz pierwszy, zrozumiał, że się starzeje. Wcześniej rzadko o tym myślał, aż tu nagle stuknęła mu pięćdziesiątka. Było to już sześć lat temu.

Przystanął przed oknem wystawowym i spoglądał na swoje odbicie w lustrze. Takie jest życie. Właściwie nie ma powodu, aby narzekać. Jeśli tylko przez następne dziesięć, piętnaście lat dopisze mu zdrowie, to...

Porzucił myśli o życiu i ruszył dalej. Wiał porywisty wiatr, otulił się szczelniej kurtką. Szedł bez pośpiechu, ani szybko, ani powoli. Dwa razy w tygodniu udawał się do atelier po kolacji. Były to dla niego odświeżające chwile. Dwa wieczory, kiedy mógł być sam na sam ze swoimi zdjęciami.

Dotarł na miejsce. Zanim otworzył drzwi wejściowe, przyglądał się witrynie z mieszaniną zniechęcenia i irytacji. Już dawno powinien zmienić jej wystrój. Mimo że nie przyciągała już nowych klientów, powinien się trzymać zasad, które sam ustanowił ponad dwadzieścia lat temu. Powinien raz w miesiącu wymieniać wystawione zdjęcia. Tymczasem wkrótce miną dwa miesiące. Przedtem, kiedy zatrudniał pomoc, mógł poświęcić więcej czasu na okno wystawowe. Ale ostatniemu pracownikowi wymówił już niemal cztery lata temu. Za drogo go kosztował. Zresztą sam sobie świetnie dawał radę.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz panował mrok. Trzy razy w tygodniu przychodziła kobieta do sprzątania. Miała własny klucz i zaczynała już o piątej rano. Po przedpołudniowym deszczu podłoga była zdeptana. Nie lubił brudu. Dlatego nie zapalił światła, tylko skierował się od razu do atelier, a stamtąd do najdalszego pokoju, w którym wywoływał zdjęcia. Zamknął drzwi i zapalił światło. Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku. Włączył stojące na półeczce radio. Było nastawione na kanał z muzyką klasyczną. Nappełnił

kawą ekspres i wymyśl filiżankę. Przepeliło go uczucie zadowolenia. Najdalszy pokój był jego świątynią. Oprócz sprzątaczkę nie wpuszczał tu nikogo. Tu znajdował się w centrum świata. Sam. Absolutny władca.

Czekając, aż kawa będzie gotowa, myślał o tym, co go czeka. Zawsze planował zawczasu swój wieczór. Był systematyczny i niczego nie pozostawiał przypadkowi.

Tego wieczoru przyszła kolej na premiera. Dziwił się nawet, że nie poświęcił mu wcześniej żadnego z wieczorów. Tym razem się dobrze przygotował. Przez ponad tydzień dokładnie przeglądał gazety, w poszukiwaniu zdjęcia, którym się posłuży. Znalazł je w jakiejś popołudniówce i od razu wiedział, że tego właśnie szukał. Odpowiadało mu pod każdym względem. Sfotografował je kilka dni temu. Czekają w jednej z zamkniętych szuflad. Nalał sobie kawy i nucił melodię z radia. Właśnie szła sonata fortepianowa Beethovena. Od Beethovena wolał Bacha. Ale najbardziej lubił Mozarta. Musiał jednak przyznać, że sonata fortepianowa była piękna.

Usiadł przy biurku, ustawił lampę i otworzył szufladę z lewej strony biurka. Tam znajdowało się zdjęcie premiera. Nieco większe niż kartka formatu A4. Położył zdjęcie przed sobą, wypił łyk kawy i przyjrzał się twarzy. Od czego zacznie? Od czego ma zacząć zmniejszanie? Mężczyzna na zdjęciu uśmiechał się i patrzył w lewo. We wzroku miał cień niepokoju lub niepewności. Fotograf postanowił zacząć od oczu. Można je zmniejszyć i dorobić zeza. Wydłużyć twarz, ustawiając ukośnie powiększalnik. Ciekawe, jaki będzie efekt, jeżeli wygnie w łuk papier. Potem będzie ciął i kleił, żeby się pozbyć ust. Albo je zaszyje. Politycy stanowczo zbyt dużo mówią.

Dopił kawę. Zegar na ścianie wskazywał dziewiątą. Grupka hałaśliwej młodzieży przeszła ulicą i zagłuszyła na chwilę muzykę.

Odstawił pustą filiżankę i rozpoczął żmudną, lecz przyjemną pracę nad retuszem. Widział, jak twarz stopniowo się przekształca.

Zajęło mu to ponad dwie godziny. Nadal było widać, że to twarz premiera. Ale co się z nią stało? Wstał z krzesła i

przyczepił zdjęcie do ściany. Skierował na nie światło lampy. W radiu leciało *Święto wiosny* Strawińskiego. Dramatyczna muzyka harmonizowała z jego dziełem. To już nie była ta sama twarz.

Pozostało jeszcze najważniejsze. Najprzyjemniejsza część pracy. Teraz zmniejszy fotografię. Będzie mała i nic nieznacząca. Umieścił zdjęcie na szklanej płytce i oświetlił. Stopniowo je zmniejszał. Szczegóły się kurczyły, ale w dalszym ciągu pozostawały ostre. Zatrzymał się, kiedy rysy twarzy zaczęły się zacierać.

Wreszcie osiągnął swój cel.

Dochodziło pół do dwunastej, kiedy położył na biurku rezultat swojej pracy. Zniekształcona twarz premiera nie przekraczała rozmiaru fotografii paszportowej. Po raz kolejny sprowadził jednego z opętanych władzą ludzi do odpowiedniej wielkości. Z wielkich robił małych. W jego świetle nie było człowieka większego niż on. Przerabiał ich twarze, zmniejszał i ośmieszał, upodabniał do insektów.

Wyjął z szuflady album. Przewracał kartki i na pierwszej pustej stronie wkleił zretuszowane zdjęcie. Wpisał datę wiecznym piórem.

Odchylił się na krześle. Stworzył i wkleił do albumu kolejne zdjęcie. Wieczór był udany. Efekt jego pracy również. Nic mu nie przeszkodziło. Żadne niespokojne myśli. Wieczór w świątyni, gdzie wszystko tchnęło ciszą i spokojem.

Odłożył album i zamknął szuflady. Po Strawińskim nastąpił Handel. Czasami irytował go w radiu brak miękkich przejść.

Wstał i wyłączył aparat. Pora wracać do domu.

W tym samym momencie doznał uczucia, że coś jest nie tak. Stał bez ruchu i nasłuchiwał. Panowała cisza. Pomyślał, że coś mu się przywidziało. Wyłączył ekspres do kawy i zaczął gasić lampy. Znowu przystanął. Usłyszał jakiś odgłos z atelier. Nagle obleciał go strach. Czyżby ktoś się włamał do zakładu? Ostrożnie podszedł do drzwi i nadstawił uszu. Nic nie było słyhać. Coś mi się przywidziało, pomyślał zirytowany. Kto



miałby się włamać do zakładu, gdzie nie sprzedaje się aparatów fotograficznych? Gdzie nie ma czego ukraść?

Raz jeszcze wy tężył słuch. Zdjął kurtkę z wieszaka i włożył na siebie. Zegar na ścianie wskazywał za kwadrans dwunastą. Wszystko jak zawsze. Zazwyczaj o tej porze opuszczał swoją świątynię i szedł do domu.

Zanim zgasił ostatnią lampę, jeszcze raz się rozejrzył i otworzył drzwi. W atelier panował mrok. Zapalił światło. Tak jak przypuszczał, w środku nikogo nie było. Zgasił światło i ruszył do części sklepowej.

Teraz wszystko rozegrało się bardzo szybko.

Nagle zza opuszczonego ekranu, którego używał do zdjęć w atelier, wyłoniła się jakaś postać. Widział w mroku tylko jej zarys. Ponieważ postać zasłaniała wyjście, miał tylko jedną drogę odwrotu. Cofnąć się i zamknąć w ostatnim pokoju. Tam był telefon i stamtąd mógł wezwać pomoc.

Zawrócił, ale nie zdążył dobiec do drzwi. Cień był szybszy. Dosięgnął go cios w głowę, świat eksplodował białym światłem i zaraz pograżył się w ciemności.

Zanim upadł na podłogę, już nie żył.

Do północy pozostało siedemnaście minut.

Sprzątaczką, Hilda Waldén, zjawiała się w zakładzie fotograficznym Simona Lamberga tuż po piątej rano. Rower postawiła przed wejściem i dokładnie zapięła go na łańcuch. Ochłodziło się i siąpił drobny deszcz. Hilda trzęsła się z zimna, szukając właściwego klucza. Wiosna zwlekała z nadejściem. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Po ostatnich deszczach podłoga była zdeptana. Położyła torebkę na kontuarze, a płaszcz na krześle obok stolika z prasą.

W atelier był schowek, w którym trzymała fartuch i sprzęt do sprzątania. Pomyślała, że Lamberg powinien wkrótce sprawić sobie nowy odkurzacz, bo ten już ledwo ciągnie.

Weszła do atelier i w tej samej chwili go zobaczyła. Od razu zrozumiała, że fotograf nie żyje. Wokół ciała rozlały się plamy krwi.

Wybiegła na ulicę. Emerytowany kierownik banku, któremu lekarz zalecił codzienne spacerowanie, przeraził się nie na żarty, kiedy udało mu się uspokoić krzyczącą kobietę.

Hilda stała w miejscu i trzęsła się na całym ciele, podczas gdy on pobiegł do automatu przy najbliższym rogu ulicy i zadzwonił pod numer alarmowy.

Było dwadzieścia po piątej. Nad miastem przechodziła mżawka i utrzymywały się poddmuchy południowo-wschodniego wiatru.

Wallandera obudził telefon od Martinssona. Było trzy minuty po szóstej. Z doświadczenia wiedział, że telefon o tej porze oznacza coś poważnego. Zwykle budził się przed szóstą. Jednakże tego ranka jeszcze spał i sygnał wyrwał go ze snu. Spał dłużej, gdyż wieczorem odłamał mu się kawałek zęba i w nocy go bolało. Wielokrotnie wstawał i łykał proszki przeciwbólowe, aż w końcu około czwartej udało mu się zasnąć. Zanim sięgnął po telefon, poczuł, że ból jeszcze nie ustąpił.

– Obudziłem cię? – spytał Martinsson.

– Tak – odparł Wallander, zdziwiony, że raz powiedział prawdę. – Obudziłeś. Co się stało?

– Zadzwonili do mnie z nocnego dyżuru. Około pół do szóstej dostali wiadomość o zabójstwie przy placu św. Gertrudy. Posłali tam patrol.

– I co?

– Niestety, wiadomość okazała się prawdziwa.

Wallander usiadł na łóżku. Alarm nastąpił pół godziny temu.

– Byłeś tam?

– Jak miałem zdążyć? Kiedy zadzwonił telefon, właśnie się ubierałem. Sądziłem, że najlepiej będzie od razu skontaktować się z tobą.

Wallander pokiwał w milczeniu głową.

– Wiadomo kto? – zapytał.

– Zdaje się, że fotograf, który ma zakład przy placu. Zapomniałem teraz, jak ma na nazwisko.

– Lamberg? – podpowiedział Wallander, marszcząc czoło.

– Tak, Simon Lamberg. Jeżeli dobrze zrozumiałem, znalazła go sprzątaczką.

– Gdzie?

– Jak to gdzie?

– Znalazła go w zakładzie czy na ulicy?

– W środku.

Wallander się zastanawiał, zerkając na budzik stojący obok łóżka. Siedem minut po szóstej.

– Spotkamy się za kwadrans? – odezwał się po chwili.

– Tak – odparł Martinsson. – Chłopcy z patrolu uprzedzali, że to przykry widok.

– Jak to na miejscu zabójstwa – stwierdził Wallander. – Chyba nigdy w życiu nie zastałem tam widoku, który bym określił jako przyjemny.

Zakończyli rozmowę.

Wallander nadal siedział na łóżku. Wiadomość od Martinssona go poruszyła. Jeżeli to prawda, to dobrze wiedział, kto został zamordowany. Simon Lamberg wiele razy go fotografował. Wallander przebiegał w pamięci wszystkie sytuacje, kiedy był u niego w zakładzie. Lamberg fotografował Monę i jego, kiedy się pobierali w maju 1970 roku. Ale nie w atelier, tylko na plaży, tuż obok hotelu Saltsjöbadens. Tak chciała Mona. Wallander pamiętał, że uważał to za zbędną fatygę. Ślub brali w Ystad tylko dlatego, że duchowny, który udzielał jej konfirmacji, pracował obecnie w tym mieście. Wallander chciał, żeby się pobrali w Malmö i wzięli ślub cywilny, ale Mona się nie zgodziła. Fotografowanie się na zimnej i wietrznej plaży wcale go nie bawiło. I to wszystko dla romantycznego podobno zdjęcia, które w dodatku, jak się później okazało, nie było udane. Lamberg fotografował również kilka razy Lindę, kiedy była małym dzieckiem.

Wallander wstał z łóżka i ubrał się, nie biorąc prysznicą. Wszedł do łazienki i otworzył szeroko usta. Nie pamiętał już, ile razy powtarzał to w ciągu nocy. Za każdym razem miał nadzieję, że ząb znów będzie cały.

Nadłamany ząb tkwił w dolnej szczęce po lewej stronie. Kiedy rozciągał palcem usta, widział, że została z niego połowa.

Delikatnie czyścił zęby. Za każdym razem, gdy dotykał uszkodzonego miejsca, przeszywał go ból.

Z łazienki przeszedł do kuchni. W zlewie piętrzył się stos nieumytych naczyń. Rzucił okiem za okno. Wiatr i mżawka. Latarnia uliczna kołysała się w podmuchach wiatru. Termometr wskazywał cztery stopnie. Skrzywił się poirytowany, że wiosna się opóźnia. Już miał wychodzić, ale cofnął się i wszedł do pokoju dziennego. Na półce stała ślubna fotografia.

Lamberg nie zrobił nam zdjęcia, jak się rozstawaliśmy, pomyślał. Z tego okresu nie ma pamiętek. Zresztą tym lepiej. Pewnego dnia, mniej więcej miesiąc temu, Mona zażądała nagle, by na jakiś czas zamieszkali osobno. Chciała się zastanowić nad swoją przyszłością. Wallander był całkowicie oszołomiony, mimo że w głębi duszy to go nie zaskoczyło. Stopniowo się od siebie oddalali, mieli coraz mniej tematów do rozmów, coraz mniej radości sprawiała im fizyczna bliskość. Wreszcie łączącym ich ogniwem pozostała tylko Linda.

Wallander się opierał. Prosił i groził, ale Mona twardo upierała się przy swoim. Postanowiła wrócić do Malmö. Linda chciała się przenieść razem z nią. Pociągało ją większe miasto. Tak też się stało. Wallander nadal wierzył, że któregoś dnia zaczną wszystko od nowa. Nie wiedział jednak, czyjego nadzieja ma jakiegokolwiek podstawy.

Otrząsnął się, odstawił fotografię na półkę i opuścił mieszkanie. Zastanawiał się, co takiego się wydarzyło.

Kim właściwie był Lamberg? Mimo że fotografował się u niego przynajmniej cztery lub pięć razy, nie pozostał mu w pamięci. Teraz go to zdziwiło. Lamberg był dziwnie anonimowy. Do tego stopnia, że Wallanderowi trudno było przywołać rysy jego twarzy.

W ciągu paru minut dotarł na plac św. Gertrudy. Przed zakładem fotograficznym stały dwa radiowozy. Zebrała się garstka gapiów. Kilku funkcjonariuszy zabezpieczało taśmą ulicę przed wejściem. Martinsson przyjechał niemal równocześnie. Był nieogolony, co mu się raczej nie zdarzało.

Razem podeszli do taśmy. Przywitali się z dyżurnym

policjantem.

– To nie wygląda przyjemnie. Upadł na twarz i leży w kałuży krwi.

Wallander przerwał mu ruchem głowy.

– Czy to na pewno fotograf? Lamberg?

– Tak twierdzi sprzątaczką.

– Musi się okropnie czuć – rzekł Wallander. – Zawieź ją do komendy i daj jej kawy. Postaramy się przyjechać jak najszybciej.

Podeszli do otwartych drzwi.

– Dzwoniłem do Nyberga. Technicy są w drodze – powiedział Martinsson.

Weszli do środka. Wszędzie panowała cisza. Wallander szedł przodem, Martinsson tuż za nim. Minęli ladę i znaleźli się w atelier. Tam zastali okropny widok. Mężczyzna leżał twarzą w dół na rozwiniętym papierowym tle, jakiego używają fotografowie. Papier był biały. Wyciekająca krew obrysowała ostry kontur wokół głowy zmarłego.

Wallander zbliżył się ostrożnie. Zdjął buty i szedł w samych skarpetach. Pochylił się nad ciałem.

Sprzątaczką się nie myliła. Wallander był pewien, że to Simon Lamberg. Głowę miał wykręconą w bok, połowę twarzy zwróconą w górę i otwarte oczy.

Wallander próbował coś wyczytać z wyrazu twarzy zamordowanego. Coś oprócz bólu i zdumienia. Niczego takiego nie dostrzegł.

– Co do przyczyny śmierci, nie może być wątpliwości – powiedział, wskazując na zmarłego.

Na potylicy widniała głęboka rana od uderzenia. Martinsson przykucnęła przy zwłokach.

– Cały tył głowy jest wgnieciony – stwierdził z wyraźną odrazą.

Wallander uważnie mu się przyjrzał. Martinsson już kilka razy w podobnych sytuacjach dostał gwałtownych mdłości. Tym razem jakoś siętrzymał.

Wallander rozejrzał się po pomieszczeniu. Panował w nim porządek, żadnych śladów walki. Nie zauważył niczego, co

mogłoby posłużyć za narzędzie mordu. Przeszedł obok ciała, otworzył drzwi i zapalił światło. Tu mieściło się biuro Lamberga i pomieszczenie, gdzie wywoływał zdjęcia. Również tu panował porządek. Pozamykane szuflady biurka, brak śladów włamania.

– To nie wygląda na włamanie – rzekł Martinsson.

– Nie wiadomo – odparł Wallander. – Czy Lamberg był żonaty?

– Sprzątaczką mówiła, że tak. Mieszkali na Lavendelvägen.

Wallander znał tę ulicę.

– Czy zawiadomiono żonę?

– Nie przypuszczam.

– Od tego trzeba zacząć. Poślij do niej Svedberga.

Martinsson spojrział zdziwiony na inspektora.

– Nie powinieneś sam tam pojechać?

– Svedberg zrobi to równie dobrze jak ja. Zadzwoń do niego.

Nie zapomnij powiedzieć, żeby poszedł razem z kapelanem.

Była za kwadrans siódma. Martinsson wyszedł do recepcji zatelefonować. Wallander stał w atelier fotografa, usiłując sobie wyobrazić przebieg zajścia. Brakowało mu jakichkolwiek ram czasowych. Pomyślał, że przede wszystkim musi porozmawiać ze sprzątaczką, która znalazła Lamberga. Zanim tego nie zrobi, niczego nie wymyśli.

Martinsson wrócił do pokoju.

– Svedberg jedzie do komendy – poinformował.

– My też – rzekł Wallander. – Muszę porozmawiać ze sprzątaczką. Wiemy, w jakim czasie to wszystko się zdarzyło?

– Trudno się było z nią dogadać. Dopiero teraz przychodzi do siebie.

Za plecami Martinssona pojawił się Nyberg. Skinęli do siebie na przywitanie. Nyberg był sprawnym, lecz chimerycznym technikiem kryminalnym. Wallander przekonał się już wiele razy, że wiele skomplikowanych przypadków udało się wyjaśnić wyłącznie dzięki niemu.

Na widok zmarłego przez twarz Nyberga przemknął grymas.

– To ten fotograf – powiedział.

– Simon Lamberg – wtrącił Wallander.

– Parę lat temu robiłem sobie u niego zdjęcia paszportowe – rzekł Nyberg. – Kto by pomyślał, że go napadną i zamordują.

– Miał ten zakład od wielu lat – podjął Wallander. – Może nie od zawsze, ale niewiele brakowało.

Nyberg zdjął kurtkę.

– Coś już wiadomo? – zapytał.

– Tuż po piątej znalazła go ta sprzątaczką. To wszystko.

– Czyli tyle co nic – stwierdził Nyberg.

Martinsson i Wallander wyszli, zostawiając Nyberga z jego ekipą. Wallander był pewny, że wykonają dobrą robotę.

Ruszyli do komendy. Wallander przystanął obok recepcji i poprosił Ebbe, żeby zamówiła mu wizytę u dentysty. Podał jej nazwisko lekarza.

– Boli cię? – zatroskała się Ebba.

– Tak. Mam teraz rozmowę ze sprzątaczką, która znalazła martwego Lamberga. Zajmie mi to jakąś godzinę. Potem chciałbym jak najszybciej dostać się do dentysty.

– Lambert? – zdziwiła się Ebba. – Co się stało?

– Został zamordowany.

Ebba opadła na krzesło.

– Byłam u niego wiele razy – powiedziała ze smutkiem. – Fotografował wszystkie moje wnuki. Jednego po drugim.

Wallander w milczeniu pokiwał głową i poszedł do swojego pokoju.

Wygląda na to, że każdy u niego kiedyś był, pomyślał. Wszyscy staliśmy naprzeciw jego aparatu. Ciekawe, czy wszyscy odnieśli to samo nieokreślone wrażenie co ja.

Było pięć po siódmej.

Kilka minut później do pokoju weszła Hilda Waldén. Niewiele miała do powiedzenia. Wallander od razu się zorientował, że przyczyną tego był nie tylko stan jej nerwów. Po prostu zupełnie nie знаła Lamberga, mimo że sprzątała w jego zakładzie od przeszło dziesięciu lat.

Hildę Waldén przyprowadził Hansson. Wallander podał jej rękę na przywitanie i poprosił, żeby usiadła. Kobieta miała

chudą twarz, była po sześćdziesiątce. Inspektor pomyślał, że z pewnością przez całe życie ciężko pracowała. Kiedy Hansson wyszedł, Wallander sięgnął po jeden z notesów, które poniewierały się w jego szufladach. Zaczął od wyrazów współczucia. Rozumie, że jest wstrząśnięta, ale niestety nie może zwlekać z przesłuchaniem. Zostało popełnione ciężkie przestępstwo. Chodzi o to, żeby jak najszybciej zidentyfikować i schwycić sprawcę.

– Spróbujemy zacząć od początku – powiedział. – Przychodziła pani sprzątać w zakładzie Simona Lamberga?

Hilda Waldén mówiła bardzo cicho. Wallander musiał pochylić się nad stołem, żeby cokolwiek dosłyszeć.

– Sprzątałam u niego przez dwanaście lat i siedem miesięcy. Trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki.

– O której pani przyszła?

– Jak zawsze, parę minut po piątej. Sprzątam przed południem w czterech sklepach. Zaczynam od Lamberga.

– Ma pani własny klucz?

Spojrzała na niego z wyrazem zdziwienia.

– Jak mogłabym inaczej wejść? Lamberg otwierał dopiero o dziesiątej.

Wallander kiwnął głową i pytał dalej:

– Weszła pani od ulicy?

– To jedyne wejście.

Wallander notował.

– Drzwi wejściowe były zamknięte?

– Tak.

– Nikt nie majstrował przy zamku?

– Nic nie zauważyłam.

– I co dalej?

– Weszłam do środka. Odłożyłam torebkę i zdjęłam płaszcz.

– Nie zauważyła pani nic podejrzanego?

– Wszystko było jak zawsze. Wczoraj padał deszcz i podłoga była wyjątkowo brudna. Poszłam do schowka po wiadro i ścierki... – nagle zamilkła.

– I wtedy go pani zobaczyła?

Przytaknęła w milczeniu. Przez chwilę Wallander obawiał



się, że kobieta się załamała. Ale wzięła głęboki oddech i zebrała się w sobie.

– Która to była godzina?

– Dziewięć po piątej.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– W atelier wisi ścienny zegar – wyjaśniła. – Od razu na niego spojrzałam. Może żeby nie patrzeć na martwego Lamberga. A może żeby zapamiętać dokładny czas największego wstrząsu w moim życiu.

Wallander pokiwał głową. Miał wrażenie, że ją rozumie.

– Co pani potem zrobiła?

– Wybiegłam na ulicę. Być może krzyczałam, nie pamiętam. Przechodził jakiś mężczyzna i zadzwonił z automatu na policję.

Wallander odłożył na chwilę pióro. Miał już przebieg czasowy, Hilda z pewnością mówiła prawdę.

– Domyśla się pani, dlaczego Lamberg przyszedł tak wcześniej rano?

Odpowiedziała szybko i bez wahania. Musiała się już nad tym zastanawiać.

– Czasami chodził tam wieczorem i siedział do północy. To musiało się stać wtedy.

– Skąd pani wie, że bywał tam wieczorami?

– To było kilka lat temu, zostawiłam w fartuchu portmonetkę. Wróciłam po nią wieczorem i zastałam go na miejscu. Powiedział, że spędza tam dwa wieczory w tygodniu.

– Przy pracy?

– Siedział chyba u siebie w biurze i porządkował papiery. Słyszał było radio.

Wallander kiwał zamyślony głową. Hilda prawdopodobnie miała rację. Zabójstwa nie dokonano z samego rana, lecz wczoraj wieczorem.

Spojrzał na nią.

– Czy kogoś pani podejrzewa?

– Nie.

– Nie wie pani, czy miał wrogów?

– Nie znałam go. Nie wiem, czy miał przyjaciół lub wrogów. Chodziłam tam sprzątać.

Wallander nie dawał za wygraną.

– Pracowała pani u niego ponad dwanaście lat. Musiała go pani poznać. Jego nawyki, może jakieś słabości.

Odpowiedź była równie stanowcza:

– W ogóle go nie znałam. Był bardzo zamknięty w sobie.

– Nie potrafi go pani w żaden sposób opisać?

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

– Jak opisać człowieka, który jest tak niewyraźny, że niemal się zlewa ze ścianą?

– Rzeczywiście, coś w tym jest – zgodził się Wallander, odkładając notes. – Zauważyła pani ostatnio jakąś zmianę w jego zachowaniu?

– Widywałam go raz w miesiącu, przy wypłacie. Wszystko było normalnie.

– Kiedy ostatnio się widzieliście?

– Dwa tygodnie temu.

– I zachowywał się jak zwykle?

– Tak.

– Nie był niespokojny? Zdenerwowany?

– Nie.

– W zakładzie też nie zauważyła pani żadnych zmian?

– Żadnych.

Jest znakomitym świadkiem, pomyślał Wallander. Jasne odpowiedzi, zmysł obserwacyjny. Mogę z pewnością polegać na jej pamięci.

Nie miał więcej pytań. Rozmowa trwała niecałe dwadzieścia minut. Zadzwoił do Hanssona, żeby zorganizował powrót Hildy Waldén do domu.

Kiedy został sam, podszedł do okna. Spoglądał na deszcz, myśląc o spóźniającej się wiośnie. I o tym, jak ją przywita bez Mony. Powrócił nagle ból zęba. Spojrzał na zegarek. Za wcześnie. Dentysta jeszcze nie przyjmuje. Pomyślał o Svedbergu, ciekaw był, jak sobie poradził. Przekazywanie wiadomości o śmierci to jedno z najcięższych zadań w policji. Szczególnie w przypadku nagłego i bestialskiego zabójstwa. Był przekonany, że Svedberg dobrze wypełni swoją misję. Jest dobrym policjantem. Może bez specjalnego polotu, ale rzetelny

i dokładny. Pod tym względem jeden z lepszych, z jakimi Wallander kiedykolwiek pracował. I zawsze niezwykle wobec niego lojalny.

Odszedł od okna i ruszył do jadalni po kawę. Po drodze próbował ułożyć sobie jakąś wersję wydarzeń.

Simon Lamberg, fotograf, dobiegał sześćdziesiątki. Człowiek o regularnym trybie życia, właściciel renomowanego zakładu, w którym fotografuje konfirmantów, ślubne pary i dzieci. Według sprzątaczkę spędza dwa wieczory w tygodniu w swoim biurze, gdzie porządkuje papiery i słucha muzyki. Wychodzi stamtąd tuż przed północą.

Wallander wrócił do pokoju. Stał z filiżanką kawy w ręku, wpatrując się w deszcz za oknem.

Dlaczego Lamberg przesiadywał w swoim atelier? Wallanderowi zdawało się to dziwne.

Spojrzał na zegarek. W tej samej chwili zadzwoniła Ebba. Zamówiła mu wizytę. Dentysta może go przyjąć od razu.

Postanowił nie zwlekać. Nie może kierować śledztwem z bolącym zębem. Poszedł do Martinssona.

– Ułamał mi się wczoraj kawałek zęba – oświadczył. – Mam teraz wizytę u dentysty. Pewnie za godzinę będę z powrotem. Zróbmy wtedy zebranie. Czy Svedberg już wrócił?

– Jeszcze się nie odezwał.

– Spróbuj ściągnąć Nyberga. Chociaż na chwilę. Niech nam przedstawi swoje pierwsze wrażenia.

Martinsson ziewnął i przeciągnął się na krześle.

– Komu mogło zależeć na zamordowaniu starego fotografa? – zapytał. – Nie ma chyba śladów włamania.

– Stary jak stary – zauważył Wallander. Miał pięćdziesiąt sześć lat. Z resztą się zgadzam.

– Został napadnięty w atelier. Jak sprawca się tam dostał?

– Albo miał klucz, albo Lamberg go wpuścił.

– Lamberga zaatakowano od tyłu.

– Można to różnie tłumaczyć. Ale my nic nie wiemy.

Wallander wyszedł z komendy i skierował się do gabinetu dentysty leżącego przy Stortorget, tuż obok sklepu z radiami. Jako dziecko bał się wizyt u dentysty i trzeba go było tam

ciągnąć siłą. Kiedy stał się dorosły, strach go nagle opuścił. Teraz chciał po prostu jak najszybciej pozbyć się bólu. Jednocześnie uświadomił sobie, że złamany ząb jest oznaką starzenia się. Chociaż ma dopiero czterdzieści lat, to już się pojawiają pierwsze oznaki rozkładu.

Młody lekarz przyjął go od razu. Pracował sprawnie i szybko. Po półgodzinie ból zamienił się w tępe rwanie.

– Za chwilę przejdzie – uspokoił go lekarz. – Powinien pan przyjść powtórnie na zdjęcie kamienia. Nie czyści pan chyba prawidłowo zębów.

– Pewnie nie – odparł Wallander.

Zapisał się na wizytę za dwa tygodnie i wrócił do komendy. O dziesiątej spotkał się ze współpracownikami w pokoju konferencyjnym. Svedberg już był z powrotem, przyszedł też Nyberg. Wallander zajął swoje zwykłe miejsce na końcu stołu i rozejrzał się naokoło. Ile razy siedział już w tym miejscu i rozpoczynał kolejne dochodzenie? Z biegiem lat odczuwał coraz większy ciężar. Wiedział jednak, że musi działać natychmiast. Mają do czynienia z brutalnym mordem i nie mogą zwlekać.

– Czy widział ktoś Rydberga? – zapytał.

– Boli go kręgosłup – poinformował Martinsson.

– Szkoda – powiedział Wallander. – Przydałby się nam teraz. Zwrócił się do Nyberga i dał mu znak, żeby zaczynał.

– Jest naturalnie za wcześnie – zaczął Nyberg. – Ale to nie wygląda na włamanie – w każdym razie po wstępnych oględzinach. Nie ma śladów na drzwiach wejściowych, nic chyba nie zginęło. Wszystko to bardzo dziwne.

Wallander nie oczekiwał od Nyberga, aby na tym etapie śledztwa miał do zakomunikowania coś odkrywczego. Chciał jednak, żeby uczestniczył w zebraniu.

Nadeszła kolej Svedberga.

– Elisabeth Lamberg doznała, rzecz jasna, szoku. Ponieważ mieli z mężem osobne sypialnie, nie wiedziała, kiedy wracał do domu. Zjedli kolację około pół do siódmej. Nieco przed siódmą mąż wyszedł do zakładu. Ona położyła się po jedenastej i natychmiast zasnęła. Nie ma pojęcia, kto mógł go zamordować.

Stanowczo zaprzeczała istnieniu jakichkolwiek wrogów.

Wallander pokiwał głową.

– Oto co wiemy – rzekł. – Mamy martwego fotografa. I nic poza tym.

Wszyscy wiedzieli, że to oznacza początek zmuśnionego śledztwa.

Nikt nie wiedział, dokąd ich ono zaprowadzi.

Poranne zebranie rozpoczynające dochodzenie w sprawie zabójstwa fotografa Simona Lamberga nie trwało długo. Ustalali różne, zgodne z obowiązującą procedurą, sposoby postępowania. Musieli czekać na wyniki z zakładu medycyny sądowej w Lund i raport z oględzin miejsca przestępstwa, gdzie wciąż pracował Nyberg ze swoją ekipą. Grupa dochodzeniowa miała za zadanie prześwietlić osobę i życie Simona Lamberga, przesłuchać sąsiadów i poszukiwać ewentualnych świadków, którzy mogli coś zaobserwować. Liczyli oczywiście na to, że już we wczesnym stadium śledztwa zaczną od różnych ludzi napływać informacje, które pomogą w ciągu kilku dni rozwikłać zagadkę morderstwa. Wallander przeczuwał jednak, że czeka ich skomplikowane dochodzenie. Mieli zbyt mało danych, żeby ruszyć z miejsca.

Czuł, że ogarnia go niepokój. Ból zęba minął, na jego miejsce pojawił się ucisk w żołądku.

Björk przyszedł posłuchać, jak Wallander wstępnie referuje przebieg zajścia. Nikt nie miał pytań. Podzielili zadania i każdy poszedł do siebie. Wallanderowi przypadła w udziale rozmowa z wdową po Lambergu.

Przedtem postanowił przyjrzeć się dokładniej miejscu przestępstwa. Nyberg obiecał, że za parę godzin będzie mógł tam wejść.

Björk i Wallander zostali sami w pokoju.

– Nie sądzisz, że to włamywacz, który stracił głowę przyłapanym na gorącym uczynku? – zapytał Björk.

– Nie – odparł Wallander. – Mogę się zresztą mylić. Musimy brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Zresztą nie bardzo

wiem, czego miałby szukać włamywacz w zakładzie Lamberga.

– Aparatów?

– On nie sprzedawał sprzętu fotograficznego, tylko robił zdjęcia. Można było u niego kupić ramki i albumy. Nie jest to łup dla włamywacza.

– Co zatem pozostaje? Motyw osobisty?

– Nie mam pojęcia. Svedberg mówił, że wdowa, Elisabeth Lamberg, jest absolutnie przekonana, że mąż nie miał żadnych wrogów.

– Nic nie wskazuje na czyn szaleńca?

Wallander pokręcił głową.

– To może być cokolwiek – rzekł. – Ale już teraz trzy kwestie dają do myślenia. W jaki sposób sprawca dostał się do zakładu? Nie ma śladów na drzwiach ani na oknach. Lamberg raczej nie zostawił otwartych drzwi. Elisabeth Lamberg twierdzi, że zawsze dokładnie wszystko zamykał.

– Mamy zatem dwie ewentualności. Albo sprawca miał klucz, albo Simon Lamberg wpuścił go do środka.

Wallander skinął głową. Björk rozumował właściwie.

– Druga rzecz to cios, który zabił Lamberga – ciągnął Wallander. – Trafił z ogromną siłą w tył głowy. Może to oznaczać zarówno celowość, jak i furję. Albo jedno i drugie. I dowodzi znacznej siły. W chwili śmierci Simon Lamberg stał plecami do napastnika. I tu również mamy przynajmniej dwie możliwości. Pierwsza, że Lamberg niczego się nie spodziewał. Druga, że próbował uciec.

– Jeżeli sam wpuścił zabójcę, to można zrozumieć, że się odwrócił plecami.

– Można pójść w rozumowaniu o krok dalej – zasugerował Wallander. – Czy wpuściłby o tak późnej porze kogoś, kogo dobrze nie znał?

– Coś jeszcze?

– Według sprzątaczkę Lamberg chodził do zakładu wieczorem dwa razy w tygodniu. Nie zawsze w te same dni. Można przyjąć, że sprawca o tym wiedział i że poszukujemy kogoś, kto przynajmniej w pewnym stopniu znał zwyczaje Lamberga.

Wyszli z pokoju i przystanęli w korytarzu.

– Wygląda na to, że mamy jakieś początkowe zahaczenie – rzekł Björk. – Nie jest całkiem beznadziejnie.

Wallander się skrzywił.

– Prawie – odparł. – Jest prawie beznadziejnie. Przydałby się Rydberg.

– Martwię się o jego kręgosłup – wyznał Björk - Obawiam się, że to coś poważnego.

Wallander popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Na przykład?

– Może to jakaś inna choroba? Przyczyną dolegliwości kręgosłupa nie muszą być mięśnie lub kręgi.

Wallander wiedział, że szwagier Björka jest lekarzem. Ponieważ Björk od czasu do czasu wmawiał sobie rozmaite ciężkie schorzenia, Wallander pomyślał, że jedno z nich postanowił teraz przypisać Rydbergowi.

– Rydberg jest zwykle zdrowy już po tygodniu – powiedział.

Pożegnali się i Wallander wrócił do siebie. Wiadomość o zabójstwie już się rozeszła i Ebba zawiadomiła go, że dzwonili dziennikarze, dopytując się o informacje. Wallander przekazał, że o trzeciej będzie odpowiadał na pytania prasy. Z nikim się w tej sprawie nie porozumiał.

Następną godzinę spędził na sporządzaniu notatek na własny użytek. Jak tylko skończył, zadzwonił Nyberg, że może już wejść do biura Lamberga. Nyberg nie natrafił na nic szczególnego. Podobnie lekarz sądowy; skonstatował tylko, że Lamberg zginął od silnego uderzenia w tył głowy. Na zapytanie Wallandera o ewentualne narzędzie zbrodni wciąż nie potrafił odpowiedzieć. Wallander zakończył rozmowę i zaczął myśleć o Rydbergu, swoim nauczycielu i mentorze, najlepszym śledczym, jakiego znał. On go nauczył rozpatrywania najdrobniejszych argumentów i formułowania problemów w zaskakujący sposób.

Teraz by mi się przydał, pomyślał. Powinienem do niego wieczorem zadzwonić.

W jadalni wypił kolejną filiżankę kawy. Ostrożnie zagryzł kruchym ciastkiem. Ząb go nie rozboleł.

Wyszedł na plac św. Gertrudy, aby się przejść i otrząsnąć ze zmęczenia po niespokojnej nocy. Wciąż siąpił deszcz. Zastanawiał się, kiedy nadejdzie wiosna. W kwietniowym powietrzu czuło się pełne napięcia wyczekiwanie. Wiosna nigdy nie przychodzi o właściwej porze. Zima zawsze zaczyna się za wcześnie, a wiosna za późno.

Przed zakładem Lamberga zebrało się dużo ludzi. Wallander znał wielu z nich, w każdym razie z widzenia. Kiwał głową na przywitanie, pytania pozostawiał bez odpowiedzi. Przeskoczył przez taśmę i wszedł do lokalu. Nyberg stał z termosem w rękę i beształ kogoś z ekipy. Nie przerwał nawet na widok Wallandera. Zwrócił się do niego dopiero, jak wszystko winowajcy wygarnął. Wskazał w stronę atelier. Ciała już nie było. Została tylko duża plama krwi na białym ekranie. Na podłodze ułożono plastikową ścieżkę.

– Przejdź tędy – zarządził Nyberg. – Znaleźliśmy dość dużo śladów stóp.

Wallander założył foliowe ochraniacze na buty, włożył do kieszeni lateksowe rękawiczki i ostrożnie wszedł do pokoju, gdzie mieściły się biuro i ciemnia.

Przypomniał sobie, jak w wieku czternastu, piętnastu lat marzył o tym, by zostać fotografem. Nie takim, który ma własny zakład, lecz fotografem prasowym.

Wyobrażał sobie siebie, jak znajduje się w centrum wydarzeń i utrwała na zdjęciach to, co najważniejsze, a inni w tym czasie go fotografują.

Wchodząc do pokoju w głębi, zastanawiał się, gdzie podziało się jego marzenie. Pewnego dnia po prostu się rozplynęło. Dzisiaj ma zwykły instamatic, którego rzadko używa. Kilka lat później chciał zostać śpiewakiem operowym. Ale i z tego nic nie wyszło.

Zdjął kurtkę i rozejrzał się po pokoju. Nyberg znów łajał kogoś w atelier. Tym razem chodziło o nieprecyzyjnie wymierzoną odległość między dwoma śladami stóp. Podszedł do radia i włączył odbiornik. Muzyka klasyczna. Hilda Waldén zeznała, że Lamberg przychodził tu nieraz wieczorem, żeby popracować i posłuchać muzyki. Muzyki klasycznej.



Dotychczas wszystko się zgadza. Usiadł przy biurku. Panował tu porządek. Podniósł zieloną podkładkę do pisania. Pod spodem nic nie leżało. Wstał i podszedł do Nyberga zapytać, czy nie znaleziono jakichś kluczy. Dostał ich cały pęk, wciągnął rękawiczki na dłonie i wrócił do biurka. Odszukał klucz do szuflad. W górnej szufladzie leżały rozmaite rachunki i korespondencja z księgowym. Wallander ostrożnie przerzucał papiery. Nie wiedział, czego szuka. Dlatego każda rzecz mogła okazać się ważna.

Systematycznie przetrząsał wszystkie szuflady. Nie znalazł nic, co by go zaintrygowało. Życie Simona Lamberga wyglądało na uporządkowane, przejrzyste i nie zawierało niespodzianek. Jednakże Wallander nadal zeskrobywał tylko jego wierzchnią warstwę. Schylił się i wysunął dolną szufladę. Zobaczył w niej album w drogiej skórzaney oprawie. Położył go na stole i otworzył na pierwszej stronie. Ze zmarszczonym czołem przyglądał się zdjęciu wklejonemu w samym środku. Miało wielkość fotografii paszportowej. Wallander sięgnął po szkło powiększające, które zauważył, przeszukując szuflady, zapalił obie lampy stołowe i dokładniej przyjrzał się fotografii.

Przedstawiała amerykańskiego prezydenta Ronalda Reagana. Miał zniekształconą twarz. Nadal były to rysy Reagana, ale pomarszczony stary człowiek wyglądał jak odrażający potwór. Obok zdjęcia widniał atramentowy podpis: 10 sierpnia 1984.

Zaciekawiony Wallander odwrócił kartkę. Znów to samo. Pojedyncza fotografia na środku strony. Tym razem zdjęcie jednego z byłych szwedzkich premierów.

I tak jak poprzednio karykaturalnie zdeformowana twarz. Z datą napisaną czarnym atramentem.

Wallander przewracał powoli kolejne kartki. Wszędzie pojedyncze zdjęcia. Powykrzywiane, odkształcone. Mężczyźni, bo byli to wyłącznie mężczyźni, o wyglądzie monstualnych stworów. Szwedzi i cudzoziemcy. Przede wszystkim politycy, ale też kilku biznesmenów, jeden pisarz i inni, których Wallander nie potrafił zidentyfikować.

Zastanawiał się, co mogą znaczyć te zdjęcia. Dlaczego Simon

Lamberg miał taki dziwny album? Dlaczego deformował zdjęcia? Czy tym się zajmował, gdy wieczorami samotnie przesiadywał w atelier? Najwyraźniej za uporządkowaną fasadą życia Simona Lamberga kryło się coś więcej. W każdym razie człowiek, który celowo niszczył twarze znanych ludzi.

Przewrócił kolejną kartkę albumu i zeszywniał. Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz.

Nie wierzył własnym oczom.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Svedberg.

– Popatrz na to – rzekł powoli Wallander, wskazując na zdjęcie. Svedberg zajrzał mu przez ramię.

– Przecież totyzauważył zdziwiony Svedberg.

– Tak – odparł Wallander. – To ja. W każdym razie tak sądzę.

Jeszcze raz przyjrzał się fotografii. Było to zdjęcie z jakiejś gazety. On i zarazem nie on. Wyglądał na wyjątkowo obrzydliwego typu.

Wallander nie przypominał sobie, żeby ostatnimi czasy coś nim do tego stopnia wstrząsnęło. Na widok swojej wykrzywionej i zeszepeconej twarzy zrobiło mu się niedobrze. Oswoił się do pewnego stopnia ze spontanicznymi wybuchami niechęci ze strony przestępców, w których schwytaniu uczestniczył, ale myśl, że ktoś spędzał długie godziny, fabrykując pełne nienawiści podobizny, była porażająca. Svedberg dostrzegł jego reakcję i przywołał Nyberga. Zaczęli razem przeglądać album. Ostatnie zdjęcie, na którym widniała zdeformowana twarz urzędującego premiera, nosiło wczorajszą datę. Napisaną czarnym atramentem.

– Ten, kto to robił, musiał być chory – stwierdził Nyberg.

– Jestem przekonany, że Simon Lamberg retuszował zdjęcia podczas swoich samotnych wieczorów – rzekł Wallander. – Dałbym dużo, żeby się dowiedzieć, skąd się wziąłem w tym makabrycznym gronie. Jako jedyna osoba z Ystad wśród mężów stanu. Przyznaję, że to bardzo nieprzyjemne uczucie.

– Czemu to miałoby służyć? – zapytał Svedberg. Żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć.

Wallander chciał jak najszybciej wyjść. Poprosił Svedberga,

żeby kontynuował oględziny. Czekало go wkrótce spotkanie informacyjne z prasą. Poczul się lepiej, kiedy już znalazł się na ulicy. Przekoczył nad taśmą zabezpieczającą i udał się prosto do komendy. W dalszym ciągu kropił deszcz. Nudności ustąpiły, ale przykre uczucie pozostało.

Simon Lamberg siedzi wieczorem w swoim atelier, słuchając muzyki klasycznej, i zniekształca zdjęcia znanych politycznych osobistości i jednego policjanta z Ystad. Wallander na próżno się głowił nad jakimś wytłumaczeniem. To, że człowiek prowadzi podwójne życie, że za pozorną normalnością kryje się szaleństwo, nie jest niczym wyjątkowym. W kronikach kryminalnych istnieje na to wiele przykładów. Ale dlaczego Lamberg umieścił go w tym albumie? Co on ma wspólnego z tamtymi ludźmi na zdjęciach? Dlaczego właśnie on?

Poszedł prosto do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usiadł na krześle, próbując opanować dręczący go niepokój. Simon Lamberg nie żyje. Ktoś straszliwym uderzeniem rozplątał mu głowę. Nie wiadomo, z jakiego powodu. W szufladzie zmarłego znaleźli album z makabrycznymi zdjęciami.

Z rozważań wyrwało go pukanie do drzwi. Przyszedł Hansson.

– Lamberg nie żyje – oświadczył, jak gdyby oznajmiał jakąś nowinę. – Fotografowałem się u niego wiele lat temu z okazji confirmacji.

– Przystępowałeś do confirmacji? – zapytał zdziwiony Wallander. – Zawsze sądziłem, że kogo jak kogo, ale ciebie boskie moce nie interesują.

– I miałaś rację – odparł wesoło Hansson, zapamiętałe dłubiąc w uchu. – Ale bardzo mi zależało na zegarku i pierwszym prawdziwym garniturze.

Wyciągnął rękę w kierunku korytarza.

– Dziennikarze – powiedział. – Chcę przy tym być, żeby posłuchać, co się wydarzyło.

– Mogę ci od razu powiedzieć – odparł Wallander. – Ktoś roztrzaskał głowę Lambergowi wczoraj wieczorem między ósmą a dwunastą. W zasadzie można wykluczyć włamanie. To z grubsza wszystko, co wiemy.

– Niewiele – zauważył Hansson.

– Rzeczywiście niewiele – przyznał Wallander, wstając z krzesła. – Trudno o mniej.

Zaimprovizowane spotkanie z dziennikarzami trwało pół godziny. Wallander zdał relację z wydarzenia i zwięźle odpowiadał na pytania dziennikarzy. O pół do czwartej było po wszystkim. Wallander poczuł głód. Myślami wciąż wracał do albumu Simona Lamberga. Nie przestawało go nękać pytanie, dlaczego jego twarz została zmniejszona i zdeformowana. Przypuszczał, że było to dzieło szaleńca. Mimo to dlaczego właśnie on?

Za kwadrans czwarta postanowił pojechać do domu Lambergów przy Lavendelvägen. Deszcz ustał i wiał silny wiatr. Pomyślał, że mógłby zabrać ze sobą Svedberga, ale doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak spotka się z Elisabeth Lamberg sam na sam. Miał do niej dużo pytań. A jedno z nich było zdecydowanie ważniejsze od innych.

Zaparkował na Lavendelvägen i wysiadł z samochodu. Wokół domu rozpościerał się ogród i mimo że rabaty były jeszcze puste, widać było, że jest zadbane. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła mu natychmiast kobieta po pięćdziesiątce. Wallander wyciągnął rękę na przywitanie. Kobieta sprawiała wrażenie nieśmiałej.

– Nie jestem Elisabeth Lamberg – powiedziała. – Jestem jej przyjaciółką, nazywam się Karin Fahlman.

Wpuściła go do przedsionka.

– Elisabeth odpoczywa w sypialni. Czy ta rozmowa naprawdę nie może poczekać?

– Przykro mi, ale w takich przypadkach czas odgrywa ważną rolę.

Karin Fahlman skinęła głową, zaprowadziła Wallandera do salonu i oddaliła się bez słowa.

Wallander rozejrzał się po pokoju. Uderzyła go panująca w nim cisza. Nie słyszał tykania zegarów ani odgłosów z ulicy. Za oknem biegały bawiące się dzieci i chociaż widać było, że

głośno pokrzykują, ich głosy nie przenikały do środka. Podszedł do okna. Miało podwójne szyby i najwyraźniej stanowiło to wyjątkowo dobrą izolację dźwiękową. Przemierzał salon, w którym ze smakiem i bez przesadnej wystawności antyki współgrały z nowoczesnymi meblami. Na ścianach umieszczono kopie starych drzeworytów i półki z książkami.

Nie usłyszał, kiedy Elisabeth Lamberg weszła do pokoju. Nagle znalazła się tuż za nim. Mimowolnie drgnął. Była bardzo blada, jakby jej twarz pokrywała cienka warstwa białego pudru. Miała ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Musiała być kiedyś bardzo piękna.

– Przykro mi, że panią niepokoję – powiedział, witając się.

– Wiem, kim pan jest – odparła. – I rozumiem, że musiał pan przyjść.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję.

Wallander widział, że kobieta panuje nad sobą z największym trudem. Zastanawiał się, jak długo wytrzyma, zanim wybuchnie.

Usiedli. Postać Karin Fahlman mignęła w sąsiednim pokoju. Przypuszczał, że przysłuchuje się ich rozmowie. Przez moment zastanawiał się, jak zacząć, ale Elisabeth Lamberg go uprzedziła i odezwała się pierwsza.

– Czy wie pan, kto zabił mojego męża?

– Nie mamy żadnego konkretnego tropu. Wiele przemawia za tym, że to nie było włamanie. Co oznacza, że albo mąż otworzył komuś drzwi, albo że nieznana nam osoba miała własne klucze.

Pokręciła energicznie głową, jak gdyby gwałtownie protestując przeciwko słowom Wallandera.

– Simon był zawsze bardzo ostrożny. Nie otworzyłby nieznajomemu. Szczególnie wieczorem.

– Może tego kogoś znał?

– Kto to miałby być?

– Nie wiem. Każdy ma przyjaciół.

– Simon jeździł raz w tygodniu do Lund. Był w zarządzie amatorskiego stowarzyszenia astronomicznego. O ile wiem, nie

miał innego towarzystwa.

Wallander uświadomił sobie, że obaj ze Svedbergiem zapomnieli o jednej ważnej rzeczy.

- Czy ma pani dzieci?
- Jedną córkę, Matyldę.

Wallander od razu zwrócił uwagę na zmianę w jej głosie. Brzmiała w nim nuta niepokoju. Ostrożnie pytał dalej.

- Ile ma lat?
- Dwadzieścia cztery.
- Nie mieszka już w domu?

Elisabeth Lamberg utkwiała w nim wzrok.

– Matylda przysłała na świat ciężko upośledzona. Była w domu cztery lata, dłużej już się nie dało. Teraz jest w zakładzie. Wymaga nieustannej opieki.

Wallander się stropił. Nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego.

– To musiała być trudna decyzja – zauważył, siląc się na wyrozumiałość – Dramatyczna decyzja. Oddać ją do zakładu.

Wciąż patrzyła mu prosto w oczy.

– To nie była moja decyzja. Tak chciał Simon, nie ja. To on zadecydował.

Przez chwilę Wallander miał wrażenie, że Elisabeth Lamberg spogląda w otchłań. Tak intensywny był jej ból, gdy o tym opowiadała.

Długo siedział w milczeniu, zanim powrócił do pytań.

– Przychodzi pani do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby zamordować męża?

- Po tym, co się stało, nie chciałam go już znać.
- Mimo że upłynęło już dwadzieścia lat?
- Niektórych rzeczy się nie zapomina.
- Nadal byliście jednak małżeństwem?
- Mieszkaliśmy pod tym samym dachem. To wszystko.

Wallander przeszedł do najważniejszego pytania.

– Kiedy tu przyszedłem, powiedziała pani, że mnie poznaje. Czy mąż kiedykolwiek o mnie wspominał?

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Przyjakiej okazji?

- Nie wiem. Tylko pytam.

- Niewiele ze sobą rozmawialiśmy, ale nie przypominam sobie, abyśmy kiedykolwiek o panu mówili.

- W atelier męża znaleźliśmy album ze zdjęciami polityków i innych znanych ludzi – ciągnął Wallander.

- Z jakiegoś powodu było wśród nich moje zdjęcie. Wie pani o istnieniu tego albumu?

- Nie.

- Na pewno?

- Z całą pewnością.

- Zdjęcia są zdeformowane. Wszystkie osoby, włącznie ze mną, wyglądają jak maskary. Mąż musiał spędzić wiele godzin na wykoślawianiu naszych twarzy. Nic pani o tym nie wiadomo?

- Nie. To jakaś zupełnie niezrozumiała historia.

Widać było, że kobieta mówi prawdę. Rzeczywiście niewiele wiedziała o swoim mężu. Zresztą od dwudziestu lat nie chciała nic o nim wiedzieć.

Wallander wstał z krzesła. Był pewien, że tu jeszcze wróci. Tymczasem skończyły się mu pytania.

- Mój mąż miał wiele tajemnic – powiedziała nagle, kiedy już wychodził. – Lecz ja ich nie znałam.

- Czy jest ktoś, kto mógł je znać?

- Nie wiem – rzekła niemal błagalnym tonem. – Jednak ten ktoś istnieje.

- Jakie tajemnice ma pani na myśli?

- Jak już powiedziałam, nie wiem. Ale Simon miał pełno sekretnych zakamarków. Nie chciałam i nie mogłam do nich zaglądać.

Wallander skinął głową i wyszedł.

Wsiadł do samochodu i siedział w nim dłuższą chwilę. Znów zaczęło padać.

Co ona właściwie miała na myśli? „Pełno sekretnych zakamarków”? Tak jakby leżący w głębi zakładu pokój był tylko jednym z nich? Czyżby było więcej, tylko jeszcze ich nie znaleźli?

Powoli wracał do komendy. Czuł coraz silniejszy niepokój.

Popołudnie i wieczór Wallander spędził na opracowywaniu niewielkiej ilości posiadanego materiału. Wyszedł z komendy około dziesiątej. Kolejne zebranie grupy miało się odbyć o ósmej rano następnego dnia.

W domu podgrzał sobie fasolę z puszki, jedyną jadalną rzecz, jaką miał pod ręką. Zasnął wkrótce po jedenastej.

Telefon zadzwonił cztery minuty przed północą. Zaspany Wallander sięgnął po słuchawkę. Dzwonił mężczyzna, który rano zajął się Hildą Waldén. Teraz był na nocnym spacerze.

– W tej chwili jakiś człowiek wszedł do zakładu Lamberga – wyszeptał do słuchawki.

Wallander usiadł na łóżku.

– Jest pan pewien? Czy to przypadkiem nie policjant?

– Jakiś cień prześlizgnął się przez drzwi – odparł mężczyzna.

– Mogę mieć słabe serce, ale wzrok mam zupełnie w porządku.

Rozmowa się urwała. Wallander siedział ze słuchawką przy uchu. Rzadko się zdarzało, żeby dzwonił do niego ktoś, kto nie jest z policji. Szczególnie w nocy. Z oczywistych względów jego nazwisko nie figurowało w książce telefonicznej. Ktoś musiał podać jego numer podczas porannego zamieszania.

Wstał pospiesznie i zaczął się ubierać.

Właśnie minęła północ.

Kilka minut później Wallander stał na placu, przy którym znajdował się zakład fotograficzny. Dotarł tam na piechotę, pół idąc, pół biegnąc. Zasapał się po drodze, mimo że z domu przy Mariagatan miał niedaleko. Od razu zauważył samotnego mężczyznę stojącego kawalek dalej. Podbiegł się przywitać i pociągnął go do cienia, gdzie byli mniej widoczni. Jednocześnie mogli obserwować wejście do zakładu. Mężczyzna miał po siedemdziesiątce i przedstawił się jako Lars Backman, emerytowany kierownik Banku Handlowego.

– Mieszkam obok, przy Ågatan – objaśnił. – Wychodzę na spacer dwa razy dziennie, wcześniej rano i późnym wieczorem.



Tak mi kazał lekarz.

– Proszę powiedzieć, co się stało.

– Zauważyłem, że do zakładu fotograficznego wchodzi jakiś mężczyzna.

– Mężczyzna? Przez telefon mówił pan, że to cień.

– Pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to mężczyzna. Ale ma pan rację, to mogła być równie dobrze kobieta.

– Nikt dotąd nie wyszedł?

– Nie. Przez cały czas obserwowałem wejście.

Wallander pobiegł do automatu i zadzwonił do Nyberga. Nyberg odebrał po trzecim sygnale. Wallander opisał mu sytuację i spytał, czy ma klucze do zakładu. Na szczęście Nyberg jeszcze nie zwrócił kluczy na policję, bo nie dokończył oględzin. Wallander poprosił go, żeby jak najszybciej przyjechał. Kiedy zakończył rozmowę, pomyślał, że powinien właściwie zawiadomić Hanssona lub kogoś z ekipy dochodzeniowej. Zbyt często zdarzało mu się łamać przepis, który mówi, że policjantowi nie wolno działać w pojedynkę w sytuacji, której nie jest w stanie całkowicie kontrolować. Jednak i tym razem nikogo nie zawiadomił. W końcu Nyberg też jest policjantem. Wspólnie zadecydują, jak dalej działać. Lars Backman stał nadal tam, gdzie Wallander go zostawił. Inspektor poprosił go grzecznie o opuszczenie placu, tłumacząc, że wkrótce przybędzie jeszcze jeden funkcjonariusz i będą chcieli być sami. Backman nie protestował. Skinął głową na pożegnanie i odszedł.

Wallander trząsał się z zimna. Pod kurtką miał tylko koszulę. Wiatr się wzmagał i przeganiał chmury. Było zaledwie kilka stopni ciepła. Spoglądał na wejście do zakładu fotograficznego. A może Backman się pomylił? Usiłował dojrzeć, czy w lokalu pali się jakieś światło. Z miejsca, gdzie stał, nic nie było widać. Przejechał samochód, po chwili jeszcze jeden. Nagle dostrzegł Nyberga po drugiej stronie placu i ruszył w jego stronę. Stanęli pod ścianą pobliskiego budynku, chroniąc się od wiatru. Wallander nie spuszczał z oka wejścia do zakładu. Opowiedział pokrótce Nybergowi, co się wydarzyło. Ten spojrział na niego zdziwiony.

- Chciałeś, żebyśmy tam weszli we dwójkę?
- Przede wszystkim chciałem cię ściągnąć, bo masz klucze.

Nie można się tam dostać od tyłu?

- Nie.
- Czyli wchodzi się i wychodzi drzwiami od ulicy?

– Tak.

– W takim razie wezwiemy nocny patrol – zdecydował Wallander. – Otworzymy drzwi i każemy mu wyjść.

Nie spuszczać oczu z wejścia, poszedł zadzwonić na policję. Patrol miał się zjawić w ciągu paru minut. Poszli z Nybergiem w kierunku zakładu. Było pięć po pół do pierwszej. Ulice świeciły pustką.

Nagle drzwi do atelier się otworzyły i na progu pojawił się mężczyzna. Jego twarz ginęła w mroku. Zauważył ich i na chwilę znieruchomiał. Zanim Wallander zdążył zawołać, żeby nie ruszał się z miejsca, mężczyzna odwrócił się i zaczął biec z szaloną szybkością wzdłuż Norra Änggatan. Wallander krzyknął do Nyberga, żeby czekał na patrol, a sam pobiegł za mężczyzną. Mimo że biegł ile sił w nogach, nie mógł go dogonić. Przy Vasagatan mężczyzna skręcił w prawo, w kierunku Folkparken. Wallander się dziwił, że patrol wciąż nie nadjeżdża. Obawiał się, że straci uciekającego z oczu. Mężczyzna znów skręcił w prawo i zniknął na Aulingatan. Wallander potknął się o kamienie leżące na chodniku i upadł. Uderzył się w kolano i rozdarł spodnie. Mimo przeszywającego bólu w nodze biegł dalej. Mężczyzna oddalał się coraz bardziej. Gdzie podziewa się Nyberg i radiowóz z patrolem? Zaklął pod nosem. Serce waliło mu w piersi jak młot. Mężczyzna wbiegł na Giöddesgränd i Wallander stracił go z oczu. W chwili gdy dotarł do rogu, pomyślał, że powinien przystanąć i zaczekać na Nyberga. Zamiast tego pobiegł dalej.

Mężczyzna czekał za rogiem. Potężny cios trafił Wallandera prosto w twarz. Ogarnęła go ciemność.

Kiedy doszedł do siebie, nie wiedział, gdzie się znajduje. Patrzył prosto w rozgwieżdżone niebo. Pod sobą czuł coś

zinnego. Dotknął dłońmi asfaltu i wtedy przypomniał sobie, co zaszło. Usiadł i poczuł ból w lewym policzku, tam, gdzie dosięgnął go cios. Wymacał językiem nadłamany ząb. Ten sam, który wypełniał mu rano dentysta. Z trudem wstał na nogi. Bolało go kolano, ból rozsadzał głowę. Rozejrzał się dokoła. Mężczyzna naturalnie zniknął. Wallander, kulejąc doszedł do Surbrunnsvägen. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążył się przyjrzeć twarzy uciekającego. Pamiętał, że skręcił za róg, potem już nic.

Radiowóz nadjechał od Ågatan. Wallander szedł środkiem ulicy, żeby patrol go zauważył. Znał policjanta za kierownicą. Nazywał się Peters i mieszkał w Ystad tak samo długo jak on. Nyberg wyskoczył z wozu.

– Co się stało?

– Zgubiłem go na Giöddesgränd. Rzucił się na mnie. Możemy go szukać, ale szanse są niewielkie.

– Przede wszystkim musisz jechać do szpitala – oświadczył Nyberg.

Wallander dotknął policzka. Rękę miał mokrą od krwi. Zakręciło mu się nagle w głowie. Nyberg wziął go za ramię i pomógł wejść do samochodu.

Wallander opuścił szpital o czwartej rano. Dołączyli do niego Svedberg i Hansson. Kilka nocnych patroli przeczesало miasto wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu mężczyzny, który zaatakował Wallandera. Jako że jedynym znakiem rozpoznawczym, jakim dysponowali, była czarna lub niebieska kurtka trzy czwarte, cały ich wysiłek poszedł na marne. Wallandera opatrzone w szpitalu. Miał spuchnięty policzek i ranę u nasady włosów. Złamanym zębem postanowił się zająć później.

Po wyjściu ze szpitala Wallander uparł się, żeby pójść do zakładu fotograficznego. Nie pomogły protesty Hanssona i Svedberga, którzy uważali, że powinien wypocząć w domu. Inspektor był głuchy na ich argumenty. Na miejscu zastali

Nyberga. Zapalili wszystkie światła i zebraли się w atelier.

– Nie widzę, żeby coś tu się zmieniło i żeby czegoś brakowało – rzekł Nyberg.

Wallander znał jego doskonałą pamięć do szczegółów. Z drugiej strony mężczyzna, który zbiegł, mógł szukać czegoś, co nie było zbyt widoczne.

– A co z odciskami palców? – zapytał. – I stóp?

Nyberg wskazał na podłogę, gdzie zaznaczył kilka miejsc.

– Sprawdziłem klamki. Myślę, że facet nosił rękawiczki.

– A drzwi wejściowe?

– Żadnych śladów. Nie ma wątpliwości, że posłużył się kluczem. Wczoraj wychodziłem ostatni i zamknąłem drzwi.

Wallander spojrział na kolegów.

– Czy nie należało zostawić tu kogoś na obserwacji?

– To była moja decyzja – odezwał się Hansson. – Uznałem, że nie trzeba. Szczególnie przy obecnym braku personelu.

Hansson miał rację. Wallander też nie postawiłby obserwatora, gdyby miał podejmować decyzję.

– Nie dowiemy się, kim był ten człowiek. Ani po co tu przyszedł. Powinien się spodziewać, że atelier jest pod obserwacją, nawet jeśli na zewnątrz nie było policjanta. Chciałbym, żeby ktoś porozmawiał z Larsem Backmanem. To człowiek, który zadzwonił do mnie o północy, a wczoraj rano zajął się Hildą Waldén. Sprawia wrażenie rozważnego. Może zauważył coś, na co z początku nie zwrócił uwagi.

– Jest czwarta rano – zdziwił się Svedberg. – Mam do niego dzwonić?

– Na pewno nie śpi – zapewnił Wallander. – Wczoraj o piątej był już na spacerze. Wcześniej wstaje i późno się kładzie.

Svedberg skinął głową i wyszedł.

– Omówimy wszystko dokładnie jutro rano – powiedział Wallander po wyjściu Svedberga. Teraz byłoby najlepiej, gdybyście mogli parę godzin się przespać. Ja jeszcze tu chwilę zostanę.

– Czy to rozsądne? – zaprotestował Hansson. – Po tym, co cię spotkało?

– Nie wiem, czy to rozsądne, ale zostaję.

Nyberg dał mu klucze. Wallander zamknął za nimi drzwi. Mimo zmęczenia i obolałego policzka był niezwykle skoncentrowany. Nasłuchiwał w ciszy. Wszystko wyglądało takjak przedtem. Wszedł do pokoju obok i uważnie się rozejrzał. Nic się nie zmieniło, pomyślał. Jednak mężczyzna przyszedł tutaj z jakiegoś powodu. Śpieszył się, nie mógł dłużej czekać. Istniało tylko jedno wyjaśnienie. Chciał stąd coś zabrać. Wallander usiadł przy biurku. Zamek był nienaruszony. Otworzył drzwi szafki i wyciągał szuflady, jedną po drugiej. Album leżał w tym samym miejscu, gdzie go położył. Wyglądało na to, że nic nie brakuje. Usiłował obliczyć, jak długo mężczyzna przebywał w atelier. Telefon od Backmana obudził go cztery minuty przed północą. Dziesięć po dwunastej był już na miejscu. Rozmowa z Backmanem i telefon do Nyberga nie trwały dłużej niż kilka minut, czyli do kwadrans po dwunastej. Nyberg przyjechał o pół do pierwszej. Nieznany człowiek przebywał w zakładzie przez czterdzieści minut. Obecność policji go zaskoczyła. To znaczy, że nie uciekał. Wyszedł, bo zrobił to, co miał do zrobienia.

Coto było?

Wallander powtórnie ogarnął spojrzeniem pokój, tym razem jeszcze dokładniej. Coś mu podpowiadało, że właśnie tu musi szukać rozwiązania. W prywatnym pokoju Simona Lamberga. Usiadł na krześle. Przesuwał wzrokiem po ścianach, biurku i półkach z książkami. Wstał i wszedł do ciemni. Zapalił czerwoną lampę. Wszystko było na miejscu. Słaba woń chemikaliów. Puste plastikowe kувety, powiększalnik.

Wrócił do biurka i stał pogrążony w myślach. Po chwili, sam nie wiedząc czemu, podszedł do półki i włączył radio.

Zabrzmiała ogłuszająca muzyka.

Spojrzał na odbiornik. Natężenie dźwięku pozostało niezmiennione.

Ale zamiast muzyki klasycznej rozbrzmiewał żywiółowy hard rock.

Wallander mógłby przysiąc, że ani Nyberg, ani nikt z jego ekipy nie zmienił stacji. Nigdy niczego nie dotykali, o ile to nie było absolutnie konieczne. Włączenie radia tylko po to, żeby

posłuchać muzyki podczas pracy, w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Wallander wyjął z kieszeni chusteczkę i wyłączył aparat. Mogła to zrobić tylko jedna osoba.

Nieznany mężczyzna zmienił stację.

Ciekawe, dlaczego to zrobił.

O dziesiątej rano rozpoczęło się wreszcie zebranie grupy dochodzeniowej. Opóźnienie spowodowała wizyta Wallandera u dentysty. Pojawił się z prowizorką na zębie, spuchniętym policzkiem i wielkim plastrem u nasady włosów. Dawał mu się we znaki brak snu. Ale jeszcze bardziej dokuczał mu niepokój.

Minęła doba, od kiedy Hilda Waldén znalazła martwego fotografa. Wallander rozpoczął zebranie od opisu obecnego stanu śledztwa. Następnie zdał dokładną relację z zajęć ubiegłej nocy.

– Musimy naturalnie wyjaśnić, kim jest nieznany mężczyzna i czego szukał w zakładzie – powiedział na zakończenie. – Sądzę jednak, że możemy pożegnać się z myślą, iż chodzi o zwykłe włamanie i sprawcę, który stracił panowanie nad sobą.

– Dziwna jest ta zmiana stacji – zauważył Svedberg.

– Czy w aparacie radiowym mogło coś być?

– Badaliśmy to – odparł Nyberg. – Zdjęcie obudowy wymaga odkręcenia ośmiu śrub. Były nieruszone. Obudowy nie zdejmowano od czasu, kiedy radio było fabrycznie nowe. Główki śrub są nadal pokryte lakierem.

– Są inne dziwne rzeczy – dodał Wallander. – Nie zapominajmy o albumie ze zdeformowanymi twarzami. Z tego, co mówi wdowa, wynika, że Simon Lamberg miał wiele tajemnic. Myślę, że musimy sobie stworzyć jakiś jego obraz, dotrzeć do tego, kim właściwie był. Nie ma wątpliwości co do tego, że to, co ukazywał na zewnątrz, nie zgadza się z tym, co skrywał w środku. Uprzejmy, małomówny i pedantyczny fotograf był w rzeczywistości kimś innym.

– Ciekawe, czy jest ktoś, kto go znał lepiej – wtrącił Martinsson. – Jeżeli nie miał przyjaciół. Wygląda na to, że nie.

– Mamy tych astronomów w Lund – przypomniał Wallander. – Sprzedawców, których kiedyś zatrudniał. Trzeba się z nimi skontaktować. Nie da się spędzić całego życia w Ystad, nie znając nikogo. Co do Elisabeth Lamberg, to jej przesłuchanie jest zaledwie w początkowej fazie. Jednym słowem, mamy co robić. Wszystkie działania muszą przebiegać równolegle.

– Rozmawiałem z Backmanem – odezwał się Svedberg. – Miałeś rację, już nie spał. Kiedy wszedłem na górę, żona również była na nogach. Miałem wrażenie, że jest środek dnia, a nie czwarta rano. Niestety nie potrafił opisać mężczyzny, który na ciebie napadł. Powiedział tylko, że miał kurtkę trzy czwarte, prawdopodobnie ciemnoniebieską.

– Nie potrafił nawet opisać jego wzrostu? Koloru włosów?

– Wszystko stało się tak szybko. Backman powiedział tylko to, czego był pewien.

– Jedno wiemy na pewno – zauważył Wallander. – Biegł znacznie szybciej ode mnie. Według mnie jest średniego wzrostu i dosyć mocno zbudowany. No i ma lepszą kondycję niż ja. Może być w moim wieku. Ale to tylko niejasne wrażenie, nie można się na nim opierać.

Nadal czekali na wstępny raport z zakładu medycyny sądowej w Lund. Nyberg miał się zwrócić do laboratorium kryminalistycznego, żeby porównali odciski palców z posiadanymi w rejestrze.

Czekало ich mnóstwo pracy i Wallander chciał jak najszybciej zakończyć zebranie. Rozeszli się o jedenastej. Ledwie wszedł do pokoju, rozległ się telefon. Dzwoniła Ebba z recepcji.

– Masz gościa – zawiadomiła. – Nazywa się Gunnar Larsson. Przyszedł w sprawie Lamberga.

– Nie może pójść do kogoś innego?

– Zależy mu na rozmowie z tobą.

– Kto to taki?

– Pracował kiedyś u Lamberga.

Wallander natychmiast zmienił zdanie. Rozmowę z wdową przełożył na później.

– Wyjdę po niego – powiedział.

Gunnar Larsson był po trzydziestce. Usiedli w pokoju Wallandera. Inspektor zaproponował mu kawę, ale tamten podziękował.

– Dobrze, że pan sam się zgłosił – rzekł Wallander. – Prędeż czy później i tak byśmy do pana dotarli. W ten sposób oszczędzamy dużo czasu.

Otworzył swój notes.

– Pracowałem u Lamberga sześć lat – zaczął Larsson. – Wymówił mi mniej więcej cztery lata temu. Po mnie już chyba nikogo nie zatrudnił.

– Dlaczego pana zwolnił?

– Twierdził, że nie stać go już na pracownika. Wierzę, że tak było. Właściwie się tego spodziewałem. Nie było tam pracy dla dwóch osób. Lamberg nie prowadził sprzedaży aparatów ani akcesoriów fotograficznych, więc obroty nie były zbyt duże. Zresztą w ciężkich czasach ludzie nie chodzą tak często do fotografa.

– Pracował pan u niego całe sześć lat. To znaczy, że całkiem dobrze go pan znał?

– I tak, i nie.

– Zaczniemy od tego pierwszego.

– Był zawsze uprzejmy i sympatyczny. W stosunku do wszystkich. Do mnie, do klientów. Miał niewyczerpaną cierpliwość do dzieci. I bardzo pilnował porządku.

Wallanderowi nagle przyszło coś na myśl.

– Czy uważa pan, że był dobrym fotografem?

– W swojej dziedzinie tak. Robił konwencjonalne zdjęcia, bo takich chcą klienci, i w tym był dobry. Zawsze bardzo dokładny. Nie był oryginalny, bo nie odczuwał takiej potrzeby. Wątpię, żeby miał jakiegokolwiek artystyczne ambicje. W każdym razie nigdy ich nie ujawniał.

Wallander skinął głową.

– Odnoszę wrażenie, że był dość bezbarwną postacią. Czy mam rację?

– Owszem.

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że go pan nie znał?

– Był najbardziej zamkniętym w sobie człowiekiem, jakiego



spotkałem w życiu.

– Pod jakim względem?

– Nigdy nic o sobie nie mówił. Nie okazywał żadnych uczuć. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek się dzielił osobistymi wrażeniami. Z początku próbowałem z nim trochę rozmawiać.

– O czym?

– O pogodzie. Ale wkrótce dałem za wygraną.

– Nie mówił nawet o tym, co się dzieje na świecie?

– Miał chyba bardzo konserwatywne poglądy.

– Dlaczego pan tak myśli?

Gunnar Larsson wzruszył ramionami.

– Tak tylko myślę. Zresztą nie sędzę, żeby w ogóle czytał gazety.

Tu się mylisz, pomyślał Wallander. On czytał gazety. I przypuszczalnie interesował się polityką międzynarodową. Swoje poglądy prezentował w albumie, jakiego nikt chyba do tej pory nie oglądał.

– Dziwiła mnie jeszcze jedna rzecz – ciągnął Gunnar Larsson. – Przez sześć lat pracy nigdy nie widziałem jego żony. Nigdy oczywiście nie byłem u nich w domu. Z czystej ciekawości wybrałem się pewnej niedzieli, żeby zobaczyć, gdzie mieszkają.

– Nie zna pan więc również ich córki?

Gunnar Larsson spojrzał na Wallandera pytającym wzrokiem.

– Oni mieli dzieci?

– Nie wiedział pan?

– Ależ skąd.

– Mają córkę Matyldę.

Wallander nie wspomniał o jej upośledzeniu. Gunnar Larsson najwyraźniej nie miał pojęcia o istnieniu córki.

Wallander położył pióro na biurku.

– Co pan myślał, dowiedziawszy się o jego śmierci?

– Nie mogłem tego pojąć.

– Czy przysłoby panu do głowy, że może go coś takiego spotkać?

– Teraz mi też nie przychodzi. Kto mógłby mieć powód, żeby go zamordować?

– To właśnie staramy się wyjaśnić.

Przez twarz Larssona przemknął wyraz zakłopotania. Jak gdyby nie mógł się zdecydować, co ma powiedzieć.

– Chciałby pan coś dodać? – zapytał łagodnie Wallander. – Czy tak?

– Chodziły słuchy – zaczął niepewnie Larsson. – Mówiono, że Simon Lamberg grał.

– Grał na czym?

– Grał. Na pieniądze. Ktoś go widział na Jägersro<sup>4</sup>.

– Słuchy na ten temat? Każdy może chodzić na Jägersro.

– Podobno regularnie bywał w nielegalnych klubach. W Malmö i w Kopenhadze.

Wallander zmarszczył czoło.

– Gdzie pan to słyszał?

– W takim małym mieście jak Ystad słyszy się różne rzeczy.

Wallander wiedział aż za dobrze, że Larsson mówi prawdę.

– Mówiono, że ma duże długi.

– A miał?

– Nie wtedy, kiedy u niego pracowałem. Miałem wgląd w jego księgi.

– Mógł przecież mieć prywatnych wierzycieli? Wpaść w ręce lichwiarzy?

– O tym nic nie wiem.

– Pogłoski zawsze się gdzieś rodzą – powiedział Wallander po chwili namysłu.

– To było naprawdę dawno – odparł Gunnar Larsson. – Nie pamiętam już, gdzie i kiedy usłyszałem to po raz pierwszy.

– Widział pan kiedyś album, który Lamberg przechowywał w biurku?

– Nigdy nie zaglądałem do jego biurka.

Wallander był przeświadczony, że Larsson mówi prawdę.

– Miał pan własne klucze, kiedy pan pracował u Lamberga?

– Tak.

– Co się z nimi stało po pana zwolnieniu?

---

<sup>4</sup> Tor wyścigów konnych pod Malmö (przyp. tłum.).

– Oddałem je oczywiście Lambergowi.

Wallander skinął głową. Niewiele się wyjaśniło. Im więcej rozmawiał o Simonie Lambergu, tym bardziej wydawał mu się zagadkowy. Zanotował adres i telefon Gunnara Larssona i odprowadził go do recepcji. W powrotnej drodze wstąpił do jadalni po kubek kawy. Wszedł do pokoju i wyłączył telefon. Dawno już nie był w takiej rozterce. Gdzie tu się zwrócić w poszukiwaniu rozwiązania? Wszędzie widział tylko luźno wiszące końce. Mimo że starał się o tym nie myśleć, co chwila stawała mu przed oczami jego własna zniekształcona twarz wklejona do albumu ze zdjęciami.

Luźne końce nigdzie się ze sobą nie łączyły.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta. Poczul głód. Za oknem wzmagał się szum wiatru. Włączył telefon i natychmiast rozległ się sygnał. Nyberg informował, że zakończyli ekspertyzę techniczną i nie wykryli niczego szczególnego. Teraz można już wejść do pozostałych pomieszczeń.

Wallander usiadł przy biurku i starał się przeanalizować dotychczas znane fakty. W myślach prowadził dialog z Rydbergiem, złorzeczając na jego nieobecność. Jak powinienem teraz postąpić? W jaki sposób iść dalej? Kręcimy się w kółko po omacku.

Przejrzał swoje notatki. Próbował wyłuskać ukrytą w nich tajemnicę. Ale nic tam nie było. Zirytowany cisnął notatnik na biurko.

Była za kwadrans pierwsza. Powinien pójść coś zjeść. Po południu czekała go kolejna rozmowa z Elisabeth Lamberg.

Jestem zbyt niecierpliwy, pomyślał. Przecież od zabójstwa Simona Lamberga minęła zaledwie doba.

Rydberg z pewnością by się z tym zgodził. Wallander zdawał sobie sprawę, że brakuje mu cierpliwości.

Włożył kurtkę i zabierał się do wyjścia.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Martinsson.

Po wyrazie jego twarzy widać było, że zaszło coś ważnego.

Martinsson przystanął w drzwiach. Wallander przyglądał mu się w napięciu.

- Nie schwytaliśmy w nocy człowieka, który cię zaatakował –

powiedział Martinsson. – Ale ktoś go zauważył.

Martinsson wskazał na wiszącą na ścianie mapę Ystad.

– Napadł na ciebie na rogu Aulingatan i Giöddesgränd. Potem prawdopodobnie uciekał Herrestadsgatan i skręcił na północ. Zaraz po tym, jak cię uderzył, widziano go w pobliskim ogrodzie przy Timmermansgatan.

– Jak to widziano?

Martinsson wyjął z kieszeni swój niewielki notes i zaczął przewracać kartki.

– Mieszka tam młoda rodzina Simovicow. Kobieta nie spała, bo karmiła trzymiesięczne niemowlę. W pewnej chwili wyrzała do ogrodu i zobaczyła w mroku jakąś postać. Natychmiast obudziła męża, ale kiedy ten przyszedł, postać już zniknęła. Mąż uznał, że coś jej się przywidziało. Kobieta dała się przekonać i poszła się położyć. Przypomniała sobie o tym zdarzeniu, będąc dzisiaj w ogrodzie. Podeszła do miejsca, gdzie, jak się jej wydawało, ktoś w nocy chodził. Należy dodać, że już słyszała o zabójstwie Lamberga. Ystad jest na tyle małe, że rodzina Simovicow też się fotografowała w jego zakładzie.

- Nie mogła jednak słyszeć o nocnej obławie – zaprotestował Wallander. – Na ten temat nie było informacji.

– Zgadza się – przytaknął Martinsson. – Dlatego powinniśmy się cieszyć, że się w ogóle odezwała.

– Może nam podać jakiś rysopis?

– Widziała tylko cień. Nic więcej.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Więc co to jest warte?

– Niewiele. Gdyby nie fakt, że znalazła coś na ziemi. Przyszła przed chwilą, żeby to oddać. Leży na moim biurku.

Poszli do pokoju Martinssona.

Na biurku leżał psalterz.

– Znalazła w ogrodzie psalterz? – zapytał z niedowierzaniem Wallander.

– Zgadza się. Z Kościoła Szwecji.

– Dlaczego pani Simovic go tu przyniosła?

– Słyszała o zabójstwie. Zauważyła w nocy jakąś postać w swoim ogrodzie. Mąż ją przekonał, że to przywidzenie. A

nazajutrz znalazła w ogrodzie psalterz.

Wallander pokręcił powoli głową.

– Nie jest powiedziane, że to ten sam człowiek.

– Mimo to wiele za tym przemawia. Ilu ludzi kręci się w Ystad po nocy w cudzych ogrodach? W dodatku po mieście kursowały nocne patrole. Rozmawiałem z kimś z takiego patrolu. Wiele razy przejeżdżali przez Timmermansgatan. W takiej sytuacji ogród to dobra kryjówka.

Wallander musiał przyznać mu rację.

– Psalterz – powtórzył. – Kto, do cholery, nosi ze sobą w środku nocy psalterz?

– I gubi go w ogrodzie, po tym jak napadł na policjanta – dodał Martinsson.

– Niech Nyberg obejrzy ten modlitewnik – polecił Wallander. – I podziękuj rodzinie Simovicow za pomoc.

Stał już w drzwiach pokoju Martinssona, kiedy przyszło mu coś na myśl.

– Kto się zajmuje przyjmowaniem informacji od ludzi?

– Hansson. Ale chyba się jeszcze nie zaczęło.

– O ile w ogóle się zacznie – rzekł z powątpiewaniem Wallander.

Podjechał do kawiarni koło przystanku autobusowego i zjadł tam kilka kanapek. Psalterz był zagadkowym odkryciem, które w żaden sposób nie pasowało do śledztwa w sprawie śmierci fotografa. Wallander czuł się naprawdę zdezorientowany. Poruszali się na oślep w poszukiwaniu jakiegoś punktu oparcia.

Po posiłku w kawiarni Wallander udał się na Lavendelvägen. Podobnie jak poprzednio drzwi otworzyła Karin Fahlman. Jednak tym razem Elisabeth Lamberg nie odpoczywała w swoim pokoju. Czekala na Wallandera w salonie. Znów uderzyła go jej bladość. Odniósł wrażenie, że nie jest tylko reakcją na zabójstwo męża, lecz tkwi gdzieś głęboko w niej, i to od bardzo dawna.

Usiadł naprzeciwko niej. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Wciąż jeszcze nie posunęliśmy się do przodu – zaczął.

– Wiem, że robicie, co w waszej mocy.

Nie był pewien, co ona ma na myśli. Czy to subtelna krytyka ich pracy? Czy rzeczywiście myśli to, co mówi?

– Jestem u pani już drugi raz – powiedział. – Nie mogę obiecać, że to ostatnia wizyta. Wciąż się pojawiają nowe pytania.

– Odpowiem na nie w miarę możliwości.

– Tym razem przyszedłem nie tylko po to, aby zadawać pytania. Chciałbym również wejść do pokoju męża.

Kiwnęła głową bez słowa.

Wallander postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Czy mąż miał jakieś długi?

– Nic o tym nie wiem. Dom jest splecony. W zakład inwestował, tylko biorąc krótkoterminowe kredyty.

– Czy mógł mieć jakieś kredyty, o których pani nie wiedziała?

– Oczywiście. Jak już panu wyjaśniałam, żyliśmy pod tym samym dachem, ale zupełnie osobno. Zresztą on był bardzo tajemniczy.

– Co znaczy tajemniczy? Nadal nie bardzo to rozumiem.

Spojrzała na niego uważnie.

– Co znaczy tajemniczy człowiek? Może powinnam raczej powiedzieć zamknięty w sobie? Nigdy nie było wiadomo, czy rzeczywiście mówi to, co myśli. Czy też myśli zupełnie coś innego. Mogłam stać tuż obok niego i mieć uczucie, że on przebywa gdzieś daleko. Kiedy się uśmiechał, nie zawsze wiedziałam, co znaczy ten uśmiech. Nigdy nie byłam pewna, kim on właściwie jest.

– To musiało być niezwykle trudne – przyznał Wallander. – Ale przecież nie zawsze taki był?

– Bardzo się zmienił. Zaczął się zmieniać po przyjściu na świat Matyldy.

– Dwadzieścia cztery lata temu?

– Może nie od razu. Powiedzmy dwadzieścia lat. Z początku myślałam, że cierpi z powodu losu Matyldy. Później już nie byłam tego pewna. Jeszcze zanim się pogorszyło.

– Pogorszyło?

– Jakieś siedem lat temu.

– Co wtedy zaszło?

– Właściwie nie wiem.

Wallander powrócił do pytania.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, to siedem lat temu coś się wydarzyło? Coś, co radykalnie odmieniło męża?

– Tak, właśnie.

– I nie ma pani pojęcia, co to było?

– Może trochę. Każdej wiosny mąż zostawiał pracownika samego na dwa tygodnie. Udawał się w podróż autokarem do Europy.

– Pani mu nie towarzyszyła?

– Chciał jeździć sam. Zresztą i ja nie miałam na to ochoty. Jeżeli wyjeżdżałam, to w towarzystwie przyjaciółek. W zupełnie innym kierunku.

– Co się wtedy wydarzyło?

– Tamtym razem jechał do Austrii. Wrócił odmieniony. Był ożywiony i smutny zarazem. Na moje pytanie zareagował wybuchem wściekłości, jednym z niewielu, jakich u niego widziałam.

Wallander zaczął notować.

– Kiedy to miało miejsce?

– W 1981 roku, w lutym lub marcu. Podróż zaczynała się w Sztokholmie, ale Simon dosiadł się w Malmö.

– Nie pamięta pani przypadkiem, jak się nazywało biuro podróży, które organizowało wyjazd?

– Chyba Markresor. Zazwyczaj jeździł z nimi.

Wallander zanotował nazwę biura i schował notes do kieszeni.

– Chciałbym się teraz nieco rozejrzeć. Przede wszystkim po jego pokoju.

– Zajmował dwa, sypialnię i pokój do pracy.

Oba pomieszczenia leżały w suterenie. Wallander rzucił okiem na sypialnię i otworzył stojącą tam szafę. Pani Lamberg stała za nim i przyglądała się temu, co robi. Następnie przeszli do przestronnego pokoju do pracy. Wzdłuż ścian biegły półki z książkami. Znajdował się tam jeszcze pokaźny zbiór płyt,

wysłużony fotel do czytania i duże biurko.

Wallandera uderzyła nagle pewna myśl.

– Czy pani mąż był religijny?

– Nie – powiedziała zdziwiona. – Nie sędzę.

Wallander przebiegł wzrokiem po grzbietach książek. Literatura piękna w różnych językach, pozycje fachowe z rozmaitych dziedzin. Wiele półek zawierało książki o tematyce astronomicznej. Wallander usiadł przy biurku. Miał ze sobą pęk kluczy od Nyberga. Otworzył pierwszą szufladę. Żona Lamberga usiadła w fotelu.

– Jeżeli woli pan być sam, to wyjdę – rzekła.

– Nie trzeba.

Oględziny pokoju zajęły mu kilka godzin. Pani Lamberg przyglądała mu się przez cały czas z fotela. Nie znalazł nic, co mogłoby wpłynąć na bieg śledztwa.

Coś się wydarzyło siedem lat temu, w czasie podróży do Austrii, pomyślał. Ale co?

Okolo pół do szóstej dał za wygraną. Życie Simona Lamberga wydawało się absolutnie hermetyczne. W żaden sposób nie mógł go przeniknąć. Zeszli z powrotem na parter. W głębi mignęła postać Karin Fahlman. Wokoło panowała cisza.

– Znalazł pan to, czego pan szukał? – zapytała Elisabeth Lamberg.

– Szukam właściwie jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby nam odnaleźć zabójcę pani męża i zrozumieć jego motyw. Dotychczas nic nie znalazłem.

Pożegnał się i wrócił do komendy. Nadał wiał ostry wiatr. Zziębnięty Wallander zastanawiał się, nie wiadomo po raz który, kiedy nadejdzie wiosna.

Przed budynkiem komendy spotkał Pera Åkesona. Weszli do recepcji i Wallander zdał mu relację ze stanu śledztwa.

– Nie macie zatem żadnego konkretnego tropu? – zapytał Åkeson, gdy Wallander umilkł.

– Nie – przyznał Wallander. – Wciąż nie wiemy, w którą stronę się obrócić. Wskazówka kompasu kręci się w kółko.



Åkeson poszedł do siebie. Wallander wpadł w korytarzu na Svedberga. Właśnie miał do niego sprawę, poprosił go więc do swojego pokoju. Svedberg usiadł na krześle z uszkodzoną poręczą.

– Powinieneś zmienić krzesło – powiedział.

– Sądzisz, że są na to fundusze?

Wallander zerknął do notesu, który miał przed sobą.

– Chciałbym cię prosić o dwie rzeczy. Po pierwsze, zorientuj się, czy w Sztokholmie jest biuro podróży, które się nazywa Markresor. Simon Lamberg pojechał z nimi do Austrii w lutym lub w marcu 1981 roku. Spróbuj się czegoś dowiedzieć o tej podróży. Najlepiej by było, gdyby się udało wytrzasnąć listę pasażerów.

– Dlaczego ci na tym zależy?

– Podczas tej podróży musiało się coś wydarzyć. Wiem od pani Lamberg, że jej mąż wrócił zupełnie odmieniony.

Svedberg zanotował otrzymane polecenia.

– Jeszcze jedno – dodał Wallander. – Trzeba się dowiedzieć, gdzie jest ich córka, Matylda. Przebywa w zakładzie dla ciężko upośledzonych, ale nie wiadomo w którym.

– Nie zapytałeś o to?

– Wyleciało mi z głowy. Widocznie oberwałem w nocy mocniej, niż mi się wydawało.

– Odnajdę ją – rzekł Svedberg, zbierając się do wyjścia.

Omiał się nie zderzył w drzwiach z wchodzącym Hanssonem.

– Chyba na coś wpadłem – zakomunikował Hansson. – Męczyło mnie to od dłuższego czasu. Simon Lamberg nigdy nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, ale pamiętam go w związku z pewną sprawą.

Wallander i Svedberg czekali w napięciu. Znali Hanssona i wiedzieli, że ma dobrą pamięć.

– W końcu sobie przypomniałem – ciągnął Hansson. – Jakiś rok temu Lamberg napisał kilka skarg na policję. – Zaadresował je do Björka, mimo że żadna z nich nie dotyczyła właściwie policji w Ystad. Jedna odnosiła się do Kajsy Stenholm i dotyczyła sprawy, której dalszy ciąg rozegrał się tutaj ubiegłej wiosny – sprawy zabójstwa Bengta

Alexanderssona. Ty się tym zajmowałeś, zwrócił się do Wallandera. Może to chociaż częściowo wyjaśnia, dlaczego twoja twarz znalazła się w jego dziwnym albumie.

Wallander skinął głową. Kto wie, czy Hansson nie ma racji. Tylko że to nic nie wnosi do śledztwa.

Był w głębokiej rozterce. Nie mieli się czego chwycić. Sprawca pozostawał tylko umykającym cieniem.

Trzeciego dnia śledztwa zmieniła się pogoda. Kiedy Wallander obudził się wypoczęty o pół do szóstej, do sypialni zaglądało słońce. Termometr w kuchni wskazywał siedem stopni. Zdawało się, że wreszcie nadeszła wiosna.

Kurt przeglądał się w lustrze w łazience. Lewy policzek miał spuchnięty i zabarwiony na niebiesko. Delikatnie odkleił plaster u nasady włosów i rana od razu zaczęła krwawić. Założył nowy opatrunek. Dotknął językiem prowizorycznego wypełnienia zęba. Nadal czuł w ustach pewien dyskomfort. Wziął prysznic i się ubrał. Zirytowany widokiem stosu brudnych ubrań zszedł do pralni i zarezerwował termin prania. Nie pojmował, jak w tak krótkim czasie może się nazybiać tyle brudów. Zazwyczaj do pralni chodziła Mona. Na myśl o niej poczuł ukłucie. Usiadł przy stole w kuchni i przeglądał gazetę. Dużo miejsca poświęcono zabójstwu Lamberga. Przeczytał wypowiedź Björka i z aprobatą pokiwał głową. Björk dobrze to ujął. Powiedział jak jest, bez zbędnych spekulacji.

Kwadrans po szóstej Wallander wyszedł do komendy. Zebranie grupy dochodzeniowej wyznaczili dopiero na koniec dnia. Do tej pory wszyscy mieli pełne ręce roboty. Metodyczne sprawdzanie Simona Lamberga, jego zwyczajów, otoczenia i przeszłości wymagało czasu. Wallander postanowił zbadać, czy pogłoski o związkach Simona Lamberga ze światem nielegalnego hazardu, o których wspominał Gunnar Larsson, są prawdziwe. W tym celu zdecydował się wykorzystać swoje dawne kontakty. Miał pojechać do Malmö i spotkać się z człowiekiem, którego nie widział od czterech lat. Wiedział, gdzie najprędzej go zastanie. Poszedł do recepcji, przejrzał listę nieodebranych telefonów i uznał, że nie były specjalnie ważne. Potem udał się prosto do Martinssona, który zawsze wcześniej

przychodził. Martinsson już siedział przed komputerem.

– Jak idzie? – spytał Wallander.

Martinsson potrząsnął głową.

– Simon Lamberg musiał być najbardziej wzorowym obywatelem, jakiego można sobie wyobrazić – odrzekł. – Ani jednej plamki, ani jednego mandatu. Zero.

– Chodzą pogłoski, że grał hazardowo – poinformował go Wallander. – W dodatku nielegalnie. Mówią, że miał długi. Spróbuję to wyjaśnić przed południem. Jadę teraz do Malmö.

– Ale mamy pogodę – powiedział Martinsson, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Rzeczywiście – zgodził się Wallander. – Można znów mieć nadzieję.

Zrobiło się jeszcze cieplej. W drodze do Malmö odczuwał radość na myśl o przemianie, jaka niebawem nastąpi w przyrodzie. Wkrótce jednak powrócił myślami do śledztwa. W dalszym ciągu nie posuwało się do przodu. Nie znaleźli żadnego motywu. Śmierć Simona Lamberga była zagadkowa. Fotograf, który prowadził spokojne życie. Człowiek, który przeżył dramat w związku z przyjściem na świat ciężko upośledzonej córki. I na dodatek żył w separacji z żoną. Nic nie wskazywało na to, że ktoś mógłby chcieć roztrzaskać mu głowę straszliwym ciosem.

Siedem lat temu, podczas autokarowej wycieczki do Austrii, coś się wydarzyło. Coś, co zupełnie go odmieniło.

W drodze do Malmö Wallander zastanawiał się nad tajemnicą Lamberga. Cała jego postać była nieostra. Zarówno jego życie, jak i charakter były tajemnicze.

Dotarł do Malmö tuż przed ósmą. Pojechał prosto do garażu na tyłach hotelu Savoy. Wszedł do hotelu głównym wejściem i skierował się do restauracji.

Mężczyzna, którego szukał, siedział samotnie przy stoliku, pogrążony w lekturze gazety. Wallander podszedł bliżej. Mężczyzna drgnął i spojrzął w górę.

– Kurt Wallander – stwierdził. – Czy jest pan tak głodny, że musi pan przyjechać do Malmö, żeby zjeść śniadanie?

– Twoja pokrętna logika nic a nic się nie zmieniła – odparł

Wallander.

Przysiadł się do stolika i nalał sobie kawy. Po raz pierwszy zetknął się z Peterem Linderem, człowiekiem, który siedział naprzeciwko, ponad dziesięć lat temu. Było to w połowie lat siedemdziesiątych. Wallander właśnie rozpoczął służbę w Ystad. Zrobili wtedy nalot na nielegalny klub gier hazardowych, mieszczący się w leżącym na odludziu gospodarstwie pod Hedeskogą. Dla wszystkich było oczywiste, że działalnością klubu kierował Peter Linder. To on zgarniał wielkie pieniądze. Ale na procesie Linder został uniewinniony. Cała sfera adwokatów rzuciła się na przygotowany przez prokuratora akt oskarżenia i Linder opuścił sąd jako wolny człowiek. Pieniądzy nie odzyskano, bo nie zdołano ustalić, gdzie je ukrył. Kilka dni po zwolnieniu Linder pojawił się niespodziewanie w komendzi i zażądał rozmowy z Wallanderem. Skarżył się na złe traktowanie przez szwedzki system sprawiedliwości. Wallander wpadł w złość.

– Wszyscy wiedzą, że to twoja sprawka – wygarnął.

– Jasne, że moja – rzekł na to Peter Linder. – Ale oskarżyciel nie miał dostatecznych dowodów, żeby mnie skazać. Tym samym mam takie samo prawo jak każdy inny skarżyć się na niewłaściwe traktowanie.

Wallandera zamurowało w obliczu takiej bezczelności. Po tym wydarzeniu nie słyszał o Linderze przez jakiś rok. Pewnego dnia dostał anonim z informacją o kolejnym nielegalnym salonie gry w Ystad. Tym razem udało się doprowadzić do skazania właścicieli. Wallander domyślał się od początku, że anonim wysłał Peter Linder. Ponieważ przy pierwszym spotkaniu Linder napomknął, że zawsze je śniadanie w Savoyu, inspektor go tam odszukał. Ten z uśmiechem wyparł się autorstwa listu. Obaj wiedzieli, jak było naprawdę.

– Właśnie czytam, jak niebezpieczne jest życie fotografów w Ystad – oznajmił Linder.

– Nie bardziej niż gdzie indziej.

– A co z salonami gier?

– Chyba na razie mamy z tym spokój.

Peter Linder się uśmiechnął. Miał niezwykle niebieskie oczy.

– Może powinienem z powrotem zainstalować się w Ystad. Co pan o tym sądzi?

– Znasz moje zdanie – odparł Wallander. – Tym razem na pewno cię wsadzimy.

Peter Linder potrząsnął głową. Uśmiechał się. Wallandera to zirytowało, ale nie dał po sobie poznać.

– Przyjechałem do ciebie w związku z zabójstwem tego fotografa.

– Robię sobie zdjęcia tylko u królewskiego fotografa w Malmö. Był nadwornym fotografem w Sofiero<sup>5</sup>, jeszcze za starego króla. Jest znakomity.

– Wystarczy, jak będziesz odpowiadał na moje pytania – przerwał mu Wallander.

– Czy to przesłuchanie?

– Nie. Ale wpadłem na głupi pomysł, żeby zwrócić się do ciebie. A na drugi, jeszcze głupszy, że może zechcesz mi pomóc.

Peter Lindberg rozłożył ramiona w zapraszającym geście.

– Simon Lamberg – ciągnął Wallander. – Fotograf. Chodziły słuchy, że grał hazardowo o duże pieniądze. Nie zawsze legalnie. Tutaj i w Kopenhadze. Podobno był zadłużony po uszy.

– Pogłoski są coś warte tylko wtedy, jeżeli przynajmniej w pięćdziesięciu procentach odpowiadają prawdzie – zauważył filozoficznie Peter Linder. – Czy w tym wypadku tak jest?

– Miałem nadzieję, że potrafisz to wyjaśnić. Słyszałeś o nim?

Peter Linder zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – odpowiedział. – Ale jeśli chociaż połowa tych zarzutów jest prawdziwa, powinienem być o nim słyszeć.

– Jesteś pewien, że jego nazwisko nie mogło ci umknąć?

– W żadnym razie. To nie wchodzi w rachubę.

– Czyżbyś wszystko wiedział?

– O nielegalnych salonach gier na południu Szwecji bez wątplenia tak. I jeszcze co nieco o filozofii starożytnej i mauretańskiej architekturze. Niewiele więcej.

Wallander nie zaprzeczał. Pamiętał, że Peter Linder zrobił w przeszłości błyskawiczną karierę akademicką. Pewnego dnia,

---

5 Letnia rezydencja Gustawa Adolfa VI (przyp. tłum.).

bez żadnego uprzedzenia, odszedł z uniwersytetu i w krótkim czasie stał się właścicielem salonu gier hazardowych.

Wallander dopił kawę.

– Jakbyś coś słyszał, będę wdzięczny za anonim.

– Popytam w Kopenhadze – obiecał Linder. – Chociaż wątpię, żebym się czegoś dla ciebie dowiedział.

Wallander skinął głową i szybko wstał. Nie mógł się przemóc, żeby podać Linderowi rękę na pożegnanie.

Wallander wrócił do komendy około dziesiątej. Kilku policjantów piło kawę na zewnątrz, grzejąc się w wiosennym słońcu. Inspektor zajrzał do pokoju Svedberga. Pusto. Nie zastał również Hanssona. Tylko niestrudzony Martinsson nadal siedział przy komputerze.

– Jak poszło w Malmö? – zapytał.

– Niestety, pogłoski są fałszywe – odparł Wallander.

– Niestety?

– Owszem, bo mielibyśmy przynajmniej jakiś motyw. Długi, nasłany bandyta. Coś w tym rodzaju by się przydało.

– Svedberg dowiedział się z rejestru spółek, że biuro podróży Markresor już nie istnieje. Pięć lat temu połączyli się z jakąś inną firmą, a kilka lat później zbankrutowali. Stare listy pasażerów raczej przepadły. Może udałoby się odnaleźć kierowcę. Jeżeli żyje.

– Gdzie go szukać?

– Nie wiem.

– A gdzie Hansson i Svedberg?

– Svedberg grzebie się w finansach Lambergów. Hansson przesłuchuje sąsiadów. Nyberg awanturuje się z pracownikiem, który zapodział gdzieś odcisk stopy.

– Jak można zgubić odcisk stopy?

– Tak samo jak można zgubić psałterz w ogrodzie.

Martinsson ma rację, pomyślał Wallander. Wszystko można zgubić.

– Zgłaszają się jacyś ludzie z informacjami?

– Jak dotąd tylko rodzina Simovicow. Reszta się nie liczy. Ale

może coś jeszcze będzie. Ludzie potrzebują trochę czasu.

- Coz kierownikiem banku, Backmanem?

- To wiarygodny świadek. Ale powiedział już wszystko, co wie.

- A sprzątaczką? Hilda Waldén?

- Tak samo.

Wallander oparł się o futrynę drzwi.

- Kto go zabił, do jasnej cholery? Z jakiego powodu?

- Kto zmienia stację w radiu? I biega w środku nocy po mieście z psalterzem w kieszeni?

Pytania zawisły w powietrzu. Wallander wrócił do swojego pokoju. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Spotkanie z Peterem Linderem uświadomiło mu, że nie ma co liczyć na znalezienie rozwiązania w świecie nielegalnego hazardu. Co pozostaje? Usiadł przy biurku i po raz kolejny zrobił pisemne podsumowanie znanych faktów. Zajęło mu to ponad godzinę. Przeczytał to, co napisał. Coraz bardziej skłaniał się ku hipotezie, że Lamberg sam wpuścił zabójcę do środka. Musiał znać tego człowieka i mieć do niego zaufanie. Wdowa prawdopodobnie nie wie, o kogo chodzi. Z rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi.

- Zgadnij, gdzie byłem – powiedział Svedberg, wchodząc.

Wallander potrząsnął głową. Nie miał nastroju do zgadywania.

- Matylda Lamberg przebywa w zakładzie opieki koło Rydsgårdu. To blisko, więc postanowiłem tam pojechać.

- Widziałeś Matyldę?

Svedberg od razu spowaźniał.

- To straszny widok – powiedział. - Jest ciężko upośledzona.

- Nie musisz opowiadać – przerwał Wallander. - Mogę sobie wyobrazić.

- Zdarzyło się coś dziwnego – ciągnął Svedberg. - Rozmawiałem z kierowniczką zakładu. Miła kobieta, taka cicha bohaterka naszych czasów. Pytałem ją, jak często Simon Lamberg odwiedzał córkę.

- I co?

- Nie był tam ani razu przez te wszystkie lata.

Wallander nic nie odpowiedział. Poczłł niesmak.

– Elisabeth Lamberg przychodziła raz w tygodniu. Zwykle w soboty. Ale nie to było dziwne.

– Więc co?

– Kierowniczką powiedziała, że Matyldę odwiedzała jeszcze jedna kobieta. Zjawiała się od czasu do czasu. Nieregularnie. Nikt nie wiedział, jak się nazywa.

Wallander zmarszczył czoło. Nieznana kobieta.

Nagle ogarnęła go absolutna pewność. Nie wiedział, skąd ją ma. Pewność, że wreszcie trafili na właściwy trop.

– Świetnie – powiedział. – Znakomicie. Postaraj się skrzyknąć ludzi na zebranie.

O pół do dwunastej grupa dochodzeniowa zebrała się w komplecie. Przybyli z różnych stron i wydawało się, że piękna pogoda naładowała wszystkich nową energią. Przed samym zebraniem Wallander otrzymał wstępny wynik badania lekarskiego. Simon Lamberg przypuszczalnie zmarł przed północą. Śmierć nastąpiła na skutek potężnego ciosu w potylicę i była natychmiastowa. W ranie znaleziono odpryski stopu mosiądzu, co powinno ułatwić zidentyfikowanie narzędzia zbrodni. Mosiężna figurka lub coś w tym rodzaju. Wallander zatelefonował natychmiast do Hildy Waldén z pytaniem, czy widziała u Lamberga jakiś mosiężny przedmiot. Dostał przeczącą odpowiedź, na co bardzo liczył. Mężczyzna, który przyszedł zabić Simona Lamberga, przyniósł ze sobą narzędzie zbrodni. Co oznacza, że zabójstwo nie nastąpiło na skutek kłótni lub jakiegoś nagłego impulsu, lecz zostało zaplanowane.

Było to bardzo istotne spostrzeżenie. Szukali teraz człowieka, który popełnił czyn z premedytacją. Nie wiedzieli jednak, dlaczego wrócił na miejsce przestępstwa. Prawdopodobnie czegoś zapomniał. Wallander nie mógł jednak pozbyć się myśli, że istniał jakiś inny powód, którego jeszcze nie znają.

– Co by to miało być? – zapytał Hansson. – Jeżeli czegoś nie zapomniał, to może wrócił, żeby tam coś położyć?

– To też świadczyłoby o roztargnieniu – wtrącił Martinsson.



Powoli i systematycznie omawiali wszystko, czego się dotychczas dowiedzieli. Wciąż jednak sprawa była niejasna. Wiele pytań domagało się odpowiedzi, wiele informacji uporządkowania. Mimo to Wallander chciał porozmawiać o wynikach, które uzyskali do tej pory. Z doświadczenia wiedział, że członkowie grupy dochodzeniowej muszą równocześnie otrzymać te same informacje. Jedną z jego największych wad było to, że często zatrzymywał dla siebie różne fakty. Z biegiem lat trochę się pod tym względem poprawił.

– Mamy wystarczającą ilość palców i butów – oznajmił Nyberg. Wallander udzielił mu głosu, jak zwykle na początku.

– I jeszcze na dodatek wyraźny keciuk na modlitewniku. Nie wiem jeszcze, czy pasuje do któregoś z odcisków z atelier.

– Czy można coś powiedzieć o psalterzu? – zapytał Wallander.

– Wygląda na często używany. Nie ma żadnego podpisu ani stempla kościoła lub parafii.

Wallander pokiwał głową i spojrzał na Hanssona.

– Nie skończyliśmy jeszcze przesłuchiwać sąsiadów – powiedział Hansson. – Ale nikt z tych, których przesłuchaliśmy do tej pory, nie widział i nie słyszał nic podejrzanego. Żadnych hałasów ani w atelier, ani na ulicy. Nikt nie zauważył, aby tamtego wieczoru lub wcześniej ktoś się kręcił w pobliżu zakładu. Wszyscy zapewniają, że Simon Lamberg był uroczym człowiekiem. Ale zamkniętym w sobie.

– Są jakieś telefony z informacjami od ludzi?

– Ciągłe dzwonią. Na razie nic interesującego.

Wallander zapytał o listy, w których Lamberg skarżył się na pracę policji.

– Leżą gdzieś w centrali, w Sztokholmie. Mają je odszukać. Tylko jeden odnosił się do naszego rejonu, zresztą na marginesie innych wydarzeń.

– Nie potrafię ocenić tego albumu – wyznał Wallander. – Nie wiem, czy ma on dla nas jakieś znaczenie. Może dlatego że ja w nim figuruję. Z początku mnie to nieprzyjemnie dotknęło. Teraz już sam nie wiem.

– Są ludzie, którzy siedząc przy kuchennym stole, piszą

paszkwile na rządzących – powiedział Martinsson. – Simon Lamberg nie pisał, był fotografem. Ciemnia służyła mu za kuchenny stół.

– Być może masz rację. Wrócimy do tego, jak będziemy wiedzieli coś więcej.

– Lamberg był skomplikowanym człowiekiem – rzekł Svedberg. – Sympatyczny i zamknięty w sobie. Ale było w nim coś jeszcze, tylko na razie nie potrafimy tego sformułować.

– Jeszcze nie – przyznał Wallander. – Ale to się wyjaśni. Jak zwykle.

Przeszedł do relacji ze spotkania z Peterem Linderem w Malmö.

– Sądzę, że pogłoski o Simonie Lambergu jako hazardowym graczem to tylko plotki.

– Nie rozumiem, jak możesz wierzyć w to, co mówi ten człowiek – zaprotestował Martinsson.

– Jest na tyle sprytny, że wie, kiedy należy mówić prawdę, a kiedy kłamać – odparł Wallander.

Następnie głos zabrał Svedberg. Mówił o nieistniejącym biurze podróży i stanowczo twierdził, że jest możliwość odszukania kierowcy autokaru, który jechał do Austrii w marcu 1981 roku.

– Biuro Markresor współpracowało z firmą przewozową w Alvesta – wyjaśnił. – Dowiedziałem się, że ta firma wciąż działa.

– Czy to rzeczywiście ma jakieś znaczenie? – powątpiewał Hansson.

– Może tak, może nie – oparł Wallander. – W każdym razie Elisabeth Lamberg nie miała wątpliwości, że mąż wrócił z podróży jak odmieniony.

– Może się zakochał – zasugerował Hansson. – To dosyć częste na takich wyjazdach.

- Na przykład – zgodził się Wallander i przemknęło mu przez myśl, czy to przypadkiem nie przytrafiło się Monie w ubiegłym roku na Wyspach Kanaryjskich.

Zwrócił się powtórnie do Svedberga.

– Postaraj się odszukać kierowcę. Może się czegoś dowiemy.

Svedberg mówił dalej o wizycie u Matyldy Lamberg. Wszystkich zbulwersowała wiadomość, że Simon Lamberg ani razu nie odwiedził upośledzonej córki. To, że odwiedzała ją od czasu do czasu obca kobieta, nie wzbudziło większego zainteresowania. Tylko Wallander był w dalszym ciągu przekonany, że ona może stanowić istotny trop. Co prawda zupełnie nie pasowała do całości. Postanowił jednak za wszelką cenę dowiedzieć się, kim jest.

Pod koniec zebrania omawiali znane fakty z życia Lamberga. Z tego, co dotąd wiedzieli, wydawał się człowiekiem o uporządkowanym życiu. Nie znaleźli żadnych ciemnych plam na jego przeszłości. Wallander przypomniał, że trzeba się jak najszybciej skontaktować z amatorskim stowarzyszeniem astronomicznym w Lund, do którego należał Lamberg. Podjął się tego Hansson.

Martinsson, który przeszukiwał w komputerze policyjne bazy danych, potwierdził, że Lamberg nie figuruje w żadnej z nich.

Wallander zakończył zebranie tuż po pierwszej.

– Oto, w jakim miejscu jesteśmy – podsumował. – Nadal nie znamy motywu i nie mamy koncepcji, kim jest sprawca. Zdobyliśmy jednak pewność, że czyn był zaplanowany. Morderca miał ze sobą broń. Wynika z tego, że możemy skreślić hipotezę włamania i jego nieprzewidzianych skutków.

Rozeszli się do swoich zadań. Wallander postanowił pojechać do domu opieki, gdzie przebywała Matylda Lamberg. Dręczyła go myśl o tym, co tam zastanie. Zawsze czuł się bezradny w obliczu chorób i cierpienia. Chciał się jednak dowiedzieć czegoś więcej o nieznannej kobiecie. Wyruszył z Ystad w kierunku Rydsgård. Chłonał widok morza po lewej stronie drogi. Opuścił szybę i jechał powoli.

Ni stąd, ni zowąd zaczął myśleć o Lindzie, swojej osiemnastoletniej córce. Mieszkała obecnie w Sztokholmie. Nie mogła się zdecydować, kim chce być w przyszłości. Tapicerem, fizjoterapeutką czy może najlepiej aktorką. Wynajmowały z przyjaciółką mieszkanie na Kungsholmen. Wallander nie był pewien, z czego Linda żyje. Wiedział tylko, że czasami kelneruje w różnych restauracjach. Kiedy wyjeżdżała ze

Sztokholmu, mieszkała u Mony w Malmö. Wtedy często, choć nieregularnie, odwiedzała go wYstad.

Niepokoił się o nią. Jednocześnie cieszył się, że nie dostrzega w niej tego, co uważał za swoje wady. W głębi duszy nie wątpił, że Linda da sobie w życiu radę. Mimo to nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju.

Zjadł spóźniony obiad w restauracji Gästgivargården w Rydsgård. Zamówił kotlet wieprzowy. Przy stole obok kilku rolników głośno rozprawiało o wadach i zaletach siewnika do nawozów. Wallander usiłował skoncentrować się na jedzeniu. Rydberg mu zawsze powtarzał, żeby podczas posiłku myślał tylko o tym, co ma na talerzu, a po zjedzeniu poczuje, że przewietrzył głowę, tak jak wietrzy się długo zamknięty dom, wpuszczając do środka świeże powietrze.

Zakład opieki leżał w pobliżu Ryнге. Wallander znalazł go z łatwością, kierując się wskazówkami Svedberga. Zajechał na dziedziniec i wysiadł z auta. Zakład składał się ze starych i nowych budynków. Wallander wszedł do środka głównym wejściem. Do jego uszu doszedł donośny śmiech. Podeszedł do kobiety, która podlewała kwiaty, i zapytał o kierowniczkę zakładu.

- To ja – powiedziała z uśmiechem. – Margareta Johansson.  
- Wiem, kim pan jest. Często widuję pana w gazetach.

Dalej podlewała kwiaty. Wallander nie zareagował na komentarz dotyczący jego osoby.

- Służba w policji musi być nieraz czymś okropnym – ciągnęła.

- Mogę się z tym zgodzić – odparł Wallander. – Jednak nie chciałbym żyć w tym kraju, gdyby nie było policji.

- Ma pan pewnie rację – odrzekła, odstawiając dzbanek. – Przypuszczam, że przyjechał pan do nas z powodu Matyldy Lambert?

- Prawdę mówiąc, nie. Raczej z powodu kobiety, która ją odwiedzała. Tej, która nie jest jej matką.

Margareta Johansson spojrzała na niego. Na jej twarzy

malował się cień niepokoju.

– Czy ona ma coś wspólnego z zabójstwem ojca Matyldy?

– Bardzo wątpię. Ale ciekaw jestem, kto to może być.

Margareta Johansson wskazała na uchylone drzwi do biura.

– Może usiądziemy tam.

Zaproponowała Wallanderowi kawę, ale podziękował.

– Do Matyldy mało kto przychodzi – objaśniła. – Kiedy czternaście lat temu zaczęłam tu pracować, była już w zakładzie od sześciu lat. Odwiedzała ją tylko matka. Rzadko jakiś inny krewny. Matylda ledwie zdaje sobie sprawę z tych odwiedzin. Nie widzi i prawie nie reaguje na to, co się dzieje wokół niej. Ale nam zależy na tym, żeby odwiedzano osoby, które przebywają tu wiele lat, a nieraz i całe życie. Przede wszystkim chodzi o to, by miały poczucie, że i one przynależą do wielkiej wspólnoty.

– Kiedy ta kobieta się pojawiła?

– Jakieś siedem, osiem lat temu.

– Jak często przychodzi?

– Zawsze bardzo nieregularnie. Czasami mija nawet pół roku.

– I nigdy się nie przedstawiła?

– Nigdy. Mówiła tylko, że przychodzi odwiedzić Matyldę.

– Zawiadomiła pani o tym Elisabeth Lamberg?

– Oczywiście.

– I co ona na to?

– Była zdziwiona. Pytała, kto to jest. Prosiła, żeby zadzwonić, jak tylko przyjdzie. Ale wizyty tej pani były zawsze krótkie. Elisabeth Lamberg nigdy nie zdołała jej zastać.

– Jak tu przyjeżdżała?

– Samochodem.

– Sama?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Może ktoś siedział w aucie i nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Ani na to, jakiej marki był samochód? I jaki miał numer rejestracyjny?

Margareta Johansson potrząsnęła przecząco głową.

– Może mi pani ją opisać?

– Między czterdziestką a pięćdziesiątką. Szczupła, niezbyt wysoka. Ubrana prosto, ale gustownie. Jasne, krótko ostrzyżone włosy. Bez makijażu.

Wallander notował.

– Jeszcze coś?

– To wszystko.

Wallander wstał.

– Nie chce pan wejść do Matyldy? – zapytała.

– Niestety nie zdążę – odpowiedział wymijająco. – Zresztą pewnie tu jeszcze będę. Jak tylko ta kobieta się zjawi, proszę natychmiast zadzwonić na policję w Ystad. Kiedy tu była ostatnio?

– Kilka miesięcy temu.

Wyszła z nim na dziedziniec. Obok przeszła pielęgniarka z wózkiem inwalidzkim. Wallander dostrzegł przykrytą kocem skurczoną postać chłopca.

– Wszyscy są w lepszej formie z nadejściem wiosny – powiedziała Margareta Johansson. – Widać to nawet po tych pacjentach, którzy często są zamknięci w swoim własnym świecie.

Wallander się pożegnał i odszedł do samochodu. Jak tylko włączył silnik, w biurze Margarety Johansson odezwał się telefon. Zawołała, że dzwoni Svedberg. Wallander wszedł do środka i podniósł słuchawkę.

– Złapałem kierowcę – oznajmił Svedberg. – Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Nazywa się Anton Eklund.

– Świetnie – powiedział z uznaniem Wallander.

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Zgadnij, co powiedział? Zbierał listy pasażerów ze swoich wyjazdów. A z tamtej podróży ma nawet zdjęcia.

– Zrobione przez Simona Lamberga?

– Skąd wiesz?

– Zrobiłem to, co mi kazałeś. Zgadłem.

– Mieszka w Trelleborgu. Jest na emeryturze i nie ma nic przeciwko naszym odwiedzinom.

– Musimy do niego pojechać. I to jak najszybciej.

Przedtem jednak Wallander chciał odbyć inną, bardzo pilną

wizytę. Postanowił pójść prosto do Elisabeth Lamberg. Zadać pytanie, które domagało się natychmiastowej odpowiedzi.

Zastał ją w ogrodzie. Pochylała się nad grządką i wydawało mu się, że nuci jakąś melodię. Śmierć męża najwyraźniej nie dotknęła jej zbyt głęboko. Na odgłos otwieranej furtki wyprostowała się. W rękę trzymała mały szpadełek. Mrużyła oczy przed słońcem.

– Przykro mi, że znowu panią niepokoję – tłumaczył się Wallander. – Ale mam pilne pytanie.

Odłożyła szpadełek do stojącego obok koszyka.

– Wejdziemy do środka?

– Nie trzeba.

Usiedli w ogrodowych fotelach.

– Byłem dzisiaj w zakładzie opieki, gdzie przebywa Matylda – zaczął Wallander. – Rozmawiałem z kierowniczką.

– Widział pan Matyldę?

Inspektor nie chciał powiedzieć prawdy. Przyznać się do tego, że nie potrafi się zmierzyć z widokiem ciężko upośledzonych ludzi.

– Dowiedziałem się o nieznannej kobiecie, która ją odwiedzała.

Elisabeth Lamberg włożyła ciemne okulary przeciwsłoneczne. Nie widział jej oczu.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatnio o Matyldzie, nie wspomniała pani o niej ani słowem. Zaintrygowało mnie to. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

– Nie sądziłam, że to ma jakieś znaczenie.

Wallander zastanawiał się, jak daleko może się posunąć. Miał świadomość, że jej mąż został zamordowany zaledwie kilka dni temu.

– Nie wie pani, kim jest ta kobieta? Czy po prostu z jakiegoś powodu nie chce pani o niej mówić?

Zdjęła okulary i spojrzała na niego.

– Nie wiem, kto to jest. Próbowалам się dowiedzieć, ale mi się nie udało.

– W jaki sposób się pani dowiadywała?

– W jedyny dostępny. Prosiłam, żeby ktoś z personelu mnie

zawiadamał, jak tylko ona się zjawi. Dzwonili do mnie, ale zawsze przyjeżdżałam za późno.

– Mogła pani przecież powiedzieć personelowi, żeby jej nie wpuszczali. Albo zabronić jej odwiedzania Matyldy, dopóki nie poda swojego nazwiska.

Elisabeth Lamberg popatrzyła zdziwiona.

– Ona się przecież przedstawiła. Za pierwszym razem. Kierowniczką panu nie mówiła?

– Nie.

– Powiedziała, że nazywa się Siv Stigberg i mieszka w Lund. Ale w Lund nie ma osoby o tym nazwisku. Sprawdziłam to. Szukałam w książkach telefonicznych całego kraju. Znalazłam jedną Siv Stigberg w Kramfors i drugą w Motali. Odezwałam się do nich. Nie miały pojęcia, o czym mówię.

– Podała fałszywe nazwisko? To dlatego Margareta Johansson o tym nie wspomniała.

– Chyba tak. Nie ma innego wytłumaczenia.

Wallander się namyślał. Kobieta sprawiała wrażenie prawdomównej.

– Bardzo to wszystko dziwne. Nie rozumiem, dlaczego pani od razu o tym nie powiedziała.

– Teraz widzę, że powinnam była to zrobić.

– Musiała pani zachodzić w głowę, kim ona jest? I dlaczego odwiedza Matyldę?

– Naturalnie. Dlatego zgodziłam się, żeby w dalszym ciągu przychodziła. Liczyłam na to, że kiedyś uda mi się ją zastać.

– Jak się zachowuje podczas wizyty?

– Zostaje tylko chwilę. Patrzy na Matyldę. Nigdy się do niej nie odzywa. Mimo że Matylda słyszy, jak się do niej mówi.

– Nie pytała pani o nią męża?

Jej głos był przepelniony żalem.

– Po co miałabym go pytać? On się nie interesował Matyldą. Dla niego ona nie istniała.

Wallander wstał z fotela.

– W każdym razie dostałem odpowiedź na moje pytanie – stwierdził.



Wrócił prosto do komendy. Ponaglał go jakiś wewnętrzny głos. Nastąpiło późne popołudnie. Svedberg siedział u siebie w pokoju.

– Jedźmy do Trelleborga – rzucił Wallander w drzwiach. – Masz adres tego kierowcy?

– Anton Eklund mieszka w centrum miasta.

– Na wszelki wypadek zadzwoń i sprawdź, czy jest w domu.

Svedberg wybrał numer telefonu. Eklund odebrał niemal od razu.

– Czeka na nas – powiedział po krótkiej rozmowie Svedberg.

Jechali w milczeniu. Wallander rozkoszował się widokiem krajobrazu. Nawet na chwilę przysnął. Policzek już mu nie dokuczał, chociaż wciąż był posiniaczony. Czubek języka oswoił się z prowizorycznym wypełnieniem zęba.

Svedberg tylko raz zapytał o drogę i potem już sam trafił pod wskazany adres. Anton Eklund mieszkał na pierwszym piętrze w czerwonej ceglanej kamienicy w centrum miasta. Zobaczył ich z okna i przywitał w otwartych drzwiach. Był postawnym mężczyzną o siwych, falistych włosach. Potrząsnął dłonią Wallandera tak mocno, że aż go zabolalo. Wprowadził ich do małego mieszkania. Na stole były przygotowane filiżanki do kawy. Kurt od razu odniósł wrażenie, że Eklund mieszka sam. Mimo że było czysto i porządnie, domyślił się, że to mieszkanie samotnego mężczyzny. Jak tylko usiedli, jego przecucie się potwierdziło.

–Od trzech lat jestem sam – wyznał Eklund. – Żona zmarła. Wtedy się wprowadziłem do tego mieszkania. Tylko przez rok byliśmy razem na emeryturze. Pewnego ranka znalazłem ją martwą w łóżku.

Nikt się nie odezwał. Bo i co tu można było powiedzieć? Eklund podał półmisek z ciastkami. Wallander poczęstował się kawałkiem babki piaskowej.

– W marcu 1968 roku wiozł pan grupę do Austrii – zaczął. – Wycieczkę organizowało biuro Markresor. Wyjechał pan z Norra Bantorget w Sztokholmie, a celem podróży była Austria.

– Jechaliśmy do Salzburga i Wiednia. Trzydziestu dwóch

pasażerów, jeden przewodnik i ja. Autokarem marki Scania, nowiusieńkim.

– Sądziłem, że wyjazdy autokarem na kontynent skończyły się już w latach sześćdziesiątych.

– Tak było – odrzekł Eklund. – Ale potem znowu wróciły. Markresor<sup>6</sup> nie jest najlepszą nazwą dla biura podróży, ale sam pomysł chwycił. Zgłaszali się ludzie, którzy za żadne skarby nie chcieli wzbijać się w powietrze po to, by spaść w jakimś dalekim miejscu. Ludzie, którzy naprawdę chcieli podróżować. A wtedy trzeba się trzymać ziemi.

– Słyszałem, że zachowywał pan listy pasażerów – powiedział Wallander.

– To się przerodziło w manię – przyznał Eklund. – Czasami je przeglądałem. Wielu z nich nie pamiętam, ale pewne nazwiska wywołują wspomnienia, w większości przyjemne. O niektórych wołałbym zapomnieć.

Podszedł do półki i wziął do ręki plastikową okładkę. Podał ją Wallanderowi. Wewnątrz znajdowała się lista z nazwiskami. Było ich trzydzieści dwa. Od razu wpadło mu w oczy nazwisko Lamberga. Powoli przeglądał pozostałe. Ani jedno z nich, jak dotąd, nie pojawiło się w śledztwie. Przeszło połowa pasażerów pochodziła ze środkowej Szwecji. Wśród osób z północy kraju była para z Harnosandu i jedna kobieta z Lulea. Pozostała siódemka pochodziła z południa, z Halmstadu, Eslov i Lund.

– Podobno ma pan zdjęcia z podróży? Zrobione przez Lamberga?

– Mianowaliśmy go nadwornym fotografem, jako że był zawodowcem. Robił prawie wszystkie zdjęcia. Ci, którzy chcieli mieć kopie, wpisywali się na listę. Wszyscy dostali to, co zamówili. Lamberg dotrzymał słowa.

Eklund podniósł gazetę. Pod spodem leżała koperta ze zdjęciami.

– Lamberg wysłał mi za darmo ten cały plik. Sam je wybierał.

Wallander powoli przeglądał fotografie. Było ich dziewiętnaście. Nie spodziewał się ujrzeć na nich Lamberga, ale zobaczył go na ostatnim grupowym zdjęciu. Napis na

---

6 Markresor znaczy podróże naziemne (przyp. tłum.).

odwrocie świadczył, że zostało zrobione na postoju między Salzburgiem a Wiedniem. Był na nim również Eklund. Widocznie Lamberg użył samowyzwalacza. Wallander skończył oglądanie i zaczął znów od początku. Uważnie studiował szczegóły i rysy twarzy. Zwrócił uwagę na często powtarzającą się twarz jednej kobiety. Zawsze patrzyła z uśmiechem prosto w aparat. Wallander przyglądał się jej uważnie. Było w niej coś znajomego. Nie potrafił powiedzieć co.

Poprosił Svedberga, żeby rzucił okiem na zdjęcia.

– Może pan powiedzieć, jak pan zapamiętał Lamberga? – zapytał Eklunda.

– Z początku nie zwracałem na niego szczególnej uwagi. Ale doszło do dość dramatycznej sytuacji.

Svedberg podniósł wzrok znad zdjęć.

– W jakim sensie? – zainteresował się Wallander.

– Może nie powinienem o tym mówić – odparł Eklund z wahaniem. – Teraz, kiedy on już nie żyje. Ale podczas wycieczki nawiązał romans z kobietą. To nie było zupełnie proste.

- A to czemu?

– Bo była mężatką. I podróżowała razem z mężem.

Wallander przez chwilę przetrawiał nieoczekiwane informacje.

– No i jeszcze jedno – dodał Eklund. – Co na pewno nie ułatwiało sprawy.

- Co takiego?

– Jej mąż był pastorem.

Eklund wskazał go na jednej z fotografii. Wallanderowi przyszedł nagle na myśl zgubiony psalterz. Aż się spocił z przejęcia. Rzucił okiem na Svedberga. Odniósł wrażenie, że tamten myślał o tym samym.

Wallander sięgnął po plik zdjęć i wyciągnął jedno, na którym nieznaną kobietą uśmiechała się do aparatu.

– To ona?

Eklund popatrzył na zdjęcie i skinął twierdząco głową.

– Tak, to ona. Niezła historia. Pastorowa z parafii pod Lund.

Wallander spojrzał jeszcze raz na Svedberga.

– Jak to się skończyło?

– Tego nie wiem. Nie jestem nawet pewien, czy pastor się domyślał, co się dzieje za jego plecami. Sprawiał wrażenie, jakby żył w swoim świecie. Ale cała sytuacja była dość nieprzyjemna.

Wallander patrzył na zdjęcie kobiety. Nagle domyślił się, kim ona jest.

– Jak ta para się nazywała?

– Wislander. Anders i Louise.

Svedberg odszukał ich na liście i zanotował adres.

– Te zdjęcia są nam potrzebne – powiedział Wallander. – Później je panu oddamy.

Eklund pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałem za dużo – rzekł.

– Przeciwnie. Bardzo nam pan pomógł.

Podziękowali za poczęstunek i się pożegnali.

– Wygląd kobiety na zdjęciu zgadza się z opisem kobiety, która odwiedza Matyldę Lamberg – zauważył Wallander, kiedy już byli na ulicy. – Muszę natychmiast zdobyć potwierdzenie, że to naprawdę ona. Nie wiem, dlaczego jeździ do Matyldy. To pytanie zostawimy na później.

Wsiedli pośpiesznie do auta i wyruszyli w powrotną drogę. Zanim wyjechali, Wallander zadzwonił z budki do Ystad i z pewnym trudem uzyskał połączenie z Martinssonem. Przedstawił mu pokrótce sytuację i poprosił o sprawdzenie, czy Anders Wislander w dalszym ciągu pracuje w parafii pod Lund. Uprzedził Martinssona, że po drodze wstąpią jeszcze na chwilę do Rynge.

– Myślisz, że to ona? – zapytał Svedberg.

Wallander długo milczał, zanim odpowiedział.

– Nie – odrzekł. – Ale kto wie, czy to nie on.

Svedberg popatrzył na niego.

– Duchowny?

Wallander skinął głową.

– Czemu nie? Duchowni to przecież tylko ludzie. Oczywiście, że to może być duchowny. W kościele jest mnóstwo mosiężnych przedmiotów.

W Ryngie zatrzymali się tylko na moment. Kierowniczką domu opieki natychmiast rozpoznała kobietę na zdjęciu. Po powrocie do komendy poszli prosto do pokoju Martinssona. Zastali tam Hanssona.

– Anders Wislander jest nadal pastorem w parafii obok Lund – oznajmił Martinsson. – W tej chwili przebywa na zwolnieniu lekarskim.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu osobistej tragedii.

– Co się stało? – zapytał zaciekawiony Wallander.

– Miesiąc temu umarła mu żona.

W pokoju zapadła cisza.

Wallander wstrzymał oddech. Nie miał żadnej pewności, lecz mimo to był przekonany, że rozwiązanie, lub przynajmniej jego część, odnajdą w Lund u pastora Andersa Wislandera. Zaczynał dostrzegać jakiś logiczny ciąg.

Przeszli do pokoju zebrania. Nie wiadomo skąd znalazł się tam również Nyberg. Wallander był zdeterminowany. Poleciał wszystko inne odłożyć na bok i skoncentrować się wyłącznie na Andersie Wislanderze i jego zmarłej żonie. Przeznaczyć cały wieczór na zbieraniu informacji na ich temat. Dyskretnie i bez rozgłosu. Zdecydowanie odrzucił propozycję Hanssona, żeby tego samego wieczoru skontaktować się z Andersem Wislanderem. Chciał poczekać do jutra. A przedtem zgromadzić jak najwięcej danych.

Nie byli w stanie zbyt wiele zdziałać. Mogli najwyżej spojrzeć na znane im już okoliczności śmierci Lamberga przez pryzmat relacji między Andersem i Louise Wislanderami.

Znaleźli jednak coś. Dzięki znajomemu dziennikarzowi Svedberga mieli nekrolog Louise Wislander w „Sydsvenska Dagbladet”. Wynikało z niego, że umarła w wieku czterdziestu siedmiu lat. „Po długich cierpieniach, które mężnie znosiła”. Długo roztrząsali, co to oznacza. Chyba nie samobójstwo? Może nowotwór. Z nekrologu wynikało, że pozostawiła dwoje dzieci. Zastanawiali się, czy powinni już teraz zawiadomić kolegów z Lund. Wallander się wahał, lecz po jakimś czasie uznał, że jeszcze powinni poczekać.

Po ósmej poprosił Nyberga o coś, co normalnie nie wchodziło w zakres jego obowiązków jako eksperta technicznego. Wallander zwrócił się do niego, bo wołał, żeby cała grupa dochodzeniowa pozostała na miejscu. Nyberg miał się dowiedzieć, czy Wislanderowie mieszkali w willi, czy w mieszkaniu. Nyberg wyszedł, a pozostali znów wrócili do przerwanej dyskusji. Ktoś zamówił pizzę. Podczas posiłku Wallander usiłował zrekonstruować przebieg wydarzeń, wychodząc z założenia, że sprawcą zabójstwa jest Anders Wislander.

Jego hipoteza wzbudziła wiele obiekcji. Od rzekomego romansu Lamberga z Louise Wislander minęło wiele lat. Poza tym Louise nie żyje. Dlaczego Anders Wislander miałby się mścić dopiero teraz? W dodatku nie mają najmniejszego dowodu, że mógłby się uciec do użycia do przemocy. Wallander zgadzał się z większością zarzutów. Sam miał wątpliwości, niemniej nie opuszczało go przekonanie, że rozwiązanie jest już blisko.

– Musimy pomówić z Wislanderem – stwierdził. – Zrobimy to jutro, a potem zobaczymy.

Nyberg wrócił z informacją, że Wislander mieszka w willi należącej do Kościoła Szwecji. Wallander zakładał, że zastanie go w domu. Zanim się rozeszli, zapowiedział Martinssonowi, że nazajutrz pojedą razem. Wystarczy, jak będą we dwójkę.

O północy jechał przez plac św. Gertrudy. Czuć było wiosenne powietrze. Wszędzie panował spokój. Ogarnęło go uczucie melancholii i znużenia. Przez chwilę miał wrażenie, że zewsząd otaczają go choroby i śmierć. I pustka pozostała po Monie. Ale myśl o nadejściu wiosny rozproszyła jego przykry nastrój. Jutro się okaże, czy spotkanie z Wislanderem wniesie coś nowego do śledztwa.

Długo nie szedł spać. Miał ochotę zatelefonować do Lindy i Mony. Około pierwszej ugotował sobie dwa jajka i zjadł je na stojąco w kuchni. Zanim poszedł się położyć, przyjrzał się sobie w lustrze wiszącym w łazience. Na policzku wciąż miał ślady uderzenia. Skonstatował również, że powinien pójść się ostrzyć.

W nocy spał niespokojnie. Wstał już o piątej i zanim przyjechał Martinsson, przejechał odkurzaczem podłogę i posortował pranie. Pił kawę za kawą, często przystając przy oknie, po raz kolejny roztrzásając wszystkie okoliczności śmierci Lamberga.

O ósmej wyszedł przed dom. Zapowiadał się piękny wiosenny dzień. Martinsson zjawił się jak zawsze punktualnie. Wallander wsiadł do samochodu i ruszyli do Lund.

– Wyjątkowo źle spałem – zwierzył się Martinsson. – To mi się nie zdarza. Pewnie dlatego, że wieczorem miałem jakieś złe przeczucia.

– Jakie przeczucia?

– Nie mam pojęcia.

– To pewnie wpływ wiosny.

Martinsson zmierzył go wzrokiem.

– Co masz na myśli?

Wallander nie odpowiedział. Mruknął tylko coś pod nosem.

Tuż przed dziesiątą dotarli do Lund. Martinsson jak zwykle prowadził nieuważnie, ale znał trasę. Trafił bezbłędnie na ulicę, przy której mieszkał Wislander. Minęli dom z numerem 19 i zaparkowali nieco dalej.

– Idziemy – rzekł Wallander. – Ja będę z nim rozmawiał.

Dom był duży, z początku dwudziestego wieku. Zauważyli, że ogród jest zaniedbany. Wallander zadzwonił do drzwi, ciekaw, co czeka ich w środku. Nikt nie otwierał. Znów nacisnął dzwonek. Cisza. Kurt podjął szybką decyzję.

– Zaczekaj tutaj. Nie koło domu, na ulicy. Kościół jest niedaleko. Wezmę twój samochód.

Wallander zapisał nazwę kościoła poprzedniego wieczoru i Svedberg pokazał mu go na planie miasta. Dojechał tam w pięć minut. Kościół wyglądał na zamknięty. Pomyłka, pomyślał inspektor. Chyba nikogo nie ma. Lecz gdy nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły. Znalazł się w mrocznej kruchcie, w środku panowała głucha cisza. Grube mury nie przepuszczały odgłosów z zewnątrz. Wszedł głębiej. Tam wewnątrz było jaśniejsze. Przez witraże w oknach przenikały promienie słońca.

W pierwszym rzędzie ławek, nieopodal balustrady otaczającej ołtarz, Wallander zobaczył męską postać. Powoli szedł w tamtym kierunku. Mężczyzna siedział pochylony do przodu, jak gdyby pogrążony w modlitwie. Dopiero kiedy inspektor stanął tuż obok, podniósł do góry głowę. Wallander natychmiast rozpoznał twarz Wislandera, tę samą, którą widział na zdjęciu u Eklunda. Teraz nieogoloną i z błyszczącymi niebieskimi oczami. Wallander poczuł się nieswojo. Zaczynał żałować, że nie zabrał ze sobą Martinssona.

– Czy pan Anders Wislander? – zapytał.

Mężczyzna spojrzał na niego z wyrazem powagi na twarzy.

– Kim pan jest?

– Moje nazwisko Wallander, jestem z policji. Chciałbym z panem zamienić kilka słów.

– Jestem w żałobie – rzucił ostrym głosem rozdrażniony Wislander. – Pan mi przeszkadza. Proszę mnie zostawić w spokoju.

Sytuacja stawała się nieprzyjemna. Mężczyzna zdawał się na granicy załamania nerwowego.

– Wiem, że pańska żona nie żyje – ciągnął Wallander. – Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

Wislander poderwał się na nogi tak gwałtownie, że Wallander musiał się cofnąć. Teraz był już pewien, że tamten jest całkowicie wytrącony z równowagi.

– Zakłóca pan mój spokój, nie chce pan odejść, mimo że prosiłem. Tym samym zmusza mnie pan, abym pana wysłuchał – powiedział. – Przejdźmy więc do zakrystii.

Ruszył przodem i skręcił w lewo przy balustradzie. Wallander miał przed sobą jego plecy. Był niezwykle mocno zbudowany. To mógł być człowiek, którego usiłował dogonić i który go powalił na ziemię.

W zakrystii stał mały stół i kilka krzeseł. Wislander usiadł i wskazał krzesło inspektorowi. Wallander wysunął je spod stołu. Zastanawiał się, od czego zacząć rozmowę. Wislander przyglądał mu się błyszczącymi oczami. Inspektor obrzucił pokój spojrzeniem. Zobaczył dwa duże świeczniki na sąsiednim stole. Coś przykuło jego wzrok. Po chwili się zorientował, że



każdy z nich jest inny. W jednym brakowało ramienia. Świeczniki były mosiężne. Spojrzał na Wislandera i zdał sobie sprawę, że tamten odczytał jego myśli. Mimo to atak go zaskoczył. Wislander wydał odgłos przypominający ryk i rzucił się na Wallandera, chwytając go za gardło. Szaleństwo potęgowało jeszcze jego siłę. Inspektor szamotał się, usiłując się uwolnić z uścisku. Wislander wykrzykiwał jakieś zdania bez ładu i składu, pojawiało się w nich nazwisko Lamberga, fotografa, który musi umrzeć. Potem zaczął wyrzucać z siebie tyrady o jeźdźcach Apokalipsy. Wallander wyrwał mu się wreszcie ostatkiem sił. Lecz Wislander natychmiast znowu się na niego rzucił, jak zwierzę walczące o życie. Szamocząc się, zbliżyli się w pobliże stołu, na którym stały lichtarze. Wallander chwycił lichtarz, zamachnął się i uderzył napastnika prosto w twarz. Wislander padł na ziemię. Przez chwilę Kurt sądził, że go zabił. W taki sam sposób, jak został zabity Lamberg. Ale pastor oddychał.

Inspektor padł na krzesło, łapiąc oddech. Bolała go podrapana twarz. Po raz drugi wypadło mu wypełnienie zęba.

Wislander leżał na ziemi. Powoli odzyskiwał przytomność. W tym momencie Wallander usłyszał, jak otwierają się drzwi do kościoła.

Wyszedł z zakrystii i ujrzał Martinssona, który przeczuwając coś złego, pobiegł do sąsiadów Wislandera i wezwał taksówkę.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Ale Wallander wiedział, że to już koniec. To Wislander powalił go na ziemię w Lund. Mimo że wtedy nie widział jego twarzy, był przekonany, że to on. Nie miał żadnych wątpliwości.

W kilka dni później Wallander zebrał swoich współpracowników w pokoju konferencyjnym. Było ciepło popołudnie. Przez otwarte okno wpadało wiosenne powietrze. Za poradą lekarza inspektor chwilowo przerwał przesłuchania Wislandera, ze względu na jego opłakany stan psychiczny. Dla Wallandera niemal wszystko stało się jasne. Chciał teraz przekazać to swoim kolegom.

– Cała historia jest ponura i tragiczna – zaczął. - Simon Lamberg i Louise Wislander spotykali się nadal po zakończeniu wycieczki. Mąż do niedawna o niczym nie wiedział. Louise miała raka wątroby. Na łożu śmierci wyznała mu swoją niewierność. Wislander dostał pomieszania zmysłów. Częściowo z bólu po śmierci żony, a częściowo z rozpaczy i wściekłości za jej zdradę. Zaczął śledzić Lamberga. Ubzdurał sobie, że to on jest winien śmierci żony. Poszedł na zwolnienie i prawie cały swój czas spędzał w Ystad. Mieszkał w małym hotelu i obserwował zakład fotograficzny. Śledził również sprzątaczkę, Hildę Walden. Pewnego dnia włamał się do jej mieszkania i ukradł klucze, które następnie skopiował. Zdążył je odłożyć na miejsce, zanim Hilda wróciła do domu. Potem wszedł do zakładu i świecznikiem zabił Lamberga. W stanie zaćmienia umysłu uroił sobie, że Lamberg nadal żyje, i wrócił, żeby go zabić jeszcze raz. Modlitewnik mu wypadł, kiedy ukrył się w ogrodzie. To on nastawił radio i zmienił radiostację. Wyobraził sobie, że w odbiorniku usłyszy głos Boga.

I Bóg go rozgrzeszy za to, co uczynił. Ale trafił na kanał z muzyką rockową. Zdeformowane zdjęcia to dzieło Lamberga i nie mają nic wspólnego z zabójstwem. Lamberg najwyraźniej nie cierpiał policji i ludzi władzy. Był zresztą niezadowolony z pracy policji. Typowy malkontent. Mały człowiek, który panuje nad światem, zniekształcając twarze. Tak wygląda rozwiązanie. Muszę powiedzieć, że żał mi Wislandera. Zawalił mu się świat. Nie umiał sobie z tym poradzić.

W pokoju zapadła cisza.

– Dlaczego Louise Wislander odwiedzała córkę Lamberga? – zapytał Hansson.

– Zastanawiałem się nad tym – odparł Wallander. - Może Lamberga i ją łączyła namiętność o zabarwieniu religijnym? Może się za nią modlili? A potem Louise jechała do zakładu opieki, żeby się przekonać, czy modlitwy odniosły skutek? Może uważała, że Matylda padła ofiarą wcześniejszego grzesznego życia rodziców? Nigdy się tego nie dowiemy. Ani tego, co rzeczywiście łączyło te dwie osobliwe istoty. Istnieją

tajemne obszary, do których nie mamy wstępu. Może to i dobrze.

– Idąc jeszcze dalej, można zaryzykować twierdzenie, że obłąd Wislandera wywołało przede wszystkim to, że związek Lamberga z jego żoną miał podłoże religijne, a nie erotyczne – dodał Rydberg. – Wtedy mielibyśmy do czynienia z czymś innym niż ze zwykłą zazdrością.

Znów zrobiło się cicho. Po chwili przeszli do zdjęć Lamberga.

– W pewnym sensie on również był obłąkany – rzekł Hansson. – Poświęcać wolny czas na manipulowanie zdjęciami znanych ludzi.

– Może wyjaśnienia należy szukać gdzie indziej – zasugerował Rydberg. – Może istnieją ludzie, którzy czują się tak bezsilni, że zamiast uczestniczyć w życiu tych, których zwykliśmy nazywać społeczeństwem obywatelskim, oddają się jakimś rytuałom. Jeśli tak jest, to stan naszej demokracji pozostawia wiele do życzenia.

– Nie brałem pod uwagę takiej możliwości – przyznał Wallander. – Ale może masz rację. I wtedy zgodzę się z tobą, że Szwecja zaczyna trzeszczeć w szwach.

Zebranie dobiegło końca. Wallander był wyczerpany i w podłym nastroju. Mimo pięknej pogody. W dodatku tęsknił za Moną.

Spojrzał na zegarek. Kwadrans po czwartej. Czas na wizytę u dentysty. Nawet nie liczył, która to już z kolei.

# PIRAMIDA

Samolot nadleciał nad terytorium Szwecji na niskiej wysokości na zachód od Mossby Strand. Strefę przybrzeżną spowijała gęsta mgła, ale im bliżej lądu, tym widoczność była lepsza. Pilotowi ukazał się nagle zarys linii brzegowej i pierwszych domów. Leciał już tą trasą wiele razy. Orientował się po zegarze i kompasie. Jak tylko przeleciał szwedzką granicę i dostrzegł Mossby Strand oraz światła wzdłuż szosy na Trelleborg, wykonał szybki zwrot na północny wschód, a potem kolejny na wschód. Samolot, piper cherokee, posłusznie wykonywał manewry. Przyjął dokładnie wyznaczony kurs w korytarzu powietrznym przebiegającym jak niewidzialna linia nad słabo zabudowanym obszarem Skanii. Było tuż przed piątą rano, 11 grudnia 1989 roku. Naokoło rozciągała się niemal nieprzenikniona ciemność. Zawsze, gdy latał nocą, wspominał swoje pierwsze loty w 1966 i 1967 roku, kiedy pracował jako pilot w greckiej spółce, która pod osłoną nocy przemyciała tytoń z Południowej Rodezji, obłożonej wówczas sankcjami. Minęło już dwadzieścia lat, ale wciąż to pamiętał. Wtedy rozumiał, że wytrawny pilot potrafi latać nawet w nocy, mając prymitywne przyrządy i bez żadnej łączności.

Samolot znajdował się już tak nisko, że pilot nie miał odwagi zejść niżej. Zastanawiał się, czy nie będzie zmuszony zawrócić, nie wykonawszy powierzonego zadania. Czasem tak się zdarzało. Przede wszystkim liczyło się bezpieczeństwo, a widoczność wciąż była zła. Nagle, tuż przed ostateczną decyzją, mgła się rozviała. Spojrzał na zegarek. Za dwie minuty zobaczy światła w miejscu, gdzie ma dokonać zrzutu. Odwrócił się i zawołał do mężczyzny, który siedział na jedynym krześle w kabinie:

– Dwie minuty!

Mężczyzna zapalił kieszonkową latarkę, oświetlił swoją twarz

i skinał głową.

Pilot wycęzał wzrok w ciemności. Jeszcze minuta, pomyślał. W tym momencie zauważył reflektory. Promienie światła obrysowały na ziemi kwadrat o boku długości dwustu metrów. Zawołał do mężczyzny z tyłu, żeby się przygotował. Następnie skręcił w lewo, nadlatując nad oświetlony kwadrat z zachodu. Poczul zimny podmuch wiatru i lekkie trzęsienie maszyny w momencie, gdy mężczyzna z tyłu otworzył drzwi. Położył rękę na wyłączniku lampy sygnalizacyjnej, która rzucała czerwoną poświatę na tył kabiny. Zmniejszył prędkość do minimum. Nacisnął zielony przycisk i wiedział, że mężczyzna z tyłu wypycha na zewnątrz pokryty gumową powłoką zbiornik. Zimny podmuch ustał po zamknięciu drzwi. Wtedy wziął kurs na południowy wschód. Uśmiechnął się pod nosem. Zbiornik już wylądował pomiędzy reflektorami. Ktoś czekał na miejscu, żeby go odebrać. Reflektory zgasną, zostaną załadowane na samochód i znów zapadnie gęsta, nieprzenikniona ciemność. Operacja na medal, pomyślał. Dziewiętnasta z kolei.

Spojrzał na zegarek. Za dziewięć minut przelecą nad wybrzeżem i opuszczą Szwecję. Dziesięć minut później wzięci na wysokość kilkuset metrów. Obok fotela miał termos z kawą. Napije się, kiedy będzie leciał nad morzem.

Potem wyląduje na prywatnym pasie do lądowania pod Kilonią, wsiądzie w samochód i już o ósmej będzie w drodze do domu w Hamburgu.

Maszyna szarpnęła i przechyliła się na bok. Pilot sprawdził przyrządy. Wszystko wyglądało normalnie. Przeciwny wiatr nie był zbyt silny i nie powodował turbulencji. Samolot znów się przechylił, tym razem mocniej. Pilot poruszał drążkiem steru. Ale samolot położył się na lewym skrzydle. Pilot bezskutecznie usiłował skorygować jego położenie. Przyrządy nadal wskazywały, że wszystko jest w porządku. Lecz pilot był doświadczony i wiedział, że coś szwankuje. Nie mógł wyprostować maszyny. Mimo że zwiększył prędkość, tracił wysokość. Starał się zachować spokój. Co się mogło stać? Przed startem zawsze kontrolował maszynę. Przyszedł do hangaru około pierwszej w nocy i dokonał półgodzinnego przeglądu,

sprawdzając wszystko punkt po punkcie według listy dostarczonej przez mechanika. Przed startem wykonał niezbędne czynności kontrolne.

Nie mógł wyprostować maszyny. W dalszym ciągu traciła wysokość. Sytuacja stawała się krytyczna. Jeszcze raz zwiększył prędkość i manewrował poziomym sterem. Siedzący z tyłu w ciemności mężczyzna zawołał, pytając, co się dzieje. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Jeżeli nie uda mu się wyprostować samolotu, za kilka minut uderzą w ziemię. Zanim doleczą do morza. Serce waliło mu w piersi. Na moment ogarnęło go uczucie wściekłości i bezradności. Potem już do samego końca pociągał za drążki i naciskał pedały steru.

Samolot rozbił się o ziemię 11 grudnia 1989 roku, dziewiętnaście minut po piątej, i błyskawicznie zajął się ogniem. Lecz mężczyźni w samolocie nie czuli, kiedy ich ciała zaczęły płonąć. Zginęli rozerwani na kawałki w momencie zderzenia z ziemią.

Znad morza znowu nadciągała mgła. Temperatura wynosiła cztery stopnie, i było bezwietrznie.

## 1

Jedenastego grudnia Wallander obudził się tuż po szóstej. W tej samej chwili usłyszał dzwonek budzika stojącego na nocnej szafce. Wyłączył budzik i leżał w ciemności z otwartymi oczami. Prostował nogi i ramiona, rozciągał palce u nóg i rąk. Sprawdzał w ten sposób, czy w nocy nie pojawiły się jakieś dolegliwości. Przełknął ślinę, upewniając się, że do dróg oddechowych nie zakradła się infekcja. Czasem myślał, że powoli wpada w hipochondrię. Ale tego ranka wszystko wydawało się być w porządku. W dodatku czuł się wyjątkowo wyspany. Położył się już o dziesiątej i niemal natychmiast zapadł w sen. Zwykle kiedy zasypiał szybko, spał całą noc. Jeżeli nie zasnął od razu, bezsenność doskwierała mu nawet przez kilka godzin.

Wstał i poszedł do kuchni. Termometr za oknem wskazywał

sześć stopni. Ponieważ był niedokładny, oznaczało to, że na dworze jest cztery stopnie. Wallander spojrział na niebo. Ponad dachami przepływała wstęga mgły. Tej zimy w Skanii nie spadł jeszcze śnieg.

Niedługo się pojawi, pomyślał. Prędzej czy później nadejdą śnieżne zawieruchy.

Zaparzył kawę i zrobił kilka kanapek. Lodówka jak zwykle świeciła pustkami. Na stole w kuchni leżała lista zakupów, którą sporządził poprzedniego wieczoru. Przed jedzeniem udał się do toalety. Kiedy wrócił do kuchni, dopisał na liście papier toaletowy i nową szczotkę do czyszczenia muszli. Jadł śniadanie, przerzucając „Ystads Allehanda”, którą co rano posłaniec wrzucał przez otwór na listy. Zatrzymał się dopiero na stronach z ogłoszeniami. W głębi duszy pielęgnował marzenie o domu na wsi. Tam mógłby wyjść z samego rana, wysikać się na trawie, sprawić sobie psa, a nawet – chociaż to było chyba najbardziej odległe – gołębnik. Przeczytał kilka ogłoszeń o domach na sprzedaż, lecz żaden z nich go nie zainteresował. Zauważył, że w Rydsgård ktoś sprzedawał szczeniaki labradory. Nie mogę zaczynać od końca, pomyślał. Najpierw dom, potem pies. Nie odwrotnie. Przy moich godzinach pracy nie mogę brać sobie na głowę psa, dopóki nie zamieszkał z kimś, kto też będzie z nim wychodził. Minęły już dwa miesiące od czasu, gdy Mona ostatecznie go opuściła. Właściwie wciąż się z tym nie pogodził. Nie bardzo jednak wiedział, co zrobić, żeby zechciała do niego wrócić.

O siódmej był gotowy do wyjścia. Włożył sweter, który nosił przy temperaturach od zera do około ośmiu stopni. Zawsze wybierał sweter w zależności od panującej na zewnątrz temperatury. Nie znosił marznąć w wilgotnym zimnie skańskiej zimy, z drugiej strony drażniło go, gdy się pocił. Uważał, że nie może wtedy jasno myśleć. Postanowił pójść do pracy na piechotę. Potrzebował ruchu. Przechadzka z mieszkania przy Mariagatan do komendy zajęła mu dziesięć minut. Wiał słaby wiatr od morza.

Idąc, zastanawiał się, co go spotka tego dnia. Jeżeli w nocy nie wydarzyło się nic szczególnego, na co miał nadzieję

każdego ranka, czekało go przesłuchanie zatrzymanego wczoraj mężczyzny, podejrzanego o handel narkotykami. Poza tym sterta dokumentów na biurku, materiały z aktualnych dochodzeń, z których najgorsze i bez żadnych widoków na ukończenie to przemysł luksusowych samochodów do Polski.

Otworzył oszklone drzwi budynku i skinął głową na powitanie Ebby w recepcji. Zauważył, że zrobiła sobie świeżą trwałą.

– Jak zwykle piękna – powiedział.

– Robię, co mogę – odparła. – A ty musisz uważać, żeby nie utyć. Rozwiedzeni mężczyźni często przybierają na wadze.

Wallander kiwnął głową. Wiedział, że Ebba ma rację. Od czasu rozstania z Moną jadał nieregularnie i byle jak. Codziennie postanawiał z tym skończyć, jak dotąd, bezskutecznie. Wszedł do pokoju, zdjął kurtkę i usiadł za biurkiem.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Dzwonił Martinsson. Wallander nie był zdziwiony. W całej sekcji kryminalnej w Ystad to on i Martinsson zawsze przychodzili najwcześniej.

– Będziemy musieli chyba pojechać do Mossby – powiedział Martinsson.

– Co się dzieje?

– Rozbił się tam samolot.

Wallander poczuł ucisk w piersi. Pierwszą jego myślą było, że chodzi o samolot, który lądował albo startował na Sturup. Byłaby to katastrofa z dużą liczbą śmiertelnych ofiar.

– Mała sportowa maszyna – dodał Martinsson.

Wallander odetchnął z ulgą, przeklinając w duchu Martinssona za sposób przekazywania informacji.

– Przed chwilą przyszedł alarm – ciągnął tamten. – Straż pożarna jest już na miejscu. Maszyna się paliła.

Wallander kiwał głową ze słuchawką przy uchu.

– Już idę – powiedział. – Kto z naszych jest w pracy?

– O ile wiem, to nikt. Ale ci z prewencji już są w drodze.

– W takim razie my pojedziemy pierwsi.

Spotkali się w recepcji. Wychodząc, natknęli się na



Rydberga, który właśnie wchodził do budynku. Rydberg cierpiał na reumatyzm, wyglądał mizernie. Wallander powiedział mu w paru słowach o wypadku.

– Jedźcie pierwsi – powiedział Rydberg. – Ja muszę przede wszystkim skorzystać z toalety.

Martinsson i Wallander wyszli z komendy i wsiedli do samochodu.

– Marnie wygląda – rzekł Martinsson.

– I marnie się czuje – odparł Wallander. – Ma reumatyzm. I coś jeszcze, zdaje się z drogami moczowymi.

Jechali wybrzeżem na zachód.

– Wprowadź mnie w szczegóły – poprosił Wallander, spoglądając w kierunku morza. Nad wodą wciąż unosiły się poszarpane kłęby mgły.

– Nie ma żadnych szczegółów – wyjaśnił Martinsson. – Samolot rozbił się około pół do szóstej. Zadzwonił jakiś rolnik. Miejsce wypadku leży na północ od Mossby, gdzieś w polu.

– Wiadomo, ile osób było na pokładzie?

– Nie.

– Sturup musiało zaalarmować, że zgubili samolot. Jeżeli maszyna rozbiła się w Mossby, pilot kontaktował się z wieżą kontrolną na Sturup.

– Ja też tak sądziłem – odparł Martinsson. – Dlatego przed telefonem do ciebie rozmawiałem ze Sturup.

– I co?

– Powiedzieli, że nie brakuje żadnego samolotu.

Wallander popatrzył zdziwiony na Martinssona.

– Co to ma znaczyć?

– Nie wiem – przyznał Martinsson. – Właściwie to niemożliwe, żeby w Szwecji latać bez uzgodnionej trasy i kontaktu z kontrolerami lotu.

– Nikt nie zaalarmował Sturup? Pilot musiał przecież zawiadomić wieżę, jeżeli miał problemy? W końcu to trochę trwa, zanim samolot się rozbije?

– Nie wiem – powtórzył Martinsson. – To wszystko, co mi wiadomo.

Wallander pokręcił głową. Myślał o tym, co go czeka na

miejscu. Miał już kiedyś do czynienia z katastrofą lotniczą. Tamten samolot też był mały i spadł na północ od Ystad. Pilota dosłownie rozerwało na strzępy. Ale samolot nie spłonął.

Wallander z niechęcią myślał o tym, co tam zastanie. Poranna nadzieja okazała się płonna.

Dojechali do Mossby Strand i Martinsson skręcił w prawo. Wskazał ręką przed siebie. Wallander już zdążył zauważyć wzbijający się w górę słup dymu.

Kilka minut później byli na miejscu. Samolot spadł na środku grząskiego pola, mniej więcej sto metrów od gospodarstwa. Wallander domyślał się, że właśnie stamtąd zawiadomiono policję. Straż pożarna w dalszym ciągu spryskiwała maszynę pianą. Martinsson wyjął z bagażnika parę kaloszy. Wallander z żalem przyglądał się swoim prawie nowym butom z cholewkami. Razem wdepnęli w błoto. Akcją gaszenia pożaru kierował Peter Edler. Wallander stykał się z nim wiele razy przy okazji pożarów. Lubił go i dobrze im się razem pracowało. Oprócz dwóch wozów strażackich i karetki pogotowia zauważył policyjny radiowóz. Przywitał się skinieniem głowy z Petersem, jednym z policjantów, po czym zwrócił się do Edlera.

– Co tu mamy?

– Dwa ciała – odparł Edler. – Ostrzegam, że nie jest to piękny widok. Tak to jest, jak ludzie płoną w benzynie.

– Nie musisz mnie ostrzegać – odparł Wallander. – Wiem, jak to wygląda.

Odwrócił się do stojącego obok Martinssona.

– Dowiedz się, kto zaalarmował policję. Prawdopodobnie ktoś z pobliskiego gospodarstwa. Spróbuj ustalić jakąś godzinę. A potem trzeba przycisnąć Sturup.

Martinsson skinął głową i poczłapał w kierunku zabudowań. Wallander podszedł bliżej do samolotu. Maszyna leżała na lewym boku, głęboko wbita w błoto. Lewe skrzydło oderwało się przy kadłubie i rozpadło na kawałki rozsypane na polu. Prawe, z odłamanym czubkiem, trzymało się nadal kadłuba. Samolot był jednosilnikowy. Wygięte śmigło zaryło się głęboko w ziemię. Wallander powoli okrążył osmaloną, pokrytą pianą

maszynę. Kiwnął ręką na Edlera.

– Nie można usunąć piany? – zapytał. – Czy samoloty nie mają przypadkiem oznaczeń na kadłubie i pod skrzydłami?

– Zostawimy pianę jeszcze przez jakiś czas – odparł Edler. – Z benzyną nigdy nic nie wiadomo. Mogą być jakieś resztki w zbiornikach.

Wallander wiedział, że Edlera należy słuchać. Podeszedł bliżej i zajrzał do kabiny. Edler miał rację. Oba ciała były całkowicie zwęglone. Nie można było rozróżnić rysów. Jeszcze raz obszedł samolot dokoła. Potem powlókł się po błocie do miejsca, gdzie leżał największy kawałek oderwanego skrzydła. Tam przykucnął. Nie zauważył żadnych liter ani cyfr. Nadal było bardzo ciemno. Zawołał Petersa i poprosił o latarkę. Dokładnie oglądał skrzydło. Zeskrobał paznokciami trochę farby. Skrzydło wyglądało na przemalowane. Czyżby komuś zależało, aby ukryć oznakowanie maszyny?

Wstał na równe nogi. Znowu za szybko wyciągał wnioski. Te kwestie należą do Nyberga i pozostałych ekspertów technicznych. Kątem oka zarejestrował Martinssona, podążającego pewnym krokiem w stronę gospodarstwa. Kilka samochodów z ciekawskimi zatrzymało się przy polnej drodze. Peters z kolegą ponaglił kierowców do odjazdu. Nadjechał kolejny radiowóz, przywożąc Rydberga, Hanssona i Nyberga. Wallander podeszedł się przywitać. Pokrótce objaśnił sytuację i poprosił Hanssona, aby zabezpieczył teren.

– Masz dwa ciała w kabinie samolotu – zwrócił się do Nyberga kierującego wstępnymi oględzinami.

Przyczyny katastrofy ustali później specjalnie powołana komisja. To już nie była ich sprawa.

– Wygląda na to, że oderwane skrzydło zostało przemalowane – mówił dalej. – Może po to, żeby uniemożliwić identyfikację samolotu.

Nyberg bez słowa pokiwał głową. Nigdy nie rzucał słów na wiatr.

Rydberg pojawił się obok Wallandera.

– W moim wieku nie powinno się łązić po błocie – narzekał.  
– W dodatku z tym przeklętym reumatyzmem.

Wallander spojrział na niego.

– Nie musiałeś tu przyjeżdżać – powiedział. – Damy sobie radę, a resztą się zajmie komisja.

– Jeszcze nie umarłem – burknął zirytowany Rydberg. – Chociaż diabli wiedzą...

Ruszył do samolotu, nie kończąc zdania. Pochylił się i zajrzał do środka.

– Zostały tylko zęby – stwierdził. – Jako metoda identyfikacji.

Wallander poinformował go w kilku słowach, czego się dowiedział. Zawsze się dobrze rozumieli, nie musieli się wdawać w zawile wyjaśnienia. Zresztą dzięki Rydbergowi Wallander poznał wiele tajników pracy śledczego. Podstawowe kwalifikacje zdobył wcześniej w Malmö pod okiem Hemberga, który rok temu zginął tragicznie w wypadku drogowym. Wallander, który z zasady nie chodził na pogrzeby, jednak pojechał do Malmö, żeby pożegnać byłego szefa. Od czasu kiedy podjął służbę w Ystad, ideałem śledczego stał się dla niego Rydberg. Pracowali razem już od wielu lat. Wallander często myślał, że Rydberg należy do najlepszych śledczych w kraju. Nic nie uchodziło jego uwagi, żadna hipoteza nie wydawała mu się zbyt szalona. Jego niezwykła zdolność odczytywania śladów na miejscu przestępstwa nie przestawała zadziwiać Wallandera, który zachłannie przyswajał każdą nową umiejętność.

Rydberg nie miał rodziny. Nie miał też wielu znajomych i chyba o to nie zabiegał. Mimo że znali się od tylu lat, Wallander wciąż nie był pewien, czy Rydberga interesuje cokolwiek oprócz pracy.

Niekiedy w ciepłe wiosenne wieczory siedzieli na jego balkonie, popijając whisky. Najczęściej w przyjemnym milczeniu, przerywanym od czasu do czasu jakimś komentarzem na temat pracy w komendzie.

– Martinsson stara się określić czas wypadku – wyjaśnił Wallander. – Trzeba również sprawdzić, dlaczego wieża w Sturup nie zaalarmowała.

– Chcesz powiedzieć, dlaczego pilot nie zaalarmował wieży –

poprawił go Rydberg.

– Może nie zdążył?

– Zameldowanie o awarii nie zajmuje wiele czasu – odparł Rydberg. – Ale masz oczywiście rację. Samolot musiał lecieć uzgodnionym korytarzem powietrznym.

O ile nie leciał nielegalnie.

– Nielegalnie?

– Wiesz, co mówią ludzie – powiedział Rydberg, wzduszając ramionami. – Słyszą po nocach przelatujące samoloty. Nisko latające maszyny z wygaszonymi światłami w strefie przygranicznej. W każdym razie tak było w czasach zimnej wojny. Być może to się całkiem nie skończyło. Dostajemy czasem raporty o podejrzanych działaniach obcego wywiadu. Można się też zastanawiać, czy wszystkie narkotyki docierają rzeczywiście do Szwecji wyłącznie przez cieśninę Sund. Nie jesteśmy jednak w stanie zidentyfikować tych samolotów. Ani ustalić, czy rzeczywiście istnieją. Radar obrony nie wyłapuje lotów na niskim pułapie. Wieża kontrolna też.

– Pojadę na Sturup i porozmawiam z nimi – rzekł Wallander.

– Pomyłka – odparł Rydberg. – Ja do nich pojadę. Z racji wieku błoto pozostawiam tobie.

Zaczął się przejaśniać. Rydberg odszedł. Technik z ekipy Nyberga okrążył wrak samolotu i robił zdjęcia.

Peter Edler, wydawszy niezbędne dyspozycje, wrócił do Ystad jednym z wozów strażackich.

Wallander dostrzegł Hanssona. Stał na drodze i rozmawiał z kilkoma reporterami. Wallander był rad, że sam nie musi tego robić. Po chwili zobaczył brnącego przez błoto Martinssona. Wyszedł mu na spotkanie.

– Miałeś rację – rzekł Martinsson. – Mieszka tam samotny gość po siedemdziesiątce, Robert Haverberg. Sam z dziewięcioma psami. Smród jak diabli.

– Co mówił?

– Słyszał odgłos lecącego samolotu. Potem cisza. I znów to samo. Za drugim razem brzmiał bardziej jak gwizd. A na końcu huk.

Wallander pomyślał, że Martinsson miewa trudności w jasnym i jednoznacznym przekazywaniu informacji.

– Jeszcze raz – poprosił. – Robert Haverberg usłyszał hałas?

– Tak.

– Kiedy to było?

– Około piątej. Właśnie się obudził.

Wallander zmarszczył czoło.

– Samolot rozbił się przecież pół godziny później?

– Mówiłem mu to. Ale on trwał przy swoim. Najpierw usłyszał odgłos samolotu. Leciał nisko. Potem nastąpiła cisza. Zaparzył sobie kawę. I wtedy znów usłyszał samolot, zaraz coś gruchnęło.

Wallander się namyślał. Martinsson z pewnością przekazał coś istotnego.

– Ile czasu upłynęło między pierwszym odgłosem a katastrofą?

– Ustaliliśmy, że około dwudziestu minut.

Wallander spojrzał na Martinssona.

– Jak to wytłumaczysz?

– Nie mam pojęcia.

– Czy ten gość jest przytomny?

– Owszem. I w dodatku ma dobry słuch.

– Masz mapę w samochodzie? – zapytał Wallander.

Martinsson skinął głową. Ruszyli w stronę polnej drogi, gdzie Hansson w dalszym ciągu stał i rozmawiał z reporterami. Jeden z nich spostrzegł Wallandera i zaczął iść w jego kierunku. Wallander machnął do niego ręką.

– Nie będę niczego komentował – zawołał.

Usiedli w samochodzie Martinssona i rozłożyli mapę. Wallander oglądał ją w milczeniu. Myślał o tym, co powiedział Rydberg. O samolotach, które odbywają nielegalne loty, poza wyznaczonymi korytarzami powietrznymi i bez wiedzy kontrolerów lotu.

– Można by sobie wyobrazić następujący scenariusz – zasugerował. – Od strony morza nadlatuje samolot na niskiej wysokości. Wkrótce potem zawraca. I wtedy się rozбивa.

– Myślisz, że mógł coś zrzucić? A potem lecieć z powrotem?  
– zapytał Martinsson.

– Coś w tym rodzaju.

Wallander złożył mapę.

– Za mało wiemy. Rydberg jest w drodze na Sturup. Trzeba zidentyfikować załogę samolotu. I samą maszynę. Na razie nic więcej nie możemy zrobić.

– Zawsze się bałem latać – wyznał Martinsson. - Tym bardziej kiedy widzę coś takiego. Najgorsze jest, że Teresa mówi, że chce zostać lotnikiem.

Teresa to była jego córka. Martinsson miał jeszcze syna. Był człowiekiem bardzo rodzinnym i stale się zamartwiał, że coś się może stać jego bliskim. Wydzwaniał do domu po kilka razy dziennie. Zwykle wracał tam na obiad. Czasami Wallander zazdrościł mu udanego małżeństwa.

– Powiedz Nybergowi, że już jedziemy – polecił Martinssonowi.

Czekał, siedząc w samochodzie. Spoglądał na szary, ponury krajobraz. Wzdrygnął się. Życie, pomyślał. Mam czterdzieści dwa lata. Czy skończę jak Rydberg? Samotny, zreumatyzowany starszy gość?

Otrząsnął się z przykrych myśli.

Martinsson wrócił i ruszyli z powrotem do Ystad.

O jedenastej Wallander wstał z za biurka, by udać się do pokoju przesłuchań, gdzie czekał już podejrzany o handel narkotykami Yngve Leonard Holm. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Rydberg. Nigdy nie pukał. Usiadł na krześle dla interesantów i jak zwykle od razu przeszedł do rzeczy.

– Rozmawiałem z kontrolerem lotu, niejakim Lycke – oznajmił. – Twierdzi, że cię zna.

– Zamieniliśmy kiedyś kilka słów. Nie pamiętam, przy jakiej okazji.

– Tak czy inaczej, był bardzo pewny swego. Żaden jednosilnikowy samolot nie miał zgody na przelot nad Mossby

o piątej rano. Żaden pilot nie meldował wieży o jakichkolwiek problemach. Ekran radarów były puste. Nie pojawiły się na nich sygnały wskazujące na przelot samolotu. Według Lyckiego rozbitý samolot nie istnieje. Złożyli już raport do Ministerstwa Obrony i Bóg wie jakich jeszcze instytucji. Pewnie do urzędu celnego.

– Miałeś więc rację – powiedział Wallander. – W grę wchodzi nielegalna działalność.

– Tego nie wiemy – zaprotestował Rydberg. – Sam lot był nielegalny. Ale nie wiadomo, czy miał na celu nielegalną działalność.

– Kto lata po nocy bez szczególnego powodu?

– Mało jest wariatów? – zapytał Rydberg. – Sam dobrze wiesz.

Wallander bacznie mu się przyjrzał.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Oczywiście że nie – odparł Rydberg. – Ale zanim się dowiemy, kto i jakim samolotem leciał, nic nie możemy zrobić. To sprawa dla Interpolu. Założę się, że samolot przyleciał spoza terytorium Szwecji.

Rydberg wyszedł, zostawiając pogrążonego w myślach Wallandera.

Po chwili Kurt wstał i poszedł do pokoju, gdzie czekał Yngve Leonard Holm ze swoim adwokatem.

Dokładnie o jedenastej piętnaście Wallander włączył magnetofon i rozpoczął przesłuchanie.

## 2

Wallander wyłączył magnetofon po godzinie i dziesięciu minutach. Miał już serdecznie dosyć Yngvego Leonarda Holma. Z powodu jego bezczelności i faktu, że będzie zmuszony go zwolnić. Był przeświadczony, że mężczyzna naprzeciwko niego jest notorycznym handlarzem narkotyków. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że na podstawie materiałów z wstępnego dochodzenia żaden prokurator nie wyda nakazu



zatrzymania. A już na pewno nie Per Åkeson, któremu Wallander miał przedstawić sprawozdanie.

Yngve Leonard Holm miał trzydzieści siedem lat. Urodził się w Ronneby, lecz od połowy lat osiemdziesiątych był zameldowany w Ystad. Podawał się za wędrownego sprzedawcę książek serii kieszonkowych, w rodzaju serii „Manhattan”, na rozmaitych targach, które odbywały się w lecie. W ostatnich latach deklarował nieznaczące dochody. Równocześnie wybudował sobie wielką willę w dzielnicy sąsiadującej z komendą policji. Wartość podatkowa willi wynosiła wiele milionów. Holm twierdził, że sfinansował jej budowę z dochodów uzyskanych z hazardu – wyścigów na Jägersro<sup>7</sup> i Solvalli, oraz z wyścigów kłusaków w Niemczech i Francji. Nie miał oczywiście żadnych kwitów z wygranych. Niestety przepadły w pożarze. Ogień we właściwym momencie zniszczył przyczepę kempingową, w której przechowywał swoje księgi rachunkowe. Jedyne pokwitowanie, które przedstawił, było z wygranej sprzed kilku tygodni i opiewało na sumę 4993 koron. Mogło to najwyżej dowodzić, że Holm wiedział coś niecoś na temat koni. Nic poza tym. Właściwie powinien tu siedzieć Hansson, pomyślał Wallander. On też się interesuje kłusakami. Mogliby sobie o nich pogadać.

Nic z tego, co usłyszał, nie zmieniło jego przekonania, że Holm jest ostatnim ogniwem w łańcuchu dostaw i dystrybucji znacznej ilości narkotyków w południowej Skanii. Poszlaki były niezwykle mocne. Lecz zatrzymanie Holma zakończyło się kompletnym fiaskiem. Policja miała przeprowadzić nalot na dwa miejsca równocześnie: na willę Holma i na skład kieszonkowych wydawnictw mieszczący się w przemysłowej dzielnicy Malmö. Była to skoordynowana akcja policji z Ystad i z Malmö.

Już sam początek nie wróżył nic dobrego. Skład był pusty, jeśli nie liczyć pudła ze starymi, wymiętymi książkami z serii „Manhattan”. Holm siedział w domu i oglądał telewizję. Podczas kiedy funkcjonariusze przeszukiwali dom, młoda kobieta, leżąc u jego stóp, masowała mu palce od nóg.

---

7 Tory wyścigów konnych w Malmö i Sztokholmie (przyp. tłum.).

Oczywiście niczego nie znaleźli. Pies, którego wypożyczyli od celników, długo obwąchiwał chusteczkę do nosa, wyciągniętą z kosza na papiery. W wyniku chemicznej analizy stwierdzono tylko, że chusteczka mogła mieć styczność z jakimś narkotykiem. Najwyraźniej Holm został w jakiś sposób uprzedzony o akcji. Wallander nie wątpił zresztą, że Holm był inteligentny i zrećźnie ukrywał swoją działalność.

– Zostanie pan zwolniony – powiedział. – Ale w dalszym ciągu będzie pan podejrzany. Dokładniej mówiąc, jestem przekonany, że handluje pan na dużą skalę narkotykami w Skanii. Prędzej czy później wpadnie pan w nasze ręce.

Adwokat o wyglądzie łasicy wyprężył się na krześle.

– Mój klient nie może tego zaakceptować. To osobisty atak bez żadnych podstaw prawnych.

– Naturalnie – odparł Wallander. – Możecie oczywiście pozwać mnie do sądu.

Holm, który był nieogolony i miał po dziurki w nosie całej tej sytuacji, uciszył adwokata gestem dłoni.

– Policja robi swoje – powiedział. – Niestety popełniliście błąd, podejrzewając mnie. Jestem zwykłym obywatelem, który wie dość dużo o koniach i kieszonkowych wydaniach książek. To wszystko. Poza tym regularnie wspieram organizację Ratujcie Dzieci.

Wallander wyszedł z pokoju. Holm pójdzie do domu i podda się masażowi stóp. Narkotyki nadal będą spływały do Skanii. Nigdy nie wygramy tej walki, pomyślał, idąc korytarzem. Naszą jedyną szansą jest nowa generacja młodzieży, która wszystko zmieni.

Dochodziło pół do pierwszej. Zaczynał być głodny. Żałował teraz, że rano nie wziął samochodu. Na dworze padał deszcz ze śniegiem. Nie miał ochoty iść do centrum i z powrotem. Wysunął szufladę biurka i odszukał adres pizzerii. Przeglądał menu, nie mogąc się na nic zdecydować. Wreszcie zamknął oczy i na ślepo przytknął palec do menu. Zadzwoił i zamówił pizzę, którą wybrał mu los. Potem stanął przy oknie i spoglądał na wieżę wodną po drugiej stronie ulicy.

Zadzwoił telefon. Usiadł przy biurku i podniósł słuchawkę.

Dzwonił ojciec z Löderup.

– Zdawało mi się, że byliśmy umówieni na wczorajszy wieczór? – zaczął.

Wallander westchnął cicho.

– Nie byliśmy wcale umówieni.

– Dobrze pamiętam, że tak – upierał się ojciec. – To ty jesteś roztargniony. Myślałem, że policja ma bloczek do raportów. Nie możesz tam zapisać, że masz mnie aresztować? Może wtedy zapamiętasz.

Wallander nie miał siły się złościć.

– Wpadnę do ciebie wieczorem – obiecał. – Ale na wczoraj się nie umawialiśmy.

– Być może się pomyliłem – odparł nadspodziewanie łagodnie ojciec.

– Przyjadę około siódmej – rzekł Wallander. – Teraz mam dużo roboty.

Odłożył słuchawkę. Mój ojciec stosuje wyrafinowany uczuciowy szantaż, pomyślał. Najgorsze, że zawsze mu się udaje.

Zjawił się posłaniec z pizzą. Wallander zapłacił i poszedł z pudłem do jadalni. Przy jednym ze stolików siedział Per Åkeson i jadł kaszę. Wallander usiadł naprzeciwko niego.

– Czekałem, aż przyjdiesz porozmawiać o Holmie – rzekł Åkeson.

– Przyjdę. Ale został zwolniony.

– Wcale mnie to nie dziwi. Akcja była wyjątkowo źle zaplanowana.

– Powiedz to Björkowi – odparł Wallander. – Nie miałem z tym nic wspólnego.

Ku zdziwieniu Wallandera Åkeson posolił kaszę.

– Za trzy tygodnie idę na bezpłatny urlop – przypomniał.

– Nie zapomniałem – odrzekł Wallander.

– Zastąpi mnie młoda kobieta, Anette Brolin ze Sztokholmu.

– Będzie mi ciebie brakowało – wyznał Wallander. – Poza tym ciekaw jestem, jak mi się ułoży z kobietą prokuratorem.

– Dlaczego miałyby być jakieś problemy?

Wallander wzruszył ramionami.

– To pewnie przesady.

– Pół roku szybko minie. Muszę przyznać, że cieszę się z tego urlopu. Potrzebuję czasu do namysłu.

– Myślałem, że będziesz podnosił swoje kwalifikacje?

– Owszem. Ale jedno drugiemu nie przeszkadza. Zastanawiam się nad przyszłością. Czy mam całe życie być prokuratorem? Czy może raczej powinienem się zająć czymś innym?

– Możesz się nauczyć żeglować i zostać morskim włóczęgą.

Åkeson energicznie potrząsnął głową.

– Nic w tym rodzaju. Ale myślę o wyjeździe za granicę. Może do pracy, w której poczuje, że robię coś naprawdę pożytecznego. Może mógłbym współtworzyć działający system prawny gdzieś, gdzie jeszcze nie istnieje? Na przykład w Czechosłowacji?

– Mam nadzieję, że będziesz do mnie pisał – powiedział Wallander. – Ja też myślę o przyszłości. Czy mam być policjantem aż do emerytury, czy może coś zmienić.

Pizza nie miała smaku. Za to Åkeson jadł kaszę z wyraźnym apetytem.

– Co to za historia z samolotem? – zapytał.

Wallander opowiedział o wypadku.

– To dziwne – zauważył Åkeson, kiedy Wallander skończył.

– Chodzi o narkotyki?

– Być może tak – odparł Wallander i w tym momencie pożałował, że nie zapytał Holma, czy ma samolot. Jeżeli stać go było na taką willę, to równie dobrze stać go na prywatny samolot. Handel narkotykami może przynosić zawrotne dochody.

Stali razem koło zlewu i zmywali po sobie naczynia. Wallander zostawił na talerzu połowę pizzy. Nie odzyskał jeszcze apetytu po rozwodzie.

– Holm to łajdak – stwierdził. – Prędzej czy później go przyłapiemy.

– Nie byłbym taki pewien – odparł Åkeson. – Ale mam nadzieję, że masz rację.

Wallander wrócił wkrótce do swojego pokoju. Zastanawiał

się, czy zadzwonić do Malmö do Mony. Linda mieszkała teraz u niej. Kurt chciał z nią porozmawiać. Minął już prawie tydzień od ich ostatniego kontaktu. Linda miała dziewiętnaście lat i wciąż nie wiedziała, co chce robić w życiu. Ostatnio znów wróciła do pomysłu z renowacją mebli. Wallander podejrzewał, że jeszcze kilka razy zmieni zdanie.

Zamiast do Mony zadzwonił do Martinssona i wezwał go do siebie. Razem omówili poranny wypadek. Martinsson miał za zadanie napisać raport.

– Dzwonili ze Sturup i z Ministerstwa Obrony – poinformował Martinsson. – Z tym samolotem dziwna sprawa. Jakby go w ogóle nie było. Miałeś chyba rację, że skrzydła i kadłub zostały przemalowane.

– Zobaczymy, co powie Nyberg – odparł Wallander.

– Ciała są w Lund – ciągnął Martinsson. – Jedyna metoda identyfikacji to zęby. Zwłoki są tak zwięzłone, że rozpadały się, jak je kładli na nosze.

– Jednym słowem musimy czekać – skwitował Wallander. – Zamierzam zaproponować Björkowi, żebyś został naszym reprezentantem w komisji badającej przyczyny katastrofy. Masz coś przeciwko temu?

– Zawsze się czegoś nowego nauczę – odparł Martinsson.

Zostawszy sam, Wallander rozmyślał o różnicy między sobą a Martinssonem. Ambicją Wallandera zawsze było zostać jak najlepszym śledczym. I dopiął tego. Natomiast Martinsson miał inne aspiracje. Marzyło mu się, że w niezbyt dalekiej przyszłości zostanie komendantem policji. Sumienna praca w terenie była tylko odskocznią do dalszej kariery.

Porzucił myśl o Martinssonie, ziewnął i wziął do ręki pierwszy segregator z leżącego na stole stosu. Wciąż go złościło, że nie wpadł na to, by zapytać Holma o samolot. Chociażby po to, żeby zobaczyć jego reakcję. Teraz Holm leżał na pewno w wannie z hydromasażem. Albo zjadał dobry obiad w hotelu Continental ze swoim adwokatem.

Wallander nie zajrzał jednak do segregatora. Postanowił najpierw załatwić z Björkiem sprawę Martinssona i komisji badającej katastrofę. Pokój Björka znajdował się na końcu

korytarza. Spotkał komendanta w drzwiach.

– Masz chwilę czasu? – zapytał Wallander.

– Parę minut. Idę na prelekcję do kościoła.

Björk nieustannie wygłaszał prelekcje w najmniej oczekiwanych miejscach. Uwielbiał występować w większym gronie, było to coś, czego Wallander serdecznie nie znosił. Konferencje prasowe stanowiły dla niego udrękę. Opisał Björkowi poranne wydarzenie. Okazało się, że ten już o nim wie. Nie miał nic przeciwko kandydaturze Martinssona do komisji.

– Zakładam, że samolot nie został zestrzelony.

– Jak dotąd wszystko wskazuje na wypadek – odparł Wallander. – Ale cała ta sprawa jest podejrzana.

– Zrobimy, co do nas należy – stwierdził Björk, kończąc rozmowę. – Nie więcej, niż to jest konieczne. Mamy dosyć własnej roboty.

Odszedł, pozostawiając po sobie opary płynu po goleniu. Wallander powlókł się z powrotem do pokoju. Po drodze zajrzał do Rydberga i Hanssona. Nikogo nie zastał. Poszedł po kawę i następne kilka godzin spędził nad sprawą o pobicie, które miało miejsce tydzień wcześniej w Skurup. Pojawiły się nowe świadectwa, które prawdopodobnie pozwolą oskarżyć mężczyznę podejrzanego o poturbowanie swojej szwagierki. Wallander przygotował materiał i postanowił nazajutrz przedstawić go Åkesonowi.

Był kwadrans po piątej. Budynek komendy wydawał się tego dnia wyjątkowo pusty. Wallander postanowił pójść po samochód i zrobić zakupy. O siódmej miał odwiedzić ojca. Jeżeli nie zjawi się co do minuty, będzie musiał wysłuchiwać niekończących się oskarżeń ojca o to, jak go źle traktuje.

Włożył kurtkę i wyszedł z budynku. Padał mokry śnieg. Nasunął na głowę kaptur. Wsiadł do samochodu i sprawdził, czy ma w kieszeni listę zakupów. Silnik zaskoczył opornie, niedługo będzie musiał zmienić samochód. Ale skąd wziąć na to pieniądze? Uruchomił silnik i już wrzucał bieg, kiedy nagle uderzył go pewna myśl. Mimo że uznał ją za bezsensowną, ciekawość była silniejsza. Zrezygnował z zakupów, skręcił na

Österleden i pojechał w kierunku Löderup.

Myśl, która mu przyszła do głowy, była bardzo prosta. W domu pod Strandskogen mieszkał emerytowany kontroler lotów, którego Wallander poznał kilka lat temu. Linda przyjaźniła się z jego młodszą córką. Wallander miał nadzieję, że potrafi udzielić mu odpowiedzi na pytanie, które go nurtowało od chwili, kiedy stojąc obok wraku samolotu, słuchał relacji Martinssona z rozmowy z Haverbergiem.

Zajechał na podwórze domu, w którym mieszkał Herbert Blomell. Kiedy wysiadł z samochodu, Blomell stał na drabinie przed domem i naprawiał rurę spustową. Skinął przyjaźnie głową Wallanderowi i ostrożnie zszedł z drabiny.

– W moim wieku złamanie kości udowej może mieć fatalne skutki – powiedział. – Jak się miewa Linda?

– Dobrze – odparł Wallander. – Mieszka z Moną w Malmö.

Weszli do domu i usiedli w kuchni.

– W Mossby rozbił się dziś rano samolot – poinformował Blomella Wallander.

Blomell kiwnął głową. Wskazał na stojące na oknie radio.

– To był piper cherokee – ciągnął Wallander. – Jednosilnikowy. Wiem, że byłeś nie tylko kontrolerem lotów. Miałeś również licencję pilota.

– Latałem nawet kilka razy cherokee – odparł Blomell. – Fajna maszyna.

– Gdybym położył palec na mapie – rzekł Wallander – podał ci kurs i czas, powiedzmy dziesięć minut. Jaką odległość byś przeleciał?

– Prosta matematyka – rzekł Blomell. – Masz mapę?

Wallander potrząsnął przecząco głową. Blomell wyszedł i wrócił po paru minutach ze zwiniętą mapą. Rozłożyli ją na kuchennym stole. Wallander odszukał miejsce, gdzie rozbił się samolot.

– Załóżmy, że samolot nadleciał od wybrzeża. Odgłos silnika usłyszano w tym miejscu o konkretnej godzinie. A później jeszcze raz, najwyżej po dwudziestu minutach. Oczywiście nie wiadomo, czy pilot przez cały czas utrzymywał ten sam kurs. Przyjmijmy, że tak było. Jak daleko doleciał? Zanim zaczął

zawracać?

– Cherokee robi około 250 kilometrów na godzinę – objaśnił Blomell. – Z normalnym obciążeniem.

– Nie wiemy, jakie miał obciążenie.

– Przyjmijmy maksymalne obciążenie i normalny przeciwny wiatr.

Blomell liczył w pamięci. Po chwili wskazał punkt na północ od Mossby, w pobliżu Sjöbo.

– Mniej więcej tutaj – rzekł Blomell. – Biorąc pod uwagę, że wyliczenie opiera się na przybliżonych danych.

– I tak wiem dużo więcej niż przed chwilą.

Wallander siedział zamyślony, bębniąc palcami po stole.

– Dlaczego samolot spada na ziemię? – zapytał po chwili.

Blomell spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Nie ma dwóch takich samych wypadków – odpowiedział. – Czytuję amerykańskie pisma, które opisują wyniki prac komisji do spraw katastrof. Niektóre przyczyny się powtarzają. Na przykład awarie systemu elektrycznego. Albo coś innego. Ale w gruncie rzeczy decyduje jeden główny powód, który przesądza o wszystkim. Jest nim błąd pilota.

– Dlaczego rozbija się cherokee? – nalegał Wallander.

Blomell pokręcił głową.

– Mógł się zaciąć silnik. Niestaranny serwis. Poczekaj na wyniki pracy komisji.

– Kod identyfikacyjny samolotu był zamalowany na kadłubie i na skrzydłach. Co to może znaczyć?

– Że ktoś nie chciał zostawiać śladów – odparł Blomell. – Istnieje czarny rynek samolotów, tak jak i innych rzeczy.

– Sądziłem, że szwedzki obszar powietrzny jest szczelny. Tymczasem samolot może przelecieć niezauważony.

– Nie ma na świecie systemu zapewniającego absolutne bezpieczeństwo – odparł Blomell. – I nigdy nie będzie. Ludzie, którzy mają dostatecznie dużo pieniędzy i powodów, zawsze potrafią przekroczyć granicę, a potem zniknąć bez śladu.

Blomell zaproponował kawę. Wallander podziękował.

– Jadę do Löderup odwiedzić ojca – wytłumaczył. – Jak się spóźnię, będzie dzika awantura.



– Samotność jest przekleństwem starości – powiedział Blomell. – Zdycham z tęsknoty do mojej wieży kontrolnej. Śni mi się po nocach, że naprowadzam samoloty na korytarze powietrzne. A kiedy się budzę, pada śnieg i jedynym moim zajęciem jest naprawa rury spustowej.

Pożegnali się na podwórzu. Wallander zatrzymał się obok sklepu spożywczego w Herrestad i zrobił zakupy. Jak tylko odjechał, okazało się, że zapomniał o papierze toaletowym. Zaklął po cichu.

Podjechał do domu ojca w Löderup trzy minuty przed siódmą. Śnieg już nie padał. Ale w powietrzu wisały ciężkie chmury. W przybudówce, gdzie ojciec miał pracownię, świeciło się światło. Szedł przez podwórze, wdychając świeże powietrze. Drzwi były uchylone, ojciec usłyszał nadjeżdżający samochód. Siedział przy sztalugach w zniszczonym kapeluszu, z powodu krótkiego wzroku niemal dotykając głową obrazu, który właśnie zaczynał malować. Zapach rozcieńczalnika kojarzył się zawsze Wallanderowi z domem rodzinnym. Często myślał, że to jedyne, co mu pozostało z dzieciństwa. Zapach rozcieńczalnika.

– Jesteś punktualny – zauważył ojciec, nie odwracając wzroku od obrazu.

– Jak zawsze – odparł Kurt. Zsunął leżące na krześle gazety i usiadł.

Ojciec malował jeden z obrazów z głuszcem. Właśnie przytknął szablon do płótna i poprawiał niebo ciemniejące o zmierzchu. Wallander poczuł nagły przypływ czułości. On jest ostatnim pokoleniem przede mną. Kiedy umrze, będę pierwszy w kolejce.

Ojciec odłożył pędzle oraz szablon i wstał.

Weszli do domu. Ojciec zaparzył kawę i wyjął kieliszki. Wallander się zawahał, ale potem skinął przyzwalająco głową. Jeden kieliszek może wypić.

– Poker – zażądał od ojca. – Jesteś mi winien czternaście koron od ostatniego razu.

Ojciec bacznie mu się przyglądał.

– Mam wrażenie, że oszukujesz – stwierdził. – Ale wciąż nie

wiem, jak to robisz.

Wallandera zamurowało.

– Chcesz powiedzieć, że oszukuję własnego ojca?

Tym razem ojciec wyjątkowo się wycofał.

– Nie – powiedział. – Chyba jednak nie. Ale uważam, że ostatnio podejrzenie często wygrywasz.

Rozmowa się urwała. Pili kawę. Ojciec jak zwykle siorbał. Wallander jak zwykle nie mógł tego słuchać.

– Wyjeżdżam – odezwał się ojciec. – I to daleko.

Wallander na próżno oczekiwał dalszego ciągu.

– Dokąd? – zapytał w końcu.

– Do Egiptu.

– Do Egiptu? Co tam będziesz robił? Myślałem, że chcesz jechać do Włoch.

– Do Egiptu i do Włoch. Nigdy nie słuchasz, co mówię.

– Co będziesz robił w Egipcie?

– Oglądał sfinksa i piramidy. Mój czas się kurczy. Nie wiem, jak długo jeszcze będę żył. Chcę zobaczyć piramidy i Rzym, zanim umrę.

Wallander potrząsał głową.

– Z kim jedziesz?

– Lecę za kilka dni do Kairu. Liniami Egypt Air. Będę mieszkał w eleganckim hotelu, Mena House.

– Sam? Czy wykupiłeś wycieczkę? Chyba nie mówisz tego wszystkiego poważnie? – pytał z niedowierzaniem Wallander.

Ojciec wyciągnął rękę po bilety. Znajdowały się na parapecie kuchennego okna. Przyjrawszy się im, Wallander zrozumiał, że ojciec mówi prawdę. Leżał przed nim bilet na bezpośredni lot z Kopenhagi do Kairu w dniu 14 grudnia.

Wallander odłożył bilet na stół. Tym razem naprawdę nie wiedział, co powiedzieć.

### 3

Wallander wyruszył z Löderup kwadrans po dziesiątej. Chmury zaczęły stopniowo ustępować. W drodze do

samochodu poczuł, że się ochłodziło. To oznaczało, że jego peugeot nie będzie chciał zastartować. Ale nie tym się teraz martwił, lecz tym, że nie udało mu się przekonać ojca, żeby zrezygnował z podróży do Egiptu. Albo przynajmniej zaczekał, dopóki on lub jego siostra nie będą mogli mu towarzyszyć.

– Masz prawie osiemdziesiąt lat – nalegał. – W tym wieku człowiek nie włóczy się sam po świecie.

Lecz ojciec nie zważał na jego protesty. W zasadzie nie skarżył się na żadne poważniejsze dolegliwości. Mimo że od czasu do czasu ubierał się co najmniej dziwacznie, miał szczególny dar przystosowania do rozmaitych sytuacji i nowo napotkanych ludzi. Kiedy Wallander się zorientował, że linie lotnicze oferują transfer do hotelu, który leży w pobliżu piramid, przestał się już tak mocno upierać. Nie wiedział, co ciągnie ojca do Egiptu, piramid i sfinksa. Pamiętał jednak, że wiele lat temu, gdy jeszcze był dzieckiem, ojciec wielokrotnie opowiadał mu o osobliwych dziełach w Gizie pod Kairem.

Grali potem w pokera. Na szczęście ojciec się odegrał, miał więc dobry humor, kiedy się rozstawali.

Wallander przystanął przy samochodzie z dłonią na klamce i zaczerpnął wieczornego powietrza.

Mój ojciec to oryginał, pomyślał. Muszę się z tym pogodzić.

Obiecał zawieźć go do Malmö 14 grudnia rano. Zanotował numer telefonu do hotelu Mena House, w którym ojciec się zatrzyma. Nazajutrz wykupi mu ubezpieczenie podróży, jako że ojciec uważa ten wydatek za niepotrzebną rozrzutność. Poprosi Ebbę, żeby to załatwiła.

Samochód ruszył z oporami. Wyjeżdżając, Wallander spojrzął w oświetlone okno kuchni. Ojciec przesiadywał w kuchni do późna w nocy. Potem szedł spać, chyba że wracał do pracowni, żeby wykonać kilka dodatkowych pociągnięć pędzlem. Wallander wspominał słowa Blomella o tym, że samotność jest przekleństwem starych ludzi. Lecz życie jego ojca nie uległo zmianie na stare lata. W dalszym ciągu malował swoje obrazy, jak gdyby on pozostał taki sam i wokół niego nic się nie zmieniło.

Krótko po jedenastej Wallander dotarł na Mariagatan.

Otworzył drzwi i zauważył list wsunięty przez otwór drzwiach. Domyślił się, że pochodzi od Emmy Lundin, pielęgniarki ze szpitala w Ystad. Przypomniał sobie, że wczoraj miał do niej dzwonić. Pisała, że przejeżdżała obok jego domu w drodze na Dragongatan. Pytała, czy coś się stało. Dlaczego nie zatelefonował? Czuł się winny. Poznali się miesiąc temu. Przypadkiem wdali się w rozmowę na poczcie przy Hamngatan. Kilka dni później wpadli na siebie w sklepie spożywczym i już po kilku dniach nawiązali romans, prawdę mówiąc niezbyt namiętny. Emma, o rok młodsza od Wallandera, miała trójkę dzieci i była rozwiedziona. Wallander zdawał sobie sprawę, że jej bardziej zależy na ich związku niż jemu. Brakowało mu odwagi, żeby się z niego wycofać. Kiedy tak stał w holu z listem w ręku, doskonale wiedział, dlaczego nie zadzwonił. Po prostu nie miał ochoty na spotkanie. Położył list na stole w kuchni i pomyślał, że musi zakończyć ten związek. Nie widział w nim żadnej przyszłości. Mieli zbyt mało wspólnych tematów, zbyt mało czasu dla siebie. Wallander wiedział, że szuka czegoś zupełnie innego, kogoś zupełnie innego. Kogoś, kto naprawdę może zastąpić Monę. O ile taka kobieta w ogóle istnieje. Lecz przede wszystkim pragnął, żeby Mona do niego wróciła.

Rozebrał się i włożył swój stary, znoszony szlafrok. Uświadomił sobie, że zapomniał kupić papier toaletowy i położył w toalecie starą książkę telefoniczną. Potem wstawił do lodówki zakupioną żywność. Zadzwoił telefon. Był kwadrans po jedenastej. Wallander miał nadzieję, że nie zaszło nic poważnego i nie będzie się znowu musiał ubierać. Usłyszał głos Lindy. Zawsze odczuwał radość na jego dźwięk.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytała. – Dzwoniłam przez cały wieczór.

– Mogłaś się domyślić – odparł. – I zadzwonić do dziadka. Byłem u niego.

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznała. – Nigdy go nie odwiedzasz.

– Ja go nie odwiedzam?

– W każdym razie on tak twierdzi.

– On mówi różne rzeczy. A teraz leci do Egiptu oglądać piramidy.

– Jak fajnie. Gdybym tak mogła z nim pojechać.

Wallander nie odpowiedział. Wysłuchał jej szczegółowych opowieści o tym, co robiła przez ostatnie dni. Cieszył się, że postanowiła kontynuować naukę tapicerki. Podejrzewał, że Mony nie ma w domu, bo zwykle ją złościło, kiedy Linda prowadziła długie rozmowy telefoniczne. Równocześnie poczuł ukłucie zazdrości. Mimo że byli rozwiedzeni, nie potrafił pogodzić się z myślą, że Mona spotyka się z innymi mężczyznami.

Pod koniec rozmowy umówili się, że Linda przyjedzie do Malmö pożegnać się z dziadkiem przed wyjazdem do Egiptu.

Minęła północ. Wallander poczuł głód i wrócił do kuchni. Zjadł talerz płatków owsianych, bo nie chciało mu się gotować. Położył się o pół do pierwszej i natychmiast zasnął.

Dwunastego grudnia rano temperatura spadła do minus czterech stopni. Wallander siedział w kuchni, kiedy tuż przed siódmą zadzwonił telefon. Dzwonił Blomell.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem – zaczął.

– Jestem już na nogach – odparł Wallander, popijając kawę.

– Przyszło mi coś do głowy, jak odjechałeś – ciągnął Blomell.

– Wprawdzie nie jestem policjantem, ale pomyślałem, że mimo to zatelefonuję.

– Chętnie posłucham.

– Wpadło mi na myśl, że jeżeli ktoś słyszał przelatujący samolot, to znaczy, że leciał on na bardzo niskim pułapie. Wtedy słyszeli go również inni ludzie. Rozmawiając z nimi, można by prześledzić trasę lotu. Może nawet znaleźć kogoś, kto słyszał, jak maszyna zawraca w powietrzu i wraca tą samą drogą. I jeśli to nastąpiło w odstępnie paru minut, dałoby się na tej podstawie obliczyć promień skrętu.

Wallander musiał przyznać mu rację. Powinien sam na to wpaść. Ale nie powiedział tego.

– Pracujemy nad tym – odparł.

– To tylko tyle – rzekł Blomell. – Zastałeś ojca?

– Dowiedziałem się, że jedzie do Egiptu.

– To dobry pomysł.

Wallander nie odpowiedział.

– Zrobiło się chłodno – rzekł na zakończenie Blomell. – Nadchodzi zima.

– Zaraz się zaczną śnieżne zawieruchy – odparł Wallander.

Wrócił do kuchni. Myślał o tym, co usłyszał od Blomella. Martinsson lub ktoś inny mógłby nawiązać kontakt z policją w Tomelilla i Sjöbo. Może na wszelki wypadek również w Simrishamn. Kto wie, czy nie udałoby się zlokalizować kursu i punktu docelowego samolotu, odnajdując ludzi, którzy słyszeli odgłos silnika, w najlepszym razie dwukrotnie. Muszą być jeszcze jacyś chłopci, którzy o tej wczesnej porze wstają do krów? Pozostaje jednak pytanie: Jakie zamiary mieli dwaj mężczyźni w samolocie? I dlaczego maszyna nie była oznakowana?

Wallander przerzucał pośpiesznie gazetę. Szczęnięta labradora wciąż były do kupienia. Ale żaden dom na sprzedaż go nie zainteresował.

Tuż przed ósmą Wallander przekroczył próg komendy. Tego dnia miał na sobie sweter, który nosił do minus pięciu stopni. Poprosił Ebbę, żeby załatwiła ubezpieczenie dla jego ojca.

– Zawsze o tym marzyłam – powiedziała. – Żeby pojechać do Egiptu i zobaczyć piramidy.

Wygląda na to, że wszyscy mojemu ojcu zazdroszczą, pomyślał Wallander, idąc z kawą do swojego pokoju. Nawet się specjalnie nie dziwią. Tylko ja się martwię, że coś mu się może przytrafić. Na przykład, że zabłądzi na pustyni.

Na stole leżał pozostawiony przez Martinssona raport z wczorajszej katastrofy. Wallander przejrzał go pobieżnie i skonstatował, że Martinsson wciąż używa zbyt wielu słów. Połowa by wystarczyła. Rydberg zwykł mawiać, że to, czego nie można wyrazić zwięźle, jest albo źle pomyślane, albo całkowicie błędne. Wallander zawsze się starał, żeby jego raporty ze śledztwa były krótkie i przejrzyste. Zadzwoił do Martinssona i powtórzył mu wczorajszą rozmowę z Björkiem.

Martinsson się ucieszył. Potem Kurt zaproponował, żeby się wszyscy spotkali. Myślał o tym, co powiedział Blomell. O pół do dziewiątej Martinssonowi udało się złapać Svedberga i Hanssona. Brakowało jeszcze tylko Rydberga. Spotkali się w pokoju zebrania.

– Czy ktoś może widział Nyberga? – zapytał Wallander.

W tej samej chwili Nyberg wszedł do pokoju. Jak zawsze zaspany, z włosami sterczącymi na wszystkie strony. Zajął swoje zwykłe miejsce, nieco dalej od pozostałych.

– Rydberg nie wygląda zdrowo – zauważył Svedberg, drapiąc się długopisem po łysinie.

– On nie jest zdrowy – odparł Hansson. – Ma ischias.

– Reumatyzm – poprawił go Wallander. – To wielka różnica.

Potem zwrócił się w stronę Nyberga.

– Zbadaliśmy skrzydła – zaczął tamten. – Zmyliśmy pianę i staraliśmy się złożyć do kupy kawałki kadłuba. Cyfry i litery zostały nie tylko zamalowane. Na wszelki wypadek wcześniej je zeszkrobano. Ale nie do końca, dlatego potem użyto farby. Ludziom z samolotu naprawdę zależało na tym, żeby nie zostawiać śladów.

– Silnik ma chyba jakiś numer – zauważył Wallander. – Samolotów nie produkuje się tak dużo jak samochodów.

– Próbujemy złapać kontakt z fabryką Pipera w Stanach – wyjaśnił Martinsson.

– Musimy odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań – ciągnął Wallander. – Jak daleko taki samolot może lecieć na jednym zbiorniku? Czy zabiera ze sobą dodatkowe paliwo? Czy istnieje jakaś górna granica ilości paliwa na pokładzie?

Martinsson notował.

– Wszystkiego się dowiem – przyrzekł.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Rydberg.

– Byłem w szpitalu – rzucił. – Tam zawsze wszystko długo trwa.

Widać było, że jest obolały, ale Wallander powstrzymał się od komentarzy.

Zaproponował, aby odszukać ludzi, którzy mogli coś

usłyszeć. Trochę mu było głupio, że nie wspomniał przy tym o Blomellu, który mu ten pomysł podsunął.

– Będzie jak na wojnie – skomentował Rydberg. – Kiedy każdy mieszkaniec Skanii nasłuchiwał odgłosu samolotów.

– Może to nic nie da – rzekł Wallander. – Możemy się porozumieć z kolegami z innych rejonów. Osobiście uważam, że chodzi o zwykły transport narkotyków. Do punktu zrzutu.

– Powinniśmy się porozumieć z Malmö – zasugerował Rydberg. – Jeżeli zanotują zwiększoną podaż dragów, to łatwiej połączymy obie rzeczy. Mogę do nich zatelefonować.

Nikt nie miał obiekcji. Wallander zakończył zebranie krótko po dziewiątej.

Pozostałą część przedpołudnia spędził nad sprawą pobicia w Skurup i przedstawił gotowy materiał Perowi Åkesonowi. W czasie lunchu pojechał do miasta, zjadł kielbasę z grilla i kupił papier toaletowy. Po drodze wstąpił jeszcze do monopolowego, gdzie zakupił butelkę whisky i dwa wina. Wychodząc, wpadł na Stena Widéna, który właśnie wchodził do sklepu. Twarz miał wymizerowaną i zalatywał alkoholem.

Sten Widen był najstarszym przyjacielem Wallandera. Poznali się wiele lat temu. Zbliżyło ich wspólne zainteresowanie muzyką operową. Sten Widen pracował u swojego ojca w Stjärnsund, gdzie prowadzili stadninę koni wyścigowych. W ciągu ostatnich lat spotykali się coraz rzadziej. Wallander unikał Stena, od kiedy ten zaczął pić.

– Dawno cię nie widziałem – przywitał go Sten.

Wallander aż się cofnął. Oddech Stena zalatywał kwaśnym, strawionym alkoholem.

– Wiesz, jak to jest. Raz częściej, raz rzadziej.

Zamienili kilka grzecznościowych zdań. Obaj chcieli jak najszybciej odejść. I spotkać się w innych okolicznościach. Wallander przyrzekł, że zadzwoni.

– Trenuję nową klacz – zakomunikował Sten Widen. – Miała tak okropne imię, że przeforsowałem zmianę na inne.

– Jak się teraz nazywa?

– Traviata.

Sten Widen się uśmiechał. Wallander skinął głową. Potem



każdy poszedł w swoją stronę.

Wallander zaniósł torby z zakupami na Mariagatan. Kwadrans po drugiej zjawiał się już z powrotem w komendzie. W dalszym ciągu było pusto. Zabrał się do kolejnych dokumentów. Sprawę pobicia w Skurup zastąpiło włamanie w centrum Ystad, przy Pilgrimsgatan. Ktoś wybił szybę w oknie w środku dnia i wyniósł z domu wartościowe przedmioty. Wallander kręcił głową, czytając raport Svedberga. Nie mógł pojąć, że nikt z sąsiadów niczego nie zauważył.

Czyżby w Szwecji zaczynał się szerzyć strach?, pomyślał. I ludzie się boją rozmawiać z policją? Jeżeli to prawda, to jest dużo gorzej, niż przypuszczałem.

Wallander trudził się nad materiałem śledztwa – notował, kogo należy przesłuchać i jakich informacji szukać w bazie danych, nie mając przy tym złudzeń, że o powodzeniu dochodzenia zadecyduje albo łut szczęścia, albo rozstrzygające zeznania jakiegoś świadka.

Okolo piątej do pokoju wszedł Martinsson. Wallander zauważył, że Martinsson zaczął zapuszczać wąsy, ale nie skomentował tego.

– Sjöbo ma dla nas informację – zaczął Martinsson. - Jakiś chłop uganiał się całą noc za cielakiem. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego go szukał po ciemku. W każdym razie zadzwonił potem na policję, twierdząc, że tuż po piątej widział jakieś dziwne światła i słyszał hałas silnika.

– Dziwne światła? Co to ma znaczyć?

– Prosiłem kolegów ze Sjöbo, żeby go dokładnie wypytali. Ma na nazwisko Fridell.

Wallander skinął głową.

– Światło i odgłos silnika. To by potwierdzało hipotezę zrzutu.

Martinsson rozłożył na biurku mapę. Wskazał palcem miejsce. Znajdowało się na obszarze, który uprzednio zakreślił Blomell.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił go Wallander. - Może się czegoś dowiemy.

Martinsson złożył mapę.

– Jeżeli to prawda, to strach pomyśleć, że jesteśmy aż tak bezradni. Każdy samolot może bezkarnie przelecieć przez naszą granicę i zrzucić ładunek narkotyków.

– Musimy się chyba do tego przyzwyczaić – odparł Wallander. – Chociaż zgadzam się z tobą, że to okropne.

Martinsson wyszedł. W chwilę później Wallander opuścił budynek komendy. Wrócił do domu i wreszcie przyrządził sobie porządną posiłek. O pół do ósmej zasiadł przed telewizorem z filiżanką kawy w rękę, żeby obejrzyć wiadomości. Już miały się rozpocząć, kiedy odezwał się telefon. Dzwoniła Emma. Właśnie wychodziła ze szpitala. Wallander sam nie wiedział, czego chce. Ma spędzić kolejny samotny wieczór? Czy umówić się z Emmą? Zapytał bez przekonania, czy chciałaby do niego wpaść. Zgodziła się. To oznaczało, że zostanie mniej więcej do północy. Potem się ubierze i pojedzie do domu. Czekając na jej przyjazd, Wallander wypił dwie szklanki whisky i wziął prysznic. W pośpiechu zmienił pościel, a starą upchnął do szafy, pełnej rzeczy do prania.

Emma przyjechała tuż przed ósmą. Jak tylko usłyszał kroki na schodach, pożałował, że się z nią umówił. Dlaczego nie potrafi zakończyć związku, który nie ma żadnej przyszłości?

Weszła, uśmiechnęła się i Wallander zaprowadził ją do pokoju. Miała brązowe włosy, piękne oczy i była niewielkiego wzrostu. Nastawił jej ulubioną muzykę. Pili wino i około jedenastej poszli się położyć. Wallander myślał o Monie.

Później oboje zasnęli. Nie rozmawiali ze sobą. Tuż przed zaśnięciem Wallandera rozbolała głowa. Obudził się, kiedy Emma wstała, ale udawał, że śpi. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, wstał i napił się wody. Wrócił do łóżka, jeszcze chwilę myślał o Monie, a potem znowu zasnął.

Spał głęboko, kiedy rozdzwonił się telefon. Natychmiast się obudził. Słuchał kolejnych sygnałów. Rzucił okiem na zegar na szafce. Kwadrans po drugiej. To znaczy, że coś się stało. Podniósł słuchawkę, siadając na łóżku.

Dzwonił Näslund, policjant z nocnej zmiany.

– Pali się przy Möllegatan – zakomunikował. – Tuż obok rogu z Lilla Strandgatan.

Wallander usiłował zlokalizować miejsce pożaru.

– Co się pali?

– Pasmanteria sióstr Eberhardsson.

– To chyba sprawa straży pożarnej i sekcji prewencji, nie? Näsłund przez moment się zawahał.

– Oni już są na miejscu – wyjaśnił. – Wygląda na to, że w domu nastąpił wybuch. A siostry mieszkają na piętrze.

– Wyprowadzili je?

– Zdaje się, że nie.

Wallander długo się nie namyślał. Nie miał wyjścia.

– Już jadę – powiedział. – Kogo jeszcze zawiadomiłeś?

– Rydberga.

– Trzeba go było zostawić. Wezwij Svedberga i Hanssona.

Odłożył słuchawkę i spojrzał powtórnie na zegarek. Siedemnaście po drugiej. Ubierał się, myśląc o słowach Näsłunda. Wybuch w pasmanterii. To brzmiało nieprawdopodobnie. I tragicznie, jeżeli rzeczywiście nie udało się uratować właścicielek sklepu.

Po wyjściu na ulicę spostrzegł, że zapomniał kluczyków od samochodu. Zaklął i wbiegł na górę po schodach. Był cały zdyszany. Muszę zacząć grać w badminton z Svedbergiem, pomyślał. Tylko cztery piętra, a już się zziajałem.

O pół do trzeciej zatrzymał się na Hamngatan. Cały teren był ogrodzony. Poczul woń dymu, zanim jeszcze otworzył drzwi od samochodu. Płomienie i dym wzbijały się ku niebu. Na miejsce zjechały wszystkie wozy strażackie. Drugi raz w ciągu dwóch dni Wallander spotkał Petera Edlera.

– Wygląda niedobrze – zawołał Edler, przekrzykując zgiełk dokoła.

Dom stał w płomieniach. Strażacy polewali wodą sąsiednie domy, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia.

– Siostry? – zawołał Wallander.

Edler potrząsnął głową.

– Nikt nie wychodził – odparł. – Jeżeli były w domu, to zostały w środku. Mamy świadka, który twierdzi, że dom po prostu wyleciał w powietrze. Podobno od razu cały stanął w płomieniach.

Edler odszedł kierować akcją ratunkową. Obok Wallandera pojawił się Hansson.

– Kto, do diabła, podpala sklep z pasmanterią?

Wallander potrząsnął głową. Nie potrafił odpowiedzieć.

Myślał o siostrach, które latami prowadziły ten sklep. Kiedyś kupili tam z Moną suwak do spodni od garnituru.

Teraz już ich nie było.

Jeżeli Peter Edler się nie myli, to ktoś podpalił dom, by je pozbawić życia.

#### 4

W noc św. Łucji 1989 roku Wallander czuwał przy innych płomieniach niż płomień świec. Aż do świtu przebywał na miejscu pożaru. Odesłał kolejno Svedberga i Hanssona. Kiedy zjawił się Rydberg, powiedział mu, żeby wracał do domu. Nocny chłód i żar od ognia na pewno szkodzą na reumatyzm. Poinformował go tylko, że siostry, właścicielki sklepu, prawdopodobnie zginęły w pożarze. Peter Edler poczęstował Wallandera kawą. Kurt siedział w szoferce strażackiego wozu, zastanawiając się, dlaczego właściwie nie pojechał do domu położyć się spać, zamiast czekać, aż strażacy ugaszą ogień. Nie umiał na to odpowiedzieć. Z niechęcią wspominał miniony wieczór. Seks z Emmą Lundin był zupełnie wyprany z namietności, i to z obu stron. Był tylko przedłużeniem nic nieznaczącej rozmowy, jaką prowadzili przedtem.

Tak dłużej być nie może, pomyślał nagle. W moim życiu coś się musi zdarzyć, i to niebawem. Miał wrażenie, że od rozstania z Moną minęły nie dwa miesiące, ale dwa lata.

O świcie ugaszono pożar. Dom spłonął doszczętnie. Na miejsce przybył Nyberg. Czekali na zgodę Edlera, żeby Nyberg i technicy straży pożarnej mogli wejść na pogorzelnisko.

Nagle jak spod ziemi wyrósł Björk, jak zwykle nienagannie ubrany, roztaczając wokół siebie zapach wody po goleniu, który przedarł się nawet przez woń dymu.

– Tragiczny pożar – stwierdził. – Słyszałem, że właścicielki

nie żyją.

– Jeszcze nie wiadomo – odparł Wallander. – Ale na to wygląda.

Björk spojrział na zegarek.

– Niestety nie mogę dłużej zostać – rzekł. – Mam śniadanie w Rotary.

Björk odszedł. Wallander zwrócił się do Nyberga.

– On się kiedyś zagada na śmierć.

Nyberg spojrział na niego zdziwiony.

– Ciekaw jestem, co on mówi o policji i naszej pracy. Słyszałeś kiedyś jego prelekcję?

– Nie, nigdy. Ale przypuszczam, że nie opisuje swoich osiągnięć za biurkiem.

W milczeniu czekali nadal. Wallander był zziębnięty i wyczerpany. Mimo że teren był w dalszym ciągu odgradzony, przedostał się do nich reporter z „Arbetet”. Wallander go znał. Zazwyczaj pisał to, co Kurt mu powiedział, więc i tym razem Wallander podzielił się z nim niewielką ilością informacji, które mieli. Nadal nie mogli stwierdzić z całą pewnością, czy są ofiary śmiertelne. Reporter zadowolił się tym, co usłyszał, i zniknął.

Minęła kolejna godzina, zanim dostali zgodę od Edlera. Wallander był na tyle przewidujący, że zabrał z domu gumki, i teraz ostrożnie poruszali się po zgliszczach. Belki i zwalone ściany pływały w wodnej brei. Nyberg i kilku strażaków starannie przeszukiwali spalone resztki. Po niespełna pięciu minutach przystanęli. Nyberg przywołał Wallandera skinięciem głowy.

W odległości kilku metrów od siebie leżały ciała dwóch osób. Były całkowicie zwęglone. Wallander pomyślał, że po raz drugi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ma przed sobą ten sam widok. Potrząsnął głową.

– Siostry Eberhardsson. Jak one miały na imię?

– Anna i Emilia – odrzekł Nyberg. – Ale wciąż nie wiadomo, czy to one.

– A kto taki? – zapytał Wallander. – Nikt inny tu nie mieszkał.

– Dowiemy się – odparł Nyberg. – Ale to potrwa kilka dni.

Wallander zawrócił i wyszedł na ulicę. Peter Edler stał, paląc papierosa.

– Ty palisz? – zapytał Wallander. – Nie wiedziałem.

– Czasami – rzekł Edler. – Tylko jak jestem bardzo zmęczony.

– Konieczne będzie gruntowne śledztwo w tej sprawie.

– Nie chciałbym wyprzedzać wyników śledztwa – odparł Edler. – Ale to było podpalenie. Z całą pewnością. Można sobie oczywiście zadać pytanie, dlaczego ktoś chce pozbawić życia dwie starsze kobiety.

Wallander pokiwał głową. Wiedział, że Peter Edler jest niezwykle doświadczonego fachowcem.

– Dwie starsze kobiety – powtórzył Wallander. – Które sprzedawały guziki i suwaki.

Teraz nie miał już żadnego powodu, aby tu dalej sterczeć. Wsiadł do samochodu i odjechał. Zjadł śniadanie i naradził się z termometrem w sprawie wyboru odpowiedniego swetra. Wypadło na ten sam co wczoraj. Dwadzieścia po dziewiątej zaparkował przed komendą. Jednocześnie przyjechał Martinsson. Jak na niego to wyjątkowo późno, pomyślał Wallander. Martinsson zaczął się tłumaczyć, mimo że nikt go nie pytał.

– Moja piętnastoletnia siostrzenica wróciła do domu pijana – rzekł ponuro. – To się jej nigdy wcześniej nie zdarzyło.

– Kiedyś musi być pierwszy raz – zauważył Wallander.

Cieszył się, że ma za sobą pracę w prewencji. Noc św. Łucji zawsze była niespokojna i pamiętał, że kilka lat temu Mona dzwoniła do niego, żaląc się, że Linda wróciła do domu i zwymiotowała. Była niezwykle zdenerwowana. Tamtym razem Wallander podszedł do sprawy dużo bardziej na luzie. Teraz, po drodze z parkingu, próbował pocieszyć Martinssona. Ale wkrótce zamilkł. Widział, że go nie przekona.

W recepcji podeszła do nich Ebba.

– Czy to prawda? – zapytała. – Że biedne Anna i Emilia zginęły?

– Niestety na to wygląda – odparł Wallander.

Ebba potrząsnęła głową.

– Kupowałam u nich guziki i nitki od 1952 roku – powiedziała. – Zawsze były tak samo uprzejme. Kiedy się prosiło o coś ekstra, starały się pomóc. I nic za to nie liczyły. Kto, na Boga, mógł chcieć pozbawić życia dwie starsze panie, właścicielki pasmanterii?

Ebba jest już drugą osobą, która zadaje to samo pytanie, pomyślał Wallander. Najpierw Peter Edler, a teraz ona.

– Czyżby tu krążył jakiś piroman? – zapytał Martinsson. – W takim razie wybrał wyjątkowo odpowiednią noc.

– Musimy się uzbroić w cierpliwość – rzekł Wallander. – Jest coś nowego w sprawie samolotu?

– Nic o tym nie wiem. Tyle tylko że policja w Sjöbo zamierza przesłuchać chłopca, który szukał w nocy cielaka.

– Zadzwoń na wszelki wypadek do innych rejonów – przypomniał Wallander. – Może ktoś jeszcze słyszał samolot. W nocy nie lata chyba tak dużo maszyn.

Martinsson odszedł. Ebba wręczyła Wallanderowi jakiś papier.

– Ubezpieczenie dla twojego ojca – wyjaśniła. – Szczęściarz z niego, że ucieknie od tutejszej pogody i zobaczy piramidy.

Wallander wziął papier i poszedł do pokoju. Zdjął kurtkę i wykręcił numer do Löderup. Nikt nie odbierał, mimo że odczekał aż piętnaście sygnałów. Ojciec był pewnie w pracowni. Wallander odłożył słuchawkę. Ciekawe, czy pamięta o jutrzejszym wyjeździe, pomyślał. Że o siódmej po niego przyjeżdżam.

Cieszył się, że będzie miał okazję spędzić trochę czasu z Lindą. Zawsze go to wprawiało w dobry nastrój.

Sięgnął po stertę dokumentów z poprzedniego dnia, dotyczących włamania na Pilgrimsgatan. Jednak nadal siedział pogrążony w myślach. Co będzie, jeśli rzeczywiście mają do czynienia z piromanem? Już od paru lat nic podobnego się nie wydarzyło.

Zmusił się do pracy nad włamaniem, ale już o pół do jedenastej zadzwonił Nyberg.

– Musisz tu chyba przyjechać – powiedział. – Na miejsce

pożaru.

Wallander domyślał się, że sprawa jest poważna. Inaczej Nyberg by nie telefonował i nie tracił czasu na zadawanie pytań.

– Zaraz będę – odrzekł i odłożył słuchawkę.

Włożył kurtkę i poszedł do samochodu. W kilka minut dojechał do centrum. Ogrodzony teren się zmniejszył. Ale okolica Hamngatan w dalszym ciągu była zamknięta dla ruchu.

Nyberg czekał na niego obok dymiącego rumowiska. Od razu przeszedł do rzeczy.

– To nie tylko podpalenie – oznajmił. – To morderstwo.

– Morderstwo?

Nyberg dał mu znak, żeby za nim poszedł. Oba ciała leżały teraz obok siebie. Przykucnęli przy jednym z nich i Nyberg wskazał piórem miejsce na czaszce.

– Otwór od kuli – oznajmił. – Została zastrzelona. Jeżeli to jedna z sióstr. Ale zakładamy, że tak.

Wstali i podeszli do drugiego ciała.

– To samo tutaj – powiedział. – Strzał w tył głowy.

Wallander potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś je zastrzelił?

– Na to wygląda. W dodatku to normalna egzekucja. Dwa strzały w tył głowy.

Wallander nie wierzył własnym uszom. To było nierzeczywiste, zbyt okrutne. Z drugiej strony wiedział, że Nyberg nigdy nie rzuca słów na wiatr.

Wyszli z powrotem na ulicę. Nyberg pokazał mu małą foliową torebkę.

– Znaleźliśmy jedną kulę. Siedziała w czaszce. Druga wyszła przez czoło i stopiła się w żarze. Teraz muszą to dokładnie zbadać eksperci medyczni.

Wallander patrzył na Nyberga, usiłując się skoncentrować.

– Mamy więc do czynienia z podwójnym zabójstwem, które ktoś chciał zataić, podkładając ogień – skonstatował.

Nyberg potrząsnął przecząco głową.

– Niezupełnie. Człowiek, który zabija, dokonując egzekucji



strzałem w tył głowy, z pewnością zdaje sobie sprawę, że ogień nie uszkadza szkieletu. To jednak nie to samo co krematorium.

Wallander zrozumiał, że Nyberg dotknął istotnej sprawy.

– Więc w czym rzecz?

– Morderca chciał ukryć coś innego.

– Co można ukryć w sklepie z pasmanterią?

– To już należy do ciebie – odparł Nyberg.

– Zwołam grupę dochodzeniową – zdecydował Wallander. –

Spotkamy się o pierwszej.

Spojrzał na zegarek. Była jedenasta.

– Będziesz mógł przyjść?

– Jeszcze tu nie skończyłem. Ale przyjdę.

Wallander poszedł do samochodu. Nie mógł się pozbyć poczucia nierealności. Kto mógł mieć powód, by zamordować dwie stare kobiety, które sprzedawały igły, nitki i suwaki? Nigdy się z czymś podobnym nie spotkał.

Wróciwszy do komendy, udał się prosto do Rydberga. Pokój był pusty. Zastał Rydberga w jadalni. Pił herbatę, zagryzając sucharkiem. Wallander przysiadł się do niego i opowiedział o odkryciu Nyberga.

– To niedobrze – rzekł Rydberg. – Bardzo niedobrze.

Wallander wstał.

– Spotkamy się o pierwszej. Martinsson niech się zajmuje samolotem, ale Hansson i Svedberg mają przyjść. Spróbuj ściągnąć Åkesona. Czy mieliśmy kiedykolwiek coś podobnego?

Rydberg się namyślał.

– Nie przypominam sobie. Dwadzieścia lat temu jakiś szaleniec walnął siekierą w głowę kelnera. Przyczyną był nieuregulowany dług w wysokości trzydziestu koron.

Wallander nadal stał przy stole.

– Strzał w tył głowy. To nie w szwedzkim stylu.

– A co jest w szwedzkim stylu? – zapytał Rydberg. – Granice już nie istnieją. Ani dla samolotów, ani dla bandytów. Kiedyś Ystad leżało na peryferiach. To, co się działo w Sztokholmie, tutaj nie docierało. Nawet to, co się działo w Malmö, rzadko miało miejsce w małym Ystad. To się powoli kończy.

– I co będzie dalej?

– Nowe czasy wykształcą inny typ policjantów, szczególnie w terenie – powiedział Rydberg. – Ale tacy jak ty i ja, którzy potrafią myśleć, zawsze będą potrzebni.

Wyszli razem na korytarz. Rydberg szedł powoli. Rozstali się pod drzwiami jego pokoju.

– O pierwszej – powiedział. – Podwójne morderstwo dwóch staruszek. Tak to nazwiemy? Przypadek dwóch staruszek?

– To mi się nie podoba – odparł Wallander. – Trudno pojąć, że ktoś może chcieć zastrzelić dwie zacne kobiety.

– Chyba od tego należy zacząć – rzekł z namysłem Rydberg. – Zbadać, czy one rzeczywiście były takie zacne, jak wszyscy sądzą.

Wallander był zaskoczony.

– Co masz na myśli?

– Nic – odparł Rydberg. Nagle się uśmiechnął. – Może tylko, że nieraz zbyt szybko wyciągasz wnioski.

Wallander stał przy oknie w pokoju i obserwował trzepoczące skrzydłami gołębie w pobliżu wieży wodnej. Rydberg jak zwykle ma rację, myślał. Jeżeli nie ma świadków, jeśli nie zdobędziemy informacji od innych ludzi, będziemy musieli zacząć od tego: Kim one właściwie były, Anna i Emilia?

O pierwszej zebrali się w pokoju konferencyjnym. Hansson usiłował ściągnąć Björka, ale nie mógł go złapać. Przyszedł natomiast Per Åkeson.

Wallander przekazał im wiadomość o zabójstwie kobiet. W pokoju natychmiast zapanowało przygnębienie. Najwyraźniej każdy z nich był kiedyś w sklepie z pasmanterią. Wallander oddał głos Nybergowi.

– Grzebiemy się w błocie – oznajmił. – Jak dotąd niczego szczególnego nie znaleźliśmy.

– A przyczyna pożaru? – zapytał Wallander.

– Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Sąsiedzi słyszeli głośny huk. Ktoś go określił jako stłumiony wybuch. W ciągu minuty dom stanął w płomieniach.

Wallander wodził wzrokiem po obecnych.

– Ponieważ nie znamy bezpośredniego motywu, musimy zebrać jak najwięcej informacji o siostrach. Czy rzeczywiście nie miały żadnych krewnych? Obie żyły samotnie. Czy nigdy nie były zamężne? Ile właściwie miały lat? Pamiętam, że już były stare, kiedy się tu przeprowadziłem.

Svedberg utrzymywał, że Anna i Emilia nigdy nie miały mężów ani dzieci. Powiedział, że dowie się szczegółów.

– Konta bankowe – odezwał się milczący dotychczas Rydberg. – Czy miały pieniądze? I gdzie? W materacu czy w banku? O tych rzeczach ludzie gadają. Może to był motyw zabójstwa?

– Tylko dlaczego w taki sposób? – zapytał Wallander. – Ale sprawdzimy. Musimy się dowiedzieć.

Podzielili się pracą. Na początku każdego dochodzenia metodycznie zajmowali się czasochłonnymi rutynowymi procedurami. Kwadrans po drugiej pozostała do omówienia ostatnia kwestia.

– Trzeba poinformować prasę – oznajmił Wallander. – Media się na to rzucą. Björk musi przy tym być, ale ja wolałbym sobie darować.

Ku zdziwieniu obecnych Rydberg zadeklarował, że spotka się z reporterami. Zazwyczaj tego rodzaju sytuacje go nie bawiły.

Zakończyli zebranie. Nyberg wrócił na miejsce pożaru. W pokoju zostali Wallander i Rydberg.

– Sądzę, że musimy liczyć na informacje od ludzi. Bardziej niż zwykle. Bez wątplenia istnieje jakiś motyw. Według mnie chodzi wyłącznie o pieniądze.

– Znamy to skądinąd – odparł Wallander. – Ludzie, którzy nie mają ani grosza, stają się ofiarą rozboju tylko dlatego, że chodzą pogłoski o ich rzekomym bogactwie.

– Mam pewne przeczucia – rzekł Rydberg. – Rozejrzę się trochę na własną rękę.

Wyszli z pokoju.

– Dlaczego się zgodziłeś na konferencję prasową? – zapytał Wallander.

– Żebyś choć raz ty nie musiał tego robić – odrzekł Rydberg,

znikając w swoim pokoju.

Wallander zastał Björka w domu. Cierpiał na atak migreny.

– Chcielibyśmy zwołać konferencję prasową na piątą – zakomunikował. – Byłoby dobrze, gdybyś mógł przyjść.

– Przyjdę – zapewnił Björk. – Nawet z migreną.

Dochodzenie ruszało z miejsca powoli, ale systematycznie. Wallander poszedł jeszcze raz na pogorzelnisko i rozmawiał z Nybergiem, który stał po kolana w zgliszczech. Następnie wrócił do komendy. W czasie konferencji prasowej trzymał się na uboczu. O szóstej przyjechał do domu. Tym razem ojciec odebrał telefon.

– Jestem spakowany – oznajmił.

– Mam nadzieję. Będę po ciebie o pół do siódmej. Nie zapomnij biletu i paszportu.

Resztę wieczoru Wallander spędził na porządkowaniu informacji o nocnych wypadkach. Zadzwonił do Nyberga zapytać, jak minął dzień. Praca posuwała się powoli. Ekipa techniczna wróci na miejsce, jak tylko zrobi się jasno. Wykreślił również numer komendy i zapytał dyżurującego policjanta, czy nadeszły jakieś informacje od ludzi. Nie było nic ciekawego.

Poszedł do łóżka około północy. Dla pewności zamówił telefoniczne budzenie.

Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć.

Męczyła go myśl o dwóch zamordowanych siostrach.

Zapadł w sen z przeświadczeniem, że ma przed sobą długie i zawiłe dochodzenie. Chyba że mu dopisze szczęście i na samym początku wpadnie na rozwiązanie.

Nazajutrz wstał o piątej. Punktualnie o pół do siódmej podjechał na podwórze w Löderup.

Ojciec czekał przed domem, siedząc na walizce.

## 5

Jechali po ciemku. Ruch w kierunku Malmö jeszcze na dobre się nie zaczął. Ojciec miał na sobie garnitur, a na głowie

dziwaczny tropikalny kask. Wallander nigdy go wcześniej nie widział i podejrzewał, że ojciec wypatrzył kask na jakimś targu albo w lumpeksie. Nic jednak nie powiedział. Nie zapytał nawet, czy ojciec pamiętał o bilecie i paszporcie.

– No to w końcu jedziesz – powiedział tylko.

– Tak – odrzekł ojciec. – Nareszcie.

Wallander czuł, że ojciec nie ma ochoty na rozmowę. Mógł się spokojnie skoncentrować na prowadzeniu auta i własnych myślach. Niepokoiło go wydarzenie w Ystad. Próbował dociec, dlaczego ktoś z premedytacją strzelił dwóm starym kobietom w tył głowy. Nic nie mógł wymyślić. Brakowało jakiegokolwiek kontekstu, jakichkolwiek wyjaśnień. Tylko ta bezwzględna i niepojęta egzekucja.

Podjechali na niewielki parking przy terminalu wodolotów. Linda już na nich czekała. Wallanderowi zrobiło się trochę przykro, że najpierw przywitała się z dziadkiem, a dopiero potem z nim. Zwróciła uwagę na jego tropikalny kask i stwierdziła, że mu w nim do twarzy.

– Ja też chciałbym mieć taki ładny kapelusz – powiedział, obejmując córkę na powitanie. Z ulgą stwierdził, że tego dnia jej strój wyjątkowo nie rzucał się w oczy. Linda często ubierała się ekscentrycznie i zawsze mu to przeszkadzało. Nagle przyszło mu na myśl, że może odziedziczyła to po dziadku. Albo przynajmniej była pod jego wpływem.

Odprowadzili ojca do budynku terminalu. Wallander wykupił mu bilet na wodolot. Stali potem w ciemności i widzieli, jak statek z ojcem na pokładzie opuszcza wejście do portu.

– Mam nadzieję, że na starość będę taka jak on – powiedziała Linda.

Wallander nie odpowiedział. Niczego się tak nie bał jak tego, że stanie się podobny do ojca.

Zjedli śniadanie w restauracji na Dworcu Centralnym. Wallander zwykle nie miał apetytu o tak wczesnej porze. Ale nie chciał, żeby Linda mówiła, że o sobie nie dba, więc zjadł kilka grzanek.

Patrzył na swoją córkę. Lindzie nie zamykały się usta. Nie

była ładna w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Ale była stanowcza i niezależna w sposobie bycia. Nie należała do kobiet, które za wszelką cenę pragną się podobać każdemu napotkanemu mężczyźnie. Zastanawiał się, po kim odziedziczyła gadatliwość. Zarówno on, jak i Mona należeli raczej do ludzi małomównych. Lubił jej słuchać. Wprawiało go to zawsze w dobry humor. Opowiadała o tym, że zostanie tapicerem. Mówiła o związanych z tym możliwościach i trudnościach, złośliwie na to, że system czeladnickowski został prawie zlikwidowany, i ku zdziwieniu Wallandera wyznała na końcu, że zamierza w przyszłości otworzyć własną pracownię w Ystad.

– Szkoda, że ani ty, ani mama nie macie pieniędzy – powiedziała. – Mogłabym wtedy uczyć się we Francji.

Wallander wiedział, że Linda nie ma zamiaru robić mu wyrzutów. Mimo to wziął sobie jej słowa do serca.

– Mogę wziąć kredyt – zaproponował. – Myślę, że zwykły policjant ma do tego prawo.

– Kredyt trzeba spłacać – odparła. – Poza tym jesteś komisarzem policji kryminalnej.

Potem zaczęła mówić o Monie. Wallander słuchał, nie bez satysfakcji, jak Linda narzeka, że Mona bez przerwy ją kontroluje.

– W dodatku nie lubię Johana – zakończyła.

Wallander spojrzał zdziwiony.

– Kto to taki?

– Nowy facet mamy.

– Myślałem, że jej facet ma na imię Sören?

– To już przeszłość. Teraz jest Johan, właściciel dwóch koparek.

– Nie lubisz go?

– Jest strasznie głośny. Poza tym chyba nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki. Przychodzi w soboty z nowym numerem „Fantoma”. Dorosły facet! Masz pojęcie?

Wallander natychmiast poczuł ulgę. Na szczęście nigdy nie kupował komiksów. Czasami Svedberg przynosił numer „Supermana” i Wallander zaglądał do niego w daremnej

nadziei, że poczuje emocje z dzieciństwa.

– To niedobrze – zauważył. – Że nie możesz się dogadać z Johanem.

– Tu nie chodzi o nas – odparła. – Raczej o to, że nie pojmuję, co mama w nim widzi.

– Przeprowadź się do mnie – rzekł spontanicznie. – Masz pokój na Mariagatan. Wiesz o tym.

– Już o tym myślałam – przyznała. – Ale to chyba nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Ystad jest za małe. Zwariowałabym tam. Może później, jak będę starsza. Są miasta, w których nie można mieszkać, jak się jest młodym.

Rozumiał ją. W Ystad bywało ciasno nawet czterdziestoletniemu rozwiedzionemu mężczyźnie.

– A co u ciebie? – zapytała.

– Pod jakim względem?

– A jak myślisz? Kobiety, oczywiście.

Wallander się skrzywił. Nie miał nawet ochoty wspominać o Emmie Lundin.

– Powinieneś dać ogłoszenie – zasugerowała. – „Mężczyzna w sile wieku poszukuje kobiety”. Dostałbyś mnóstwo odpowiedzi.

– Nie wątpię – odparł Wallander. – A po pięciu minutach popatrzylibyśmy na siebie szklanym wzrokiem, zrozumiałwszy, że nie mamy sobie absolutnie nic do powiedzenia.

– Musisz przecież z kimś spać – rzekła. – Zamiast chodzić i tęsknie wzdychać.

Wallander zaniemówił ze zdumienia. Czegoś takiego się nie spodziewał.

– Wcale nie narzekam – powiedział wymijająco.

– Nie możesz powiedzieć?

– Nie mam wiele do powiedzenia. Jest pielęgniarką. Bardzo dobry człowiek. Problem polega na tym, że jej bardziej niż mnie zależy na naszej znajomości.

Linda już więcej nie pytała. Teraz on zaczął się zastanawiać nad jej życiem erotycznym. Ale na samą myśl o tym poczuł się

tak skrepowany, że nie miał najmniejszej ochoty podejmować tego tematu.

Wyszli z restauracji po dziesiątej. Wallander chciał ją podwieźć do domu, ale miała jeszcze kilka spraw do załatwienia. Pożegnali się przy parkingu. Wallander dał jej trzysta koron.

– Nie musisz mi dawać pieniędzy – rzekła.

– Wiem, że nie muszę. Ale weź.

Patrzył, jak odchodzi w kierunku miasta. Jego rodzina. Córka szukająca własnej drogi. I ojciec w samolocie w drodze do ciepłego Egiptu. Jego relacje z nimi nie były proste. Nie tylko ojciec potrafił być trudny. Linda również.

Wrócił do Ystad o pół do dwunastej. Spotkanie z Lindą dodało mu energii i rozjaśniło myśli. Jak najbardziej rozszerzyć front poszukiwań, powtarzał sobie po cichu. To jest właściwa droga. Zatrzymał się przy wjeździe do Ystad i zjadł hamburgera. Obiecywał sobie, że to już ostatni w tym roku. Kiedy wszedł do budynku, zawołała go Ebba. Zauważył, że jest podenerwowana.

– Björk chce z tobą rozmawiać – zakomunikowała.

Wallander odwiesił kurtkę i udał się do pokoju Björka. Na jego widok Björk wstał zza biurka.

– Muszę wyrazić swoje niezadowolenie – oświadczył.

– Z powodu?

– Z faktu, że jedziesz do Malmö w prywatnych sprawach, podczas gdy mamy na głowie skomplikowane dochodzenie w sprawie o morderstwo. Za które na dodatek odpowiadasz.

Wallander nie wierzył własnym uszom. Björk stał naprzeciwko niego i go beształ. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, mimo że były ku temu większe powody. Na przykład kiedy Wallander działał zbyt samodzielnie, nie informując innych.

– To było bardzo niefortunne – zakończył Björk - Nie dostaniesz oczywiście formalnego upomnienia. Ale jak powiedziałem, to było nierozsądne.



Wallander wbił wzrok w Björka. Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. W połowie drogi do swojego pokoju zawrócił, szarpnął drzwi do pokoju komendanta i rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Nie będę słuchał twoich głupot. Chcę tylko, żebyś wiedział. Możesz mi dać formalne upomnienie. Ale nie będę wysłuchiwał głupot.

Wyszedł z pokoju spocony. Ale nie żałował swojego wybuchu. Dobrze mu to zrobiło. Nie przejmował się wcale konsekwencjami. Jego pozycja była dostatecznie silna.

Przyniósł sobie z jadalni kawę i usiadł za biurkiem. Wiedział, że Björk wrócił ze Sztokholmu, gdzie był na kursie dla szefów. Musiał się tam dowiedzieć, że należy regularnie łączyć pracowników, aby poprawić atmosferę w miejscu pracy, pomyślał Wallander. Jeśli tak, to zaczął od niewłaściwej osoby.

Zastanawiał się, kto mógł donieść Björkowi, że przed południem odwoził ojca do Malmö.

Było kilka możliwości. Wallander już nie pamiętał, komu mówił o podróży ojca do Egiptu.

Był pewny jedynie Rydberga. Rydberg traktował Björka jako administracyjne zło konieczne i nic ponadto. I zawsze był lojalny wobec kolegów z pracy. Ale nie nade wszystko. Gdyby któryś z nich popełnił coś niewłaściwego, Rydberg pierwszy by zareagował.

Rozmyślenia przerwało mu pojawienie się Martinssona.

– Masz czas?

Wallander wskazał krzesło naprzeciwko.

Zaczęli rozmawiać o pożarze i o siostrach Eberhardsson. Lecz Wallander czuł, że Martinsson przyszedł w zupełnie innej sprawie.

– Chodzi o ten samolot – powiedział. – Koledzy ze Sjöbo się postarali. Zlokalizowali obszar na południowy zachód od miejsca, gdzie rzekomo zauważono tamtej nocy światła. O ile zrozumiałem, teren jest niezabudowany. Może to wskazywać na zrzut.

– Chcesz powiedzieć, że to były światła naprowadzające?

– To jedna z możliwości. W dodatku w okolicy jest

zatrzęsienie małych dróg. Łatwo się tam dostać i łatwo się ulotnić.

– To by przemawiało za naszą teorią.

– Mam jeszcze coś – dodał Martinsson. – Sprawdzili, kto mieszka w pobliżu. Większość to oczywiście rolnicy. Ale znaleźli jeden wyjątek.

Wallander słuchał uważnie.

– Jest jedno gospodarstwo, nazywa się Långelunda – ciągnął Martinsson. – Przez parę lat kręciły się tam różne typy i od czasu do czasu sprawiały kłopoty policji w Sjöbo. Jedni się wyprowadzali, drudzy się wprowadzali, sprawy własnościowe były niejasne. Kilka razy konfiskowano narkotyki. Niewielkie ilości, ale jednak.

Martinsson podrapał się w czoło.

– Kolega, z którym rozmawiałem, Göran Brunberg, wymienił parę nazwisk. Nie słuchałem zbyt uważnie. Ale jak odłożyłem słuchawkę, coś mi zaświtało. Zdawało mi się, że jedno nazwisko brzmiało znajomo. Z jakiejś całkiem świeżej sprawy.

Wallander wyprostował się na krześle.

– Chyba nie mieszka tam Yngve Leonard Holm? Miałby tam kryjówkę?

Martinsson przytaknął.

– Właśnie on. Trochę trwało, zanim na to wpadłem.

Do diabła, zaklął w duchu Wallander. Czuję, że on coś kręci. Chciałem go nawet zahaczyć o samolot. Ale musieliśmy go wypuścić.

– Zatrzymamy go – zakomunikował, uderzając pięścią w stół.

– To samo powiedziałem kolegom ze Sjöbo, kiedy się zorientowałem, o kim mowa. Ale kiedy pojechali do Långelundy, Holma już nie było.

– Jak to?

– Zniknął, przepadł, ulotnił się. Ale mieszkał tam. Mimo że w ostatnich latach był zameldowany w Ystad. I wybudował tu wielką willę. Policjanci przesłuchali parę innych osób, które tam przebywają. Zdaje się jakieś podejrzone typy. Holm był tam wczoraj. Potem zniknął i od tego czasu nikt go nie widział.

Sprawdziłem willę w Ystad, ale jest zamknięta na głucho.

– Czy jest coś dziwnego w tym, że zniknął? – zapytał Wallander po namyśle.

– Mieszkańcy domu faktycznie wyglądali na nieco zaniepokojonych.

– Jednym słowem może tu istnieć jakieś powiązanie – rzekł Wallander.

– Pomyślałem, że Holm mógł być w samolocie, który się rozbił.

– Wątpię – odrzekł Wallander. – To by znaczyło, że samolot wylądował, żeby go wziąć na pokład. Takiego miejsca policja w Sjöbo chyba nie znalazła? Zaimprovizowanego pasa do lądowania? Zresztą wtedy zaburza się cały przebieg czasowy.

– Może sprawnemu pilotowi w sportowym samolocie wystarczy do lądowania niewielki kawałek równego terenu.

Wallander nie bardzo w to wierzył. Mimo to nie wykluczał, że Martinsson ma rację. Z drugiej strony bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że Holm był zamieszany w handel narkotykami na dużo większą skalę, niż dotychczas przypuszczali.

– Będziemy nad tym pracowali – obiecał Wallander.

– Niestety spadnie to głównie na ciebie. My musimy się zająć zamordowanymi siostrami.

– Domyślcie się jakiegoś motywu?

– Nie mamy nic poza niezrozumiałą egzekucją i gwałtownym pożarem. Ale jeżeli w zgliszczach pozostał jakikolwiek ślad, Nyberg go odnajdzie.

Martinsson wyszedł. Myśli Wallandera krążyły pomiędzy samolotem a pożarem. Dochodziła druga. Ojciec powinien już być w Kairze. O ile samolot z Kastrup wyleciał punktualnie. Potem zastanawiał się nad dziwnym zachowaniem Björka. Znów ogarnęło go rozdrażnienie, lecz równocześnie satysfakcja, że mu się odciął.

Nie mógł się skoncentrować na przewracaniu papierków. Wsiadł do samochodu i pojechał na miejsce wypadku. Nyberg stał po kolana w rumowisku. Nadal było czuć intensywną woń spalenizny. Nyberg znowu zauważył Wallandera i wyszedł na

ulicę.

– Ludzie Edlera mówią, że wytworzyła się strasznie wysoka temperatura – powiedział. – Wszystko się chyba stopiło. To oczywiście przemawia za teorią, że mamy do czynienia z podpaleniem, które wywołało pożar jednocześnie w kilku miejscach. Być może za pomocą benzyny.

– Musimy schwytać sprawców.

– Miejmy nadzieję – odparł Nyberg. – Mam wrażenie, że to robota jakiegoś szaleńca.

– Albo wręcz przeciwnie. Kogoś, kto dobrze wiedział, co robi.

– W pasmanterii? U dwóch samotnych kobiet?

Nyberg potrząsnął z niedowierzaniem głową i wrócił na pogorzelnisko. Wallander przespacerował się do przystani. Potrzebował świeżego powietrza. Było kilka stopni mrozu i niemal bezwietrznie. Przystanął przed teatrem i przeczytał, że Riksteatern<sup>8</sup> przyjeżdża ze spektaklem *Gry snów* Strindberga. Szkoda, że nie z operą, pomyślał. Teatr go specjalnie nie pociągał.

Wszedł na pomost przystani jachtowej. Widział, jak z pobliskiego terminalu odpływa prom do Polski.

Chciałbym wiedzieć, ile tym razem przewozi skradzionych w Szwecji samochodów, pomyślał.

Wrócił do komendy o pół do czwartej. Ciekaw był, czy ojciec już się rozgościł w hotelu. I czy Björk udzieli mu upomnienia za nieobecność w pracy. O czwartej zebrał współpracowników w pokoju konferencyjnym. Omówili wydarzenia dnia. Materiał wciąż był skąpy.

– Zdumiewająco skąpy – nadmienił Rydberg. - W centrum Ystad płonie dom. I nikt niczego nie zauważył.

Svedberg i Hansson przekazali nieco zdobytych informacji. Siostry nigdy nie były zamężne. Miały rodzinę składającą się z bliższych i dalszych kuzynów. Nikt z nich nie mieszkał w Ystad. Dochody ze sklepu były przeciętne. Nie odnaleziono żadnych dużych pieniędzy na kontach w banku. Hansson doszukał się skrytki bankowej w Handelsbanken. Potrzebny był nakaz od

---

8 Państwowy teatr objazdowy (przyp. tłum.).

Pera Åkesona, żeby się do niej dostać. Hansson liczył, że jutro dostaną nakaz.

Kiedy skończyli, w pokoju zapadło przytłaczające milczenie.

– Musi być jakiś motyw – odezwał się Wallander. – Prędzej czy później do niego dotrzemy. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Kto znał dobrze siostry? – zapytał Rydberg. – Na pewno miały przyjaciół i nie sterczały przez cały boży dzień w sklepie. Może udzielały się w jakichś stowarzyszeniach? Miały letni dom? Jeździły na urlop? Moim zdaniem w dalszym ciągu poruszamy się zaledwie po powierzchni.

Głos Rydberga brzmiał chropawo. Dokuca mu pewnie ból, pomyślał Wallander. Chciałbym wiedzieć, co mu właściwie dolega. Czy to coś więcej niż zwykły reumatyzm.

Wszyscy się zgodzili ze słowami Rydberga. Rozeszli się do swoich zadań.

Wallander siedział w pokoju aż do ósmej. Zrobił na własny użytek podsumowanie wszystkich znanych faktów dotyczących siostr Eberhardsson. Zdał sobie sprawę, jak niewiele wie. Żadnego tropu.

Zanim wyszedł z biura, zadzwonił do Martinssona i dowiedział się, że Holm wciąż jeszcze się nie pojawił.

Potem pojechał do domu. Wściekły walczył z silnikiem, który nie chciał zapalić. Postanowił wziąć kredyt i kupić nowy samochód, jak tylko będzie miał trochę czasu.

Po powrocie do domu zszedł do pralni i zapisał się na określony dzień. Otworzył puszkę z gotowanymi podrobami i właśnie zasiadł przed telewizorem z talerzem na kolanach, gdy usłyszał telefon. Dzwoniła Emma, pytając, czy może przyjechać.

– Dziś wieczór nie – odparł. – Na pewno czytałaś o pożarze i siostrach. Harujemy na okrągło.

Emma nie protestowała. Kiedy odłożył słuchawkę, zastanawiał się, dlaczego nie powiedział jej, jak jest naprawdę. Że nie chce się już z nią spotykać. Ale postąpiłby jak skończony

tchórz, gdyby to powiedział przez telefon. Musi któregoś wieczoru wybrać się do niej do domu. Przrzekł sobie, że zrobi to, jak tylko czas mu na to pozwoli.

Wrócił do posiłku, który już zdążył ostygnąć. Dochodziła dziewiąta.

Znów odezwał się telefon. Zirytowany odstawił talerz i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Nyberg. Wciąż jeszcze był na miejscu pożaru i telefonował z radiowozu.

– Zdaje się, że wreszcie się do czegoś dokopaliśmy – zawiadomił. – Mamy kasę pancerną. Wysokiej jakości, ognioodporną.

– Dlaczego dopiero teraz?

– Dobre pytanie – pochwalił Nyberg. Nie czuł się dotknięty.

– Kasa tkwiła w podłożu. Pod rumowiskiem trafiliśmy na klapę z izolacją cieplną. Pod spodem była pusta przestrzeń, w której stała kasa.

– Otworzyliście ją?

– Niby czym? Nie ma kluczy. To kasa, w której trudno będzie wywiercić dziurę.

Wallander spojrzął na zegarek. Dziesięć po dziewiątej.

– Zaraz tam będę – powiedział. – Kto wie, czy nie znalazłeś tropu, którego szukamy.

Zszedł na dół, ale nie udało mu się uruchomić samochodu. Musiał iść na piechotę.

Dwadzieścia minut później stał u boku Nyberga, spoglądając na kasę oświetloną pojedynczym reflektorem. Temperatura zaczęła spadać i zerwał się porywisty wiatr ze wschodu.

## 6

Piętnastego grudnia, tuż po północy, Nybergowi i jego ludziom udało się podciągnąć kasę dźwigiem. Umieszczono ją na przyczepie ciężarówki i natychmiast przewieziono do komendy. Zanim Wallander i Nyberg poszli do domu, Nyberg obejrzał wnękę w podłożu.

– Powstała później niż dom – stwierdził. – Sądzę, że specjalnie po to, by wstawić kasę.

Wallander skinął w milczeniu głową. Myślał o siostrach Eberhardsson. Policjanci szukali motywu. Być może się go doszukali. Ciągłe jednak nie wiedzieli, co zawiera kasa.

Ale ktoś mógł wiedzieć, że kasa istnieje, pomyślał Wallander. I co się w niej kryje.

Nyberg i Wallander wyszli na ulicę.

– Czy można ją rozciąć? – zapytał komisarz.

– Oczywiście. Potrzebne są specjalne palniki. To nie jest coś, co można otworzyć, podkładając dynamit.

– Musimy się jak najszybciej dostać do środka.

Nyberg spojrział z niedowierzaniem na Wallandera.

– Chcesz ją otworzyć jeszcze dziś w nocy?

– Najchętniej. Mamy na karku podwójne morderstwo.

– Nie ma mowy – rzekł Nyberg. – Ludzi ze specjalnymi palnikami mogą ściągnąć dopiero jutro.

– Są tu na miejscu, w Ystad?

Nyberg się namyślał.

– Jest tu jedna firma, dostawca dla obrony – powiedział. – Na Industrigatan. Na pewno mają te palniki. Nazywa się chyba Fabricius.

Widać było, że jest wyczerpany. Wallander nie miał serca go męczyć. Zresztą sam też powinien odpocząć.

– Jutro o siódmej – rzucił na pożegnanie.

Nyberg kiwnął głową. Wallander rozejrzał się za samochodem i przypomniał sobie, że przecież nie mógł ruszyć spod domu. Nyberg by go podrzucił. Ale wolał się przejść. Wiał zimny wiatr. Na wystawie przy Stora Östergatan dostrzegł termometr. Minus sześć stopni. Skrada się zima, pomyślał. Niedługo do nas zawita.

Piętnastego grudnia, za minutę siódma, Nyberg wkroczył do pokoju Wallandera. Przed komisarzem leżała na biurku otwarta książka telefoniczna. Wcześniej poszedł obejrzyć kasę, którą umieszczono w chwilowo wolnym pokoju obok recepcji.

Policjant schodzący z nocnego dyżuru powiedział mu, że konieczny był podnośnik widłowy, żeby ją tam wstawić. Wallander zauważył ślady prowadzące do szklanych drzwi wejściowych i odkształcone umocowanie drzwi. Björk nie będzie zachwycony, pomyślał. Trudno, musi się z tym pogodzić. Kurt próbował bezskutecznie ruszyć kasę z miejsca. Wciąż się zastanawiał, co jest w środku. Czy w ogóle coś jest. Podczas gdy Nyberg telefonował do firmy na Industrigatan, Wallander poszedł po kawę. Spotkał Rydberga i powiedział mu o nocnym odkryciu.

– Tak jak przypuszczałem – skomentował wiadomość Rydberg. – Mamy zbyt mało informacji o dwóch siostrach.

– Staramy się załatwić palnik, żeby rozciąć kasę.

– Mam nadzieję, że mnie zawiadomisz, zanim otworzycie to cudo – rzekł Rydberg. – Chciałbym przy tym być.

Wallander wrócił do pokoju. Odniósł wrażenie, że Rydberg cierpi mniej niż zwykle.

Wszedł do pokoju, niosąc z filiżanki z kawą. Nyberg właśnie kończył rozmowę.

– Właśnie mówiłem z Rubenem Fabriciusem – oznajmił. – Twierdził, że sobie poradzą. Będą tu za pół godziny.

– Zawiadom mnie, jak przyjadą – poprosił Wallander.

Nyberg wyszedł z pokoju. Wallander myślał o ojcu w Kairze. Miał nadzieję, że jego marzenie się spełni. Patrzył na kartkę z numerem hotelu Mena House. Zastanawiał się, czy powinien tam zadzwonić. Ale nagle uświadomił sobie, że nie wie, czy między Szwecją a Egiptem jest jakaś różnica czasu, a jeżeli tak, to jaka. Porzucił myśl o telefonie i zamiast tego zadzwonił do Ebby i zapytał o swoich kolegów.

– Martinsson dzwonił, że jest w drodze do Sjöbo – poinformowała. – Svedberg jeszcze nie przyszedł. Hansson bierze prysznic. Ma w domu jakąś awarię.

– Za chwilę będziemy forsować kasę pancerną – oznajmił Wallander. – Może być trochę hałasu.

– Byłam ją obejrzyć – rzekła Emma. – Myślałam, że kasy pancerne są większe.

– W takiej też się dużo mieści.



– Niestety tak – odparła.

Wallander zastanawiał się, co miała na myśli. Czyżby się spodziewała, że w środku znajdą na przykład martwe dziecko? Albo odciętą głowę?

W drzwiach stanął Hansson. Miał jeszcze wilgotne włosy.

– Przed chwilą rozmawiałem z Björkiem – poinformował radośnie. – Zwrócił uwagę, że w nocy zostały uszkodzone drzwi wejściowe.

Hansson nic jeszcze nie wiedział o kasie. Wallander przekazał mu nowinę.

– Może to nas naprowadzi na motyw.

– W najlepszym przypadku – odrzekł Wallander. – W najgorszym kasa okaże się pusta. I wtedy będziemy rozumieć jeszcze mniej.

– Mogli ją przecież opróżnić zabójcy sióstr – sprzeciwił się Hansson. – Może zastrzelili jedną z nich, a drugą zmusili do otwarcia kasy?

Wallanderowi też przyszło to do głowy. Ale coś mu mówiło, że rzecz się nie odbyła w ten sposób. Nie umiał powiedzieć, skąd to przeczucie.

O trzeciej dwaj spawacze pod kierunkiem Rubena Fabriciusa zabrali się do rozcinania kasy. Obawy Nyberga okazały się uzasadnione. Była to ciężka praca.

– Specjalna stal – wyjaśnił Fabricius. – Zwyczajny amator musiałby spędzić całe życie, żeby się do niej dostać.

– A może dałoby się ją wysadzić? – zainteresował się Wallander.

– Jest ryzyko, że zawaliłyby się dom – odparł Fabricius. – Postawiłbym ją raczej na dworze. Ale przy dużej ilości materiałów wybuchowych kasa może się rozlecieć na kawałki, a jej zawartość spłonąć lub obrócić się w proch.

Fabricius był roslym, mocno zbudowanym mężczyzną i każde zdanie kończył krótkim śmiechem.

– Taka kasa kosztuje z pewnością jakieś sto tysięcy koron – powiedział i zachichotał.

Wallander był zaskoczony.

– Aż tyle?

– Bez dwóch zdań.

Jedno jest pewne, pomyślał Wallander, wspominając wczorajsze sprawozdanie na temat sytuacji finansowej zmarłych kobiet. Siostry miały znacznie więcej pieniędzy, niż deklarowały do urzędu skarbowego. Osiągały dodatkowe, nieopodatkowane dochody. Ale co tak cennego sprzedaje się w pasmanterii? Złote nici? Diamentowe guziki?

Kwadrans po dziewiętej spawacze zgasili palniki. Fabricius skinął głową na Wallandera i parsknął śmiechem.

– Gotowe – oznajmił.

Dołączyli do nich Rydberg, Hansson i Svedberg. Nyberg przez cały czas obserwował postępy pracy. Teraz podważył łomem tylną ścianę kasy, rozciętą przez spawaczy. Wszyscy pochylili się do przodu. Wallander ujrzał paczki zapakowane w białą plastikową folię. Nyberg wziął do ręki jedną z nich. Folia była owinięta taśmą klejącą. Nyberg położył paczkę na krześle i przeciął taśmę. Wewnątrz znajdował się gruby plik pieniędzy. Amerykańskie studolarowe banknoty. Dziesięć plików, w każdym po dziesięć tysięcy dolarów.

– Kupa pieniędzy – stwierdził Wallander.

Delikatnie wyjął jeden banknot i spojrzał na niego pod światło. Wyglądał na autentyczny.

Nyberg wyjmował pozostałe paczki i otwierał jedną za drugą. Fabricius stał z tyłu i parsknął śmiechem przy każdej nowo otwieranej paczce.

– Zabierzemy resztę do konferencyjnego – zdecydował Wallander.

Podziękował Fabriciusowi i mężczyznom, którzy rozcięli kasę.

– Wyślijcie fakturę. Bez was nie dalibyśmy sobie rady.

– Myślę, że nie będziemy sobie za to liczyć – odparł Fabricius. – Dla zawodowca to prawdziwa gratka. I na dodatek znakomite szkolenie.

– Nie trzeba opowiadać o tym, co było w kasie – powiedział Wallander, starając się, by słowa brzmiały stanowczo.

Fabricius zaśmiał się i zsalutował. I nie był to wcale żart.

Kiedy wszystkie paczki zostały otwarte, a banknoty

przeliczone, Wallander dokonał pobieżnego rachunku. Większość stanowiły amerykańskie dolary. Poza tym były funty angielskie i szwajcarskie franki.

– Wychodzi około pięciu milionów szwedzkich koron – stwierdził. – Całkiem niezła suma.

– Nie było już miejsca na więcej – zauważył Rydberg. – Jeśli zatem motywem zabójstwa były pieniądze, to ci, którzy zastrzelili siostry, nie znaleźli tego, czego się spodziewali.

– W każdym razie mamy jakiś motyw. Kasa pancerna była dobrze schowana. Według Nyberga od iluś już lat. W pewnym momencie siostry uznały, że mają do przechowania duże sumy pieniędzy, które trzeba zataić. Banknoty dolarowe są prawie nieużywane. Można je chyba zidentyfikować. W jaki sposób znalazły się na terenie Szwecji? Legalnie czy nie? Musimy jak najszybciej poszukać odpowiedzi na wiele innych pytań. Z kim przyjaźniły się siostry? Jaki prowadziły tryb życia?

– I co ukrywały – wtrącił Rydberg. – To nie mniej ważne.

Pod koniec zebrania zjawił się Björk. Widok pieniędzy rozłożonych na stole wprowadził go w osłupienie.

– Trzeba zrobić dokładny spis – zlecił, kiedy Wallander, z pewnymi oporami, wyjaśnił mu ich pochodzenie. – Tak, żeby nic nie zginęło. A przy okazji: co się stało z drzwiami do budynku komendy?

– Wypadek przy pracy – wyjaśnił Wallander. – W czasie podnoszenia kasy pancerniej.

Powiedział to z takim naciskiem, że zamknął Björkowi usta.

Rozeszli się do swoich zadań. Wallander wymknął się szybko z pokoju, żeby nie znaleźć się sam na sam z Björkiem. Przypadło mu w udziale skontaktowanie się z lokalnym towarzystwem ochrony zwierząt, w którym, jak poinformował jeden z sąsiadów, działała Emilia. Od Svedberga dostał nazwisko i adres osoby kontaktowej: Tyra Olofsson, Kåringatan 11. Na widok nazwy ulicy wybuchnął śmiechem. Takich nazw jak w Ystad nie ma chyba w całej Szwecji.

Przed wyjściem z komendy Wallander zadzwonił do Arnego Hurtiga, sprzedawcy samochodów. Powiedział mu o problemach z peugeotem. Hurtig wymienił kilka aut, ale

komisarz uznał, że są zbyt drogie. Hurtig zaproponował wtedy niezłą cenę za jego peugeota, pod warunkiem że pozostanie przy tej samej marce. Na tym stanęło. Wallander zadzwonił do swojego banku. Po kilku minutach połączył się z doradcą i poprosił o kredyt na 20 000 koron. Nie było żadnych przeszkód. Umówił się na następny dzień na podpisanie wymaganych dokumentów i odbiór gotówki.

Myśl o nowym samochodzie wprawiła go w dobry humor. Nie wiedział, dlaczego zawsze kupuje peugeota. To pewnie przyzwyczajenie, pomyślał. Odgrywa większą rolę, niż przypuszczam. Przystanął przed drzwiami do budynku komendy i spojrzał na wygiętą ramę drzwi wejściowych. Skorzystał z tego, że akurat przechodził, i kopnął w drzwi. Wgniecenie się powiększyło. Odszedł szybko, kuląc się na porywistym wietrze. Powinien był zatelefonować do Tyry Olofsson i upewnić się, czy jest w domu. Co prawda jest na emeryturze, więc może ją zastanie.

Zadzwonił do drzwi i natychmiast się otworzyły. Tyra Olofsson była niewielkiego wzrostu i nosiła grube szkła krótkowidza. Wallander się przedstawił i okazał policyjną legitymację. Studiowała ją dokładnie z odległości kilku centymetrów.

– Policja – stwierdziła. – To chyba w sprawie biednej Emilii.

– Zgadza się – przytaknął Wallander. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Zaprosiła go do środka. W korytarzu poczuł silną woń psiej sierści. Weszli do kuchni. Na podłodze doliczył się czternastu misek z jedzeniem. Gorzej niż u Haverberga, pomyślał.

– Trzymam je na zewnątrz – wyjaśniła Tyra Olofsson, zauważywszy jego spojrzenie.

Wallander się zastanawiał, czy w mieście wolno mieć aż tyle psów. Tyra spytała, czy napije się kawy. Komisarz podziękował. Był głodny i zamierzał zjeść obiad, jak tylko skończy z nią rozmawiać. Usiadł przy stole i bezskutecznie szukał w kieszeniach czegoś do pisania. Tym razem pamiętał, żeby zabrać ze sobą mały notes, natomiast zapomniał pióra. Sięgnął po długopis leżący na parapecie.

– Zgadła pani – przytaknęła. – Chodzi o tragicznie zmarłą Emilię Eberhardsson. Dowiedzieliśmy się od jednego z sąsiadów, że działała w towarzystwie opieki nad zwierzętami i pani ją dobrze знаła.

– Proszę mi mówić po imieniu – poprosiła. – Skłamałabym, gdybym powiedziała, że ją dobrze znałam. Nikt chyba jej dobrze nie znał.

– Anna, jej siostra, nie działała w towarzystwie?

– Nie.

– Czy to nie dziwne? Dwie niezamężne siostry, które mieszkają razem. Myślałem, że dzielą również zainteresowania.

– To stereotyp – zawyrokowała stanowczo. – Anna i Emilia to były całkiem różne osoby. Przez całe życie pracowałam w szkole. W tej pracy człowiek uczy się dostrzegać różnice. Są widoczne już u małych dzieci.

– Jak opisałyby pani Emilię?

Odpowiedź go zaskoczyła.

– Przemądrzała. Uważała, że wszystko wie najlepiej. Potrafiła być bardzo nieprzyjemna. Ale nie mogliśmy się jej pozbyć, bo dawała pieniądze na naszą działalność. Nawet gdybyśmy chcieli.

Tyra Olofsson opowiadała o lokalnym towarzystwie przyjaciół zwierząt, które powstało w latach sześćdziesiątych i którego była współzałożycielką. Przedtem działali na własną rękę, a myśl o stworzeniu towarzystwa powstała, gdy zaczęli znajdować koty, porzucone przez właścicieli wyjeżdżających na wakacje. Zawsze mieli niewielką liczbę członków. Pewnego dnia, na początku 1970 roku, skontaktowała się z nimi Emilia Eberhardsson, która dowiedziała się o istnieniu towarzystwa z dziennika „Ystads Allehanda”. Co miesiąc wspierała ich finansowo, brała udział w zebraniach i innych formach działalności.

– Tak naprawdę, ona chyba nie lubiła zwierząt – rzuciła nieoczekiwanie Tyra Olofsson. – Myślę, że przystąpiła do nas, żeby ludzie dobrze o niej myśleli.

– Niezbyt pochlebna opinia.

Kobieta za stołem spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Sądziłam, że policja chce znać prawdę. Czyżbym się myliła?

Wallander zmienił temat i zapytał ją o pieniądze.

– Dawała tysiąc koron miesięcznie. Dla nas to było dużo.

– Czy sprawiała wrażenie zamożnej?

– Nie nosiła specjalnie drogich ubrań. Ale na pewno miała pieniądze.

– Musiała się pani zastanawiać, skąd je ma. Sklep z pasmanterią nie kojarzy się z wielkim majątkiem.

– Tysiąc koron miesięcznie też nie. Ja nie należę do ciekawskich. Może dlatego, że tak słabo widzę? I nie mam pojęcia, skąd były pieniądze ani jakie dochody przynosiła im pasmanteria.

Wallander chwilę się wahał. Potem postanowił powiedzieć prawdę.

– Z informacji w prasie wynika, że siostry zginęły w płomieniach – powiedział. – Ale nie napisano, że zostały zastrzelone. Nie żyły już, kiedy się zaczęło palić.

Wyprostowała się na krześle.

– Kto miałby zastrzelić dwie starsze panie? To tak jakby ktoś chciał mnie zastrzelić.

– Próbujemy to wyjaśnić. Dlatego tu jestem. Czy Emilia nie wspominała, że ma wrogów? Może sprawiała czasem wrażenie zalęknionej?

– Była zawsze bardzo pewna siebie – odpowiedziała bez chwili zastanowienia Tyra Olofsson. – Nigdy nic nie mówiła ani o sobie, ani o siostrze. Nigdy nie wysłała pocztówki z żadnego wyjazdu. A tyle jest pięknych pocztówek ze zdjęciami zwierząt.

Wallander uniósł brwi, zdziwiony.

– Czy one często wyjeżdżały?

– Co roku na dwa miesiące. W listopadzie i w marcu. Nieraz jeszcze w lecie.

– Wie pani, dokąd jeździły?

– Słyszałam, że do Hiszpanii.

– A kto prowadził sklep?

– Wyjeżdżały na zmianę. Może chciały czasem od siebie odpocząć.

– Do Hiszpanii? A co jeszcze pani słyszała? Od kogo?

– Nie pamiętam. Nie mam zwyczaju słuchać plotek. Może jechały do Marbelli. Ale nie jestem pewna.

Wallander był ciekaw, czy Tyra Olofsson rzeczywiście nie interesuje się pogłoskami, czy tylko udaje. Zadał jej jeszcze jedno pytanie.

– Kto według pani najlepiej znał Emilię?

– Sądzę, że jej siostra.

Wallander podziękował i wrócił do komendy. Wiatr się wzmagał. Zastanawiał się nad słowami Tyry. Odpowiadała bardzo rzeczowo, bez cienia złośliwości. Po prostu nie miała dobrego zdania o Emilii Eberhardsson.

Po powrocie do komendy usłyszał od Ebby, że szukał go Rydberg. Udał się prosto do jego biura.

– Zaczyna się przejaśniać – oznajmił Rydberg. - Zwołajmy spotkanie grupy. Wiem, że wszyscy są na miejscu.

– Co się stało?

– KDPW – oświadczył, wymachując plikiem papierów. – Interesująca lektura.

Wallander dopiero po chwili się zorientował, że chodzi o Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych, który, między innymi, prowadzi ewidencję papierów wartościowych.

– Jeżeli o mnie chodzi, udało mi się ustalić, że jedna z sióstr była zdecydowanie nieprzyjemną osobą – poinformował.

– Wcale mnie to nie dziwi – zarechotał Rydberg. - To cecha bogaczy.

– Bogaczy?

– Z ewidencji Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych wynika, że siostry Eberhardsson posiadały papiery wartości około dziesięciu milionów koron. Pozostaje zagadką, w jaki sposób uniknęły podatku od wzbogacenia. Zdaje się, że nie płaciły również podatku od dochodu z kapitału. Narobiłem trochę zamieszania w skarbówce. Wygląda na to, że Anna Eberhardsson była zameldowana na stałe w Hiszpanii. Ale ta

informacja nie jest jeszcze do końca pewna. W każdym razie miały duże ilości papierów wartościowych zarówno w Szwecji, jak i za granicą. Krajowy Depozyt nie ma praktycznie możliwości kontroli udziałów za granicą. Zresztą to do nich nie należy. Siostry z upodobaniem inwestowały pieniądze w brytyjski przemysł zbrojeniowy i lotnictwo, wykazując przy tym znaczne umiejętności i przebojowość.

Rydberg odłożył papiery.

– Nie można wykluczyć, że to, co widzimy, jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. Pięć milionów w kasie pancерnej, dziesięć w akcjach i funduszach. Zajęło nam tylko kilka godzin, żeby to wykryć. A co będzie za tydzień? Może dojdziemy do stu milionów?

Wallander opowiedział mu o rozmowie z Tyrą Olofsson.

– Anna miała nie lepszą opinię – odparł na to Svedberg. – Rozmawiałem z człowiekiem, który pięć lat temu sprzedał im dom. W okresie kiedy rynek nieruchomości zaczynał się chwiać. Przedtem go od niego wynajmowały. Negocjacje prowadziła Anna. Emilii nigdy nie widział na oczy. Wyznał, że nigdy przedtem nie miał tak uciążliwego klienta. W dodatku wywęszyła, że jego firma miała wtedy problemy z płynnością. Pamiętał, że była bezwzględna i mniej lub bardziej uciekała się do szantażu.

– Nie tak wyobrażaliśmy sobie dwie starsze panie, które sprzedają guziki – powiedział, potrząsając głową. Obaj zamilkli.

Pierwszy przerwał ciszę Wallander.

– W pewnym sensie jest to przełom w śledztwie – zaczął. – Co prawda wciąż nie wiemy, kto je zabił, ale mamy ewentualny motyw. Najbardziej pospolity, jaki istnieje: pieniądze. Wiemy również, że kobiety popełniły przestępstwo podatkowe, ukrywając przed skarbowką ogromne sumy. I że były bogate. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyszła na jaw posiadłość w Hiszpanii. Albo jakieś duże pieniądze w innych częściach świata.

Nalał sobie szklanekę wody mineralnej.

– Wszystko, czego się dotychczas dowiedzieliśmy,



doprowadza nas do dwóch pytań. Skąd one miały pieniądze? Kto wiedział o ich majątku?

W chwili gdy podnosił szklanke do ust, zobaczył, że Rydberg zadrżał, jakby go coś dźgnęło.

Potem zwałił się twarzą na stół. Zupełnie jak martwy.

## 7

Przez pierwsze kilka sekund Wallander myślał, że Rydberg nie żyje. Wszyscy w pokoju byli przekonani, że wysiadło mu serce. Pierwszy zareagował Svedberg. Siedział obok Rydberga i zorientował się, że on oddycha. Złapał za telefon i zadzwonił na pogotowie. Wallander i Hansson przenieśli Rydberga na podłogę i rozpięli mu koszulę. Wallander przyłożył ucho do jego piersi. Słyszał pospieszne bicie serca. Kiedy przyjechała karetka, zabrał się nią do szpitala. Rydbergiem natychmiast się zajęto i po niespełna półgodzinie Wallander już wiedział, że nie był to atak serca. Przyczyny zasląbnienia nie ustalono. Rydberg był przytomny, lecz na widok Wallandera pokręcił głową, na znak, że nie chce rozmawiać. Zatrzymano go w szpitalu na obserwacji. Jego stan był stabilny. Wallander nie miał powodu dłużej tam przebywać. Poszedł do czekającego radiowozu i pojechał do komendy. Jego koledzy nadal siedzieli w pokoju konferencyjnym. Zjawił się również Björk. Wallander przekazał im, że sytuacja jest pod kontrolą.

– Za dużo harujemy – powiedział, zwracając się do Björka. – Mamy coraz więcej roboty i wciąż tyle samo personelu. Prędej czy później wszyscy skończymy jak Rydberg.

– Sytuacja jest trudna – przyznał Björk. – Ale mamy ograniczone środki.

Przez następne pół godziny nic się nie działo. Wszyscy byli podenerwowani i narzekali na warunki pracy. Po wyjściu Björka mówili jeszcze ostrzej. O bezsensownym planowaniu, niezrozumiałych priorytetach na gorze i brakach w komunikacji.

Okolo drugiej Wallander zdecydował, że muszą podjąć

pracę. Częściowo ze względu na siebie. Zdał sobie sprawę, że to, co przydarzyło się Rydbergowi, mogło się równie dobrze przydarzyć jemu. Jak długo wytrzyma ten tryb życia? Byle jakie jedzenie, częste okresy bezsenności? A na dodatek rozwód i związaną z tym depresję.

– Rydberg nie byłby zadowolony – odezwał się. – Że tracimy czas na tego rodzaju dyskusję. Wrócimy do niej później. Teraz musimy schwytać podwójnego zabójcę. I to jak najszybciej.

Rozeszli się. Wallander poszedł do siebie i zadzwonił do szpitala. Rydberg spał. Było za wcześnie, żeby stwierdzić, dlaczego stracił przytomność.

W chwili gdy odkładał słuchawkę, do pokoju wszedł Martinsson.

– Co się stało? – zapytał. – Byłem w Sjöbo. Zobaczyłem w recepcji, że Ebba jest okropnie zdenerwowana.

Wallander powiedział mu o Rydbergu. Martinsson ciężko opadł na krzesło.

– Zaharujemy się na śmierć – skonstatował. – I kto nam za to podziękuje?

Wallander czuł wzrastające zniecierpliwienie. Nie chciał już dłużej mówić o Rydbergu. W każdym razie nie w tej chwili.

– Sjöbo – przypomniał. – Co stamtąd przywozisz?

– Łaziłem po gliniastych polach – odparł Martinsson. – Udało nam się całkiem dokładnie zlokalizować światła. Ale nigdzie nie było najmniejszego śladu reflektorów ani samolotu. Wyjaśniło się natomiast, dlaczego nie można go było zidentyfikować.

– Jak to?

– Ten samolot po prostu nie istnieje.

– Co to znaczy?

Martinsson gmerał przez chwilę w papierach, które wyjął z teczeki.

– Z ewidencji prowadzonej przez fabrykę Pipera wynika, że samolot rozbił się w 1986 roku w Vientianie. Należał do laotańskiego konsorcjum, którego szefowie latali po kraju, wizytując tereny upraw rolnych. Oficjalną przyczyną katastrofy był brak paliwa. Nie było zabitych ani rannych. Ale z samolotu

została kupa złomu i usunięto go ze wszystkich aktualnych rejestrów. Uzyskaliśmy te informacje po sprawdzeniu numeru silnika.

– Ale to nieprawda?

– Fabryka Pipera jest naturalnie bardzo zainteresowana tym, co się wydarzyło. Nie tylko dlatego, że samolot, którego nie ma, znowu zaczął latać. W grę może wchodzić ubezpieczeniowe oszustwo i różne inne rzeczy, o których nie mamy pojęcia.

– A ludzie w samolocie?

– Czekamy, aż ich zidentyfikują. Mam trochę kontaktów w Interpolu, obiecali, że się pospieszą.

– Ten samolot musiał skądś przylecieć.

Martinsson skinął potakująco głową.

– To jest kolejny problem. Maszyna wyposażona w dodatkowy zbiornik paliwa może polecieć bardzo daleko. Nyberg sądzi, że udało mu się odnaleźć resztki czegoś, co wygląda na dodatkowy zbiornik. Ale nie jest całkiem pewien. Gdyby tak było, to samolot mógł przylecieć skądkolwiek. W każdym razie z Anglii i Europy Środkowej.

– Musiał go przecież ktoś zauważyć – nalegał Wallander. – Nie można tak po prostu przelecieć sobie nad granicami.

– Ja też tak uważam – przytaknął Martinsson. – Dlatego stawiam na Niemcy. Stamtąd leci się nad otwartym morzem aż do samej granicy Szwecji.

– A co na to niemiecki urząd zarządzania przestrzenią powietrzną?

– Wszystko zajmuje czas. Ale pamiętam o tym.

– Właściwie przydałbyś się w sprawie podwójnego zabójstwa – powiedział Wallander po chwili namysłu. Czy mógłbyś przekazać część swoich zadań komuś innemu? W każdym razie do czasu, kiedy otrzymamy odpowiedź w sprawie pilotów i wiadomość od Niemców.

– Chciałem to samo zaproponować – ucieszył się Martinsson.

Wallander rzucił okiem na zegarek.

– Poproś Svedberga lub Hanssona, żeby cię zapoznali z

dotychczasowym materiałem.

Martinsson wstał.

– Masz jakieś wieści z Egiptu?

– Ojciec nie ma zwyczaju dzwonić bez potrzeby.

– Mój stary umarł, jak miał pięćdziesiąt pięć lat – powiedział nagle Martinsson. – Prowadził własną firmę blacharską. Harował jak wół, żeby wyjść na swoje. A kiedy wreszcie coś się ruszyło, umarł. Gdyby żył, miałby dopiero sześćdziesiąt siedem lat.

Martinsson wyszedł. Wallander starał się nie myśleć o Rydbergu. Usiłował uporządkować wszystkie dotychczasowe informacje o siostrach Eberhardsson. Mieli prawdopodobny motyw, pieniądze, ale nie mieli żadnego tropu, który prowadziłby do zabójcy. Wallander zanotował kilka słów w swoim notesie.

Podwójne życie siostr Eberhardsson?

Odsunął notes. Bez Rydberga, zabrakło im najlepszego instrumentu. Jeśliby grupę dochodzeniową porównać do orkiestry, to stracilibyśmy pierwszego skrzypka. A bez niego orkiestra nie brzmi dobrze.

W tej samej chwili postanowił sam się rozmówić z osobą z sąsiedztwa, od której pochodziły informacje o Annie Eberhardsson. Svedbergowi często brakowało cierpliwości, kiedy wypytywał świadków o to, co widzieli czy słyszeli. Równie ważne jest wiedzieć, co ludzie myślą, powiedział do siebie. Odszukał nazwisko. Była to kobieta, Linnea Gunnér. Same kobiety w tym śledztwie, pomyślał. Wybrał jej numer i odebrała telefon. Zaprosiła go do siebie i podała kod do wejścia.

Wyszedł z komendy tuż po trzeciej i znowu kopnął w uszkodzone drzwi. Rama odgięła się jeszcze bardziej. Na pogorzeliśku maszyny już oczyszczały teren. Wciąż jeszcze zatrzymywali się gapie.

Linnea Gunnér mieszkała na Møllegatan. Wallander wybrał kod i wszedł na drugie piętro. Dom był z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, z pięknymi malowidłami na klatce schodowej. Na drzwiach mieszkania

pani Gunnér wisiała duża wywieszka, na której drukowanymi literami widniała prośba o niewrzucanie reklam. Wallander nacisnął przycisk dzwonnka. Kobieta, która mu otworzyła, była pod każdym względem przeciwieństwem Tory Olofsson. Wysoka, o bystrym spojrzeniu i stanowczym głosie. Wprowadziła go do mieszkania pełnego niezliczonej ilości przedmiotów pochodzących z różnych części świata. W salonie stał nawet galion. Wallander długo mu się przyglądał.

– Należał do żaglowca „Felicja”, który wywrócił się i zatonął w Morzu Irlandzkim – wyjaśniła. – Nabyłam go za parę groszy w Middlesborough.

– Pływała pani na morzu?

– Przez całe życie. Najpierw jako kucharka, potem hostessa.

Nie pochodziła ze Skanii. Miała raczej akcent ze Smalandii albo z Östergötland.

– Skąd pani pochodzi? – zapytał.

– Z Skänninge w Östergötland. Trudno mieszkać dalej od morza.

– I wylądowała pani w Ystad?

– To mieszkanie po mojej ciotce. Stąd mogę patrzeć na morze.

Na stole czekała kawa. Wallander pomyślał, że jego żołądek najmniej ze wszystkiego potrzebuje kawy, ale nie odmówił. Od razu poczuł zaufanie do Linnei Gunner. Widział w papierach Svedberga, że ma sześćdziesiąt sześć lat. Wyglądała dużo młodziej.

– Był u pani mój kolega Svedberg – zaczął.

Wybuchnęła śmiechem.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak często drapał się w czoło.

Wallander pokiwał głową.

– Każdy z nas ma jakieś dziwactwa. Na przykład ja zawsze przewiduję, że pojawi się więcej pytań, niż na to z początku wygląda.

– Opowiadałam tylko o wrażeniu, jakie zrobiła na mnie Anna.

– A Emilia?

– Były różne. Anna mówiła szybko, krótkimi zdaniami, Emilia była raczej małowówna. Ale obie były równie niesympatyczne. Zapatrzone w siebie.

– Jak dobrze je pani znała?

– Nie znałam ich. Czasami mijałyśmy się na ulicy. Pozdrawiałyśmy się, to wszystko. Ponieważ lubię haftować, często do nich zachodziłam. Zawsze miały to, czego potrzebowałam. Jeżeli coś zamawiały, bardzo szybko przychodziło. Ale nie były miłe.

– Nieraz trzeba czasu – rzekł Wallander. – Po to, by pamięć wyłowiła coś, co tkwi głęboko.

– Na przykład?

– Nie wiem. Jakaś niespodziewana sytuacja. Coś innego niż zwykle.

Namyślała się. Wallander przyglądał się pięknemu mosiężnemu kompasowi na komodzie.

– Nigdy nie grzeszyłam dobrą pamięcią – odrzekła.

– Ale teraz faktycznie przypominam sobie jedną rzecz, która zdarzyła się w ubiegłym roku. Chyba na wiosnę. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

– Wszystko może mieć znaczenie – zapewnił Wallander.

– Poszłam do sklepu pewnego popołudnia. Potrzebne mi były nici. Niebieskie, to pamiętam. Za ladą stały obie siostry, Emilia i Anna. Kiedy płaciłam za nici, do środka wszedł jakiś mężczyzna. Pamiętam, że przystanął zaskoczony. Jak gdyby się nie spodziewał, że zastanie kogoś w sklepie. Anna była wściekła. Posłała Emilii mordercze spojrzenie. Mężczyzna wyszedł. Miał w ręku teczkę. Zapłaciłam za nici i wyszłam.

– Może go pani opisać?

– Nie miał tak zwanego typowego szwedzkiego wyglądu. Ciemne włosy, dość niski, z czarnymi wąsami.

– W co był ubrany?

– W garnitur. Chyba w dobrym gatunku.

– A teczka?

– Zwykła, czarna.

– To wszystko?

Zastanowiła się jeszcze przez chwilę.

- Wszystko, co pamiętam.
- Widziała go pani tylko ten jeden raz?
- Tak.

Wallander zdawał sobie sprawę z wagi usłyszonej informacji. Nie wiedział jeszcze, co z niej wynika. Ale potwierdziła jego przeświadczenie, że siostry prowadziły podwójne życie. Stopniowo zanurzał się pod powierzchnię.

Wstał i podziękował za kawę.

– Co się właściwie stało? – zapytała, kiedy stali w korytarzu.  
– Obudziłam się, bo paliło się jakby w moim pokoju. Od płomieni bił taki blask, że myślałam, że pali się u mnie.

– Anna i Emilia zostały zamordowane – powiedział Wallander.

– Kto mógł coś takiego zrobić?

– Gdybym wiedział, toby mnie tu nie było – odparł Wallander, żegnając się z Linneą Gunnér.

Na ulicy przystanął na moment przy rumowisku i patrzył, jak spychacz napełniał przyczepę ciężarówki. Usiłował wyobrazić sobie przebieg wydarzeń. Tak jak uczył go Rydberg. Wejść do pomieszczenia, gdzie szalała śmierć, i starać się odtworzyć tragedię. Ale tu nawet nie ma pomieszczenia, pomyślał. Nic nie zostało.

Wracał w kierunku Hamngatan. Obok domu, w którym mieszkała Linnea Gunnér, mieściło się biuro podróży. Przystanął na widok afisza w oknie, na którym widniało zdjęcie piramid pod Kairem. Ojciec wraca za cztery dni. Wallander żałował teraz swojej reakcji. Dlaczego odwoził ojca od spełnienia marzeń? Przyglądał się pozostałym afiszom w oknie: Majorka, Kreta, Hiszpania.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Sprzedawcy byli zajęci. Wallander usiadł. Kiedy młoda, zaledwie dwudziestoletnia kobieta skończyła załatwiać klienta, podszedł i zajął miejsce przy jej stole. Czekał jeszcze kilka minut, podczas gdy rozmawiała przez telefon. Na stole stała tabliczka z jej nazwiskiem – Anette Bengtsson. Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się.

Chce pan wyjechać? – zapytała. – Na święta i Nowy Rok

zostały już pojedyncze miejsca.

– Mam nieco inną sprawę – rzekł Wallander, wyjmując legitymację. – Wie pani z pewnością o dwóch starszych kobietach, które spłonęły po drugiej stronie ulicy?

– To straszna historia.

– Znała je pani?

Odpowiedź przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania.

– Wykupywały u nas swoje podróże. To potworne, że już nie żyją. Emilia miała jechać w styczniu. Anna w kwietniu.

Wallander powoli kiwał głową.

– Dokąd miałyjechać?

– Jak zwykle. Do Hiszpanii.

– A dokładniej?

– Do Marbelli. Miały tam dom.

Dalszy ciąg zaskoczył go jeszcze bardziej.

– Znam ten dom. W ubiegłym roku byłem w Marbelli na szkoleniu. Konkurencja między biurami podróży jest ostra. W wolny dzień pojechałam go zobaczyć. Znałam przecież adres.

– Był duży?

– Prawdziwy pałac. Z wielkim terenem. Wysoki mur i strażnicy.

– Czy może pani zapisać adres? – poprosił Wallander, starając się ukryć emocje.

Odszukała adres w swoich papierach i zanotowała na kartce papieru.

– Mówiła pani, że Emilia miała wyjechać w styczniu?

Włączyła komputer.

– Siódmego stycznia – odparła. – Z Kastrup o dziewiątej pięć, z międzylądowaniem w Madrycie.

Wallander wziął ze stołu długopis i notował.

– Więc nie leciały czarterem?

– Nigdy. Zawsze pierwszą klasą.

Zgadza się, pomyślał Wallander. Tym paniom dobrze się powodziło.

Podawała mu nazwę linii lotniczych, którymi miała lecieć Emilia. Iberia.

– Nie wiem, co teraz będzie – zatroskała się. – Bilet jest



zapłacony.

– To się jakoś rozwiąże – uspokoił ją Wallander. - W jaki sposób płaciły za bilety?

– Zawsze gotówką. Banknotami po tysiąc koron.

Wallander wsunął notatnik do kieszeni i wstał.

– Bardzo pani nam pomogła – powiedział. – Jak będę gdzieś jechał następnym razem, wykupię u pani podróż. Ale będę leciał czarterem.

Dochodziła czwarta. Wallander mijał bank, gdzie nazajutrz miał dostać kredyt na zakup samochodu. Kulił się na wietrze, przechodząc przez plac. Dwadzieścia po czwartej był w komendzie. Po raz kolejny wymierzył kopniaka w drzwi. Stało się to już rytuałem. Ebba poinformowała go, że Hansson i Svedberg są w terenie. Ale co ważniejsze, dzwoniła do szpitala i rozmawiała z Rydbergiem. Mówił, że czuje się dobrze, ale zostanie jeszcze przez noc w szpitalu.

– Wpadnę go odwiedzić.

– Mówił o tym pod koniec rozmowy – dodała Ebba. - Pod żadnym pozorem nie życzy sobie odwiedzin ani telefonów. A tym bardziej kwiatów.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Wallander. – To do niego pasuje.

– Za dużo pracujecie, źle się odżywiacie i macie za mało ruchu.

Wallander pochylił się w jej stronę.

– Ty też – powiedział. – Też nie jesteś tak samo szczupła jak kilka lat temu.

Ebba wybuchnęła śmiechem. Wallander udał się do jadalni i znalazł pozostawione przez kogoś pół bochenka chleba. Zrobił sobie kilka kanapek i poszedł do pokoju. Streścił pisemnie wypowiedzi Linnei Gunner i Anette Bengtsson. Skończył kwadrans po piątej i przejrzał to, co zapisał. Zastanawiał się nad dalszymi działaniami. Pieniądze skądś pochodzą, myślał. Mężczyzna wchodzi do sklepu i zawraca w drzwiach. Dostali częściowy rysopis.

Pozostaje pytanie, co się za tym wszystkim kryje. I dlaczego kobiety zostały zamordowane tak niespodziewanie? Zupełnie

jakby coś nawaliło i cała konstrukcja nagle się rozpadła.

Z nadejściem szóstej jeszcze raz próbował zebrać swoich współpracowników. Ale na miejscu był tylko Martinsson. Postanowili zwołać zebranie nazajutrz o ósmej rano. Wallander wyciągnął nogi na stole i nadal rozmyślał o podwójnym zabójstwie. Nic nowego nie przychodziło mu do głowy, wobec tego uznał, że może równie dobrze główkować w domu. Na dodatek musiał jeszcze opróżnić samochód, zanim odstawi go jutro do dilerza.

Wkładał właśnie kurtkę, kiedy do pokoju wszedł Martinsson.

– Może lepiej, żebyś usiadł – zaproponował.

– Dobrze mi się stoi – zirytował się Wallander. – Co znowu?

Martinsson był wyraźnie zakłopotany. W rękę trzymał faks.

– Właśnie przyszedł z MSZ-etu – poinformował.

Podał faks Wallanderowi, który czytał, nie rozumiejąc. Po chwili usiadł za biurkiem i zaczął czytać od nowa, powoli, słowo po słowie.

Teraz do niego dotarło. Nie mógł uwierzyć, że to prawda.

– Tu jest napisane, że mój ojciec został zatrzymany przez policję w Kairze i zostanie postawiony przed sądem, o ile nie zapłaci grzywny, która w przeliczeniu wynosi dziesięć tysięcy koron. Jest oskarżony o „bezprawne wtargnięcie i wspinanie się na górę”. Co to, do cholery, ma znaczyć?

– Dzwoniłem do MSZ-etu – odrzekł Martinsson. – Też mi się to wydawało dziwne. Zdaje się, że próbował się wdrapać na piramidę Cheopsa. Mimo że to zabronione.

Wallander wpatrywał się bezradnie w Martinssona.

– Musisz chyba polecieć i go przywieźć – zasugerował Martinsson. – Szwedzka ambasada może pomóc w ograniczonym zakresie.

Wallander potrząsał głową.

Nie chciał wierzyć, że to może być prawda.

Była godzina szósta, 15 grudnia 1989 roku.

Nazajutrz o 13.10 Wallander ulokował się w lotniczym fotelu w maszynie typu DC-9, „Agnes”, linii SAS. Miał miejsce 19 C, przy przejściu, i wiedział tylko, że po dwóch międzylądowaniach, we Frankfurcie i w Rzymie, wyląduje w Kairze. Oczekiwany przylot miał nastąpić o 21.15. Wallander nadal się nie orientował, czy między Szwecją a Egiptem jest różnica czasu. W ogóle nie bardzo się orientował, co go wyrwało z życia w Ystad, dochodzenia w sprawie katastrofy lotniczej i brutalnych zabójstw i wrzuciło do samolotu startującego z Kastrup w kierunku Afryki Północnej.

Kiedy poprzedniego wieczoru dotarła do niego wreszcie treść faksu z MSZ-etu, zupełnie się pogubił. Wyszedł z komendy bez słowa, mimo że Martinsson odprowadził go na parking, ofiarowując swoją pomoc. Nawet mu nie odpowiedział.

Po przyjsciu do domu wypił dwie duże szklanki whisky, po czym jeszcze dwa razy przeczytał pomięty faks w nadziei, że znajdzie jakiś ślad, który wskazywałby na to, że wszystko jest jakimś wymysłem, że ktoś, może nawet ojciec, zrobił mu głupi żart. W końcu jednak zrozumiał, że sprawa jest poważna, i musiał to zaakceptować: jego szalony ojciec zaczął się wdrapywać na piramidę, na skutek czego został zatrzymany przez policję w Kairze.

Tuż po ósmej zatelefonował do Malmö. Na szczęście telefon odebrała Linda. Powiedział, o co chodzi, i zapytał ją o radę. Linda ani przez chwilę się nie zawahała. Jedyne, co mu pozostaje, to wsiąść nazajutrz do samolotu i wyciągnąć dziadka z aresztu. Wallander miał liczne zastrzeżenia, ale córka zbijała jego argumenty jeden po drugim. W końcu dał się przekonać. Linda obiecała, że się dowie o połączenia z Kairem.

Stopniowo się uspokajał. Jutro pójdzie do banku odebrać 20 000 koron na samochód. Nikt go nie będzie pytał, na co przeznaczy kredyt. Pieniądze wystarczą mu na bilet, a resztę wymieni na funty lub dolary na zapłacenie grzywny ojca. O dziesiątej zadzwoniła Linda. Dowiedziała się, że lot jest nazajutrz o godzinie 13.10. Wallander postanowił zwrócić się o

pomoc do Anette Bengtsson. Kiedy tego samego dnia obiecywał, że następny wyjazd będzie załatwiał u niej, nie wyobrażał sobie, że nastąpi to tak szybko.

Okolo północy postanowił się spakować. Nic nie wiedział o Kairze. Ojciec pojechał w staroświeckim kasku na głowie. Bez wątpienia jest obłąkany i nie można go traktować poważnie. Wrzucił w końcu do torby podróźnej kilka koszul i troche bielizny i uznał, że to wystarczy. Nie będzie tam przeciez dłuzej niż to konieczne.

Następnie wypił kolejną szklankę whisky, nastawił budzik na szóstą i starał się zasnąć. Trwał w niekończącym się, niespokojnym półśnie do samego świtu.

Następnego dnia wszedł do banku jako pierwszy klient. Podpisanie dokumentów, odbiór gotówki i wymiana jej części na funty zajęło mu dwadzieścia minut. Miał nadzieję, że nikt nie zapyta, dlaczego płaci w funtach za samochód. Z banku poszedł prosto do biura podróży. Anette Bengtsson zdziwiła się na jego widok. Pomogła mu zarezerwować bilet z nieokreśloną datą powrotu. Zdumiał się, kiedy usłyszał cenę, ale rozpostarł na stole tysiąckoronowe banknoty, wziął bilety i opuścił biuro podróży.

Następnie taksówką pojechał do Malmö.

Zdarzało się i przedtem, że kiedy sobie wypił, brał taksówkę z Malmö do Ystad. Ale nigdy w odwrotnym kierunku i na trzeźwo. I tak sobie nie kupi nowego samochodu. Może powinien pomyśleć o motorowerze. Albo o rowerze.

Linda czekała na niego przy przystani. Spędzili razem tylko kilka minut. Raz jeszcze go zapewniła, że postępuje słusnie. Zapytała, czy pamiętał o paszporcie.

– Musisz mieć wizę – przypomniała. – Ale możesz ją kupić na lotnisku w Kairze.

Teraz już siedział na miejscu 19 C, czuł, jak samolot się rozpędza i unosi w górę do chmur i niewidocznych korytarzy powietrznych prowadzących na południe.

Wciąż miał uczucie, że siedzi w swoim pokoju w komendzie, a zafrasowany Martinsson stoi w drzwiach z faksem w ręku.

Frankfurt pozostawił wrażenie niekończących się schodów i

korytarzy. Później znów siedział na miejscu przy przejściu, a po lądowaniu w Rzymie zdjął kurtkę, bo nagle zrobiło się bardzo ciepło. Samolot opadł ciężko, z półgodzinnym opóźnieniem na pas lotniska pod Kairem. Wallander stanowczo za dużo wypił podczas podróży, chcąc stłumić niepokój, lęk przed lataniem i podenerwowanie czekającą go przeprawą. Nie był pijany, kiedy wszedł w duszny egipski mrok, lecz nie był też zupełnie trzeźwy. Pieniądze przechowywał pod koszulą w woreczku, który go uwierał. Znużony urzędnik paszportowy wysłał go do banku po turystyczną wizę. Dostał do ręki plik brudnych banknotów i nagle znalazł się na dworze. Tam okrążyli go kierowcy taksówek, gotowi jechać z nim nawet na koniec świata. Był jednak na tyle przytomny, że zaczął się rozglądać za minibusem, który przewoził gości do Mena House. I jak zrozumiał, był on jednym z większych hoteli w mieście. Postanowił sobie, że zacznie od miejsca, gdzie zatrzymał się ojciec. Jechał przez miasto w małym busie, wciśnięty między hałaśliwe, amerykańskie turystki. Czuł na twarzy powiew ciepłego powietrza. Nagle przekroczyli jakąś rzekę, może to był Nil, i zaraz potem zatrzymali się przed hotelem.

Wysiadł z minibusu już zupełnie trzeźwy i zupełnie nie wiedział, co ma z sobą począć. Szwedzki policjant w Egipcie niewiele znaczy, pomyślał, wchodząc do luksusowego lobby w hotelu. Skierował się do recepcji, gdzie uprzejmy młody człowiek zapytał go nienaganną angielszczyzną, w czym może mu pomóc. Wallander wyjaśnił, że nie ma rezerwacji, na co młody człowiek, kręcąc głową, przybrał zmartwiony wyraz twarzy. Po chwili znalazł jednak wolny pokój.

– Zdaje się, że macie już gościa o nazwisku Wallander.

Mężczyzna poszukał w spisie gości i skinął głową.

– To mój ojciec – rzekł Wallander, skręcając się ze wstydu z powodu swojej angielskiej wymowy.

– Niestety nie mogę pana umieścić obok niego. Zostały nam tylko skromniejsze pokoje. Bez widoku na piramidy.

– Znakomicie – ucieszył się Wallander. Nie chciał nawet słuchać o piramidach.

Po dopełnieniu formalności dostał klucz i niewielką kartę, po

czym zagłębił się w hotelowy labirynt. Widać było, że hotel wiele razy przebudowywano. Odnalazł swój pokój i usiadł na łóżku. Powietrze chłodziła klimatyzacja. Zdjął przepoconą koszulę. Spojrzał do lustra w łazience.

– Jestem na miejscu – powiedział na głos. – Jest późny wieczór. Powinienem coś zjeść. I pójść spać. Przede wszystkim pójść spać. Ale nie mogę tego zrobić, bo mój obłąkany ojciec siedzi gdzieś tutaj w areszcie.

Zmienił koszulę, wyczyścił zęby i wrócił do recepcji. Nie było tam młodego człowieka, który przydzielił mu pokój. Podszedł do stojącego nieruchomo starszego mężczyzny, który najwyraźniej miał oko na wszystko, co się dzieje w recepcji. Uśmiechnął się na widok Wallandera.

– Przyjechałem tutaj, bo mój ojciec znalazł się w trudnej sytuacji – wyjaśnił inspektor. – To starszy pan. Nazywa się Wallander i przyjechał kilka dni temu.

– Jakiego rodzaju sytuacji? – zapytał recepcjonista. – Czy zachorował?

– Zdaje się, że próbował się wdrapać na piramidę – odparł Wallander. – O ile go znam, na pewno wybrał najwyższą.

Recepcjonista powoli skinął głową.

– Słyszałem o tym – powiedział. – To bardzo niefortunne wydarzenie. Wywołało niezadowolenie policji i ministerstwa do spraw turystyki.

Zniknął za drzwiami i po chwili wrócił z innym starszym mężczyzną. Przez chwilę bardzo szybko coś do siebie mówili. Potem zwrócili się do Wallandera.

– Czy pan jestego synem? – spytał jeden z nich.

Wallander skinął potakująco głową.

– Nie tylko – powiedział. – Jestem również policjantem.

Pokazał im swoją legitymację, gdzie wyraźnie było napisane słowo policjant.

Dwaj mężczyźni zdawali się nie rozumieć.

– Więc nie jest pan synem, tylko szwedzkim policjantem?

– Jednym i drugim – tłumaczył Wallander. – Synem i policjantem.

Przez chwilę zastanawiali się nad jego słowami. Dołączyło do

nich jeszcze kilku recepcjonistów, którzy akurat nie mieli nic do roboty. Znow nastąpiła wymiana terkoczących, niezrozumiałych zdań. Wallander poczuł, jak spływa z niego pot.

Poprosili go, żeby zaczekał, wskazując kanapy w holu. Wallander usiadł. Obok niego przeszła kobieta z zasłoną na twarzy. Szeherezada, pomyślał Wallander. Ona by mi pomogła. Albo Aladyn. Przydałby się ktoś z tego towarzystwa. Po godzinie czekania wstał i podszedł do recepcji. Lecz został natychmiast odesłany z powrotem na kanapę. Był bardzo spragniony. Było już grubo po północy.

W recepcji nadal roilo się od ludzi. Amerykanki wyszły z przewodnikiem na zwiedzanie egipskiej nocy. Wallander przymknął oczy. Poczul na ramieniu czyjaś dłoń. Drgnął i otworzył oczy. Przed nim stał recepcjonista i chmara policjantów w galowych mundurach. Wallander wstał z kanapy. Zegar na ścianie wskazywał pół do trzeciej. Jeden z policjantów, najwyższy stopniem, na oko w jego wieku, zasalutował.

– Rozumiem, że przebywa pan tutaj na polecenie szwedzkiej policji.

– Nie – odparł Wallander. – Jestem policjantem. Ale przede wszystkim synem pana Wallandera.

Policjant, który salutował, wybuchnął niezrozumiałym potokiem słów skierowanych do recepcjonistów. Wallander uznał, że najlepiej będzie, jak znowu usiądzie. Mniej więcej po piętnastu minutach twarz funkcjonariusza rozjaśnił uśmiech.

– Nazywam się Hassaneyh Radwan – przedstawił się. – Teraz już wszystko jasne. Bardzo mi miło poznać szwedzkiego kolegę. Proszę pójść ze mną.

Wyszli z hotelu. Wallander, otoczony uzbrojonymi policjantami, czuł się jak przestępca. Noc była parna. Wsiadli do radiowozu, który natychmiast ruszył, włączając syrenę. Wallander zajął miejsce z tyłu obok Radwana. Kiedy tylko odjechali od hotelu, dostrzegł piramidy, oświetlone silnym blaskiem reflektorów. Widok był tak niespodziewany, że nie wierzył własnym oczom. Ale to rzeczywiście były piramidy,

które tyle razy oglądał na fotografiach. Pomyślał z przerażeniem, że ojciec usiłował się wdrapać na jedną z nich.

Jechali na wschód, tą samą drogą, którą przyjechał z lotniska.

– Jak się ma mój ojciec? – zapytał.

– Ma porywcze usposobienie – odparł Radwan. - Niestety jego angielski jest mało zrozumiały.

On w ogóle nie mówi po angielsku, pomyślał zrezygnowany Wallander.

Mknęli przez miasto z szaloną szybkością. Wallander dojrzał kilka wielbłądów. Kroczyły powoli i dostojnie objuczone ciężkim ładunkiem. Uwierał go woreczek pod koszulą. Pot spływał mu po twarzy. Przekroczyli rzekę.

– Nil? – zapytał.

Radwan przytaknął. Wyjął paczkę papierosów, lecz Wallander pokręcił przecząco głową.

– Pański ojciec pali – zauważył.

Mój ojciec nie pali, pomyślał Wallander. Ze wzrastającym przerażeniem zastanawiał się, czy rzeczywiście jadą do jego ojca. Ojciec nigdy nie palił. Czyżby było więcej starsuszków, którzy próbują się wdrapywać na piramidy?

Radiowóz zahamował. Wallander zauważył, że ulica nazywa się Sadei Barrani. Znajdowali się przed komendą policji. Uzbrojeni strażnicy stali w małych budkach z obu stron wysokiej bramy. Wallander szedł za Radwanem. Weszli do pokoju oświetlonego ostrym światłem umieszczonych na suficie jarzeniówek. Radwan wskazał mu krzesło. Wallander usiadł, zastanawiając się, jak długo tym razem będzie musiał czekać. Zanim został sam, poprosił Radwana o coś do picia. Ten przywołał do siebie młodego policjanta.

– On panu pomoże – rzucił, wychodząc.

Wallander podał chłopakowi zwitek banknotów.

Nie orientował się w wartości egipskiej waluty.

– Coca-cola – powiedział.

Policjant rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale bez słowa wziął pieniądze i odszedł.

Chwilę później przyszedł z powrotem ze skrzynką pełną



butelek coli. Wallander doliczył się czternastu. Otworzył dwie z nich scyzorykiem, a pozostałe dał policjantowi, który podzielił się z kolegami.

Dochodziło pół do piątej. Wallander obserwował muchę, zastygłą w bezruchu na pustej butelce. Gdzieś słychać było grające radio. Uświadomił sobie, że tutejszy komisariat jest pod wieloma względami podobny do komendy w Ystad. Ta sama nocna cisza. Wyczekiwanie, czy coś się wydarzy. Policjant pogrążony w lekturze gazety mógłby być Hanssonem pochylonym nad gonitwami kłusaków.

Wrócił Radwan. Skinął na Wallandera, żeby za nim poszedł. Szli przez niekończące się kręte korytarze, w górę i w dół po schodach, aż w końcu przystanęli przed drzwiami. Pilnował ich strażnik. Radwan skinął głową i strażnik otworzył drzwi. Potem dał znak Wallanderowi, żeby wszedł do środka.

– Wróć za pół godziny – powiedział i odszedł.

Wallander wszedł do pokoju. W świetle jarzeniówki zobaczył stół i dwa krzesła. Na jednym z nich siedział ojciec w koszuli i spodniach. Był bosy. Włosy miał w nieładzie. Wallanderowi zrobiło się go nagle żal.

– Cześć, tato – przywitał się. – Jak się masz?

Ojciec spojrział na niego bez najmniejszych oznak zdziwienia.

– Zamierzam protestować – oświadczył.

– Protestować? Przeciwko czemu?

– Że zabrania się ludziom wchodzić na piramidy.

– Sądzę, że powinniśmy się wstrzymać z protestem. Najważniejsze, żeby cię stąd wydostać.

– Nie będę płacił grzywny – rozeźlił się ojciec. – Wolę odsiedzieć karę. Powiedzieli dwa lata. Dwa lata szybko zlecą.

Wallander postanowił się na niego nie złościć. Mogłoby to ojca jeszcze bardziej wyprowadzić z równowagi.

– Egipskie więzienia nie należą do najprzyjemniejszych – podjął ostrożnie. – Żadne więzienia nie są przyjemne. Poza tym wątpię, żeby ci pozwolili malować w celi.

Ojciec spoglądał na niego w milczeniu. Najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy.

Kiwnął głową i wstał.

– No to chodźmy – powiedział. – Masz pieniądze na grzywnę?

– Usiądź – powstrzymał go Wallander. – To nie jest takie proste. Nie możesz ot tak sobie wstać i wyjść.

– A to dlaczego? Chyba nic złego nie zrobiłem?

– O ile dobrze zrozumiałem, usiłowałeś się wspiąć na piramidę Cheopsa.

– Przecież po to tu przyjechałem. Zwykli turyści mogą sobie stać wśród wielbłądów i się gapić. Ja chciałem się wspiąć na szczyt.

– To niedozwolone. Poza tym śmiertelnie niebezpieczne. Jak można dopuścić do tego, by ludzie wspinali się po piramidach?

– Nie mówię o ludziach. Mówię o sobie.

Wallander uświadomił sobie bezsens dalszej dyskusji z ojcem. Wiedział, że go nie przekona.

W pewnym sensie podziwiał nawet jego nieustępliwość.

– Jestem tu i spróbuję jutro cię stąd wyciągnąć – przyrzekł.

– Zapłacę grzywnę i na tym się skończy. Pojedziemy do hotelu po twoją walizkę i wyjedziemy.

– Mam opłacony pokój do dwudziestego pierwszego.

Wallander cierpliwie kiwał głową.

– Ja wyjadę. Ty zostaniesz. Ale jeśli znów zechcesz się wspiąć na piramidę, będziesz musiał sam sobie dać radę.

– Daleko nie zaszedłem – przyznał ojciec. – Było ciężko. I stromo.

– Dlaczego właściwie chciałeś wejść na samą górę?

– Marzenie, które miałem od wielu lat, nic innego – odparł ojciec po chwili wahania. – Uważam, że trzeba być wiernym swoim marzeniom.

Obaj umilkli. Kilka minut później wrócił Radwan. Poczęstował ojca papierosem i podał mu ogień.

– Zacząłeś palić?

– Tylko w areszcie.

Wallander zwrócił się do Radwana.

– Domyślam się, że nie mogę teraz zabrać ojca ze sobą.

– Dziś o dziesiątej ma stanąć przed sądem. Sędzia

prawdopodobnie zasądzi grzywnę.

– Prawdopodobnie?

– Nic nie jest pewne. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Wallander pożegnał się z ojcem. Radwan odprowadził go do radiowozu, który miał zawieźć go do hotelu. Była szósta rano.

– Wyślę po pana samochód. Będzie tuż po dziewiątej – powiedział na pożegnanie Radwan. – Należy zawsze pomagać zagranicznym kolegom.

Wallander podziękował i wszedł do radiowozu. Ostry start rzucił go na oparcie. Kierowca znów włączył syreny.

Zamówił budzenie na pół do siódma i wyciągnął się nago na łóżku.

Muszę go stąd wydostać. Nie przeżyłby więzienia, pomyślał.

Zapadł w niespokojną drzemkę. Obudziło go słońce, które wynurzyło się zza horyzontu. Wziął prysznic i się ubrał. Włożył ostatnią czystą koszulę.

Wyszedł z hotelu. Poranne powietrze było chłodniejsze. Nagle przystanął w miejscu. Zobaczył piramidy. Stał nieruchomo. Był oszołomiony ich wielkością. Ruszył w kierunku kompleksu w Gizie. Po drodze oferowano mu przejazdkę na osle lub wielbłądzie. Ale szedł na piechotę. W głębi duszy rozumiał ojca. Trzeba być wiernym swoim marzeniom. Naileonsam był wierny? Stał u wejścia i patrzył na piramidy. Wyobrażał sobie ojca, jak wdrapuje się po stromej ścianie.

Stał tak dłuższy czas, a później wrócił do hotelu na śniadanie. O dziewiątej czekał już przed wejściem. Kilka minut później nadszedł radiowóz. Ruch był duży i jak zwykle jechali z włączoną syreną. Po raz czwarty Wallander przejechał przez Nil. Uprzytomnił sobie, jak ogromne i nieprzeniknione jest to zgiełkowe miasto.

Budynek sądu leżał przy ulicy Al Azhar. Radwan czekał na nich na schodach, paląc papierosa.

– Mam nadzieję, że przespał pan kilka godzin – rzekł na przywitanie. – Człowiekowi potrzebny jest sen.

Weszli do środka.

– Pański ojciec już tu jest.  
– Czy ma adwokata? – zapytał Wallander.  
– Ma pełnomocnika. To jest sąd dla drobnych wykroczeń.  
– I mimo to grożą mu dwa lata?  
– Między karą śmierci a karą dwóch lat jest duża różnica – odparł Radwan.

Weszli do sali rozpraw. Kilku woźnych wycierało kurze.

– Pierwsza rozprawa dotyczy pańskiego ojca – poinformował Radwan.

Na salę wprowadzono ojca. Wallander z przerażeniem stwierdził, że ma na rękach kajdanki. W oczach stanęły mu łzy. Radwan zerknął na niego i poklepał go po ramieniu.

Na salę wszedł sędzia i zajął miejsce. Nie wiadomo skąd pojawił się oskarżyciel i wygłosił długą tyradę, która, jak się domyślał Wallander, była aktem oskarżenia. Radwan nachylił się do niego.

– Wygląda dobrze – szepnęła. – Twierdzi, że twój ojciec jest stary i niepoczytalny.

Oby tylko nikt nie tłumaczył, pomyślał Wallander. Wtedy naprawdę oszaleje.

Oskarżyciel usiadł. Pełnomocnik mówił bardzo krótko.

– Wnioskuje za grzywną – szepnęła Radwan. – Poinformowałem sąd, że pan tu przyjechał, że jest pan jego synem i policjantem.

Pełnomocnik skończył. Wallander zauważył, że ojciec chce coś powiedzieć. Ale pełnomocnik pokręcił przecząco głową.

Sędzia zastukał młotkiem w stół i wyrzekł kilka słów. Potem zastukał ponownie, wstał i opuścił salę.

– Grzywna – zakomunikował Radwan i poklepał Wallandera po ramieniu. – Można ją zapłacić w sądzie. Potem pański ojciec będzie wolny.

Wallander wyciągnął woreczek, który nosił pod koszulą. Radwan poprowadził go do stołu, gdzie urzędnik przeliczył dolary na funty egipskie. Niemal wszystkie pieniądze Wallandera zniknęły. Otrzymał nieczytelne pokwitowanie na wpłaconą kwotę. Radwan dopilnował, aby ojcu zdjęto kajdanki.

– Mam nadzieję, że reszta pobytu będzie przyjemna – powiedział, podając im rękę. – Byle tylko pański ojciec nie próbował raz jeszcze zdobywać piramidy.

Wrócili do hotelu radiowozem. Wallander zanotował adres Radwana. Zdawał sobie sprawę, że bez niego nie poszłoby tak łatwo. Musi mu jakoś podziękować. Może najlepszym sposobem będzie wysłanie mu obrazu z głuszcem?

Ojciec był w wyśmienitym humorze i usta mu się nie zamykały. Wallander był po prostu zmęczony.

– Teraz pokażę ci piramidy – oświadczył radośnie ojciec, gdy zajechali do hotelu.

– Może nie w tej chwili – odparł Wallander. – Muszę się kilka godzin przespać. Potem możemy obejrzeć piramidy. Jak zarezerwuję powrotny lot.

Ojciec spojrzał na niego uważnie.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Tego się po tobie nie spodziewałem. Że zdobędziesz się na przyjazd tutaj, żeby mnie wyciągnąć z aresztu.

Wallander nie odpowiedział.

– Idź się położyć – rzekł ojciec. – Spotkamy się odrużej.

Wallander nie mógł zasnąć. Wiercił się przez godzinę w łóżku, wreszcie wstał i zszedł do recepcji z prośbą o pomoc w rezerwacji biletu. Został skierowany do biura podróży, które znajdowało się w innej części hotelu. Tam załatwił bilet powrotny z pomocą niezmiernie pięknej kobiety, która na dodatek władała znakomitym angielskim. Dostał miejsce w samolocie odlatującym nazajutrz, 18 grudnia, o godzinie dziewiętej. Miał tylko jedno międzylądowanie we Frankfurcie i lądował na Kastrup o drugiej po południu. O pierwszej Wallander dostał potwierdzenie rezerwacji. Czekał potem w kawiarni obok recepcji, popijając wodę i bardzo mocną, przesłodzoną kawę. Punktualnie o drugiej w recepcji zjawił się ojciec. Na głowie miał tropikalny kask.

Zwiedzali piramidy w Gizie w pięknym upale. Wallander był kilka razy bliski omdlenia. Ale ojcu upał najwyraźniej nie dokuczał. Kurt znalazł wreszcie nieco cienia u stóp sfinksa. Uświadomił sobie, że ojciec dużo wie o starożytnym Egipcie,

gdzie niegdyś wzniesiono piramidy i tegoż sfinksa.

Była już szósta, kiedy wrócili do hotelu. Ponieważ Wallander wyjeżdżał wcześniej rano, postanowili zjeść kolację w jednej z licznych restauracji w hotelu. Ojciec zaproponował indyjską. Wallander nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek jadł tak dobry posiłek. Ojciec przez cały czas zachowywał się serdecznie. Wallander miał nadzieję, że wybił już sobie z głowy wchodzenie na piramidy.

Rozstali się około jedenastej. Wallander wyjeżdżał z hotelu o szóstej rano.

– Pomacham ci na pożegnanie – rzekł ojciec.

– Wolę nie – odparł Wallander. – Obaj tak samo nie lubimy rozstań.

– Dziękuję, że przyjechałeś. Miałeś rację, że byłoby trudno spędzić dwa lata w więzieniu bez możliwości malowania.

– Wróć do domu dwudziestego pierwszego i zapomnijmy o reszcie.

– Następnym razem pojedziemy do Włoch – oznajmił ojciec i poszedł do swojego pokoju.

Tej nocy Wallander spał głęboko. W drodze na lotnisko przejechał Nil po raz szósty i miał nadzieję ostatni. Samolot wystartował o czasie i punktualnie wylądował na Kastrup. Wallander wziął taksówkę do przystani wodolotów i za kwadrans czwarta dopłynął do Malmö. Popędził biegiem na dworzec i złapał pociąg do Ystad. Przebrał się w domu i o pół do siódmej przekroczył próg komendy. Drzwi zostały naprawione. Björk ma swoje priorytety, stwierdził ponuro w myślach. Pokoje Svedberga i Martinssona stały puste, lecz Hansson był na miejscu. Wallander pokrótce opowiedział o swojej podróży. Najpierw jednak zapytał, jak się czuje Rydberg.

– Martinsson mówił, że jutro ma przyjść – odparł Hansson.

Wallander odczuł natychmiast głęboką ulgę. Zatem nie jest tak źle, jak się obawiali.

– Aco tutaj? Jak z dochodzeniem?

– Zdarzyła się inna ważna rzecz – rzekł Hansson. - To raczej w związku z samolotem, który się rozbił.

– Co takiego?

– Yngve Leonard Holm został zamordowany. Znaleziono go w lesie pod Sjöbo.

Wallander usiadł.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Hansson. – Został zabity strzałem w kark. Tak samo jak siostry Eberhardsson.

Wallander wstrzymał oddech.

Tego się nie spodziewał. Nagle pojawił się związek między rozbitym samolotem a dwiema zamordowanymi kobietami odnalezionymi na pogorzeliisku.

Co to oznacza, pomyślał. Co zawierają informacje Hanssona?

Pobył w Kairze wydał mu się nagle bardzo odległy.

## 9

Dziewiętnastego grudnia przed południem Wallander zatelefonował do swojego banku z prośbą o zwiększenie kredytu o dalsze 20 000 koron. Tłumaczył to tym, że źle zrozumiał cenę samochodu, co oczywiście było nieprawdą. Urzędnik w banku nie miał żadnych zastrzeżeń. Powiedział mu, że może uruchomić kredyt i tego samego dnia odebrać gotówkę. Po rozmowie z bankiem Wallander zadzwonił do Arnego, od którego miał kupić samochód, i umówił się, że tamten przywiezie mu nowego peugeota na Mariagatan o pierwszej. Wallander spróbuje tymczasem uruchomić swój stary samochód lub odholować go do warsztatu.

Obie rozmowy odbył tuż po zakończeniu porannego zebrania. Trwało ono dwie godziny, od ósmej rano. Lecz Wallander przyszedł do komendy już o siódmej. Dowiedziawszy się wieczorem o zamordowaniu Yngvego Leonarda Holma, dostrzegł ewentualny związek między nim a siostrami Eberhardsson, a w każdym razie między ich zabójcami, i przez następną godzinę siedział z Hanssonem, wypytując go o wszystkie nowe fakty. Później poczuł gwałtowne zmęczenie. Wrócił do domu i położył się w ubraniu

na łóżku, żeby odpocząć. Zasnął i obudził się dopiero o pół do szóstej rano. Czuł się wyspany. Leżał chwilę w łóżku i myślał o podróży do Kairu. Wydała mu się odległym wspomnieniem.

Kiedy przyszedł do komendy, Rydberg był już na miejscu. Poszli do jadalni, gdzie siedziało i ziewało kilku policjantów z nocnej zmiany. Rydberg pił herbatę i zagryzał sucharkami. Wallander zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Słyszałem, że byłeś w Egipcie – powiedział Rydberg. – Jak piramidy?

– Wysokie – odparł Wallander. – Niezwykłe.

– Ajak ojciec?

– O mało nie wylądował w więzieniu. Wyciągnąłem go, płacąc prawie dziesięć tysięcy koron grzywny.

Rydberg się zaśmiał.

– Mój ojciec był handlarzem koni. Opowiadałem ci o nim?

– Nigdy nie opowiadałeś o swoich rodzicach.

– Sprzedawał konie. Jeździł na targ, zaglądał im w zęby i był z niego istny szatan w podbijaniu cen. To, co mówią o portfelu handlarza końmi, to prawda. Portfel ojca tak wyglądał – wypchany banknotami po tysiąc koron. Ale wątpię, czy wiedział, że piramidy leżą w Egipcie. A już na pewno nie, że stolicą jest Kair. Nie miał żadnego wykształcenia. Znał się tylko na jednym, na koniach. No, może jeszcze na kobietach. Matka wariowała z powodu jego ciągłych historii z kobietami.

– Rodziców się nie wybiera – stwierdził Wallander. – Jak się czujesz?

– Coś jest nie tak – rzekł stanowczo Rydberg. – Nie traci się przytomności od reumatyzmu. Ale nie wiem, co to może być. Zresztą w tej chwili bardziej mnie interesuje ten Holm, który zginął od strzału w tył głowy.

– Dowiedziałem się wczoraj od Hanssona.

Rydberg odsunął filiżankę z herbatą.

– Swoją drogą byłoby niesłychane, gdyby się okazało, że siostry Eberhardsson parały się handlem narkotykami. To byłby śmiertelny cios dla szwedzkich pasmanterii. Koniec z haftami, przyszedł czas na heroinę.

– Przyszło mi to do głowy – odparł, wstając, Wallander. –



Do zobaczenia za chwilę.

W drodze do pokoju doszedł do wniosku, że Rydberg nie mówiłby tak otwarcie o swoim stanie zdrowia, gdyby nie podejrzewał, że coś rzeczywiście mu dolega. Poczul niepokój.

Do za piętnaście ósma przeglądał raporty, które napłynęły podczas jego nieobecności. Z Lindą rozmawiał poprzedniego dnia, kiedy wpadł do domu się przebrać. Przyrzekła, że pojedzie na Kastrup odebrać dziadka i dopilnuje, żeby dotarł do Löderup. Wallander bał się obiecać, że odbierze ojca w Malmö, jako że nie był do końca pewny, czy dostanie nowy kredyt.

W biurze czekały na niego kartki z wiadomościami o telefonach. Odezwał się Sten Widen. Dzwoniła również siostra. Te kartki odłożył na bok. Dzwonił też jego kolega z Kristianstad, Göran Boman, którego poznał na jednym z licznych seminariów organizowanych przez główny zarząd policji. Tę kartkę też zachował. Całą resztę wrzucił do kosza.

Na początku zebrania Wallander opowiedział pokrótce o swoich przygodach w Kairze i wspomniał uczynnego policjanta nazwiskiem Radwan. Potem wybuchła dyskusja na temat daty zniesienia kary śmierci w Szwecji. Svedberg twierdził, że skazanych rozstrzeliwano jeszcze w późnych latach trzydziestych dwudziestego wieku. Wywołało to zdecydowany protest Martinssona, utrzymującego, że od czasu, kiedy ucięto głowę Annie Månsdotter w więzieniu w Kristianstad, w okolicach 1890 roku, w Szwecji nie odbyła się więcej żadna egzekucja. W końcu Hansson zadzwonił do pewnego reportera kryminalnego w Sztokholmie, z którym łączyło go zainteresowanie kłusakami.

– 1910 – oznajmił po rozmowie. – Wtedy po raz pierwszy i ostatni zastosowano w Szwecji gilotynę. Skazany nazywał się Ander.

– Czy on nie leciał balonem na biegun północny? – zaoponował Martinsson.

– Tamten się nazywał Andrée – sprostował Wallander. – I zakończmy już te dyskusje.

Rydberg przez cały czas milczał. Wallander miał wrażenie, że

jest myślami gdzie indziej.

Wrócili do rozmowy o Holmie. Administracyjnie był to przypadek graniczny. Ciało zostało odnalezione w rejonie należącym do policji w Sjöbo, zaledwie około stu metrów od polnej drogi, przy której zaczynał się rejon Ystad.

– Koledzy ze Sjöbo chętnie go odstąpią – rzekł Martinsson. – Przeniesiemy symbolicznie zwłoki przez drogę i już będzie nasz. Tym bardziej że wcześniej mieliśmy z nim do czynienia.

Wallander domagał się od Martinssona określenia czasu wydarzenia. Holm zniknął w dniu katastrofy samolotu. Jego zwłoki znalazł spacerujący w lesie człowiek. Wallander był wtedy w Kairze. Ciało leżało na skraju leśnej drogi. Obok widniały ślady kół. Holm miał przy sobie portfel, więc wykluczono napad rabunkowy. Policja nie dostała żadnych informacji od osób postronnych. Okolica była bezлюдna.

Martinsson właśnie zakończył swoją relację, gdy drzwi do pokoju się otworzyły. Ukazała się w nich głowa policjanta. Zawiadomił o nadejściu faksu z Interpolu. Martinsson wyszedł. Przez ten czas Svedberg opowiedział o niespotykanej energii, jaką wykazał Björk w sprawie naprawy drzwi wejściowych.

Martinsson wrócił.

– Zidentyfikowano jednego z pilotów – oznajmił. - Pedro Espinosa, 33 lata. Urodzony w Madrycie. Odsiadywał wyrok w Hiszpanii za oszustwa, a we Francji za przemyt.

– Przemyt – podchwycił Wallander. – To by pasowało.

– Jest jeszcze coś interesującego – dodał Martinsson. – Ostatnio mieszkał w Marbelli. Tam gdzie siostry Eberhardsson miały wielki dom.

W pokoju zapadło milczenie. Wallander zdawał sobie sprawę, że w grę może wchodzić przypadek. Dom w Marbelli i pilot z rozbitego samolotu, który mieszkał w tym samym mieście. Lecz w głębi duszy był przekonany, że trafili na zdumiewające powiązanie. Nie wiedział jeszcze, co ono oznacza. Ale pozwalało wyznaczyć kierunek poszukiwań.

– Drugi pilot jest nadal nieznany – ciągnął Martinsson. – Wciąż nad tym pracują.

Wallander rozejrzał się naokoło.

– Potrzebna jest nam pomoc ze strony hiszpańskiej policji. Jeśli będą równie pomocni jak Radwan z Kairu, szybko przetrząsną dom sióstr Eberhardsson. Niech szukają kasy pancерnej. I narkotyków. Z kim spotykały się siostry podczas pobytu w Marbelli? Musimy to wszystko wiedzieć. I to jak najszybciej.

– Czy ktoś z nas nie powinien tam pojechać? – zapytał Hansson.

– Na razie nie. Opalać się będziesz w lecie.

Po raz kolejny przejrzeni cały materiał i podzielili się pracą. Przede wszystkim postanowili się skoncentrować na Yngvem Leonardzie Holmie. Widać było, że tempo pracy zaczyna wzrastać.

Rozeszli się za kwadrans dziesiąta. Hansson przypomniał Wallanderowi o corocznym przyjęciu organizowanym przez zarząd policji z okazji świąt Bożego Narodzenia. Tym razem miało się odbyć w hotelu Continental. Kurt nie mógł znaleźć żadnej wymówki.

Wallander przeprowadził zaległe rozmowy telefoniczne, zdjął słuchawkę z widełek i zamknął drzwi. Powoli zagłębiał się w materiał śledztwa dotyczący rozbitego samolotu. Yngve Leonard Holm i dwie siostry Eberhardsson. Narysował w notesie trójkąt, w którym każdy z wypadków stanowił jeden wierzchołek. Pięcioro nieboszczyków, pomyślał. Dwóch pilotów, z których jeden pochodził z Hiszpanii. W samolocie, niczym latającym Holendrze, który oficjalnie zezłomowano po katastrofie w Laosie. Maszyna nocą potajemnie przekracza szwedzką granicę, zawraca na południe od Sjöbo i rozbija się w Mossby Strand. Na ziemi widoczne były światła, co może wskazywać na to, że samolot coś zrzucił.

To pierwszy wierzchołek.

Następny to dwie siostry, właścicielki sklepu z pasmanterią. Zamordowane strzałem w tył głowy. Ich dom zostaje podpalony. Okazują się majątne, posiadają kasę pancerną wbudowaną pod domem i nieruchomość w Hiszpanii. Drugi wierzchołek stanowią zatem dwie siostry, które prowadziły podwójne życie.

Wallander przeciągnął kreskę między Pedrem Espinosą a siostrami Eberhardsson. Tu powiązaniem była Marbella.

Trzeci wierzchołek przedstawiał Yngvego Leonarda Holma, zlikwidowanego na leśnej drodze pod Sjöbo.

Notoryczny handlarz narkotykami o wyjątkowych zdolnościach zacierania śladów.

A jednak ktoś go dopadł pod Sjöbo, pomyślał Wallander.

Wstał od stołu i przyglądał się narysowanemu trójkątowi. Co z niego wynika? W środku figury postawił kropkę. Centrum, pomyślał. Stałe pytanie Hemberga i Rydberga: gdzie się znajduje centrum, punkt środkowy? Nadal przyglądał się rysunkowi. Nagle uświadomił sobie, że przypomina piramidę. Jej podstawę stanowi kwadrat. Ale z daleka wygląda jak trójkąt.

Znów usiadł za biurkiem. Wszystko, co mam przed oczami, sprowadza się do jednego. Zaszło coś, co zakłóciło pewien wzorzec. Niewykluczone, że punktem wyjścia jest katastrofa samolotu. To wywołało reakcję łańcuchową i doprowadziło do trzech zabójstw, trzech egzekucji.

Zaczął jeszcze raz od początku. Nie opuszczała go myśl o piramidzie. Czyżby chodziło o swego rodzaju walkę o władzę? W której siostry Eberhardsson, Yngve Leonard Holm i samolot są trzema wierzchołkami trójkąta? A w środku pozostaje wciąż nieznany punkt?

Powoli i metodycznie przeglądał wszystkie dostępne fakty. Niekiedy notował pytania. Nawet nie zauważył, kiedy dobiegła dwunasta. Odłożył pióro, ubrał się w kurtkę i ruszył do banku. Było kilka stopni ciepła i siąpiła mżawka. Podpisał wymagane dokumenty i pokwitował odbiór kolejnych 20 000 koron. Starał się nie myśleć o pieniądzach, które przepadły w Egipcie. Grzywna to jedno. Ale tym, co mu nie dawało spokoju i doskwierało w zakamarkach jego skąpej natury, była cena lotniczego biletu. Nie bardzo liczył na to, że siostra zechce się z nim podzielić kosztami.

Punkt o pierwszej zjawił się sprzedawca z obiecany peugeotem. Stary samochód nie chciał ruszyć. Wallander nie czekał na przyjazd holownika. Usiadł za kierownicą

granatowego auta i przejechał się po okolicy. Samochód był sfatygowany, a tapicerka przesiąknięta dymem od papierosów. Ale najważniejsze, że silnik dobrze działał. Pojechał w kierunku Hedeskogi i już miał zawracać, kiedy nagle zmienił plany. Znajdował się na drodze do Sjöbo. Martinsson dokładnie opisał miejsce, gdzie znaleziono ciało Holma. Chciał je zobaczyć na własne oczy. Może nawet zajrzeć do domu, w którym mieszkał Holm.

Miejsce, w którym znaleziono ciało, nadal pozostawało zabezpieczone taśmą. Nie było policjantów. Wallander przeszedł nad ogrodzeniem i rozejrzał się dokoła. Droga stanowiła wymarzone miejsce dla kogoś, kto planował zabójstwo. Usiłował sobie wyobrazić, co tu zaszło. Holm przyjechał tu z kimś. Martinsson mówił, że były ślady jednego samochodu.

Transakcja, pomyślał Wallander. Coś się przekazuje, za coś się płaci. Coś się wydarza. Holm ginie od kuli w kark. Zanim padnie na ziemię, jest już martwy. Zabójca znika bez śladu.

Mężczyzna, pomyślał. Albo kilku mężczyzn. Ta sama osoba lub osoby, które parę dni przedtem zamordowały siostry Eberhardsson.

Ogarnęło go nagle uczucie, że znajduje się blisko jeszcze jednego powiązania, które powinien dostrzec, jeśli się tylko skupi. Uważał za oczywiste, że w grę wchodzi handel narkotykami. Nawet jeżeli trudno się było pogodzić z myślą, że brały w nim udział dwie siostry prowadzące sklep z pasmanterią. Ale Rydberg miał rację. Jego pierwsza uwaga – co my właściwie wiemy o siostrach – okazała się w pełni uzasadniona.

Wallander opuścił leśną drogę i ruszył dalej. Miał w głowie mapę narysowaną przez Martinssona. Na południe od Sjöbo należało zjechać w prawo z dużego ronda. Potem w lewo żwirówką i ostatni dom po prawej stronie, z czerwoną stodołą przy drodze. Niebieska, zwisająca skrzynka na listy. Dwa wraki samochodów i zardzewiały traktor obok stodoły. Ujadający pies na dużym, ogrodzonym wybiegu. Odnalazł to wszystko z łatwością. Zanim jeszcze otworzył drzwi od samochodu,

usłyszał szczekanie psa. Wsiadł z auta i wszedł na podwórze. Na domu luszczyla się farba. Kawałki rur spustowych zwisały z dachu. Pies ujadł rozpaczliwie i szarpał ogrodzenie. Wallander zastanawiał się, co będzie, jak płot się zawali i pies wydostanie się na wolność. Podszedł do drzwi wejściowych i wcisnął przycisk dzwonka. Po chwili zauważył, że przewód elektryczny wisi w powietrzu. Zapukał i czekał. W końcu zaczął walić w drzwi, które same się otworzyły. Zawołał, czy ktoś jest w środku. Żadnej odpowiedzi. Nie powinienem wchodzić, pomyślał. Inaczej złamię zasady obowiązujące nie tylko policjantów, ale też zwykłych ludzi. Po czym pchnął drzwi i wszedł do środka. Naderwane tapety, zatęchłe powietrze, brud. Zniszczone kanapy, materace rozłożone na podłodze. Za to telewizor z szerokim ekranem i najnowszy model wideo. Odtwarzacz CD z dużymi kolumnami. Raz jeszcze zawołał. Cisza. W kuchni panował nieopisany bałagan. Sterty brudnych naczyń w zlewie. Na podłodze papierowe i foliowe torby, puste kartony po pizzy, do których prowadziły ścieżki wydeptane przez mrówki.

W kącie śmignęła mysz. Czuć było stęchliznę. Wallander ruszył dalej. Przystanął przed drzwiami, na których wymalowano czerwonym sprejem „Świątynia Yngve”. Pchnął drzwi. W środku stało porządne łóżko. Na nim prześcieradło i kołdra. Komoda i dwa krzesła. Na oknie radio. Wskazówki zegara zatrzymały się na za dziesięć siódma. Więc tu mieszkał Yngve Leonard Holm. Na podłodze leżała góra od dresu, tego samego, który miał na sobie podczas przesłuchania. Wallander usiadł ostrożnie na skraju łóżka, żeby się nie zapadło, i rozejrzał się po pokoju. Tu mieszkał człowiek, pomyślał. Żył z tego, że wciągał innych ludzi do narkotykowego piekła. Potrząsnął z niesmakiem głową. Pochylił się i zajrzał pod łóżko. Kłęby kurzu. Pojedynczy kapeć, pornograficzne pisma. Wstał i wysunął kilka szuflad komody. Kolejne pisma z nagimi rozkraczonymi kobietami. Niektóre przerażająco młode. Bielizna, tabletki od bólu głowy, plaster.

Następna szuflada. Stara lampa lutownicza. Takich się kiedyś używało, aby uruchomić silnik w łodziach rybackich. W

ostatniej szufladzie sterta dokumentów. Stare świadectwa. Wallander zauważył, że Holm był dobry tylko z jego ulubionego przedmiotu, geografii. Reszta stopni była przeciętna. Kilka zdjęć. Holm w jakimś barze trzyma kufel piwa w każdej ręce. Podпиты. Czerwone oczy. Inna fotografia: Nagi Holm na plaży. Szeroki uśmiech, wzrok wbity prosto w kamerę. Następnie stare czarno-białe zdjęcie mężczyzny i kobiety na drodze. Wallander odwrócił zdjęcie. „Båstad 1937”. To mogli być rodzice Holma.

Szperał dalej. Trafił na stary bilet lotniczy. Wziął go do ręki i podszedł do okna. Bilet powrotny Kopenhaga – Marbella. 12 sierpnia 1989. Powrót 17 sierpnia. Pięć dni w Hiszpanii. Lot rejsowy. Wallander nie potrafił odczytać, czy klasa ekonomiczna, czy biznes. Wsunął bilet do kieszeni. Po kilku minutach zamknął szufladę. W szafie z ubraniami niczego nie znalazł. Oprócz nieopisanego bałaganu. Wallander znów przysiadł na łóżku. Zastanawiał się, gdzie się podziiali pozostali lokatorzy. Wrócił do dużego pokoju. Tam, na stole, stał telefon. Zadzwoił do komendy. Odebrała Ebba.

– Gdzie jesteś? – chciała wiedzieć. – Pytają o ciebie.

– Kto taki?

– Wiesz, jak to jest. Jak tylko cię nie ma, wszyscy cię szukają.

– Już wracam – odpowiedział Wallander.

Poprosił ją, żeby mu podała numer biura podróży, w którym pracowała Anette Bengtsson. Zapamiętał go, odłożył słuchawkę i zadzwonił do biura. Odpowiedziała inna pracownica. Poprosił do telefonu Anette. Po kilku minutach podeszła. Wallander się przedstawił.

– Jak się udała podróż do Kairu? – spytała.

– Dobrze. Piramidy są bardzo wysokie. I niezwykle. No i gorąco.

– Powinien pan zostać dłużej.

– Może innym razem.

Poprosił ją, żeby sprawdziła, czy Anna lub Emilia Eberhardsson były w Hiszpanii między 12 a 17 sierpnia.

– To chwilę potrwa.

– Zaczekam przy telefonie.

Odłożyła na bok słuchawkę. Wallander zauważył w kącie jeszcze jedną mysz. Nie wiedział, czy to ta sama, co poprzednio. Nadchodzi zima, pomyślał. Myszy się przenoszą do domu. Anette Bengtsson wróciła do telefonu.

– Anna Eberhardsson wyleciała dziesiątego sierpnia – poinformowała. – Wróciła dopiero na początku września.

– Dziękuję za przysługę – rzekł Wallander. – Chciałbym jeszcze dostać wykaz podróży obu siostr za ostatni rok.

– W jakim celu?

– Dla celów śledztwa – odparł. – Jutro po niego wpadnę.

Przyrzekła, że mu pomoże. Odłożył słuchawkę. Pomyślał, że gdyby był dziesięć lat młodszy, mógłby się w niej zakochać. Teraz to nie miało sensu. Awanse z jego strony wzbudziłyby w niej tylko niesmak. Wyszedł z domu i rozmyślał na przemian o Holmie i Emmie Lundin. Potem powrócił myślami do Anette Bengtsson. Nie mógł wiedzieć na pewno, czy miałyby mu to za złe. Ale na pewno miała już chłopaka. Lecz chyba nie męża, bo nie przypominał sobie, żeby nosiła obrączkę.

Pies ujadał jak opętany. Wallander podszedł do wybiegu i ryknął. Pies zamilkł. Jak tylko Kurt się odwrócił, zaczął znowu szczekać. Powinienem się cieszyć, pomyślał. Że Linda nie mieszka w takim domu. Ilu zwykłych obywateli wie cokolwiek o takich środowiskach?

O nieszczęśnikach żyjących w odurzeniu narkotycznym, o ich nędznej doli? Wsiadł do samochodu i odjechał. Ale najpierw otworzył skrzynkę na listy. Leżał w niej list do Holma. Otworzył go. Było to ponaglenie z firmy wynajmującej samochody. Wallander włożył list do kieszeni.

Dochodziła czwarta, kiedy wrócił do komendy. Na stole znalazł kartkę od Martinssona. Poszedł do jego pokoju. Martinsson rozmawiał przez telefon. Na widok inspektora przeprosił, mówiąc, że zadzwoni później, i odłożył słuchawkę. Wallander domyślił się, że rozmawiał z żoną.

– Hiszpańska policja przeczesuje w tej chwili dom w Marbelli – oznajmił. – Nawiązałem kontakt z niejakim Fernando Lopezem. Mówi świetnie po angielsku i jest chyba



wysoko postawionym dowódcą.

Wallander zdał relację z wizyty w Sjöbo i rozmowy z Anette Bengtsson. Pokazał mu bilet.

– Ten sukinsyn leciał w klasie biznes – oburzył się Martinsson.

– Naturalnie – rzekł Wallander. – Ale teraz mamy jeszcze jeden związek. Nikt mi nie powie, że to zbieg okoliczności.

Powtórzył to na zebraniu z grupą o piątej. Trwało bardzo krótko. Per Åkeson był obecny, ale nie zabierał głosu. Już tu nie pracuje, pomyślał Wallander. Siedzi tutaj z nami, ale myślami jest już na urlopie.

Po zebraniu wszyscy wrócili do pracy. Wallander zatelefonował do Lindy. Powiedział, że ma już sprawny samochód i sam odbierze ojca w Malmö. Wyszedł do domu przed siódmą. Zadzwoniła Emma Lundin. Tym razem zgodził się, żeby przyjechała. Jak zwykle wyszła tuż po północy. Wallander myślał o Anette Bengtsson.

Nazajutrz zaszedł do biura podróży i odebrał informacje, o które prosił. W biurze tłoczyli się klienci poszukujący ostatnich wolnych miejsc na święta Bożego Narodzenia. Wallander miał ochotę zostać i pogadać chwilę z Anette Bengtsson, ale była zajęta. Przystanął na miejscu, gdzie przedtem była pasmanteria. Plac został już oczyszczony. Ruszył w kierunku miasta. Zdał sobie nagle sprawę, że do świąt pozostał niespełna tydzień. Pierwsze święta Bożego Narodzenia po rozwodzie.

Tego dnia nie zdarzyło się nic, co posunęłoby śledztwo naprzód. Wallander rozmyślał o swojej piramidzie. Dodał do niej grubą kreskę, która połączyła Annę Eberhardsson z Yngvem Leonardem Holmem.

Nazajutrz, 21 grudnia, Wallander pojechał do Malmö po ojca. Poczul ulgę, kiedy zobaczył go wychodzącego z terminalu. Pojechali do domu w Löderup. Ojciec nie przestawał opowiadać z zachwytem o swojej podróży. Jakby zapomniał o tym, że siedział w areszcie i że Kurt również był w Kairze.

Wieczorem Wallander udał się na przyjęcie organizowane przez policję. Celowo nie usiadł przy tym samym stole co Björk. Musiał jednak przyznać, że Björk miał bardzo udane

wystąpienie. Zadał sobie trud i przestudiował historię policji w Ystad. Jego wywód iskrzył się dowcipem i Wallander często się śmiał. Björk był bez wątpienia dobrym mówcą.

Wrócił do domu podchmielony. Zanim zasnął, myślał o Anette Bengtsson. Zaraz potem postanowił przestać o niej myśleć.

22 grudnia po raz kolejny przekopywali się przez cały materiał śledztwa. Nic nowego się nie wydarzyło. Hiszpańska policja nie odnalazła niczego szczególnego w domu sióstr. Żadnych ukrytych kas pancernych. Wciąż czekali na zidentyfikowanie drugiego pilota.

Po południu Wallander kupił sobie prezent pod choinkę. Samochodowe radio. Udało mu się je zamontować.

23 grudnia zrobili dłuższe podsumowanie całego dochodzenia. Od Nyberga nadeszła wiadomość, że Holm został zastrzelony z tej samej broni, której użyto do zamordowania sióstr Eberhardsson. Broni wciąż nie odnaleziono. Wallander przeciągnął nową kreskę na swoim rysunku. Liczba powiązań rosła, ale nadal nie było centrum.

Podczas świąt mieli pracować normalnie. Lecz Wallander z doświadczenia wiedział, że w tym okresie wszystko działa na zwolnionych obrotach. Trudno kogokolwiek złapać i trudno zdobyć niezbędne informacje.

W Wigilię po południu padał deszcz. Wallander odebrał Lindę z dworca i pojechali do Löderup. Linda kupiła dziadkowi w prezencie nowy szalik. Wallander butelkę koniaku. Ojciec z córką przyrzadzali świąteczną kolację, podczas gdy starszy pan siedział w kuchni i snuł opowieść o piramidach. Wieczór był wyjątkowo udany, przede wszystkim ze względu na serdeczny kontakt Lindy z dziadkiem. Wallander czuł się trochę na uboczu, ale nie przejmował się tym. Od czasu do czasu biegł myślami do zmarłych sióstr, Holma i samolotu, który roztrzaskał się na polu.

Po powrocie do Ystad rozmawiali z Lindą do późnej nocy. Wallander obudził się wyspany. Zawsze dobrze spał, kiedy Linda była w domu. Pierwszy dzień świąt był zimny i słoneczny. Wybrali się na długi spacer do Sandskogen. Mówiła

mu o swoich planach. Od Wallandera dostała prezent w postaci obietnicy. Obiecał Lindzie w miarę możliwości pokryć część kosztów związanych z jej praktyką we Francji. Jeżeli się na nią zdecyduje.

Późnym popołudniem podrzucił ją na dworzec. Chciał zawieźć ją do Malmö, ale wołała jechać pociągiem. Wieczorem Kurt poczuł się samotny. Obejrzał jakiś stary film w telewizji, a potem słuchał *Rigoletta*. Pomyślał, że powinien być zadzwonić z życzeniami do Rydberga. Teraz było już za późno.

Drugiego dnia świąt, tuż po siódmej, Wallander wyjrzał przez okno w kuchni. Padał deszcz ze śniegiem i ten przygnębiający widok obudził w nim nagle wspomnienie ciepłej nocy w Kairze. Pomyślał jednocześnie, że musi w jakiś sposób podziękować za pomoc Radwanowi. Zanotował to w notesie leżącym na kuchennym stole. Potem, co było rzadkością, zjadł porządne śniadanie.

Przybył do komendy dopiero około dziewiątej. Zamienił parę słów z funkcjonariuszami, którzy dyżurowali w nocy. W tym roku święta w Ystad przebiegły wyjątkowo spokojnie. Co prawda w Wigilię zanotowano pewną liczbę rodzinnych awantur, ale żadnych poważniejszych przypadków. Wallander szedł do swojego biura przez opustoszały korytarz.

Teraz na nowo ostro się zabierze do obu dochodzeń. Wciąż były to oddzielne sprawy, chociaż Wallander był przekonany, że siostry Eberhardsson i Yngvego Leonarda Holma pozbawiła życia ta sama osoba. W grę wchodziła nie tylko ta sama ręka i broń, ale również ten sam motyw. Wallander przyniósł kawę z jadalni i pochylił się nad swoimi notatkami. Piramida. Narysował duży znak zapytania w środku trójkąta. Teraz on musi odnaleźć szczyt, na który wyprawiał się jego ojciec.

Łamał sobie głowę przez dwie godziny i wreszcie zyskał pewność. Muszą się skupić na poszukiwaniu brakującego ogniwa. Pewien układ, może jakaś organizacja załamały się po katastrofie samolotu. Natychmiast z cienia wyłoniła się osoba lub kilka osób i podjęły działania. Zamordowano troje ludzi.

Milczenie, pomyślał Wallander. Może przede wszystkim o to chodzi? Wiedza, która ma pozostać tajna. Nieżywi nie mogą

mówić.

Mogło tak być. Ale mogło być również zupełnie inaczej.

Stanął przy oknie. Śnieg robił się coraz gęstszy.

To musi potrwać, pomyślał.

Powiem to na początku najbliższego zebrania.

Musimy się liczyć z tym, że to potrwa.

## 10

W nocy 27 grudnia Wallander miał koszmarne sen. Znajdował się w Kairze, w sali rozpraw. Obok niego nie było już Radwana. Tym razem rozumiał wszystko, co mówi oskarżyciel i sędzia. Ojciec siedział w kajdankach na rękach i Wallander usłyszał, ku swemu przerażeniu, że skazują go na śmierć. Wstał, żeby zaprotestować, ale nikt go nie słyszał. Wtedy z największym wysiłkiem wydobył się na powierzchnię i obudził się cały zlany potem. Leżał nieruchomo, wpatrując się w mrok.

Sen tak go zaniepokoił, że wstał i poszedł do kuchni. Śnieg wciąż padał. Uliczna latarnia kiwała się miarowo na wietrze. Było pół do piątej. Wypił szklanek wody i przez chwilę trzymał palce na butelce whisky. Nie otworzył jej. Myślał o tym, co usłyszał od Lindy. Że sny są posłańcami. Nawet jeżeli występują w nich inne osoby, to posłanie dotyczy przede wszystkim śniącego. Wallander zawsze wątpił w sens interpretowania snów. Jakie przesłanie dla niego może zawierać sen, w którym jego ojciec został skazany na śmierć? Może ma to jakiś związek z niepokojem, jaki odczuwa w związku ze stanem zdrowia Rydberga? Wypił jeszcze jedną szklanek wody i wrócił do łóżka.

Jednak sen nie przychodził. Myśli błądziły wokół Mony, ojca, Lindy, Rydberga. A potem wracały do niezmiennego punktu wyjścia. Praca. Zabójstwo siostr Eberhardsson i Yngvego Leonarda Holma. Dwaj martwi piloci. Jeden z Hiszpanii, drugi wciąż niezidentyfikowany. Myślał o swoim rysunku. Trójkącie ze znakiem zapytania pośrodku.

Teraz, leżąc w ciemności, pomyślał, że trójkąt ma różne

podstawy.

Kręcił się i przewracał w łóżku do godziny szóstej. Potem wstał, napełnił wodą wannę i zaparzył kawę. Przyszła już poranna gazeta. Otworzył stronę z ogłoszeniami domów na sprzedaż. Nie znalazł nic, co by go zainteresowało. Zaniósł filiżankę z kawą do łazienki. Zanurzony w ciepłej wodzie przedrzemał do pół do siódmej. Pogoda go przygnębiała. Wiecznie mokro. Na szczęście ma samochód, który zapewne zastartuje.

Kwadrans po siódmej przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik od razu zaskoczył. Pojechał do komendy i zaparkował jak najbliżej wejścia. Potem biegł przez mokry śnieg i omal się nie przewrócił na schodach. W recepcji stał Martinsson i przeglądał gazetę policyjną. Skinął głową Wallanderowi.

– Piszą, że trzeba wszystko poprawić – oznajmił ponuro. – Przede wszystkim zacieśnić nasze związki ze społeczeństwem.

– To znakomicie – odparł Wallander.

Wciąż pamiętał pewną scenę. Zdarzyło się to w Malmö, dwadzieścia lat temu. W kawiarni zwymyślała go młoda dziewczyna za to, że rzekomo ją pobił podczas demonstracji przeciwko wojnie w Wietnamie. Z jakiegoś powodu nigdy o tym nie zapomniał. To, że częściowo z jej winy o mały włos nie zginął od ciosu nożem, było mniej ważne. Za to nigdy nie zapomniał wyrazu jej twarzy, jej bezdennej pogardy.

Martinsson cisnął gazetę na stół.

– Nie zastanawiasz się czasem, czy nie odejść? – zapytał. – Zając się czymś innym?

– Każdego dnia – odparł Wallander. – Ale nie wiem, co miałbym innego robić.

– Może się trzeba rozejrzeć za jakąś firmą ochroniarską.

Wallander był zaskoczony. Zawsze myślał, że najgorętszym marzeniem Martinssona jest zostać w przyszłości komendantem policji.

Powiedział Martinssonowi, że odwiedził dom, w którym mieszkał Holm. Tamten się zmartwił, słysząc, że zastał tylko psa.

– Mieszkają tam co najmniej dwie osoby – zapewnił. –

Dziewczyna około dwudziestu pięciu lat. Nie widziałem jej. Ale mieszka tam również mężczyzna. Nazywa się Rolf. Rolf Nyman. Nazwiska dziewczyny nie pamiętam.

– Był tylko pies – powtórzył Wallander. – I to tchórzliwy, bo jak tylko na niego wrzasnąłem, zaczął się płaszczyć.

Uzgodnili, że poczekają z zebraniem do dziewiątej. Martinsson nie był pewien, czy przyjdzie Svedberg. Zawiadomił wieczorem, że jest przeziębiony i ma gorączkę.

Wallander poszedł do swojego pokoju. Jak zwykle odmierzył dwadzieścia trzy kroki od początku korytarza. Czasami pragnął, żeby coś się wydarzyło. Żeby korytarz stał się dłuższy lub krótszy. Ale nic się nie zmieniało. Odwiesił kurtkę na wieszak i strzepnął kilka włosów z oparcia fotela. Przesunął dłonią po głowie. Z każdym rokiem coraz bardziej się martwił, że pewnego dnia zaczniełysięć. Usłyszał pośpieszne kroki na korytarzu. Wszedł Martinsson, wymachując papierami.

– Drugi pilot zidentyfikowany – oznajmił. – Przyszła wiadomość z Interpolu.

Wallander natychmiast przestał myśleć o swoich włosach.

– Ayrton McKenna – czytał Martinsson. – Urodzony w Południowej Rodezji w 1945 roku. Pilot helikopterów od 1964 roku w południoworodezyjskim wojsku. Wielokrotnie odznaczony w latach sześćdziesiątych. Ciekawe za co? Że spuszczał bomby na czarnych?

Wallander miał niewielkie pojęcie o dawnych brytyjskich koloniach w Afryce.

– Jak się teraz nazywa Południowa Rodezja? Zambia?

– To była Północna Rodezja. Południowa nazywa się Zimbabwe.

– Moja znajomość Afryki pozostawia wiele do życzenia. Co tam jeszcze piszą?

Martinsson czytał dalej.

– Po roku 1980 Aytron McKenna przenosi się do Anglii. Od 1983 do 1985 odsiadyuje wyrok za przemyt narkotyków. Po 1985 brak informacji, aż nagle pojawia się w Hongkongu w 1987 roku. Jest podejrzany o przemyt ludzi z Chin. Ucieka z aresztu, zabijając dwóch strażników, i od tego czasu jest

poszukiwany. Teraz został zidentyfikowany. To on siedział razem z Espinosą w samolocie, który spadł pod Mossby.

– Co tu mamy? – powiedział po namyśle Wallander. – Dwóch pilotów o kryminalnej przeszłości. Obaj parali się przemytem. W samolocie, który nie istnieje. Na kilka minut przekraczają nielegalnie szwedzką granicę. Kiedy samolot się rozbija, są przypuszczalnie w drodze powrotnej. Wynikają z tego dwie możliwości. Albo mieli coś zostawić, albo coś zabrać. Skoro nie znaleziono żadnych śladów lądowania, to znaczy, że coś zrzucili. A co się zrzuca z samolotu? Oprócz bomb?

– Narkotyki.

Wallander skinął głową. Potem pochylił się do przodu.

– Czy komisja do spraw katastrofy rozpoczęła pracę?

– Strasznie się to ciągnie. Ale nic nie wskazuje na to, że samolot został zestrzelony, jeśli to masz na myśli.

– Nie – zaprzeczył Wallander. – Jedyne, co mnie interesuje, to to, czy samolot miał dodatkowe zbiorniki na paliwo, czyli z jak daleka mógł przylecieć? I czy to był wypadek?

– Jeżeli nie został zestrzelony, to pozostaje tylko wypadek.

– Pozostaje też jeszcze sabotaż. Ale może to zbyt naciągane.

– Maszyna była stara – rzekł Martinsson. – To jasne. Pewnie rozbiła się pod Vientianem i potem znów ją podreperowali. Jednym słowem, mogła być w złym stanie.

– Kiedy ta komisja zacznie wreszcie pracować?

– Dwudziestego ósmego, czyli jutro. Samolot został przetransportowany do hangaru na Sturup.

– Powinieneś tam być – zasugerował Wallander. – Sprawa dodatkowych zbiorników jest ważna.

– Nie wiem, czy to możliwe, żeby samolot przyleciał z Hiszpanii bez lądowania – powątpiewał Martinsson.

– Ja też wątpię. – Ale chciałbym wiedzieć, czy może wyruszył z innego wybrzeża. Z Niemiec. Albo któregoś z krajów bałtyckich.

Martinsson wyszedł. Wallander zanotował nazwisko McKenny obok Espinosy. Nie był pewien, czy prawidłowo je zapisał.

Grupa dochodzeniowa zebrała się o dziewiątej. Tego dnia

była niekompletna. Svedberg chorował. Nyberg pojechał do Eksjö odwiedzić swoją dziewięćdziesięciosześcioletnią matkę. Miał wrócić przed południem, ale na południe od Växjö nawalił mu samochód. Rydberg wyglądał na wycieńczonego. Wallander poczuł od niego lekką woń alkoholu. Prawdopodobnie spędził samotnie święta, pijąc. Rzadko się zdarzało, żeby się upił. Pił niewiele, ale regularnie. Hansson narzekał, że się przejadł. Nie zjawili się ani Björk, ani Per Åkeson. Wallander spojrział na trzech mężczyzn za stołem. Tego się nie zobaczy w telewizji, pomyślał. Tam widać tylko młodych, żwawych, pełnych entuzjazmu policjantów. Może jeszcze Martinsson jakoś by się tam wpasował. Reszta nie przedstawia w tej chwili zbyt budującego widoku.

– Dziś w nocy mieliśmy bójkę na noże – zaczął Hansson. – Dwaj bracia wszczęli awanturę z ojcem. Jeden z braci i ojciec wylądowali w szpitalu. Wygląda na to, że tłukli się, czym popadnie.

– To znaczy?

– Młotkiem. Łomem. Może nawet śrubokrętem. W każdym razie ojciec ma rany klute.

– Zajmiemy się tym, jak będziemy mieli czas. W tej chwili mamy na karku trzy zabójstwa. Albo dwa, jeżeli siostry policzymy razem.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy zostawić Holma policji w Sjöbo – irytował się Hansson.

– Bo Holm figuruje w naszym dochodzeniu – odparł równie zirytowany Wallander. – Jak zaczniemy się zajmować każdym z osobna, to nigdy sobie nie damy rady.

Hansson nie ustępował. Tego dnia był rzeczywiście w złym humorze.

– Czy Holm miał na pewno do czynienia z siostrami Eberhardsson?

– Nie – odrzekł Wallander. – Ale wszystko przemawia za tym, że zamordowała ich ta sama osoba. Według mnie to dostateczny powód, aby połączyć oba dochodzenia i kierować nimi z Ystad.

– Czy Åkeson się na to zgodził?



– Tak – odparł Wallander.

Nie mówił prawdy. Per Åkeson nic nie powiedział. Lecz Wallander był pewien, że w tej kwestii przyzna mu rację.

Demonstracyjnie przerwał wymianę zdań z Hanssonem, zwracając się do Rydberga.

– Są jakieś ruchy na rynku narkotyków? – zapytał. – Czy w Malmö zmieniły się może ceny lub podaż?

– Dzwoniłem – odparł Rydberg. – Wygląda na to, że nikt tam w święta nie pracuje.

– Będziemy dalej sprawdzać Holma – postanowił Wallander.

– Zaczynam podejrzewać, że to śledztwo potrwa długo i sprawi nam sporo kłopotu. Trzeba będzie cierpliwie drążyć. Kim był Holm? Z kim przystawał? Jaką pozycję zajmował w organizacji handlu narkotykami? O ile w ogóle? A siostry? Wciąż za mało wiemy.

– Słusznie – odezwał się Rydberg. – Drążąc w głąb, posuwamy się do przodu.

Wallander postanowił to zapamiętać.

Drążąc w głąb, posuwamy się do przodu.

Zakończyli zebranie, mając w uszach sentencję Rydberga. Wallander udał się do biura podróży. Ku jego rozczarowaniu Anette Bengtsson przebywała na urlopie. Kopertę wręczyła mu jej koleżanka.

– Znaleźliście ich? – zapytała. – Tych, co zamordowali siostry?

– Jeszcze nie. Pracujemy nad tym.

W powrotnej drodze Wallander przypomniał sobie, że rano miał zarezerwowany czas w domowej pralni. Podjechał na Mariagatan, wszedł do mieszkania, wyjął pranie z szafy i zniósł na dół. Kartka przyczepiona do pralki informowała, że maszyna jest zepsuta. Wallander się rozzłościł, wyniósł pranie do samochodu i wrzucił do bagażnika. W komendzie mieli pralkę. Kiedy skręcił w Regementsgatan, o mało nie najechał na niego pędzący motocykl. Zaparkował przy chodniku i przymknął oczy. Jestem zestresowany, pomyślał. Jeżeli zepsuta pralka powoduje taką reakcję, to coś jest nie tak.

Domyślał się przyczyny tego stanu. To samotność. Coraz

trudniejsze do zniesienia nocne godziny spędzane z Emmą Lundin.

Zamiast wrócić do komendy, postanowił odwiedzić ojca w Löderup. Niezapowiedziana wizyta zawsze niosła ze sobą pewne ryzyko. Ale Wallander chciał w tym momencie poczuć zapach olejnych farb w pracowni ojca. Poza tym nękało go wspomnienie nocnego snu. Przemierzał szary krajobraz, rozmyślając, od czego zacząć zmianę obecnego życia. Kto wie, czy Martinsson nie ma racji? Że powinien się poważnie zastanowić, czy rzeczywiście chce być przez całe życie policjantem. Słuchał nieraz, jak Per Åkeson z rozmarzeniem mówił o życiu bez aktów oskarżenia, bez męczących, monotonnych godzin spędzanych w sali rozpraw czy przesłuchań. Nawet ojciec ma coś, czego mu brakuje, myślał, wjeżdżając na podwórze. Marzenia, którym postanowił być wierny. Nie bacząc na to, ile kosztują jego jedyne go syna.

Wysiadł i skierował się w stronę pracowni. Zza półotwartych drzwi wyszedł kot i obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Odsunął się na bok, kiedy Wallander chciał go pogłaskać. Kurt zapukał i wszedł do środka. Ojciec siedział przy sztalugach.

– To ty? Nie spodziewałem się ciebie.

– Przejeżdżałem tędy – skłamał Wallander. – Przeszkadzam?

Ojciec udawał, że nie słyszy pytania. Zaraz zaczął się rozwódzić o podróży do Egiptu. Jak o wciąż żywym, ale już odległym wspomnieniu. Wallander przysiadł na starych fińskich saniach i słuchał.

– Teraz zostały już tylko Włochy – zakończył ojciec. – Potem mogę się położyć i umrzeć.

– Myślę, że trochę zaczekamy z tą podróżą – odparł Wallander. – Przynajmniej parę miesięcy.

Ojciec dalej malował. Wallander siedział w milczeniu. Chwilami zamieniali kilka słów. Potem znów milczeli. Wallander czuł, jak opada z niego zmęczenie. Głowa przestała mu ciążyć. Po półgodzinie zaczął się zbierać do wyjścia.

– Wpadnę w sylwestra – powiedział.

– Przywieź butelkę koniaku – odparł ojciec.

Wallander wrócił do komendy. Budynek wciąż wydawał się niemal opustoszały. Wszyscy oszczędzali siły, wiedząc, że w noc sylwestrową będą mieli pełne ręce roboty.

Usiadł w pokoju i zajął się przeglądaniem wykazu podróży siostr Eberhadsson za ubiegły rok. Starał się odnaleźć jakąś prawidłowość, ale nie był pewien, czego właściwie szuka. Nie wiem nic o Holmie, pomyślał. Ani o pilotach. Nie mam żadnych punktów odniesienia, prócz jednej podróży, którą Holm odbył w tym samym czasie co siostry.

Wsunął papier do koperty i odłożył do segregatora, w którym przechowywał wszystkie dokumenty związane z dochodzeniami. Potem zanotował na kartce, że ma kupić butelkę koniaku.

Minęło południe. Wallander poczuł głód. Postanowił zerwać ze złymi nawykami i zamiast wrzucić w siebie kilka kiełbasek pod kioskiem, udał się do pobliskiego szpitala i zjadł kanapkę w kafeterii. Zaczął przeglądać stary ilustrowany tygodnik, który leżał na sąsiednim stole. Pewna gwiazda pop omal nie zmarła na raka. Jakiś aktor zemdlął podczas przedstawienia. Zdjęcia z przyjęć u bogaczy. Rzucił gazetę i wszedł. Czuł się jak słoń, kręcący się w kółko po cyrkowym maneużu. Wkrótce musi się coś wydarzyć, myślał. Kto i dlaczego wykonał wyrok na trzech osobach?

Rydberg czekał na niego w recepcji. Wallander usiadł obok niego na kanapie. Rydberg, jak zwykle, od razu przeszedł do rzeczy.

– Malmö zalewa fala heroiny – oznajmił. – A także Lund, Eslöv, Landskronę i Helsingborg. Dzwoniłem do kolegi w Malmö. Według niego rynek dostał potężny zastrzyk narkotyków. To by się zgadzało z hipotezą, że zrzucono je z samolotu. Jeżeli tak, to właściwie interesuje nas tylko jedna rzecz.

Wallander domyślił się, o co mu chodzi.

– Kto odbierał towar?

– Można sobie wyobrazić różne warianty. Co do katastrofy, to nikt się jej nie spodziewał. Gówniany samolot z Azji, który już dawno powinien iść na złom. Czyli coś musiało zajść tam,

na ziemi. Albo partię zrzuconą w nocy z samolotu odebrała niewłaściwa osoba, albo więcej niż jeden drapieznik czyhał na zdobycz.

Wallander skinął głową. Jego myśli biegły podobnym torem.

– Coś nie wypaliło – ciągnął Rydberg. – W rezultacie siostry Eberhardsson, a następnie Holm zostają zamordowani. Tą samą bronią. Tą samą ręką.

– Aż trudno w to uwierzyć – odparł Wallander. – Wiemy już, że Anna i Emilia nie były uroczymi starszymi paniami. Ale od tego do handlu ciężkimi narkotykami jest jeszcze daleka droga.

– Też jestem tego samego zdania – zgodził się Rydberg. – Ale nic już mnie nie dziwi. Pazerność, gdy raz już zawładnie człowiekiem, nie zna granic. Może handel pasmanterią szedł coraz gorzej? Można to sprawdzić, przeglądając ich zeznania podatkowe. Zresztą liczby mogą nam powiedzieć, w którym momencie zaszła jakaś duża zmiana. Kiedy przestały dbać o dochody ze sklepu. Może marzyło im się życie w słonecznym raju? Nigdy nie zarobiłyby dosyć pieniędzy, sprzedając napy i jedwabne nici. Nagle coś się wydarza. I zaplątują się w sieć.

– Można na to spojrzeć również z innej strony – podsunął Wallander. – Trudno o lepszą przykrywkę niż dwie starsze panie w sklepie z pasmanterią. Uosobienie niewinności.

Rydberg skinął głową.

– Kto czekał na zrzut towaru? – powtórzył.

– I jeszcze jedno: Kto za tym wszystkim stał? A raczej: Kto za tym stoi?

– Nadal szukamy centrum – rzekł Wallander. – Wierzchołka piramidy.

Rydberg ziewnął i z trudem wstał.

– Prędzej czy później rozwikłamy to – zakończył.

– Czy Nyberg już wrócił?

– Martinsson mówił, że jest jeszcze w Tingsryd.

Wallander wrócił do siebie. Wszyscy wydają się na coś czekać. O czwartej Nyberg zawiadomił, że wreszcie naprawili mu samochód. O piątej odbyło się zebranie. Nie wniosło nic nowego.

W nocy Wallander spał mocno i nic mu się nie śniło. Następnego dnia wyrzało słońce i temperatura wynosiła pięć stopni. Zostawił samochód pod domem i ruszył pieszo do komendy. W połowie drogi się rozmyślił. Przypomniał sobie słowa Martinssona.

O dwóch osobach mieszkających w domu, gdzie Holm miał swój pokój. Była zaledwie za kwadrans siódma. Zdąży jeszcze tam zajrzeć, zanim rozpocznie się zebranie.

Za kwadrans ósma zajechał na podwórze. Pies stał na wybiegu i szczekał. Wallander rozejrzał się dokoła. Dom wyglądał na tak samo opuszczony jak wczoraj. Podszedł do drzwi i zapukał. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Ktoś był w środku. Postanowił obejść dom dokoła, kiedy usłyszał za plecami odgłos otwieranych drzwi. Odwrócił się zaskoczony. W drzwiach stał mężczyzna w podkoszulce i opadających dzinsach. Patrzył na Wallandera. Komisarz podszedł do niego i się przedstawił.

– Czy pan Rolf Nyman? – zapytał.

– Tak, to ja.

– Muszę z panem porozmawiać.

Mężczyzna się zawahał.

– Jest nieposprzątane – powiedział. – Dziewczyna, która tu mieszka, śpi.

– U mnie w domu też nie jest sprzątnięte – odparł Wallander. – Poza tym nie musimy siedzieć na jej łóżku.

Nyman wpuścił go do zagraconej kuchni. Usiedli. Nie zaproponował komisarzowi żadnego poczęstunku. Ale sprawiał sympatyczne wrażenie. Wallander przypuszczał, że wstydzi się panującego bałaganu.

– Dziewczyna ma wielki problem z narkotykami – wyjaśnił.

– Próbuje się z tego wyciągnąć. Pomagam jej, jak mogę. Ale to nie jest łatwe.

– A pan?

– Ja tego nie dotykam.

– To chyba nie jest najlepsze miejsce do mieszkania dla osoby, która chce skończyć z nałogiem.

Odpowiedź była szybka i przekonująca.

– Nie miałem pojęcia, że Holm handluje narkotykami. Był w porządku i mogliśmy tanio mieszkać. Nie wiedziałem, czym się zajmuje. Opowiadał, że studiował astronomię. Wieczorami wychodziliśmy na podwórze. Znał nazwy wszystkich gwiazd. Każdej jednej.

– A czym pan się zajmuje?

– Nie mogę mieć stałej pracy, dopóki ona się lepiej nie poczuje. Pracuję dorywczo w dyskotecce.

– W dyskotecce?

– Nastawiam płyty.

– Jest pan didżejem?

– Tak.

Mężczyzna był spokojny. Przejmował się tylko tym, czy śpiąca gdzieś dziewczyna się nie obudzi.

– Holm – rzucił Wallander. – Gdzie pan go poznał?

I kiedy?

– W dyskotecce w Landskronie. – Zaczęliśmy rozmawiać i powiedział mi o tym domu. Parę tygodni później przeprowadziliśmy się tutaj. Najgorsze, że nie mam siły sprzątać. Przedtem to robiłem. I Holm też. Ale teraz cały mój czas zajmuje opieka nad dziewczyną.

– Nigdy pan nie podejrzewał, że Holm prowadzi nielegalną działalność?

– Nie.

– Czy ktoś go tu odwiedzał?

– Nigdy. Zazwyczaj w ciągu dnia wychodził. Ale zawsze mówił, kiedy wróci. I tylko ostatnim razem nie wrócił o wyznaczonej godzinie.

– Czy tamtego dnia sprawiał wrażenie zaniepokojonego? Czy coś się zmieniło?

– Nie, zachowywał się jak zwykle – odparł Rolf Nyman po chwili namysłu.

– To znaczy?

– Był w dobrym humorze. Chociaż nieraz bywał milczący.

Wallander zastanawiał się nad dalszymi pytaniami.

– Czy Holm miał dużo pieniędzy?

– W każdym razie nie żył w luksusie. Mogę panu

pokazać jego pokój.

– Nie trzeba. Więc nigdy nikt go nie odwiedzał?

– Nigdy.

– Musiał odbierać jakieś telefony?

Nyman skinął potakująco głową.

– On zawsze wiedział, kiedy ktoś zadzwoni. Za każdym razem, jak siadał na krześle obok telefonu, telefon dzwonił. Ale kiedy przebywał poza domem lub nawet daleko od aparatu, telefon się nie odzywał. To było bardzo dziwne.

Wallander nie miał już więcej pytań.

– Co teraz będzie? – zapytał.

– Nie wiem. Holm wynajmował dom od kogoś z Örebro. Pewnie będziemy się musieli wyprowadzić.

Rolf Nyman odprowadził go do schodów.

– Czy Holm wymieniał kiedykolwiek nazwisko sióstr Eberhardsson?

– Tych zamordowanych? Nie, nigdy.

Wallander miał jeszcze ostatnie pytanie.

– Holm musiał mieć samochód – powiedział. – Gdzie on jest?

Rolf Nyman pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Co to za wóz?

– Czarny golf.

Wallander wyciągnął rękę na pożegnanie. Kiedy szedł do samochodu, pies nie czekał.

Holm potrafił dobrze ukrywać swoją działalność, myślał, jadąc do Ystad. Tak samo jak ukrywał przede mną swoją prawdziwą twarz.

Za kwadrans dziewięta zaparkował przed komendą. Ebba była na miejscu i poinformowała go, że Martinsson i pozostali czekają na niego w pokoju konferencyjnym. Przyspieszył kroku. Wchodząc, zobaczył Nyberga.

– Co się stało? – zapytał, zanim jeszcze zajął miejsce.

– Ważne wieści – odparł Martinsson. – Koledzy z Malmö zrobili rutynowy nalot na osławionego dilera narkotyków. Znaleźli u niego w domu pistolet kalibru 0.38.

Martinsson zwrócił się do Nyberga.

– Technicy byli szybcy – oznajmił. – Zarówno siostry Eberhardsson, jak i Holm zostali zastrzeleni z broni o tym kalibrze.

Wallander wstrzymał oddech.

– Ja się nazywa handlarz?

– Nilsmark, ale mówią na niego Hilton.

– Czy to ta sama broń?

– Na to nie możemy odpowiedzieć. Ale istnieje taka ewentualność.

Wallander skinął głową.

– Dobrze – skwitował. – Wreszcie coś mamy. Może się uda zakończyć sprawę przed Nowym Rokiem.

## 11

Pracowali intensywnie przez trzy dni. Aż do sylwestra. Wallander i Nyberg pojechali do Malmö już 28 grudnia przed południem. Nyberg musiał się porozumieć z technikami, natomiast Wallander miał być obecny i uczestniczyć w przesłuchaniu handlarza narkotyków o przydomku Hilton. Zatrzymany był mężczyzną po pięćdziesiątce i mimo znacznej nadwagi zadziwiająco sprężystym. Siedział ze znudzonym wyrazem twarzy, w garniturze i krawacie. Przed rozpoczęciem przesłuchania inspektor Hyttner zapoznał Wallandera ze sprawą.

Na początku lat osiemdziesiątych Hilton odsiadywał kilkuletni wyrok za handel narkotykami. Niemniej jednak Hyttner był przekonany, że Hilton został skazany tylko za niewielką część swojej działalności. Policji i prokuraturze nie udało się zdobyć przeciwko niemu niezbitych dowodów. Z więzienia w Norrköping, gdzie odbywał karę, Hilton w dalszym ciągu kontrolował dostawy. Policja w Malmö nie stwierdziła, żeby jego nieobecność wywołała walkę między ugrupowaniami dostarczającymi narkotyki do południowej Szwecji.

Po odbyciu kary Hilton się rozwiódł i zaraz potem ożenił z



młodą pięknoscią z Boliwii. Następnie przeprowadził się do okazałej posiadłości na północ od Trelleborga. Wiadomo było, że stopniowo przejmuje kontrolę nad handlem w Ystad, Simrishamn i Kristianstad. 28 grudnia policja uznała, że ma dostateczną ilość dowodów, aby wystąpić o zgodę prokuratora na wejście do posiadłości. Tam właśnie znaleźli pistolet. Hilton od razu przyznał, że nie ma pozwolenia na broń. Tłumaczył się tym, że mieszka na odludziu i kupił broń w celu ewentualnej obrony. Stanowczo zaprzeczył, jakoby miał coś wspólnego z zabójstwem sióstr Eberhardsson i Holma.

Wallander przysłuchiwał się rozwlekłemu przesłuchaniu Hiltona. Pod koniec zadał mu kilka pytań. Między innymi o daty. W przypadku sióstr Eberhardsson można było dokładnie ustalić czas śmierci, co innego w przypadku Holma. Nie wiadomo dokładnie, kiedy został zastrzelony. Hilton twierdził, że w dniu, kiedy zginęły siostry, przebywał w Kopenhadze. Sprawdzenie tego wymagało czasu, jako że pojechał sam. W okresie od zaginięcia Holma aż do jego śmierci zajęty był różnymi innymi sprawami.

Wallander żałował, że nie zabrał ze sobą Rydberga. On zazwyczaj dość szybko potrafił ocenić, czy dana osoba mówi prawdę. Wallanderowi nie szło łatwo z Hiltonem, było trudno. Gdyby miał ze sobą Rydberga, mogliby porównać swoje wrażenia. Po zakończeniu przesłuchania Wallander poszedł z Hyttnerem na kawę.

– Nigdy nie udało się nam udowodnić mu stosowania przemocy – rzekł Hyttner. – Zawsze wyręczał się chłopcami od brudnej roboty. W dodatku za każdym razem kim innym. Wiemy, że ściągał nawet ludzi z kontynentu, jak chciał połamać nogi komuś, kto mu podpadł.

– Musimy ich wszystkich odnaleźć – powiedział Wallander.  
– O ile to broń, której szukamy.

– Nie bardzo mi się chce w to wierzyć – przyznał Hyttner. – To nie ten typ. Nie ma skrupułów, kiedy rozprowadza heroinę wśród młodzieży szkolnej. Ale należy do tych, którzy mdleją przy pobieraniu krwi.

Wallander wrócił do Ystad wczesnym popołudniem. Nyberg

został jeszcze w Malmö. Chciał wierzyć, że są coraz bliżej wyjaśnienia zabójstw.

Przez cały czas nękała go myśl, że coś mu umknęło. Wniosek, który powinien mu się nasunąć, lub założenie, które powinien przyjąć. Bezskutecznie szukał odpowiedzi.

W drodze do Ystad zajechał do Stjärnsund i spędził chwilę w stadninie Stena Widéna. Zastał go w stajni w towarzystwie starszej pani, właścicielki tresowanego tu konia. Kiedy Wallander wszedł, właśnie się żegnała. Patrzyli ze Stenem, jak odjeżdża swoim bmw.

– Miła kobieta – powiedział Sten Widen. – Ale konie, które jej wciskają, doprowadzają mnie do rozpacz. Mówię jej, żeby się mnie poradziła, zanim któregoś kupi. Ale ona uważa, że wie najlepiej. Teraz ma Jupitera. Mogę zaręczyć, że nie wygra żadnej gonitwy.

Rozłożył bezradnie ramiona.

– Ale dzięki niej jakoś żyję.

– Traviata – przypomniał Wallander. – Chcę ją zobaczyć.

Wrócili do stajni, gdzie w boksach dreptały w miejscu konie. Sten Widen przystanął przy jednym z nich i pogładził go po pysku.

– Traviata – oznajmił. – Nie jest szczególnie rozwiązała, można powiedzieć. Raczej się boi ogierów.

– Jest dobra?

– Może kiedyś będzie. Ma słabe tylne nogi. Zobaczymy.

Wyszli na podwórze. Kiedy Wallander stał obok Stena w stajni, poczuł lekką woń alkoholu. Sten chciał go poczęstować kawą, ale Kurt podziękował.

– Mam na głowie potrójne morderstwo – wyjaśnił. – Pewnie czytałeś w gazetach?

– Czytam tylko strony sportowe – odparł Sten Widen.

Wyjeżdżając z Stjärnsund, Wallander się zastanawiał, czy kiedyś powróci bliskość, która dawniej łączyła go z Widénem.

Kiedy wszedł do recepcji, zobaczył tam Björka.

– Słyszałem, że rozwiązaliście sprawę zabójstw.

– Nie – odparł stanowczo Wallander. – Niczego nie rozwiązaliśmy.

– Nie trzeba tracić nadziei – odparł Björk i odszedł.

Zupełnie jak gdyby nic między nimi nie zaszło, pomyślał Wallander. A może jeszcze bardziej niż ja obawia się konfliktów. Albo jest mniej pamiętliwy.

Zwołał grupę dochodzeniową i opowiedział o przesłuchaniu Hiltona w Malmö.

– Sądziś, że to on? – zapytał Rydberg, kiedy Wallander umilkł.

– Nie mam pojęcia.

– To znaczy, że w to nie wierzysz?

Wallander nie odpowiedział. Zrezygnowany wzruszył ramionami.

Po zebraniu Martinsson zwrócił się do Wallandera, czy nie mógłby go zastąpić w sylwestra. Miał wyznaczony dyżur. Wallander się wahał. Może lepiej mieć pełne ręce roboty, niż przez cały wieczór myśleć o Monie. Ale obiecał ojcu, że odwiedzi go w Löderup. To było ważniejsze.

– Obiecałem ojcu, że spędzę z nim wieczór. Spróbuj z kimś innym.

Po wyjściu Martinssona Wallander został w pokoju konferencyjnym. Usiłował pochwycić myśl, która zaświtała mu w głowie podczas drogi z Malmö. Stanął przy oknie, spoglądając na parking i wieżę wodną. Powoli porządkował w myślach wszystkie dotychczasowe zdarzenia, starając się wychwycić coś, czego dotychczas nie dostrzegł. Na próżno.

Reszta dnia właściwie upłynęła na niczym. Wszyscy czekali. Nyberg powrócił z Malmö. W laboratorium balistyki badano broń. Martinssonowi udało się zamienić sylwestrowy dyżur z Näslundem, który pokłócił się z żoną i wołał zniknąć z domu. Wallander chodził tam i z powrotem po korytarzu. W poszukiwaniu myśli, która mu umknęła i płątała się gdzieś w podświadomości. Wiedział tylko, że dotyczyła jakiegoś drobnego szczegółu. Może jakiegoś pojedynczego słowa, które powinien wyłapać i dokładniej przeanalizować.

Dochodziła szósta. Rydberg ulotnił się bez słowa. Wallander i Martinsson omówili wszystko, co wiedzieli na temat Holma. Urodził się w Brösarp i według posiadanych przez nich

informacji nigdy nie miał normalnej pracy. Po drobnych kradzieżach w okresie dorastania później nastąpiły coraz poważniejsze wykroczenia. Jednakże nigdy nie uciekał się do przemocy. W tym przypominał Nilsmarka. Martinsson wyszedł do domu. Hansson siedział pochylony nad kuponami gonitw i kiedy ktoś wchodził do pokoju, chował je szybko do szuflady. W jadalni Wallander zamienił kilka słów z policjantami z drogówki, którzy szykowali się do kontroli w noc sylwestrową. Mieli je przeprowadzać na bocznych ulicach, „drogach po wypitce”, którymi wracali do domu podchmieleni kierowcy. O siódmej Wallander zatelefonował do Hyttnera. W Malmö nie wydarzyło się nic nowego. Heroina dotarła już na północ, do Varbergu. Tam zaczynało się terytorium kontrolowane przez ugrupowanie z Göteborga. Wallander pojechał do domu. Pralka nadal była zepsuta. Zresztą pranie leżało w bagażniku, zawrócił więc wściekły do komendy i wrzucił je do pralki. Potem usiadł i gryzmolił coś w notesie. Myślał o Radwanie i niezwykłych piramidach. Kiedy wysuszył pranie, była dziewiąta. W domu otworzył puszkę mięsa z ziemniakami i jadł, oglądając w telewizji stary film, który niejasno przypominał sobie z czasów młodości. Oglądał go wtedy z pewną dziewczyną, która nie pozwoliła mu położyć ręki na swoim udzie.

Zanim poszedł spać, zadzwonił jeszcze do Lindy. Tym razem odebrała Mona. Natychmiast poznał po głosie, że dzwoni nie w porę. Lindy nie było w domu. Poprosił Monę, żeby ją pozdrowiła. Rozmowa się urwała, zanim się jeszcze na dobre zaczęła.

Właśnie wszedł pod kołdrę, kiedy zadzwoniła Emma. Udawał, że go obudziła. Przepraszyła go i zapytała o plany na sylwestra. Powiedział, że będzie go spędzał z ojcem. Umówili się na Nowy Rok. Zanim odłożył słuchawkę, już tego żałował.

Nazajutrz, 29 grudnia, jedynym interesującym wydarzeniem był wypadek drogowy Björka. Dowiedzieli się o nim od złośliwie uradowanego Martinssona. Björk skręcał w lewo i za

późno zauważył nadjeżdżający samochód. Było ślisko i auta wpadły na siebie, powodując niewielkie uszkodzenia karoserii.

Nyberg wciąż czekał na wyniki badań balistycznych. Wallander przez cały dzień zagłębiał się w stertach dokumentów. Po południu zjawił się u niego Per Åkeson w sprawie raportu z podejmowanych działań.

Wallander przedstawił mu sytuację. Mają nadzieję, że natrafili na właściwy trop. Ale pozostaje do wykonania wiele podstawowych czynności.

Był to ostatni dzień Åkesona w pracy przed czekającym go urlopem.

– Zastąpi mnie kobieta – powiedział. – Chyba już ci mówiłem? Nazywa się Anette Brolin i przyjeżdża ze Sztokholmu. Powinieneś być zadowolony. Jest dużo ładniejsza ode mnie.

– To się okaże – odparł Wallander. – Będzie nam ciebie brakowało.

– Nie Hanssonowi – zaproponował Åkeson. – Nigdy mnie nie lubił. Nie bardzo wiem dlaczego. Tak samo zresztą jak Svedberg.

– Spróbuję się tego dowiedzieć, jak wyjedziesz.

Złożyli sobie noworoczne życzenia i przyrzekli nie tracić ze sobą kontaktu.

Wieczorem Wallander odbył długą telefoniczną rozmowę z Lindą. Wybierała się na sylwestra z przyjaciółmi do Lund. Wallanderowi było przykro. Myślał, a w każdym razie miał nadzieję, że pojedzie z nim do Löderup.

– Dwaj starsi panowie – zażartowała. – Liczę na trochę weselsze towarzystwo.

Po rozmowie z Lindą Wallander przypomniał sobie, że zapomniał kupić ojcu obiecany koniak. Powinien też kupić szampana. Zanotował to na dwóch karteczkach. Jedną położył na stole w kuchni, a drugą w bucie. Siedział długo w noc, słuchając starego nagrania *Turandotz* Marią Callas. Ni stąd, ni zowąd zaczął myśleć o koniach w stajni Stena Widéna. Zasnął dopiero około trzeciej nad ranem.

Rankiem 30 grudnia w Ystad sypał gęsty śnieg. Jeżeli pogoda się nie poprawi, w sylwestra zapanuje kompletny chaos, pomyślał Wallander. Ale już około dziesiątej niebo się przejaśniło i śnieg zaczął topnieć. Wallander wyraził zdziwienie, że eksperci balistyki potrzebują tyle czasu na badanie broni. Zirytował tym Nyberga, który wypalił, że technicy kryminalni nie po to są tak źle opłacani, żeby robić złą robotę. Kurt natychmiast się zmitygował i szybko się pogodzili. Przez chwilę narzekali na niskie pensje policjantów. Nawet Björk specjalnie dobrze nie zarabiał.

Grupa dochodzeniowa zebrała się po południu. Wszyscy byli przybici z powodu braku nowych wiadomości. Policja z Marbelli przysłała niezwykle szczegółowy raport z przeszukania domu sióstr Eberhardsson. Przysłali nawet zdjęcie. Podawali je sobie z rąk do rąk. Dom rzeczywiście wyglądał jak pałac. Ale raport nie wniósł niczego nowego do sprawy. Przełom nie następował. Pozostawało tylko czekać.

Rankiem 31 grudnia ich nadzieje się rozwiały. Eksperci balistyki oznajmili, że broń znaleziona u Nilsmarka nie jest tą samą bronią, z której zamordowano siostry Eberhardsson i Holma. Na moment z grupy dochodzeniowej uszło powietrze. Tylko Rydberg i Wallander spodziewali się negatywnego wyniku ekspertyzy. Poza tym policja w Malmö potwierdziła pobyt Nilsmarka w Kopenhadze. Nie mógł w żaden sposób przebywać w Ystad w czasie, kiedy zamordowano siostry. Hyttner przypuszczał zresztą, że Nilsmark załatwi sobie również alibi w sprawie Holma.

– Tak oto wróciliśmy do punktu wyjścia – zauważył Wallander. – Ruszymy pełną parą od nowego roku i przeoramy na nowo cały materiał śledztwa.

Nikt się nie odezwał. W pierwszy dzień nowego roku postanowili zrobić sobie przerwę. Ponieważ nie mieli konkretnego tropu, Wallander uznał, że przede wszystkim należy wypocząć. Złożyli sobie nawzajem noworoczne życzenia. Wallander został sam z Rydbergiem.

– Wiedzieliśmy o tym – stwierdził Rydberg. - I ty, i ja. To z

Nilsmarkiem było za proste. Po cholere trzymałby w domu broń? Od początku wiedzieliśmy, że to nie on.

– Musieliśmy to sprawdzić.

– Praca policji często polega na zajmowaniu się czymś, co jest oczywistym nonsensem – zauważył Nyberg. – Ale masz rację. Trzeba zaglądać w każdy najmniejszy kąt.

Potem rozmawiali o nocy sylwestrowej.

– Nie zazdrozczę kolegom z dużych miast – rzekł Rydberg.

– Tu też bywa niezgorsze pobjowisko.

Rydberg zapytał Wallandera o plany na sylwestra.

– Jadę do mojego starego do Löderup. Kupię mu koniak, coś przegryziemy, pogramy w karty, poziewamy i o północy wzniesiemy toast. Potem wrócę do domu.

– Staram się zawsze przespać ten wieczór – wyznał Rydberg.

– Sylwester to dla mnie zmora. Jeden z niewielu dni, kiedy biorę proszek nasenny.

Wallanderowi przyszło na myśl, że powinien zapytać Rydberga, jak się czuje. Ale milczał.

Uścisnęli sobie dłonie, jakby chcieli zaznaczyć, że ten dzień jest szczególny. Wallander poszedł do biura, wyjął kalendarz na 1990 rok i wypróżnił szuflady biurka. Zwyczaj, który przyswoił sobie kilka lat temu. Z nadejściem nowego roku czyścił szuflady i wyrzucał stare papiery.

Ilość śmieci w szufladach wprawiała go w zdumienie. W jednej z nich wyciekł klej. Zaczął go zeszkrobywać nożem, który przyniósł z jadalni. W korytarzu jakiś podchmielony facet awanturował się, że nie ma czasu siedzieć na policji, bo spieszy się na imprezę. Już się zaczęło, pomyślał Wallander. Zaniósł nóż do jadalni i wyrzucił do kosza buteleczk z klejem.

O siódmej pojechał do domu, wziął prysznic i się przebrał. Krótko po ósmej był w Löderup. Po drodze przetrząsał swój umysł w poszukiwaniu myśli, która go zaniepokoiła. Nie mógł jej odnaleźć. Ojciec przyrzadził wyjątkowo smaczną zapiekankę z ryby. Wallander kupił koniak i ojciec pokiwał z zadowoleniem głową na widok butelki hennessy. Włożyli do lodówki butelkę szampana. Kolację popijali piwem. Ojciec, chcąc uczcić ten wieczór, włożył swój stary garnitur i krawat. Wallander po raz

pierwszy w życiu widział tak oryginalny węzeł.

Tuż po dziewiątej zasiedli do pokera. Wallander dostał dwukrotnie do ręki trójkę, ale wymienił jedną kartę, żeby pozwolić ojcu wygrać. Około jedenastej wyszedł się wysikać na podwórze. Było bezchmurnie i trochę chłodniej. Niebo iskrzyło się od gwiazd. Wallander wspominał piramidy i padające na nie światło reflektorów, które niemal przesłaniało egipskie niebo. Wszedł do domu. Ojciec wypił już sporo kieliszków koniaku i był lekko wstawiony. Wallander zamoczył tylko usta. Chciał wrócić na noc do domu. Co prawda znał punkty kontroli drogowej, ale uważał, że nie wypada mu prowadzić po alkoholu. W każdym razie nie w sylwestra. Czasami mu się to zdarzało i za każdym obiecywał sobie, że to już ostatni raz.

Około pół do dwunastej zadzwoniła Linda. Kolejno z nią rozmawiali. Wallander słyszał w tle głośną muzykę. Musieli ją przekrzykiwać.

– Z nami byś miała fajniej! – krzyczał do słuchawki.

– Skąd możesz wiedzieć?! – odrzyknęła wesoło.

Złożyli sobie życzenia. Ojciec nalał sobie kolejny kieliszek koniaku. Rozlał przy tym trochę na podłogę. Był w świetnym humorze. Dla Wallandera to było najważniejsze.

O dwunastej zasiedli przed telewizorem i słuchali, jak Jarl Kulle<sup>9</sup> recytuje noworoczny wiersz. Wallander zerknął na ojca, który, ku jego zdziwieniu, miał w oczach łzy. On sam wcale się nie wzruszył, czuł tylko zmęczenie. Przygnębiała go również myśl o jutrzejszym spotkaniu z Emmą Lundin. Czuł się podle. Gdyby rzeczywiście chciał coś zmienić z nadejściem nowego roku, to powinien zakończyć związek z Emmą.

Ale nie powziął żadnego postanowienia.

Tuż przed pierwszą wyruszył do domu. Przedtem pomógł ojcu się położyć. Zdjął mu buty i okrył go kocem.

– Niedługo pojedziemy do Włoch – powiedział ojciec.

Wallander uprzątnął kuchnię. W domu rozlegało się chrapanie ojca.

---

<sup>9</sup> Znany szwedzki aktor, który tradycyjnie witał Nowy Rok wierszem Alfreda Tennysona (przyp. tłum.).



W pierwszy dzień nowego roku Wallander obudził się rano z bólem gardła i głowy. Powiedział to Emmie, gdy zjawiała się około dwunastej. Emma, która była pielęgniarką, zauważyła, że jest blady i ma podwyższoną temperaturę. Zajrzała mu do gardła.

– Trzydniowe przeziębienie – zawyrokowała. – Nie wychodź z domu.

Zaparzyła herbatę, którą wypili w salonie. Wallander zbierał się w sobie, żeby się z nią rozmówić. Ale kiedy Emma wychodziła około trzeciej, ustalili jedynie to, że Wallander da jej znać, jak się lepiej poczuje.

Resztę dnia Wallander spędził w łóżku. Usiłował czytać różne książki, ale nie mógł się skoncentrować. Nawet jego ulubiona *Tajemnicza wyspa* Juliusza Verne'a nie była w stanie go wciągnąć. Przypomniawszy sobie, że jeden z bohaterów książki miał na imię Ayrton, tak jak jeden z pilotów rozbitego samolotu.

Leżał, drzemiąc, i co chwila pojawiał się w jego śnie widok piramid. Ojciec wspinał się na nie i spadał, to znowu on sam znajdował się w wąskim przejściu, a nad jego głową piętrzyły się masy ogromnych głazów.

Pod wieczór wyszperał w kuchni zupę w proszku i rozpuścił ją w wodzie. Ale prawie wszystko wylał. Zupełnie nie miał apetytu.

Następnego dnia wciąż marnie się czuł. Zadzwoił do Martinssona, że zamierza spędzić dzień w łóżku. Dowiedział się, że noc sylwestrowa w Ystad przebiegła spokojnie, natomiast była wyjątkowo gwałtowna w innych rejonach kraju. Około dziesiątej udał się po zakupy. Lodówka i spiżarnia świeciły pustkami. Po drodze wstąpił do apteki i kupił proszki od bólu głowy. Gardło mniej go bolało. Za to ciekło mu z nosa. Kichnął w momencie, kiedy płacił za proszki. Ekspedientka obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

Wrócił do łóżka i znów się położył.

Nagle został wyrwany ze snu. Znowu śnił o piramidach. Ale obudziło go coś innego. Ta sama umykająca myśl, która igrała z

nim od jakiegoś czasu.

Czegoś nie potrafię dostrzec, pomyślał. Leżał nieruchomo w ciemności z szeroko otwartymi oczami. To ma jakiś związek z piramidami. I z ostatnim wieczorem, spędzonym z ojcem w Löderup. Kiedy tam stał na podwórzu i spoglądał w górę, widział gwiazdy na niebie. Naokoło było ciemno. Piramidy pod Kairem oświetlały silne reflektory. Zabierały gwiazdom światło.

Wreszcie przyłapał myśl, która mu nie dawała spokoju.

Samolot, który potajemnie przyleciał na szwedzkie wybrzeże, rzucił jakiś ładunek. W lesie dostrzeżono światła. Naprowadzały maszynę na wyznaczony obszar. Na polu zamontowano reflektory, które potem zniknęły.

Reflektory. Kto miał dostęp do mocnych lamp?

Koncepcja była naciągana. Ale Wallander wierzył w swoją intuicję. Przez chwilę się namyślał, siedząc w łóżku. Następnie podjął decyzję, wstał, włożył stary płaszcz kąpielowy i zatelefonował do komendy. Poprosił o połączenie z Martinssonem. Ten zgłosił się po paru minutach.

– Zrób mi przysługę – poprosił Wallander. – Zadzwoń do Rolfa Nymana. Tego, który mieszkał razem z Holmem pod Sjöbo. Udawaj, że chodzi o rutynową kontrolę. Brakujące dane osobowe. Nyman mówił, że pracował jako didżej. Zapytaj go mimochodem, jak się nazywały te miejsca.

– Po co ci te informacje?

– Nie wiem – skłamał Wallander. – Ale zrób to dla mnie.

Martinsson przyrzekł, że się później odezwie. Wallander natychmiast zaczął powątpiewać. To mało prawdopodobne. Mimo to trzeba zaglądać w każdy najmniejszy kąt, jak mawiał Rydberg.

Mijały godziny. Nadeszło popołudnie. Martinsson się nie odzywał. Gorączka spadła. Ale Wallandera wciąż męczyły napady kichania i ciekący nos. O pół do piątej zadzwonił Martinsson.

– Wcześniej nikt nie odpowiadał – wyjaśnił. – Nie sądzę, żeby coś podejrzewał. Mam nazwy czterech dyskotek. Dwie w Malmö, jedna w Lund i jedna w Râå pod Helsingborgiem.

Wallander zanotował nazwy.

– Dobra – powiedział.

– Chyba rozumiesz, że chciałbym wiedzieć?

– To tylko pewien pomysł. Jutro pogadamy.

Wallander zakończył rozmowę. Niewiele się namyślając, ubrał się, rozpuścił kilka proszków od bólu głowy w szklance wody, wypił filiżankę kawy i wziął rolkę papieru toaletowego. Kwadrans po piątej już siedział w samochodzie.

Pierwsza dyskoteka leżała w dawnym magazynie portowym we Frihamnen w Malmö. Miał szczęście. W chwili kiedy zatrzymał samochód, z nieczynnego lokalu akurat wychodził jakiś człowiek. Wallander podszedł i się przedstawił. Okazało się, że ma przed sobą właściciela dyskoteki „Exodus”. Nazywał się Juhanen i pochodził z Haparandy.

– Jak człowiek z Haparandy łąduje w Malmö? – zdziwił się Wallander.

Mężczyzna się uśmiechnął. Był po czterdziestce i miał zepsute zęby.

– Spotyka dziewczynę – odparł. – Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, mogą mieć dwa powody. Albo szukają pracy, albo kogoś poznali.

– Przychodzę pana zapytać o Rolfa Nymana – wyjaśnił Wallander.

– Stało się coś?

– Nie. Rutynowe pytania. Czy on czasem dla pana pracuje?

– Jest dobry. Może ma trochę konserwatywny gust. Ale to zdolny człowiek.

– W dyskotece są ważne dwie rzeczy – poziom dźwięku i efekty świetlne. Chyba się nie mylę? – zapytał Wallander.

– Zgadza się. Mam zawsze zatyczki w uszach. Inaczej już dawno bym ogłuchł.

– Czy Rolf Nyman pożyczał kiedyś sprzęt oświetleniowy? – kontynuował Wallander. – Jakież silne lampy?

– Do czego?

– Tylko pytam.

Juhanen stanowczo zaprzeczył.

– Mam oko na personel i sprzęt – zapewnił. – Stąd nic nie

ginie. I niczego się nie wypożycza.

– W takim razie to wszystko – zakończył Wallander. – Jeszcze tylko prośba, żeby pan nikomu nie mówił o naszej rozmowie.

– Chce pan powiedzieć Rolfowi? – uśmiechnął się Juhanen.

– Owszem.

– Co on takiego zrobił?

– Nic. Ale czasami musimy zachować dyskrecję.

– Ja nic nie powiem – zapewnił Juhanen, wzruszając ramionami.

Wallander pojechał dalej. Druga dyskoteka leżała w centrum i była otwarta. Kiedy wszedł do środka, siła dźwięku ogłuszyła go jak uderzenie pałką w głowę. Lokal miał dwóch właścicieli, jeden z nich był na miejscu. Wallander wyszedł z nim na ulicę. Usłyszał tę samą informację. Rolf Nyman nigdy nie wypożyczał lamp i żaden sprzęt im nie zginął.

Wallander usiadł w aucie i wytarł nos w papier toaletowy. To beznadziejne, pomyślał. Próżny trud. Dorobię się jeszcze gorszego przeziębienia.

Następnie pojechał do Lund. Pocił się i miał napady kichania. Chyba znów dostał gorączki. Dyskoteka w Lund nazywała się „Obora” i, jak głosił napis na fasadzie, mieściła się w dawnej mleczarni. Wallander nie rozumiał, dlaczego nie mogła się po prostu nazywać „Mleczarnia”. Rozejrzył się. Dokoła lokalu znajdowały się małe zakłady przemysłowe. Trochę dalej dom w ogrodzie. Wallander poszedł w kierunku w domu, otworzył furtkę i zadzwonił do drzwi. Otworzył mężczyzna w jego wieku. Z głębi dochodziły dźwięki opery.

Wallander się wylegitymował i mężczyzna wpuścił go do środka.

– O ile się nie mylę, to Puccini – odezwał się Wallander.

Mężczyzna bacznie mu się przyjrzał.

– Zgadza się. *Tosca*.

Przychodzę w sprawie zupełnie innego rodzaju muzyki – rzekł Wallander. – Będę się streszczał. Chciałbym wiedzieć, kto jest właścicielem pobliskiej dyskoteki.

– Skąd, na litość boską, miałbym to wiedzieć? Jestem

naukowcem, a nie didżejem.

– Ostatecznie jesteście sąsiadami.

– Dlaczego nie zapyta pan swoich kolegów? – zasugerował mężczyzna. – Tu często zdarzają się rozróby. Oni powinni wiedzieć.

Całkiem słusznie, pomyślał Wallander.

Mężczyzna wskazał telefon na stoliku. Wallander znał numer policji w Lund na pamięć. Rozmawiał kolejno z różnymi osobami, aż wreszcie uzyskał informację, że właścicielką jest kobieta nazwiskiem Boman. Zanotował jej adres i telefon.

– Łatwo ją znaleźć – oznajmił policjant, z którym rozmawiał.

– Mieszka w domu naprzeciwko dworca, w samym centrum.

Wallander odłożył słuchawkę.

– To piękna opera – powiedział. – To znaczy muzyka. Niestety nigdy jej nie wiedziałem na scenie.

– Nigdy nie chodzę do opery – rzekł mężczyzna. – Wystarczy mi sama muzyka.

Wallander podziękował i wyszedł. Długo błądził, zanim trafił na dworzec w Lund. Po drodze mijał niezliczoną ilość ślepych ulic lub ulic zamkniętych dla ruchu. Zaparkował w miejscu, gdzie był zakaz postoju. Urwał kilka metrów papieru toaletowego, wsunął do kieszeni i przeszedł przez jezdnię. Nacisnął na guzik przy nazwisku Boman. Zabrzęczał zamek w drzwiach i Wallander wszedł do środka. Z listy lokatorów wynikało, że Boman mieszka na trzecim piętrze. Dom był bez windy. Zasapał się, mimo że szedł powoli. W otwartych drzwiach czekała na niego bardzo młoda kobieta. Wyglądała na mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Krótко ostrzyżona, z mnóstwem kolczyków w uszach. Wallander się przedstawił i wyciągnął legitymację. Nawet na nią nie spojrzała i zaprosiła go do środka. Ze zdziwieniem rozejrzał się po mieszkaniu. Gołe ściany, prawie żadnych mebli. Mimo to było w jakimś sensie przytulnie. Nic nie zawadzało. Tylko to, co niezbędne.

– Dlaczego się mną interesuje policja z Ystad? – zapytała. – Mam dosyć problemów z policją w Lund.

Widać było, że nie jest zachwycona wizytą. Usiadła na krześle. Miała bardzo krótką spódniczkę. Wallander szukał

punktu oparcia dla wzroku tuż obok jej twarzy.

– Chodzi o Rolfa Nymana – powiedział.

– Acoz nim?

– Nic. On u pani pracuje?

– Jest u mnie na liście rezerwowej. Jak któryś z didżejów zachoruje.

– Pytanie może się pani wydać dziwne. Ale muszę je zadać.

– Dlaczego nie patrzy mi pan w oczy? – spytała nagle.

– Chyba dlatego, że ma pani bardzo krótką spódnicę – odparł, sam się dziwiąc swojej otwartości.

Wybuchnęła śmiechem, sięgnęła po pled i przykryła nim nogi. Wallander spojrzał na pled, a potem na jej twarz.

– Rolf Nyman – powtórzył. – Czy nie wypożyczył kiedyś kilku reflektorów z dyskoteki?

– Nie, nigdy.

Dostrzegł w jej twarzy niemal niewidoczny cień wahania. Wytężył uwagę.

– Nigdy?

Przygryzła dolną wargę.

– Dziwne pytanie. Ale faktem jest, że jakiś rok temu z dyskoteki zginęło kilka reflektorów. Zgłosiliśmy włamanie na policję. Ale niczego nie odnaleźli.

– Kiedy to było? Czy po tym, jak Nyman podjął pracę? Namyślała się.

– Dokładnie rok temu. W styczniu. Nyman już pracował.

– Nigdy nie podejrzewała pani kogoś z pracowników?

– Nie przyszło mi to do głowy.

Wstała i szybko wyszła z pokoju. Wallander patrzył na jej nogi. Po chwili wróciła z kalendarzem w rękę.

– Lampy zniknęły między dziewiątym a dwunastym stycznia.

I teraz widzę, że wtedy pracował Rolf.

– Jakie to były lampy?

– Sześć reflektorów. Właściwie nie nadawały się do dyskoteki. Raczej do teatru. O dużej mocy, dwa tysiące watów. Poza tym zginęły kable.

Wallander powoli kiwał głową.

– Dlaczego pan o to pyta?

– W tej chwili nie mogę pani powiedzieć. Muszę też o coś prosić. Proszę to potraktować jako polecenie. Rolf Nyman nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie.

– Pod warunkiem że pan przekona kolegów z Lund, żeby mnie zostawili w spokoju.

– Zobaczą, co da się zrobić.

Wyszła z nim do holu.

– Nie spytałem, jak pani ma na imię.

– Linda.

– Tak jak moja córka. To bardzo piękne imię.

Dostał ataku kichania. Cofnął się o kilka kroków.

– Nie podam pani ręki. Ale dziękuję za pomoc. Na to liczyłem.

– Zaciekawiał mnie pan.

– Wszystkiego się pani dowie – obiecał. – W swoim czasie.

Już zamykała drzwi, kiedy Wallanderowi jeszcze coś się przypomniało.

– Wie pani coś na temat prywatnego życia Rolfa Nymana?

– Nic.

– Nie wie pani, że jego dziewczyna ma problemy z heroiną?

Linda Boman długo mu się przyglądała.

– Nie wiem, czy Rolf ma dziewczynę, która bierze narkotyki – odezwała się wreszcie. – Wiem natomiast, że Rolf sam ma poważny problem z heroiną. Nie wiem, jak długo jeszcze będzie sobie radził.

Wallander wyszedł na ulicę. Dochodziła dziesiąta. Noc była zimna.

Jesteśmy w domu, pomyślał.

Rolf Nyman. To zupełnie jasne.

Wallander był już prawie w Ystad, kiedy zmienił plany. Zamiast skręcić w kierunku miasta, pojechał na północ. Była za

dziesięć jedenasta. Wciąż ciekło mu z nosa. Ale pchała go ciekawość. Zdawał sobie sprawę, że po raz kolejny łamie wszystkie podstawowe zasady policyjnego regulaminu. Przede wszystkim zakaz podejmowania niebezpiecznych działań w pojedynkę.

Jeśli prawdą jest to, że Rolf Nyman zastrzelił Holma i siostry Eberhardsson, o czym był przekonany, to z pewnością należy go uznać za osobę niebezpieczną. W dodatku udało mu się całkowicie zmylić Wallandera.

I zrobił to bardzo zręcznie. Jadąc z Malmö, inspektor zastanawiał się, co nim powodowało. Jaki element planu zawiódł? Brał pod uwagę dwie ewentualności. Walka o wpływ lub o kontrolę nad handlem narkotykami.

W całej sytuacji najbardziej niepokoiło go to, o czym wspomniała Linda Boman. Nyman jest heroinistą. Rzadko się zdarzało, żeby diler narkotyków sam był od nich uzależniony. Chyba że stoczył się na samo dno. Coś się tu nie zgadzało, brakowało jakiegoś elementu.

Skręcił w drogę, która prowadziła do domu, gdzie mieszkał Nyman. Wyłączył silnik i zgasił światła. Wyjął latarkę ze schowka. Zanim otworzył drzwi, wyłączył światelko we wnętrzu samochodu. Nasłuchiwał w ciemności, wysiadł i zamknął drzwi najciszej, jak potrafił. Od domu dzieliło go około stu metrów. Oslonił latarkę z jednej strony i świecił przed siebie. Czuł zimny, przenikliwy wiatr. Pora na cieplejszy sweter. Nagle przestało mu kapać z nosa. Doszedłszy na skraj lasu, zgasił latarkę. W jednym oknie domu paliło się światło. Ktoś był w środku. Pamiętał o psie. Zawrócił tą samą drogą i po mniej więcej pięćdziesięciu metrach skręcił w las i powtórnie zapalił latarkę. Podejdzie do domu od tyłu. O ile pamiętał, oświetlony pokój miał okna, które wychodziły na dwie strony.

Szedł powoli, starając się omijać gałęzie. Kiedy znalazł się z tyłu domu, był zlany potem. Wciąż zadawał sobie pytanie, po co to wszystko robi. W najgorszym razie pies zacznie szczekać i Nyman się zorientuje, że jest pod obserwacją. Stał nieruchomo, nasłuchując. Słyszał jedynie szum lasu. Z daleka odgłos samolotu podchodzącego do lądowania na Sturup. Poczekał, aż



wyrówna mu się oddech, i ostrożnie ruszył w kierunku domu. Szedł pochylony z latarką kilka centymetrów nad ziemią. Zanim znalazł się w miejscu, gdzie rozpraszało się światło z okna, zgasił latarkę i przycupnął w cieniu pod domem. Przyłożył ucho do zimnej ściany. Z domu nie dochodził żaden dźwięk. Wyciągnął ostrożnie szyję i zajrzał do środka.

Rolf Nyman siedział przy stole pośrodku pokoju. Pochylał się nad czymś, co leżało na stole. Po chwili Wallander zorientował się, że układa pasjansa. Powoli przewracał kartę za kartą. Wallander zastanawiał się, czego się spodziewał. Że Nyman będzie odważał paczuszki z białym proszkiem? Albo siedział z gumową przepaską na ramieniu i wstrzykiwał sobie narkotyki?

Popelnilem błąd, pomyślał. Cała ta historia to jedna wielka pomyłka.

Równocześnie nie mógł się pozbyć przekonania, że nie zawodzi go intuicja. Człowiek układający pasjansa przy stole niedawno pozbawił życia trzy osoby. Dokonał brutalnej egzekucji.

Miał już odejść od ściany domu, gdy nagle rozległo się szczekanie psa. Rolf Nyman drgnął i spojrzął prosto na Wallandera. Przez moment inspektor myślał, że został zdemaskowany. Mężczyzna poderwał się na nogi i ruszył do drzwi wejściowych. W tej samej chwili Wallander rzucił się biegiem do lasu. Jak spuścił psa, to po mnie, przemknęło mu przez głowę. Oświetlał ziemię latarką, żeby się nie przewrócić. Potknął się i poczuł, jak gałąź kaleczy mu policzek. Wciąż słyszał szczekanie psa.

Dobiegł do auta bez latarki. Zgubił ją po drodze i nie zatrzymał się, żeby ją podnieść. Przekręcając kluczyk, pomyślał, że na szczęście ma nowy samochód. Może od razu wrzucić wsteczny i odjechać. Na głównej drodze usłyszał odgłos przejeżdżającej ciężarówki. Jeśli odgłos silnika z jego samochodu nałoży się na dźwięk silnika ciężarówki, Nyman go nie usłyszy. Przystanął, zawrócił po cichu i jechał wolno na trójce. Na głównej szosie znalazł się tuż za światłami ciężarówki. Wyłączył silnik, bo droga prowadziła w dół. W lusterku wstecznym było pusto. Nikt za nim nie jechał.

Wallander dotknął policzka i poczuł krew. Sięgając po papier toaletowy, omal nie skręcił do rowu. W ostatniej chwili wyprostował kierownicę.

Zajechał na Mariagatan dobrze po północy. Gałąź zostawiła głębokie rozcięcie na policzku. Przez chwilę rozważał, czy nie pojechać do szpitala. Ale skończyło się na tym, że przemył ranę i opatrzył ją dużym plastrem. Następnie zaparzył kawę i siadł przy stole w kuchni z jednym ze swoich na wpół zapisanych notesów. Spojrzał na narysowaną trójkątną piramidę i w miejsce postawionego na środku znaku zapytania napisał Rolf Nyman. Wiedział, że nie ma właściwie żadnych dowodów. Jedyne zarzut, jaki mógł postawić Nymanowi, to podejrzenie o kradzież reflektorów, które później rozstawił, aby naprowadzić samolot na miejsce zrzutu.

Co jeszcze? Nic. Co łączyło Holma i Nymana? Co z samolotem i siostrami Eberhardsson? Wallander odsunął notes. Odpowiedzi na to może udzielić wyłącznie dalsze dochodzenie. Zresztą czy byłby w stanie przekonać swoich kolegów, że trafił na trop, którym powinni podążać? Co osiągnie, powołując się wyłącznie na intuicję? Rydberg by go poparł, może jeszcze Martinsson. Ale Svedberg i Hansson już nie.

Była druga, kiedy się położył i zgasił światło. Bolał go policzek.

Dzień później, 3 stycznia, w Skanii było zimno i bezchmurnie. Wallander wstał wcześniej, zmienił opatrunek na policzku i zjawił się w komendzie już przed siódmą. Tym razem wyprzedził nawet Martinssona. W recepcji dowiedział się o tragicznym wypadku, który miał miejsce pod Ystad. Zginęło kilka osób, wśród nich małe dziecko. Takie zdarzenia zawsze powodowały przygnębienie wśród kolegów. Wallander poszedł do pokoju, dziękując w duchu, że nie musi wyjeżdżać do wypadków drogowych. Nalał sobie kawy i zaczął roztrząsać wydarzenia wczorajszego dnia.

Nadal miał te same wątpliwości. Być może podążał

falszywym tropem. Ale w dalszym ciągu uważał, że istnieją dostateczne powody, by dokładnie prześwietlić Rolfa Nymana. Postanowił zlecić dyskretną obserwację domu, przede wszystkim po to, żeby wiedzieć, kiedy Nyman wychodzi. Właściwie powinna się tym zająć policja w Sjöbo. Lecz Wallander postanowił poczynić niezbędne kroki ze swoją grupą, a tamtych o wszystkim informować.

Koniecznie trzeba się dostać do domu. Istniała jeszcze jedna przeszkoda. Rolf Nyman nie był sam. Mieszkała z nim kobieta. Której nikt nie widział i która spała, kiedy Wallander tam przyszedł.

Przyszło mu nagle do głowy, że kobieta w ogóle nie istnieje. Nyman kłamał przecież w różnych innych kwestiach. Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po siódmej. Wczesna pora dla kogoś, kto prowadzi dyskotekę. Mimo to zadzwonił do Lindy Boman w Lund. Natychmiast podniosła słuchawkę. Była wyraźnie zasnana.

– Przepraszam, że panią obudziłem.

– Już nie spałam.

Zupełnie jak ja, pomyślał. Nie chce, żeby ktoś myślał, że ją obudził. Mimo że ma pełne prawo spać o tej porze.

– Mam jeszcze kilka pytań, które wymagają szybkiej odpowiedzi.

– Proszę się zgłosić za pięć minut – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Wallander odczekał siedem minut i zadzwonił powtórnie. Miała mniej zachrypnięty głos.

– Chodzi o Rolfa Nymana – wyjaśnił.

– Nie chce mi pan powiedzieć, dlaczego interesuje się nim policja?

– W tej chwili nie mogę. Ale przyrzekam, że dowie się pani pierwsza.

– Czuję się zaszczyczona.

– Mówiła pani, że jest uzależniony od heroiny?

– Pamiętam, co mówiłam.

– Pytanie jest bardzo proste. Skąd pani o tym wie?

– Sam mi powiedział. Zdziwiło mnie, że nie usiłował tego

ukryć. Zrobiło to na mnie wrażenie.

– Powiedział to?

– Tak.

– To znaczy, że przedtem pani nic nie zauważyła?

– Zawsze się wywiązywał z obowiązków.

– I nigdy nie był pod wpływem narkotyków?

– W każdym razie nic nie było widać.

– Nie był poirytowany lub niespokojny?

– Nie bardziej niż inni. Ja też mogę być poirytowana czy niespokojna. Szczególnie kiedy policjanci w Lund czepiają się mnie i mojej dyskoteki.

Wallander milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy ma zapytać kolegów z Lund o Lindę Boman. Linda czekała przy telefonie.

– Chcę to jeszcze raz wyjaśnić. Nigdy pani nie zauważyła, żeby Nyman był pod wpływem narkotyków?

O tym, że jest heroinistą, dowiedziała się pani od niego?

– Trudno mi uwierzyć, żeby ktoś w takim przypadku mówił nieprawdę.

– Mnie też – przyznał Wallander. – Chciałem się tylko upewnić, że dobrze zrozumiałem.

– I dlatego dzwoni pan o szóstej rano?

– Jest pół do ósmej.

– Dla mnie to bez różnicy.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Wallander. – Nie słyszała pani o jego dziewczynie?

– Nie.

– Nigdy się z nikim nie pokazywał?

– Nigdy.

– Więc gdyby powiedział, że ma dziewczynę, nie wiedziałyby pani, czy to prawda?

– Pana pytania są coraz bardziej dziwne. Dlaczego miałyby nie mieć dziewczyny? Nie wyglądał gorzej niż inni mężczyźni.

– Nie będę już pani męczył – stwierdził Wallander.

– I proszę pamiętać to, co mówiłem wczoraj.

– Nic nie powiem. Idę spać.

– Niewykluczone, że się jeszcze odezwę – oznajmił

Wallander. – Nie wie pani przypadkiem, czy Rolf miał jakiegoś przyjaciela?

– Nie.

Rozmowa się urwała.

Wallander poszedł do pokoju Martinssona. Martinsson trzymał w ręku lusterko i przyczesywał włosy.

– Pół do dziewiątej – rzucił Wallander. – Zdążysz zebrać ludzi?

– Czyżby coś nowego?

– Może – odparł Wallander.

Zamienili kilka słów na temat rannego wypadku. Samochód osobowy zjechał na przeciwną stronę śliskiej szosy i zderzył się z polską ciężarówką.

O pół do dziewiątej Wallander poinformował kolegów o ostatnich wydarzeniach: rozmowie z Lindą Boman i zaginionych reflektorach. Nie wspomniał jednak o nocnej wizycie w leżącym na odludziu gospodarstwie pod Sjöbo. Tak jak się spodziewał, Rydberg zgadzał się z nim w ocenie faktów, natomiast Hansson i Svedberg mieli liczne obiekcje. Martinsson się nie odzywał.

– To prawda, że dowody są mizerne – przyznał Wallander po wysłuchaniu argumentów. – Mimo to uważam, że musimy zająć się Nymanem, nie zaniedbując przy tym poszukiwań na szerszym froncie.

– Co na to prokurator? – zapytał Martinsson. – Kto właściwie jest teraz prokuratorem?

– Nazywa się Anette Brolin i mieszka w Sztokholmie – wyjaśnił Wallander. – Przyjeżdża w przyszłym tygodniu. Ale zamierzam się zwrócić do Åkesona. Mimo że formalnie już nie kieruje wstępnym dochodzeniem.

Kontynuowali dyskusję. Wallander dowodził, że muszą wejść do domu pod Sjöbo bez wiedzy Nymana. Spotkał się z kolejnymi protestami.

– Nie możemy tego zrobić – zaproponował Svedberg. – To włamanie.

– Mamy do czynienia z potrójnym zabójstwem – tłumaczył Wallander. – Jeżeli się nie mylę, to Rolf Nyman jest niezwykle

przebiegły. Skoro mamy coś znaleźć, musimy go obserwować tak, żeby niczego nie podejrzewał. Kiedy wychodzi z domu? Co robi? Jak długo jest poza domem? A przede wszystkim musimy się zorientować, czy rzeczywiście ma jakąś dziewczynę.

– Mogę się przebrać za kominiarza – zaproponował Martinsson.

– Domyśli się – odparł Wallander, nie zwracając uwagi na ironiczny ton. – Myślałem o jakiejś okrężnej drodze. Na przykład o listonoszu. Dowiedzieć się, kto dostarcza Nymanowi pocztę. Każdy listonosz wie, co się dzieje w domach na wsi. Nawet jeżeli nigdy nie postawił tam nogi, wie, kto w nich mieszka.

– Może ta dziewczyna nie dostaje listów? – upierał się Svedberg.

– Nie chodzi o to – odparł Wallander. – Listonosz wie wszystko. Tak już jest.

Rydberg potakiwał. Wallander czuł, że się z nim zgadza. Upierał się przy swoim. Hansson przyrzekł, że skontaktuje się z pocztą. Martinsson zgodził się, co prawda z oporami, załatwić obserwację gospodarstwa. Wallander miał rozmawiać z Åkesonem.

– Zbierzcie wszystkie dostępne informacje o Nymanie – powiedział Wallander. – Zróbcie to dyskretnie. Jeżeli jest tak, jak przypuszczam, to lepiej nie budzić licha.

Dał znak Rydbergowi, że chce z nim porozmawiać.

– Jesteś pewien, że to Nyman? – zapytał Rydberg.

– Tak. Ale jednocześnie zdaję sobie w pełni sprawę, że mogę się mylić i kieruję śledztwo w złą stronę.

– Kradzież reflektorów to mocna poszlaka – rzekł Rydberg.

– Dla mnie to decydujący argument. Jak na to wpadłeś?

– Piramidy – powiedział Wallander. – Są oświetlone reflektorami. Oprócz jednego dnia w miesiącu. Kiedy jest pełnia.

– Skąd wiesz?

– Od ojca.

Rydberg pokiwał z namysłem głową.

– Dostawy narkotyków nie kierują się kalendarzem

księżycowym – powiedział. – Poza tym w Egipcie nie ma tyle chmur co w Skanii.

– Właściwie najbardziej interesujący był sfinks – ciągnął Wallander. – Pół człowiek, pół lew. Pilnuje słońca, żeby powróciło każdego ranka. Z tej samej strony.

– Słyszałem o amerykańskiej firmie ochroniarskiej, która ma sfinksa w logo – wtrącił Rydberg.

– To świetnie pasuje. Sfinks pilnuje. My też pilnujemy. Zarówno policja, jak i nocni strażnicy.

Rydber wybuchnął śmiechem.

– Jakbyś to powiedział przyszłym policjantom, toby cię wysmiali.

– Wiem – odparł Wallander. – Ale może mimo wszystko należy im powiedzieć.

Rydberg wyszedł z pokoju. Wallander zatelefonował do Pera Åkesona, który przyrzekł poinformować Anette Brolin.

– Jak się czujesz? – zapytał Wallander. – Bez tych wszystkich karnych spraw?

– Dobrze – zapewnił Åkeson. – Lepiej, niż sobie mogłem wyobrazić.

Tego dnia grupa dochodzeniowa odbyła jeszcze dwa spotkania. Martinsson zlecił obserwację domu, a Hansson udał się na poszukiwanie listonosza. Jednocześnie wzięli pod lupę osobę Nymana, który nie był notowany w przeszłości, co utrudniało pracę. Urodził się w roku 1957 w Tranås i w połowie lat sześćdziesiątych przeprowadził się z rodzicami do Skanii. Początkowo mieszkali w Höör, później w Trelleborgu. Ojciec pracował w elektrowni jako monter linii przesyłowych. Matka nie pracowała. Rolf był jedynakiem. Ojciec zmarł w 1986 roku i po jego śmierci matka powróciła do Tranås, gdzie zmarła rok później. O Rolfie Nymanie nic nie było wiadomo. Zupełnie jakby celowo zacierał po sobie ślady. W kręgach związanych z handlem narkotykami jego nazwisko się nie pojawiało, dowiedział się Wallander od kolegów w Malmö. Jest zbyt niewidoczny, myślał. Każdy pozostawia jakieś ślady. Oprócz

Rolfa Nymana.

Hansson wrócił z rozmowy z listonoszką, Elfridą Wirmark. Twierdziła stanowczo, że w domu mieszkają dwie osoby, Holm i Nyman. Co oznaczało, że obecnie mieszka tam jeden człowiek, jako że Holm leżał w kostnicy i czekał na pochówek.

O siódmej spotkali się w sali zebrań. Według raportu Nyman przez cały dzień siedział w domu. Wychodził tylko nakarmić psa. Nikt go nie odwiedził. Wallander chciał wiedzieć, czy Nyman nie wykazuje teraz szczególnej ostrożności. Ale z raportu nic takiego nie wynikało. Następnie długo roztrząsali informacje uzyskane od listonoszki i doszli do wniosku, że Nyman wymyślił sobie dziewczynę, która nie istniała.

Na końcu Wallander dokonał podsumowania dnia.

– Nic nie wskazuje na to, że Nyman jest uzależniony od heroiny. To pierwsze kłamstwo. Drugie, że ma dziewczynę. Jest sam w domu. Mamy dwie możliwości, żeby się tam dostać. Pierwsza to poczekać, aż wyjdzie. W końcu musi się ruszyć. Chociażby po to, by kupić coś do jedzenia. Chyba że zgromadził duże zapasy. Ale dlaczego miałyby to robić? Druga to znaleźć jakiś sposób, żeby go wywabić z domu.

Postanowili zaczekać. W każdym razie kilka dni. Jeśli przez ten czas nic się nie wydarzy, zastanowią się nad zmianą taktyki.

Minął 4 i 5 stycznia. Nic nie wskazywało na to, żeby Nyman miał się na bacności. W dalszym ciągu analizowali jego dotychczasowe życie. Odnosili wrażenie, że poruszał się w pustce. Praca didżeja przynosiła niewielkie dochody. W zeznaniach podatkowych nie było żadnych szczególnych odpisów podatkowych. W 1986 roku wystąpił o paszport. W siedemdziesiątym dziewiątym zrobił prawo jazdy. Wyglądało na to, że nie miał przyjaciół.

5 stycznia przed południem Wallander zamknął się w pokoju z Rydbergiem. Rydberg radził, żeby poczekać jeszcze kilka dni. Tymczasem Wallander wpadł na pomysł, jak wywabić Nymana z domu. Wspólnie podjęli decyzję o jego realizacji. Wallander zatelefonował do Lund, do Lindy Boman. Wieczorem następnego dnia dyskoteka miała być otwarta. Zaangażowany



został duński didżej. Wallander wytłumaczył jej swój pomysł. Linda Boman zapytała, kto poniesie koszty odwołania didżeja z Kopenhagi, z którym podpisała kontrakt. Wallander odparł, że będzie mogła wysłać fakturę do policji w Ystad. Obiecał, że decyzja zapadnie w ciągu paru godzin.

5 stycznia o czwartej po południu nad Skanią zerwał się przejmujący mroźny wiatr. Według prognoz, śnieżny front ze wschodu miał zahaczyć o południową część wybrzeża Skanii. W tym samym czasie Wallander zwołał zebranie grupy dochodzeniowej i pokrótce przedstawił myśl, którą wcześniej przedyskutował z Rydbergiem.

– Musimy wykurzyć Rolfa Nymana – oznajmił. – Najwyraźniej nie wychodzi z domu bez potrzeby. A nie wygląda na to, żeby coś podejrzewał.

– Może dlatego że to wszystko nie ma sensu? – przerwał Hansson. – Może dlatego że nie ma nic wspólnego z zabójstwami?

– Taka możliwość istnieje – przyznał Wallander.

– Ale na razie zakładamy, że ma. I dlatego musimy wejść do domu bez jego wiedzy. Najpierw musimy go wywabić. Tak, żeby nie wzbudzić w nim podejrzeń.

Potem wyjaśnił swój pomysł. Linda Boman zadzwoni do Nymana i powie, że zakontraktowany didżej zachorował. Zapyta, czy Rolf mógłby go zastąpić. Jeżeli Nyman się zgodzi, dom pozostanie pusty przez cały wieczór. Pod dyskoteką postawią wartownika, który będzie w stałym kontakcie z ekipą przeszukującą dom. Kiedy Rolf Nyman wróci nad ranem do Sjöbo, dom znowu będzie pusty. Nikt prócz psa nie zauważy, że ktoś tam był.

– A co, jeśli on zadzwoni do kolegi z Danii? – zapytał Svedberg.

– Myśleliśmy o tym. Linda Boman zapowie Duńczykowi, żeby nie odbierał telefonów. Policja zapłaci mu za utracone honorarium. Myślę, że warto.

Wallander spodziewał się licznych zastrzeżeń, ale nikt nie protestował. W grupie narastało zniecierpliwienie. Dreptali w miejscu i czekali, żeby coś się wreszcie wydarzyło.

Spojrzał dokoła. Nikt nie zabierał głosu.

– Więc zgoda? Wobec tego zaczynamy.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Lindy Boman.

– W porządku – zawiadomił, kiedy odebrała. – Za godzinę może pani do niego dzwonić.

Odłożył słuchawkę, spojrzał na zegarek i zwrócił się do Martinssona.

– Kto teraz pilnuje domu?

– Nöslund i Peters.

– Skontaktuj się z nimi i powiedz, żeby zwiększyli czujność dwadzieścia po piątej. Wtedy właśnie Linda Boman będzie telefonowała do Nymana.

– I co się według ciebie stanie?

– Nie wiem. Mówię tylko o zwiększeniu czujności.

Przeszli do szczegółów akcji. Linda Boman poprosi Nymana, żeby przyjechał do Lund o ósmej zapoznać się z nowymi płytami. To oznaczało, że wyjedzie on ze Sjöbo około siódmej. Dyskoteka jest otwarta do trzeciej rano. Jak tylko obserwujący lokal da znać, że Nyman tam się zjawił, pozostali wejdą do domu. Wallander poprosił Rydberga, żeby mu towarzyszył. Ten z kolei zaproponował Martinssona. Tak ustalili.

– Martinsson i ja wchodzimy do domu. Svedberg jedzie z nami i stoi na zewnątrz. Hansson pojedzie do dyskoteki. Reszta zostaje w komendzie, na wypadek gdyby coś się działo.

– Czego właściwie szukamy? – zapytał Martinsson.

Zanim Wallander zdążył odpowiedzieć, Rydberg podniósł rękę.

– Nie wiemy – odrzekł. – Nie wiemy, czego szukamy, ale coś znajdziemy. I w rezultacie otrzymamy odpowiedź – tak albo nie. Na pytanie, czy Nyman zamordował Holma i obie siostry.

– Narkotyki – odgadł Martinsson. – Oto chodzi?

– Broń, pieniądze, cokolwiek. Nici zakupione w sklepie sióstr Eberhardsson. Kopie biletów lotniczych. Nie wiemy.

Siedzieli jeszcze chwilę. Martinsson poszedł się porozumieć z Nöslundem i Petersem. Wrócił, skinął głową i usiadł.

Dwadzieścia po piątej Wallander trzymał w ręku zegarek.

Potem wykręcił numer telefonu Lindy Boman. Linia była

zajęta.

Czekali. Dziewięć minut później zadzwonił telefon. Wallander złapał za słuchawkę. Trzymał ją chwilę przy uchu i odłożył na widełki.

– Nyman się zgodził – oznajmił. – Zaczęło się. Teraz się przekonamy, czy jesteśmy na właściwym tropie.

Zaczęli się rozchodzić. Wallander przywołał Martinssona.

– Weź ze sobą broń – powiedział.

– Myślałem, że Nyman będzie w Lund – zdziwił się Martinsson.

– Na wszelki wypadek – uspokoił go Wallander.

Śnieżny front ominął Skanię. Nazajutrz, 6 stycznia, niebo pokryły chmury. Wiał słaby wiatr, zanosilo się na deszcz i były cztery stopnie. Wallander długo wybierał odpowiedni sweter. O szóstej wieczorem spotkali się w pokoju zebrań. Hansson był już w drodze do Lund. Svedberg znajdował się w zagajniku, z którego miał widok na zagrodę pod Sjöbo. Rydberg siedział w jadalni i rozwiązywał krzyżówkę. Wallander niechętnie wyciągnął broń i jak zwykle niedokładnie zamocował kaburę. Martinsson miał pistolet w kieszeni kurtki.

Dziewięć po siódmej nadszedł radiowy meldunek od Svedberga. „Ptaszek wyfrunął”. Wallander wołał nie ryzykować. Policyjne radio było zawsze na podsłuchu. Dlatego nazywano Rolfa Nymana ptaszkiem.

Nadal czekali. Sześć minut przed ósmą zameldował się Hansson. „Ptaszek wyładował”. Rolf Nyman prowadził powoli.

Martinsson i Wallander wstali. Rydberg podniósł wzrok znad krzyżówki i skinął głową.

Dotarli na miejsce o pół do dziewiątej. Spotkali się ze Svedbergiem. Pies szczekał. Światła w domu były pogaszone.

– Spojrzałem na zamek – rzekł Svedberg. – Wystarczy zwykły wytrych.

– Wallander i Svedberg świecili latarkami, podczas gdy Martinsson otwierał zamek. Potem Svedberg wrócił na swój punkt obserwacyjny.

Weszli do środka. Wallander zapalił wszystkie światła. Martinsson spojrzał na niego zdziwiony.

– Nyman puszcza płyty w dyskotecę w Lund – rzekł Wallander. – Zaczynamy.

Powoli i systematycznie przetrząsali dom. Szybko stwierdzili, że nie ma w nim śladu kobiety. Oprócz łóżka, które należało do Holma, było jeszcze tylko pojedyncze łóżko Nymana.

– Trzeba było wziąć psa na narkotyki.

– Nie bardzo wierzę, żeby trzymał towar w domu – odparł Wallander.

Przeszukiwali dom przez trzy godziny. Tuż przed północą Martinsson wywołał Hanssona.

– Tu jest dziki tłum – zameldował Hansson. – Muzyka rżnie jak cholera. Jestem na zewnątrz i marznę.

Szukali dalej. Wallander zaczynał się niepokoić. Ani narkotyków, ani broni. Nic, co by obciążało Nymana. Martinsson przetrząsnął dokładnie piwnicę i budynek gospodarczy. Żadnych reflektorów. Nic. Tylko pies szczekał jak wściekły. Wallander miał ochotę go zastrzelić. Ale za bardzo kochał psy. Nawet takie, które szczekały.

O pół do drugiej Martinsson powtórnie nawiązał kontakt z Hanssonem. Nic się nie działo.

– Co powiedział? – zapytał Wallander.

– Że na zewnątrz tłoczy się masa ludzi.

Do drugiej niczego nie znaleźli. Do Wallandera zaczęło docierać, że się pomylił. Rolf Nyman był zwykłym didżejem. To, że kłamał na temat kobiety, nie było wykroczeniem. Nie wpadło im w ręce nic, co by świadczyło o tym, że jest narkomanem.

– Chyba możemy skończyć – powiedział Martinsson. – Nic tu nie ma.

Wallander skinął potakująco głową.

– Zostanę jeszcze chwilę. Ty wracaj ze Svedbergiem. Zostaw mi radio.

Martinsson położył włączony aparat na stole.

– Odwołaj całą akcję – rzekł Wallander. – Hansson niech jeszcze czeka na moje polecenia. Ale ci z komendy mogą iść do domu.

– Co chcesz znaleźć, jak zostaniesz sam? – zapytał z ironią w

głosie Martinsson.

– Nic. Musi do mnie dotrzeć, że jestem na fałszywym tropie.

– Jutro zaczniemy od nowa – pocieszył go Martinsson. – Jest, jakjest.

Po wyjściu Martinssona Wallander usiadł na krześle i rozejrzał się po pokoju. Pies wciąż szczekał. Wallander zaklął cicho. Był pewien, że ma rację. Rolf Nyman zabił obie siostry i Holma. Lecz nie miał żadnych dowodów. Niczego nie znalazł. Siedział jeszcze chwilę, a potem wstał i zaczął gasić światła.

I wtedy pies przestał szczekać.

Wallander przystanął, nasłuchując. Pies zamilkł. Kurt natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo. Nie wiedział skąd. Dyskoteka miała być otwarta do trzeciej. Hansson się nie zgłaszał.

Nagle zdał sobie sprawę, że stoi w jasno oświetlonym oknie. Uskoczył na bok, powodowany nieznanym impulsem. W tym samym momencie szyba rozleciała się na kawałki. Wallander leżał bez ruchu na podłodze. Ktoś strzelił w okno. W głowie kłębiły się gorączkowe myśli. To nie może być Nyman. Hansson by go uprzedził. Przycisnął się do podłogi, usiłując dobyć broni. Starał się przeczołgać do cienia, ale znów wylądował w kręgu światła. Ten, który strzelał, mógł już podejść do okna. Główne światło padało z lampy na suficie. Wydobył broń i wycelował w żarówkę. Wystrzelił drżącą ręką i nie trafił. Wycelował jeszcze raz, trzymając broń obiema rękami. Kula roztrzaskała żarówkę. W pokoju zrobiło się ciemniej. Wallander siedział nieruchomo i nasłuchiwał. Chciał się zbliżyć do radiotelefonu. Ale ten leżał na stole, kilka metrów od niego. A stół był oświetlony.

Pies wciąż milczał. Nagle wydało mu się, że słyszy kogoś w przedsionku. Prawie bezgłośnie kroki. Skierował broń w stronę drzwi. Trzęsły mu się ręce. Ale nikt nie wszedł. Nie wiedział, jak długo czekał. Jednocześnie zastanawiał się gorączkowo, co się mogło stać. Po chwili zauważył, że pod stołem jest dywan. Ostrożnie, nie wypuszczając broni z ręki, zaczął za niego pociągać. Stół był ciężki, ale ruszył z miejsca. Ciągnął bardzo powoli i stół stopniowo podjeżdżał bliżej. W chwili kiedy radio

znalazło się już w zasięgu jego ręki, rozległ się kolejny strzał. Trafił w radio i roztrzaskał je. Wallander skulił się w kącie. Strzał padł od frontu. Wallander uświadomił sobie, że nie będzie mógł się schować, jeśli strzelający przejdzie na tył domu. Muszę się stąd wydostać, pomyślał. Jak nie, to zginę. Ogarnięty paniką, usiłował coś wymyślić. Nie mógł zgasić światła na zewnątrz. Wystawiłby się wtedy na cel. Człowiek, który strzelał, miał pewną rękę.

Pozostawało mu tylko jedno wyjście. Myśl o tym napawała go wstrętem. Ale nie miał wyboru. Wziął kilka głębokich oddechów, po czym zerwał się na nogi, wypadł do sieni, kopniakiem otworzył drzwi i uskoczywszy na bok, oddał trzy strzały w kierunku psiej klatki. Pies zawył i Wallander zrozumiał, że go trafił. W każdej sekundzie spodziewał się śmierci. Ale wycie psa pozwoliło inspektorowi przebiec do cienia. Jednocześnie dostrzegł Rolfa Nymana. Stał na środku podwórza zdezorientowany strzałem do psa. Zaraz potem Nyman go zauważył.

Inspektor przymknął oczy i nacisnął spust. Wystrzelił dwa razy. Kiedy otworzył oczy, Nyman leżał na ziemi. Wallander powoli zbliżył się do niego.

Nyman żył. Kula trafiła go w bok. Wallander wyjął mu broń z ręki. Potem podszedł do psiego wybiegu. Pies leżał martwy.

W oddali usłyszał odgłos syren. Usiadł na schodach, trzęsąc się na całym ciele.

W tej samej chwili zaczął padać deszcz.

## Epilog

Kwadrans po czwartej rano Wallander pił kawę w jadalni komendy. Wciąż trzęsły mu się ręce. Po pierwszym, trwającym godzinę zamieszaniu, kiedy nikt właściwie nie wiedział, co zaszło, wszystko się nareszcie wyjaśniło. Policja w Lund, podejrzewając, że w dyskotecce przebywa zbyt wiele osób, zrobiła nalot na lokal akurat wtedy, kiedy Martinsson i Svedberg, opuściwszy dom pod Sjöbo, wywołali przez radio

Hanssona. W ogólnym rozgardiaszu Hansson źle zrozumiał meldunek Martinssona. Myślał, że cała ekipa opuściła już dom Nymana. Na dodatek za późno się zorientował, że Rolf Nyman wymknął się tylnymi drzwiami, których Hansson nie zauważył, kiedy przyszedł do dyskoteki. Zapytał oficera policji, gdzie się podzieli pracownicy, na co tamten odpowiedział, że zostali zabrani na przesłuchanie do Lund. Hansson był przekonany, że Robert Nyman jest wśród nich, i wobec tego nie widział powodu, aby dłużej pozostawać w Lund. Dlatego wrócił do Ystad z absolutnym przekonaniem, że dom pod Sjöbo od ponad godziny jest pusty.

W tym samym czasie Wallander, leżąc na podłodze, strzelił do lampy na suficie, potem wybiegł na podwórze, zabił psa i ranił Rolfa Nymana strzałem w bok.

Po powrocie do Ystad Wallanderowi wielokrotnie przychodziło na myśl, że powinien być wściekły. Ale nie mógł się zdecydować, kogo ma obwiniać. Zaszła seria fatalnych nieporozumień, które mogły się nieszczęśliwie skończyć. Nie tylko śmiercią psa. Na szczęście tak się nie stało. Ale niewiele zabrakło.

*Jest czas życia i czas umierania*, myślał Wallander. Tak brzmiało jego prywatne zaklęcie od czasu, kiedy wiele lat temu dostał nożem w Malmö. Teraz znów ledwie uszedł z życiem.

Rydberg wszedł do jadalni.

– Rolf Nyman się wylize – oznajmił. – Trafiłeś go w odpowiednie miejsce. Nie będzie miał żadnych trwałych obrażeń. Lekarze uważają, że od jutra możemy z nim rozmawiać.

– Mogłem równie dobrze spudłować – odparł Wallander. – Albo trafić go między oczy. Jestem marnym strzelcem.

– Jak większość policjantów – stwierdził Rydberg.

Wallander siorbał gorącą kawę.

– Mówiłem z Nybergiem – ciągnął dalej Rydberg. – Sądził, że to może być broń, z której zastrzelono siostry Eberhardsson i Holma. Odnaleziono zresztą samochód Holma. Stał na ulicy w Sjöbo. Widocznie Nyman go tam zostawił.

– Trochę się już wyjaśniło – rzekł Wallander. – Ale nadal nie

mamy pojęcia, co się za tym wszystkim kryje.

Rydberg nie mógł oczywiście na to odpowiedzieć.

Obraz rozjaśnił się dopiero po wielu tygodniach. Zeznania Nymana pozwoliły odsłonić istnienie sprawnej organizacji przerzucającej do Szwecji znaczne ilości ciężkich narkotyków. Siostry Eberhardsson stanowiły doskonały parawan dla działalności Nymana. Organizowały system dostaw na terenie Hiszpanii, do której łodziami rybackimi docierał towar pochodzący od odległych producentów z Ameryki Środkowej i Azji. Holm pracował dla Nymana. W pewnym momencie, którego nigdy nie udało się dokładnie określić, powodowani zachłannością Holm i siostry Eberhardsson zapragnęły wymanewrować Nymana. Ten, zorientowawszy się, o co chodzi, postanowił się ich pozbyć. Niemal w tym samym czasie nastąpiła katastrofa samolotu. Narkotyki przerzucano z Marbelli do północnych Niemiec. Z prywatnego pasa lotniczego pod Kilonią zaczęły z czasem startować nocne loty do Szwecji. Tam też wracały samoloty po dokonaniu zrzutu, z wyjątkiem ostatniego lotu, który zakończył się katastrofą. Komisji, która badała jej przyczyny, nie udało się ustalić właściwej przyczyny wypadku, jednak wiele wskazywało na to, że przyczynił się do niego fatalny stan techniczny maszyny.

Wallander osobiście prowadził pierwsze przesłuchania Nymana. Przerwał je, kiedy musiał się zająć dwoma nowymi zabójstwami. Od początku zdawał sobie sprawę, że Rolf Nyman nie stanowi szczytu narysowanej przez niego piramidy. Nad Nymanem znajdowali się inni – finansujący działalność niewidoczni mężczyźni o reputacji wzorowych obywateli, czuwający nad nieprzerwanym dopływem narkotyków do Szwecji.

Wallander często rozmyślał o piramidach. O szczycie, na który usiłował się wdrapać jego ojciec. Ta wspinaczka mogłaby stanowić symbol jego własnej pracy. On również nie dociera do końca. Wysoko, w niedostępnym miejscu, przebywają ci, do których się nigdy nie dostanie.



Lecz tego ranka, 7 stycznia 1990 roku, Wallander był po prostu skonany.

O wpół do szóstej się poddał. Nic nikomu nie mówiąc, z wyjątkiem Rydberga, pojechał do mieszkania przy Mariagatan. Wziął prysznic i położył się do łóżka. Nie mógł zasnąć i musiał zażyć proszek nasenny, który znalazł w zapomnianym opakowaniu w szafce w łazience. Spał aż do drugiej po południu.

Resztę dnia spędził w komendzie i w szpitalu. Björk przyszedł, żeby mu pogratulować. Wallander nie odpowiadał. Uważał, że popełnił masę błędów. To, że Nyman wpadł, było raczej szczęśliwym zrzędzeniem losu niż wynikiem ich sprawności.

Następnie w szpitalu odbył pierwszą rozmowę z Nymanem. Nyman był błydy, ale spokojny. Wallander spodziewał się, że nie będzie chciał mówić. Ale na niektóre pytania odpowiadał.

– Siostry Eberhardsson? – zapytał Wallander pod koniec przesłuchania.

– Dwie zachłanne starsze panie – odparł z uśmiechem. – Oczarowane, że ktoś pojawił się w ich smętnym życiu, wnosząc zapach przygody.

– To brzmi niedorzecznie. Taka przemiana?

– Anna Eberhardsson w młodości prowadziła dosyć swawolny żywot. Emilia musiała jej pilnować. Może w głębi duszy jej zazdrościła? Co my wiemy o ludziach? Tylko tyle że mają słabe punkty. I trzeba je odnaleźć.

– Jak pan właściwie je poznał?

Odpowiedź go zaskoczyła.

– Kupowałem suwak. To było w tym okresie mojego życia, kiedy sam reperowałem sobie ubrania. Ujrzałem dwie starsze panie i wpadł mi do głowy szalony pomysł. Pomyślałem, że mogą się przydać. Jako tarcza.

– A później?

– Zacząłem tam przychodzić. Kupowałem nici. Opowiadałem o swoich podróżach po świecie. O tym, jak łatwo można zarobić pieniądze. Że życie jest krótkie i że nigdy nie jest za późno. Zauważyłem, że słuchają.

– A potem?

– Pewnego dnia przyszedłem z propozycją – powiedział, wzruszając ramionami. – Jak to się mówi? Z propozycją nie do odrzucenia?

Wallander chciał dalej ciągnąć ten temat. Ale Rolf Nyman odmówił odpowiedzi.

Inspektor zmienił wątek.

– A Holm?

– Też był chciwy. I słaby. Zbyt głupi, żeby sobie uświadomić, że nie jest w stanie wywieść mnie w pole.

– Jak się pan dowiedział o ich planach?

Rolf Nyman potrząsnął głową.

– Tego się pan ode mnie nie dowie.

Wallander przeszedł spacerem ze szpitala do komendy. Trwała tam konferencja prasowa, w której na szczęście nie musiał brać udziału. W pokoju na stole zastał paczkę. Ktoś dołączył do niej kartkę, że przez pomyłkę leżała w recepcji. Paczkę nadano w Sofii. Od razu się domyślił, co zawiera. Kilka miesięcy wcześniej uczestniczył w międzynarodowej konferencji policyjnej w Kopenhadze. Zaprzyjaźnił się tam z bułgarskim policjantem, który tak jak i on lubił operę. Wallander otworzył przesyłkę. W środku leżała płyta, *Traviata* z Marią Callas.

Wallander napisał skrót swojej pierwszej rozmowy z Nymanem. Następnie pojechał do domu, przyrządził posiłek i przespał się parę godzin. Pomyślał, że powinien zadzwonić do Lindy. Ale odłożył to na później.

Wieczorem słuchał nowej płyty z Bułgarii. Czuł, że bardzo potrzebuje kilku wolnych dni.

Położył się dopiero koło drugiej i od razu zasnął.

Telefon do komendy w Ystad został zarejestrowany 8 stycznia o godzinie piątej trzynastej. Przyjął go wyczerpany policjant, który od Nowego Roku pełnił niemal nieprzerwaną służbę. Słyszac zacinający się głos, myślał z początku, że dzwoni jakiś półprzytomny staruszek. Mimo to coś zwróciło

jego uwagę. Zaczął zadawać pytania. Po skończonej rozmowie, niewiele myśląc, podniósł słuchawkę i wykręcił numer, który znał na pamięć.

Sygnal telefonu wyrwał Wallandera z głębokiego erotycznego snu.

Spojrzał na zegarek, sięgając po słuchawkę. Wypadek samochodowy, pomyślał. Gołoledź, ktoś za szybko jechał i się zabił. Albo jakaś heca z uchodźcami, których znaleziono na porannym promie z Polski.

Usiadł na łóżku i przycisnął słuchawkę do policzka, czując, jak kłuje go poranny zarost.

– Mówi Wallander.

– Mam nadzieję, że nie obudziłem?

– Już nie spałem.

Dlaczego kłamię?, pomyślał. Dlaczego nie powiem, jak jest naprawdę? Że najchętniej znów bym zasnął i dalej śnił o nagiej kobiecie?

– Pomyślałem, że powinienem cię zawiadomić. Zadzwoił pewien stary rolnik z Lenarp. Nazywa się Nyström. Mówił, że sąsiadka siedzi związana na podłodze i że ktoś nie żyje.

Wallander lokalizował w myślach Lenarp. Leżał niedaleko Marsvinsholmu, w wyjątkowo, jak na Skanię, urozmaiconej krajobrazowo okolicy.

– To brzmiało poważnie. Dlatego dzwonię bezpośrednio do ciebie.

– Kto teraz ma patrol?

– Peters i Norén szukają kogoś, kto stłukł szybę w Continentalu. Mam ich wywołać?

– Powiedz, żeby podjechali do skrzyżowania między Kadesjö i Katslösa i czekali tam na mnie. Podaj im adres. Kiedy był telefon?

– Kilka minut temu.

– Jesteś pewien, że to nie jakiś pijaczek?

– Nie wyglądało na to.

Wallander wstał i się ubrał. Odpoczynek, którego tak potrzebował, najwyraźniej nie był mu pisany.

Wyjechał z miasta, minął nowo wybudowany sklep meblowy,

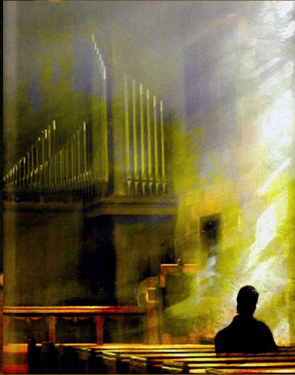
wyobrażając sobie ciemne morze rozciągające się w oddali.  
Niebo pokrywały chmury.

Nadchodzą śnieżyce, pomyślał.

Prędzej czy później dotrą do nas.

Usiłował sobie wyobrazić, co zastanie na miejscu.

Radiowóz czekał na niego na drodze do Kadesjö. Wciąż jeszcze było ciemno.



Lektura obowiązkowa dla fanów Kurta Wallandera! Tym razem nie powieść, ale zbiór opowiadań kryminalnych, z których jedno dało tytuł całości.

Budując fabuły wokół tajemniczych morderstw, które wydarzyły się w ciągu dwu dekad poprzedzających czas akcji "Mordercy bez twarzy", Mankell przedstawia nam przeszłość swojego bohatera. Poznajemy Wallandera jako początkującego policjanta w Malmö, a kolejne opowiadania rzucają światło na relacje Kurta z żoną Moną, ekscentrycznym ojcem oraz córką Lindą. Dowiadujemy się też, jak stał się zgorzkniałym, ale i odnoszącym sukcesy komisarzem w wydziale zabójstw. Tłem pięciu historii jest świetnie zobrazowane szwedzkie państwo opiekuńcze, społeczeństwo z mnóstwem paradoksów i powszechnym poczuciem wyobcowania. Jak inne książki o Wallanderze, Piramida to świetnie skrojona proza, które daje wgląd w przerażające motywacje ludzi i próbuje je wyjaśniać. Książka została przełożona na wiele języków, m.in. duński, norweski, fiński, niemiecki, angielski, niderlandzki, włoski, hiszpański i kataloński.



ISBN 978-83-7747-324-5

9788377 473245

Cena 39,90 zł